

**CLIVE CUSSLER**

**NA DNO NOCY**



**PROLOG**  
**NOC ZAGŁADY**  
**ROZDZIAŁ 1**

Maj 1914. Stan Nowy Jork.

Coraz jaśniejsze rozbłyski wskazywały, że „Manhattan Limited” wjeżdża w rejon silnej burzy. Szyny ugiwały się pod ciężkim pociągiem, pędzącym przez wiejski krajobraz. Gigantyczny pióropusz dymu buchał z komina lokomotywy, siejąc na nocnym niebie nowe, przelotne gwiazdy. Maszynista wyciągnął z kieszonki kombinezonu srebrnego walthama, otworzył kopertę zegarka i w krwawym świetle paleniska spojrzął na tarczę. To, co zobaczył, zmartwiło go bardziej niż nadchodząca burza: czas mknął nieubłaganie naprzód i coraz mniejsze były szanse zmieszczenia się w rozkładzie jazdy.

Schował zegarek i wychylił głowę za okno. Nasycone krezotem podkłady śmigały między ośmioma kołami napędowymi lokomotywy, była to ogromna maszyna, typu Consolidation 2-8-O. Maszynista był dumny ze swojej „cwałującej Leny” -jak czule określał te 236 tysięcy funtów żelastwa. Zbudowana ledwie trzy lata temu w zakładach Alco Schenectady, wciąż jeszcze lśniła nieskazitelnie czarnym lakierem. Wąski czerwony pas biegł przez całą długość kotła, a na ścianie widniał ręcznie wymalowany złoty numer „88”.

Maszynista wsłuchiwał się przez chwilę w stalowy stukot kół na złączeniach szyn, całym ciałem wyczuwał potężny impet lokomotywy i siedmiu prowadzonych przez nią wagonów.

Potem przesunął manetkę szybkości o jeszcze jedną kreskę wyżej.

W ostatnim wagonie - była to luksusowa salonka długa na siedemdziesiąt stóp - w przedziale bibliotecznym siedział przy biurku Richard Essex. Znużony monotonią podróży, ale jednocześnie zbyt zmęczony pracą, aby zasnąć, pisał dla zabicia czasu długi list do żony. Opisał już bogato zdobione wnętrze wagonu: misternie rzeźbione orzechowe boazerie, ręcznie kute mosiężne lampy elektryczne, wyściełane czerwonym pluszem obrotowe fotele i palmy w wielkich donicach. Wspomniał nawet o kryształowych lustrach i mozaikowych posadzkach w przylegających do czterech przestronnych sypialni łazienkach.

Za jego plecami, w saloniku widokowym, którego ściany zdobiły rzeźbione boazerie, grało w karty pięciu żołnierzy ochrony w cywilnych ubraniach. Dym z pięciu cygar zgęstniał w błękitną chmurę pod brokatowym sufitem. Pięć karabinów leżało

beładnie wśród sprzętów. Od czasu do czasu któryś z graczy pochylał się nad dużą mosiężną spluwaczką, ustawioną na perskim dywanie. Żaden z nich, pomyślał Essex, nie zaznał zapewne w życiu większego luksusu. Rząd wydawał na ten pałac na kółkach co najmniej siedemdziesiąt dolarów dziennie, po to tylko, aby bezpiecznie przetransportować świstek papieru.

Westchnął i pochylił się nad listem, by dopisać ostatnie zdanie. Potem wsunął arkusz do koperty, zakleił ją i schował do wewnętrznej kieszeni. Nadal nie odczuwał senności, siedział więc bez ruchu, patrząc przez łukowatą wnękę okna na nocny krajobraz. Za oknem przemykały małe stacyjki i budki dróżników nieodmiennie zapowiadane kilka sekund wcześniej donośnym gwizdem lokomotywy. Essex wstał, rozprostował kości i poszedł do jadalni, równie eleganckiej jak pozostałe przedziały salonki. Usiadł przy mahoniowym stoliku: srebrna zastawa i kryształowe kielichy podkreślały śnieżną biel obrusa. Rzucił okiem na zegarek: dochodziła druga.

- Czym mogę służyć, panie Essex? - Czarnoskóry kelner wyrósł przed nim jak spod ziemi. Essex podniósł wzrok i uśmiechnął się.

- Wiem, że już bardzo późno, ale może mógłbym jeszcze coś przekąsić?

- Z przyjemnością pana obsłużę, sir. Na co ma pan ochotę?

- Coś, co by mi pomogło zasnąć. Kelner błysnął zębami w uśmiechu.

- Sugerowałbym flaszkę burgunda, mamy tu Pommarda, i czarę dobrego gorącego bulionu z małż.

- Doskonale, dziękuję.

Później, sącząc wyborne wino, Essex próbował zgadnąć, czy takie same kłopoty z zaśnięciem ma teraz Harvey Shields.

## ROZDZIAŁ 2

Harvey Shields spał głęboko. Tak mu się przynajmniej zdawało. Bo to, czego doświadczał, nie mogło być niczym innym jak koszmarem lennym. Zgrzyt rozdzieranej stali, okrzyki pełne śmiertelnego bólu i przerażenia, dobiegające z totalnej ciemności - były zbyt straszne, aby mogły być jawą. Ogromnym wysiłkiem woli próbował wyrwać się z piekielnej wizji i powrócić do spokojnego snu i dopiero wtedy zdał sobie sprawę z realności bólu, przeszywającego wszystkie jego zmysły.

Gdzieś z dołu słyszał gwałtowny szum wody, rwącej przez ciasne tunele, potem do jego płuc wdarło się silne uderzenie wiatru. Próbował otworzyć oczy, ale powieki wydawały się zlepione gęstym klejem. Nie wiedział jeszcze, że to jego własna krew. Nie wiedział też, że jego ciało, skurczone w pozycji płodowej, uwięzło w twardym uścisku chłodnego metalu.

Dopiero nasilający się ból i rzeński zapach ozonu przeniosły go na wyższy poziom świadomości. Próbował poruszyć ręką lub nogą, ale ani drgnęły. Wokół zapanowała nagle dziwna cisza: słychać było tylko szum wody. Jeszcze raz spróbował wyrwać się z krępującego go niewidzialnego imadła. Zaczerpnął tchu i napiął wszystkie mięśnie do granic możliwości.

Prawa ręka wyrwała się z żelaznego uścisku i z impetem uderzyła w rozdartą blachę. Ostry ból rozcinanej skóry rozbudził go definitywnie. Starł z powiek wilgotny klej i popatrzył na to, co jeszcze niedawno było kabiną pierwszej klasy na luksusowym liniowcu płynącym z Kanady do Anglii.

Zniknęła gdzieś duża mahoniowa komoda, zniknęło biurko i nocny stoliczek. W ścianie przylegającej do prawej burty statku widniała ogromna dziura o postrzępionych brzegach. Shields zobaczył najpierw gęstą mgłę wypełniającą ciemność, potem, niżej, czarną powierzchnię Rzeki Świętego Wawrzyńca. I nic więcej: miał przed sobą bezdenną, bezgraniczną otchłań. Po chwili jednak dostrzegł w pobliżu jakąś jaśniejszą plamę i zrozumiał, że nie jest tu sam. Rozpoznał dziewczynkę •Ł sąsiedniej kabiny, z rozbitej ściany na wprost jego twarzy wystawała głowa i blade ramię. Głowa była nienaturalnie wykręcona, z ust sączyła się krew, barwiąc szkarłatem długie złote włosy, opadające miękką falą ku podłodze.

Wstrząs wywołany tym widokiem szybko ustąpił miejsca dramatycznej refleksji, dopiero teraz, patrząc na martwą dziewczynkę, Shields zrozumiał, że i jego chwile są policzone. I wtedy nagła błyskawica rozświetliła jego pamięć.

Ale daremnie przeszukiwał wzrokiem zdemolowane wnętrze: nigdzie nie mógł

dostrzec teczki dyplomatki, z którą nie rozstawał się ani na chwilę. Jeszcze raz podjął próbę uwolnienia ciała z żelaznej klatki. Pot wystąpił mu na czoło, ale wysiłek był bezowocny. Podczas tej próby zorientował się jednak, że od pasa w dół nie ma czucia, wcześniejsze podejrzenie, że ma pęknięty kręgosłup, przerodziło się w straszną pewność.

Nagle wielki transatlantyk przechylił się gwałtownie i zastygł w agonalnej pozycji nad powierzchnią rzeki, która miała stać się jego grobem. Pasażerowie - niektórzy w wieczorowych strojach, ale większość w bieliźnie nocnej - mrowili się na pochyłych pokładach, próbując dotrzeć do łodzi ratunkowych, albo skakali do zimnej wody, chwytając się rozpaczliwie wszystkiego, co mogło utrzymać ich na powierzchni. Nie było nadziei: zaledwie minuty dzieliły ich od momentu, w którym statek pogrąży się ostatecznie i osiadzie na zawsze na dnie - niespełna dwie mile od brzegu.

- Marta!

Wołanie dochodziło przez połamaną częściowo ścianę kabiny gdzieś z wewnętrznego korytarza. Shields drgnął i obrócił głowę w tamtą stronę. Po chwili znów usłyszał ten głos.

- Tutaj! - zawołał. - Błagam, niech mi pan pomoże!

Nie było odpowiedzi, ale z korytarza dał się słyszeć odgłos, jakby ktoś przedzierał się przez rumowisko. Po chwili jakaś ręka odsunęła pęknięty płat przepierzenia i w szczelinie ukazała się twarz okolona siwą brodą.

- Moja Marta! Widział pan moją Martę?

Przybysz niewątpliwie był w szoku: wyrzucał z siebie słowa mechanicznie i beznamiętnie. Oczy, pod okropnie pokaleczonym czołem, gorączkowo przeszukiwały wnętrze kabiny.

- Ta mała blondynka? - spytał Shields.

- Tak, tak! To moja córka!

Shields ruchem głowy wskazał uwięzione w ścianie zwłoki.

- Obawiam się, że już nie żyje.

Brodaty mężczyzna rozepchnął ciasną szczelinę i wczołgał się do wnętrza. Po chwili był już przy zwłokach. Jego twarz zastygła w niemym niedowierzaniu. Ręką dotknął krwawiącej wciąż głowy dziewczynki, pogładził złociste włosy. Milczał.

- Chyba nie cierpiała - powiedział pocieszająco Shields. Nieznajomy nie odpowiadał.

- Współczuję panu - mruknął Shields konwencjonalnie. Poczul, jak statek znów

gwałtownie przechyliła się na prawo. Przez wielki otwór w burcie już całkiem blisko widział powierzchnię wody. Miał coraz mniej czasu, musiał jakoś wdrzeć się w świat myśli zrozpaczonego ojca i skłonić go, by zajął się jego dyplomatyczną teczką.

- Czy może mi pan powiedzieć, co się stało?

- Kolidacja. - Odpowiedź była cicha. - Byłem właśnie na pokładzie. W tej mgle uderzył w nas inny statek. Wbił się dziobem w burtę.

Zamilkł na chwilę, wyciągnął chusteczkę i zaczął ścierać krew z twarzy dziewczynki.

- Marta tak strasznie chciała płynąć ze mną do Anglii. Jej matka sprzeciwiała się, ale ja się zgodziłem... Boże, gdybym mógł przewidzieć... - Głos starego człowieka załamywał się.

- Nic pan już nie poradzi. Teraz musi pan ratować własne życie. Popatrzył na Shieldsa nie widzącym wzrokiem.

- To ja ją zabiłem - wyszeptał.

Shields nie oponował. W nagłym odruchu desperacji podniósł głos.

- Niech pan posłucha! Tu gdzieś leży teczka z bardzo ważnymi dokumentami, trzeba ją dostarczyć do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Londynie. Niech pan ją znajdzie, błagam!

Powierzchnia wody była już tak blisko, że dostrzegał drobne wiry i tłuste plamy oleju. Jeszcze kilka sekund, a rzeka wdrze się do kabiny i zaleje ją. Z zewnątrz dobiegały jęki i krzyki walczących ze śmiercią ludzi.

- Proszę mnie posłuchać, póki jeszcze jest czas... Pańska córka nie żyje. - Wściekle walił pięścią w postrzępioną blachę, nie zważając na ból zdzieranej skóry. - Niech pan ucieka, jeszcze ma pan szansę. Teczkę odda pan kapitanowi, on będzie wiedział, co z tym zrobić.

Ojciec dziewczynki otworzył wreszcie drżące usta.

- Nie mogę zostawić Marty samej, po ciemku... Ona boi się ciemności...

Mówił coś jeszcze, ale coraz ciszej, jak ksiądz przed ołtarzem, i Shields nie rozumiał już jego słów. To był koniec. Nie było żadnego sposobu, by wyrwać starego człowieka z obłądu rozpacz. Pochylił się nad głową córki i ucałował jej czoło. A potem jego ciałem wstrząsnął nie kontrolowany szloch.

Shieldsa dziwnie to uspokoiło. Nagle pogodził się z niepowodzeniem swoich prób, zobojętniał na całą grozę sytuacji, przestał się bać nadchodzącej nieuchronnie śmierci. Jego umysł rejestrował bieg zdarzeń jakby z zewnątrz, z dystansu i z

niezwykłą jasnością.

Gdzieś w trzewiach okrętu nastąpiła eksplozja: wybuchły wielkie kotły. Transatlantyk przewrócił się na prawy bok, potem, zaczynając od rufy, szybko zsunął się pod powierzchnię. Od momentu kolizji do chwili kiedy zniknął z oczu ludzi rozpaczliwie walczących o życie w lodowatej wodzie, minął zaledwie kwadrans. Zegary w zatopionym kadłubie zatrzymały się o 2:10 nad ranem.

Harvey Shields nie próbował już walczyć. Nie próbował chwytać powietrza w płuca, by na parę sekund odsunąć od siebie to, co było nieuniknione. Otworzył szeroko usta i niemal łapczywie wchłonął falę cuchnącej wody. Szok wywołany brakiem tlenu, ból i cierpienie - nie trwały długo. Jego świadomość zgasła jak wyłączona lampa.

I nie było już nic, absolutnie nic.

### ROZDZIAŁ 3

Diabelska noc, pomyślał Sam Harding, kasjer kolejowy na linii New York & Quebec Northern Railroad. Stał na peronie swojej stacji, patrząc jak wściekle uderzenia wichru niemal do ziemi przyginają wysokie topole znaczące linię torów.

W ten sposób kończyła się niezwykła o tej porze roku fala upałów: najgorętszy maj od 1880 roku, jak głosił wielką czerwoną czcionką lokalny tygodnik. Burza była nieuniknionym efektem gwałtownego ochłodzenia: w ciągu godziny temperatura spadła o 24 stopnie: Harding, który wyszedł na peron tylko w cienkiej koszuli, już po chwili trzął się z zimna.

Daleko przed nim, w głębokiej ciemności, przesuwiał się powoli łańcuszek świateł: towarowe barki ciągnące w górę rzeki. Żółte światełka pozycyjne kolejno wyłaniały się zza filarów wielkiego mostu.

Wacketshire to niewielka osada, ale przebiegająca przez nią linia kolejowa miała ogromne znaczenie. W kierunku północnym tory biegingy prosto w stronę pobliskiej stolicy stanu, Albany, jadące stamtąd i ze wschodniej Kanady pociągi tuż za stacją Hardinga skręcały ostro w lewo, na most Deauville nad Hudsonem, by za rzeką, w Columbiaville, skierować się ponownie na południe, do Nowego Jorku.

Nie spadła jeszcze ani jedna kropla, ale w powietrzu czuło się już zapach deszczu. Harding podszedł do swojego forda T. Kabina samochodu miała drewniane boki i choć był to solidny dąb, uznał, że lepiej nie ryzykować. Spuścił ceratowe rolety, zainstalowane na krawędziach dachu, zwisające linki zamocował w knagach zaciskowych podwozia i wrócił do budynku stacji.

Hiraam Meechum, telegrafista, siedział zgarbiony nad szachownicą. Oddawał się swojej ulubionej rozrywce: na odległość grał partyjkę z jakimś innym telegrafistą. Szyby w oknach brzęczały pod uderzeniami wiatru, co w połączeniu z regularnym stukotem telegrafu Meechuma tworzyło skomplikowany, ale dziwnie zgodny rytm. Harding podszedł do naftowej kuchenki, zdjął dymiący dzbanek i nalał sobie kawy do kubka.

- Kto wygrywa? - spytał.

Meechum podniósł wzrok znad szachownicy.

- Lepiej spytaj najpierw, z kim gram. To Standish z Germantown, cholernie twardy zawodnik.

Zaterkotał klucz telegrafu. Meechum słuchał przez chwilę, potem przesunął figurę na szachownicy.



- Królowa na b4 - mruknął. - No, to rzeczywiście niewesoło. Harding wyjął z kieszonki zegarek i spojrzął na tarczę. Zmarszczył poważnie brwi.

- „Manhattan Limited” ma już dwanaście minut spóźnienia.

- Pewnie z powodu tej burzy - powiedział Meechum. Wystukał swój kolejny ruch, położył nogi na stole i, odprężony, czekał na odpowiedź przeciwnika.

Kiedy piorun uderzył w drzewo na sąsiedniej łące, wszystkie belki drewnianego budynku stacji aż jęknęły. Harding nadal pił spokojnie swoją kawę, pomyślał jednak o piorunochronie na dachu stacji: czy na pewno jest w porządku? Z tych myśli wyrwał go długi dzwonek telefonu, wiszącego na ścianie nad biurkiem.

- To pewnie twój dyspozytor, dowiemy się, co z tym spóźnionym pociągiem - próbował się domyślić Meechum.

Harding podszedł do telefonu, podciągnął na wysokość ust mikrofon, zainstalowany na giętkim ramieniu, i przyłożył do ucha małą, okrągłą słuchawkę.

- Wacketshire - zgłosił do mikrofonu nazwę stacji. Głos dyspozytora z Albany ledwo przebijał się przez morze szumów i trzasków, wywołanych burzą.

- ...most ...czy widzisz most?

Harding spojrzął w okno wychodzące na wschód. Za słabo oświetlonym peronem rozciągał się nieprzenikniony mrok.

- Na razie nie widzę. Muszę poczekać na następną błyskawicę.

- Czy on tam jeszcze stoi?

- A dlaczego miałby nie stać? - spytał z irytacją.

- Przed chwilą dzwonił do nas z Catskill szyper holownika z piekielną awanturą. Twierdzi, że jakiś dźwigar spadł z mostu i rozbił mu barcę. Agent w Columbiaville jest przerażony, bo „Limited” do tej pory nie pojawił się u nich.

- Uspokój go, do nas też jeszcze nie dojechał.

- Jesteś pewien?

Harding potrząsnął głową z niedowierzaniem: jak można zadawać tak głupie pytania?

- Słuchaj, do cholery! Ja chyba dobrze wiem, czy pociąg przejechał przez moją stację, czy nie.

- Chwała Bogu, zdążyliśmy... - Mimo zakłóceń na linii, Harding dosłyszał w głosie dyspozytora westchnienie ulgi. - „Limited” wiezie pięćdziesięciu ludzi, nie licząc obsługi, i jakąś grubą rybę w specjalnej rządowej salonce. Zatrzymaj pociąg na swojej stacji, a o świcie sprawdź most.

- Rozumiem - stwierdził Harding i odłożył słuchawkę. Zdjął ze ściany dużą lampę z czerwoną szybą i potrząsnął nią, chcąc upewnić się, czy w środku jest dosyć nafty. Potem zapalił knot. Meechum patrzył na niego z szachownicy ze zdumieniem.

- Chcesz zatrzymać „Limited”?!

- To polecenie z Albany. Mówią, że jakiś dźwigar spadł z mostu. Chcą, żebym to sprawdził, zanim przepuszczę pociąg.

- To może pójde zapalić latarnię na semaforze?

Ostry gwizd przebił się do nich przez szum wiatru. Harding nadstawił ucha, próbując ocenić odległość. Po chwili rozległ się drugi gwizd, tylko nieznacznie głośniejszy.

- Nie zdążysz. Poradzę sobie tą lampą...

W tym momencie gwałtownie otworzyły się drzwi. Na progu stał nieznajomy mężczyzna, jego oczy nerwowo przeszukiwały wnętrze. Miał posturę dżokeja: był niski i chudy jak szczapa. Wąsy koloru słomy i także włosy osobiwie komponowały się z wielką słomkową panamą na głowie. Ubranie wskazywało na wybredny gust właściciela i jego krawca. Garnitur był angielskiego kroju, z jedwabnymi lamówkami, ostre jak brzytwa kanty spodni kończyły się dokładnie na butach, uszytych z dwóch rodzajów brązowej skóry. Tym jednak, co najbardziej przykuwało wzrok, był automatyczny pistolet Mauzer w jego drobnej, niemal kobiecej dłoni.

- Co za cholera? - mruknął Meechum, nieco przestraszony.

- To jest napad, panowie. Myślałem, że to oczywiste. - Nieznajomy podniósł broń, a na jego twarzy pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech.

- Pan chyba oszalał - odezwał się Harding. - Tu nie ma nic do zabrania.

Macie tu sejf - powiedział napastnik, wskazując lufą na Htalową skrzynkę w kącie, w pobliżu biurka Hardinga. - A w sejfach bywają różne wartościowe rzeczy... na przykład pieniądze na wypłatę.

- Człowieku, wiesz, co ryzykujesz? Napad na kolej to zbrodnia przeciwko państwu. A tu się nie obłowisz. Wacketshire to sami rolnicy, tu nie ma żadnych pieniędzy na wypłaty, tu nawet banku nie ma.

- Nie mam ochoty rozmawiać o gospodarce Wacketshire.

Odwiedziony kurek mauzera nie pozostawiał co do tego żadnej wątpliwości.

- Otwierać sejf, no już!

Znowu rozległ się gwizd, tym razem dużo bliżej. Harding miał dość

doświadczenia, by wiedzieć, że pociąg jest już zaledwie ćwierć mili od stacji.

- Okay, zrobię wszystko, czego pan chce, ale najpierw muszę zatrzymać ten pociąg.

Rozległ się strzał: szachownica Meechuma rozleciała się w drzazgi.

Pionki zagrzechotały po podłodze.

- Zatrzymać pociąg? Może byście wymyślili coś mądrzejszego! Harding patrzył na rabusia wzrokiem, w którym malowała się autentyczna groza.

- Pan nie rozumie. Most jest prawdopodobnie zerwany!

- Doskonale rozumiem... Próbujesz mnie wykiwać.

- Przysięgam na Boga...

- On mówi prawdę - włączył się Meechum. - Przed chwilą dostaliśmy ostrzeżenie z Albany.

- Niechcesz pan zrozumie - błagał Harding. - Chce pan zamordować stu ludzi?!

Przerwał, bo na ramie okna pojawił się blask reflektorów lokomotywy. Pociąg musiał być już bardzo blisko.

- O Boże! - jęknął Harding.

Meechum wyrwał mu z ręki latarnię i rzucił się w stronę otwartych drzwi. Ponownie odezwał się mazurek: kula trafiła Meechuma w biodro. Runął na ziemię blisko progu, ale natychmiast zerwał się na kolana, chwycił lampę i zamachnął się, chcąc rzucić ją na tory. Człowiek w słomkowym kapeluszu był szybszy: lewą ręką złapał mocno przegub Meechuma, prawą uderzył go lufą pistoletu w głowę. Silnym kopnięciem zatrzaskały drzwi. Potem odwrócił się do Hardinga i warknął:

- Otwieraj ten cholerny sejf!

Harding patrzył na broczącego krwią Meechuma i czuł, jak żołądek podjeżdża mu pod gardło. Opanował się jednak i zrobił, co mu kazano. Odwrócony tyłem do okna kręcił nerwowo tarczę szyfrowego zamka, z bezsilną rozpaczą wsłuchując się w łoskot przelatującego przez stację pociągu. Światła kolejnych pulmanów rytmicznie rozjaśniały wnętrze pokoju. Potem przez parę minut słyszał jeszcze odgłos kół ostatniego wagonu, coraz cichszy i coraz odleglejszy. „Manhattan Limited” pędził niestrudzenie w ciemność, w stronę mostu.

Wszystkie zapadki zamka trafiły na swoje miejsca, Harding odsunął dźwignię rygiel i otworzył ciężkie drzwi sejfu. W środku leżało kilka małych pakietów, po które nie zgłosili się adresaci, stary dziennik zawiadowcy i kasetka z pieniędzmi. Rabuś szybko otworzył kasetkę i przeliczył zawartość.

- Osiemnaście dolarów i czternaście centów - stwierdził bez emocji. - Zawrotna suma to nie jest, ale przez parę dni powinno mi starczyć na żarcie.

Starannie poukładał banknoty w skórzanym portfelu, a bilon wsunął do kieszeni spodni. Rzucił pustą kasetkę na biurko, przekroczył nieruchome ciało Meechuma i zniknął w burzy za drzwiami. Meechum jęknął i poruszył się.

- Co z pociągiem? - wymamrotał. Harding przyklęknął i podtrzymał głowę telegrafisty.

- Paskudnie krwawisz - powiedział. Wyciągnął z kieszeni chustkę i przycisnął ją do rany.

- Zadzwoń na wschodni brzeg... zapytaj, czy pociąg dojechał - wykrztusił Meechum przez zaciśnięte z bólu zęby.

Harding ostrożnie opuścił głowę przyjaciela na podłogę. Pochylił się nad mikrofonem i przesunął dźwignię sygnału wywoławczego. Trzymając słuchawkę przy uchu krzyknął parę razy do mikrofonu, ale nie było żadnej odpowiedzi. Zaniknął na chwilę oczy, jak przy modlitwie, potem spróbował jeszcze raz. Bez skutku, nie było łączności z drugim brzegiem rzeki. Zdenerwowany, szybko przekręcił tarczę kierunkową i próbował połączyć się z dyspozytorem w Albany. Ale i tutaj słyszał tylko trzaski.

- Nic z tego - powiedział z trudem, czuł w gardle dziwną suchość i gorycz. - Burza zerwała połączenia. Nagle zaterkotał klucz telegrafu.

- Na szczęście telegraf jeszcze działa - odezwał się Meechum. Po chwili, wsłuchawszy się w sygnały, dodał: - To Standish, zrobił wreszcie następny ruch.

Z trudem przewyciężając ból, doczołgał się do stołu. Sięgnął do aparatu, przerwał połączenie z partnerem szachowym i nadał sygnał alarmowy. Potem przez dłuższą chwilę dwaj mężczyźni patrzyli na siebie w milczeniu, bojąc się wypowiedzieć pytanie, które zaprzętało ich myśli: co zobaczą o świcie? Przez otwarte wciąż drzwi wdzierał się do pokoju wiatr, zdmuchując z biurka luźne kartki papieru.

- Spróbuję zawiadomić Albany - odezwał się wreszcie Meechum. - A ty idź, zobacz, co z mostem.

Harding rzucił się na oślep do drzwi i pobiegł jak w transie po nierównym nasypie. Biegł szybko, niemal tracąc oddech i czując, jak serce wali szalonym rytmem. Tor zaczął wspinać się stromym wiaduktem na poziom mostu i Harding musiał trochę zwolnić. Kiedy wreszcie znalazł się na szczycie, znowu ruszył biegiem. Już na pierwszym przęśle mostu potknął się i upadł, boleśnie kalecząc sobie kolano o śrubę

mocującą szynę. Wstał i pokuśtykał dalej. Tak dotarł do końca drugiego przęsła - i stanął w niemym przerażeniu.

Przed nim otwierała się przepaść. Całe środkowe przęsło zapadło się w szarych wodach Hudsonu, 150 stóp poniżej miejsca, na którym stał. Tam też, na dnie rzeki, znalazł się „Manhattan Limited” - a w nim setka pasażerów: mężczyzn, kobiet i dzieci.

- Zginęli... wszyscy zginęli! - szlochał Harding w bezsilnej wściekłości. - Dla marnych osiemnastu dolarów...

**CZEŚĆ I**  
**GAROTA MAXA ROTJBAIX**

## ROZDZIAŁ 4

Luty 1989. Waszyngton, D.C.

Nie było nic niezwykłego w człowieku, który siedział lekko zgarbiony na tylnym siedzeniu pospolitego forda, jadącego wolno ulicami Waszyngtonu: Dla przechodniów, którzy na skrzyżowaniach przechodzili przed maską, ten człowiek mógł być na przykład drobnym kupcem, którego siostrzeniec podwozi rano do sklepu. Nikt nie zwracał uwagi na umieszczoną na tablicy rejestracyjnej małą plakietkę Białego Domu.

Alan Mercier - otyły, łysiejący - mógłby bez charakteryzacji grać Falstaffa, ale pod tą rubaszną powierzchownością krył się ostry jak brzytwa, analityczny umysł. Mercier nie troszczył się zbytnio o swój wygląd, uznał, że nie jest manekinem do prezentacji mody, i nieodmiennie nosił wymięte garnitury, kupione okazjnie na wyprzedaży, z białą lnianą chustką niechlujnie wetkniętą do kieszonki. To były jego znaki rozpoznawcze, chętnie wyśmiewane i wyolbrzymiane przez karykaturzystów politycznych.

Bo Alan Mercier nie był drobnym kupcem. Był pierwszym doradcą prezydenta do spraw bezpieczeństwa państwa. Świeżo mianowany na to stanowisko - bo i prezydent był świeżo wybrany - wciąż jeszcze mało znany był opinii publicznej. Miał jednak za sobą efektowną karierę uniwersytecką, w środowisku akademickim słynął z niezwykłego daru przewidywania biegu wydarzeń międzynarodowych. Kiedy zwrócił na niego uwagę nowy prezydent, był dyrektorem Komitetu Zapobiegania Kryzysom Światowym.

Mercier poprawił na nosie okulary a la Ben Franklin i sięgnął po leżącą obok czarną walizeczkę, położył ją na kolanach i otworzył pokrywę. Wnętrze pokrywy wypełniał ekran, w dolnej części walizki mieściła się klawiatura, zwieńczona dwoma rzędami kolorowych światełek. Wystukał kombinację cyfr i czekał, aż wysłany przez satelitę sygnał uruchomi komputer stojący w jego gabinecie w Białym Domu. Po chwili komputer zaczął przekazywać informacje, zarejestrowane ostatnio przez asystentów Merciera.

Informacje wędrowały drogą radiową w postaci zaszyfrowanej, bateryjny mikroprocesor leżący na kolanach Merciera dekodował je, w ciągu milisekund i wyświetlał tekst na ekranie małymi, zielonymi literkami. Najpierw pojawiła się tam bieżąca poczta, potem notatki służbowe personelu Agencji Bezpieczeństwa Państwowego, wreszcie rutynowe raporty dzienne z różnych agend rządowych, przede

wszystkim z Dowództwa Połączonych Sztabów i z Centralnej Agencji Wywiadowczej. Mercier szybko zapamiętywał jedną informację po drugiej, po czym usuwał je z pamięci laptopa.

Dwie notatki pozostały na ekranie. Kiedy samochód wjeżdżał w zachodnią bramę Białego Domu, Mercier wciąż jeszcze ślęczał nad nimi, wyraźnie zaintrygowany. W końcu westchnął ciężko, nacisnął wyłącznik i zamknął walizeczkę.

Zaledwie dotarł do swego gabinetu i zasiadł za biurkiem, sięgnął po słuchawkę i połączył się z Departamentem Energii. Już w połowie pierwszego sygnału odezwał się jakiś męski głos.

- Biuro doktora Kleina.

- Mówi Alan Mercier. Czy jest już Roń?

Po krótkiej pauzie w słuchawce zabrzmiał głos Ronalda Kleina, ministra energii.

- Cześć, Alan. Czym mogę służyć?

- Czy miałbyś dzisiaj dla mnie parę minut?

- Prawdę mówiąc, jestem bardzo zajęty...

- To poważna sprawa, Roń. Znajdź dla mnie jakąś chwilę.

Klein nie lubił takiej presji, ale z tonu Merciera wywnioskował, że doradca prezydenta nie da się dzisiaj spławić. Przykrył dłonią mikrofon i przez chwilę naradzał się ze swoim sekretarzem. Potem znowu się odezwał:

- Między drugą a wpół do trzeciej, pasuje ci?

- Świetnie - odparł Mercier. - Mam roboczy obiad w Pentagonie, to wpadnę do ciebie wracając. Do zobaczenia...

- Poczekaj, powiedziałaś, że to poważna sprawa.

- Nazwijmy to inaczej. - Mercier zrobił pauzę dla lepszego efektu. - To coś, co na pewno popsuje dziś humor prezydentowi. Tobie też.

W Owalnym Gabinetcie prezydent Stanów Zjednoczonych rozparł się wygodnie w fotelu i przymknął oczy. Jego umysł musiał przez minutę lub dwie odpocząć od stresu wywołanego intensywną pracą. Ulotnie, jak na człowieka, który dopiero parę tygodni temu objął najwyższy urząd w państwie, wyglądał na bardzo zmęczonego i przepracowanego. Po długiej i wyczerpującej kampanii wyborczej ciągle nic mógł dojść do siebie.

Prezydent nie odznaczał się aktorską urodą. Był niewysoki, włosy miał przerzedzone i przyprószone siwizną, a na twarzy, niegdyś wesołej i uśmiechniętej,



malowała się teraz niemal wyłącznie ponura powaga.

Kiedy w weneckie okna gabinetu niespodziewanie zabębnił marznący deszcz, otworzył oczy. Na zewnątrz, na Pennsylvania Avenue, samochody i ludzie poruszali się po śliskich nawierzchniach jak na zwolnionym filmie. Prezydent zateśknął nagle do rodzinnego stanu New Mexico, gdzie klimat był o wiele życzliwszy dla istot ludzkich. Niestety, teraz, na tym stanowisku, nie mógł już sobie pozwolić na improwizowaną wycieczkę z namiotem w ukochane góry Sangre de Cristo.

Właściwie nigdy w życiu nie dążył do stanowiska prezydenta, nie miał takich ambicji. Przez dwadzieścia lat służby w Senacie sumiennie zapracował na miano dobrego gospodarza spraw publicznych. Nominację kandydacką swojej partii uzyskał właściwie przypadkiem: jakiś dociekliwy reporter wygrzebał w biografii głównego faworyta podejrzaną operację finansową i działaczom uczestniczącym w konwencji nie pozostawało nic innego, jak postawić na czarnego konia.

- Panie prezydencie? - Głos sekretarki wyrwał go z zamyślenia.

- Tak?

- Jest już pan Mercier z danymi o stanie bezpieczeństwa.

- W porządku, niech wejdzie.

Mercier wszedł do gabinetu i usiadł naprzeciw prezydenta. Położył na biurku gruby skoroszyt.

- Jak wygląda świat dzisiaj? - Prezydent uśmiechnął się blado.

- Raczej ponuro, jak zwykle... Mój zespół przygotował prognozę na temat rezerw energetycznych państwa. Konkluzje nie są zbyt radosne.

- To dla mnie nic nowego. A co wynika z ostatnich raportów?

- CIA ocenia, że ropa na Bliskim Wschodzie skończy się za dwa lata. To będzie oznaczało zmniejszenie światowej produkcji do połowy dzisiejszego popytu. Rosjanie też już sięgają po żelazne rezerwy, a meksykańska bonanza pozostaje w sferze marzeń. Co się tyczy naszych własnych zasobów...

- To już wiem - przerwał prezydent. - Wiem także, że te wielkie poszukiwania, które zaczęły się parę lat temu, doprowadziły do odkrycia zaledwie paru małych pól.

Mercier zaczął kartkować leżący przed nim skoroszyt.

- Energia słoneczna, wiatraki, samochody elektryczne... to oczywiście byłyby jakieś rozwiązania. Niestety, ich technologia jest ciągle na takim mniej więcej poziomie, jak telewizja w latach czterdziestych.

- A paliwo syntetyczne?

- Za późno zaczęliśmy prace. Miną jeszcze co najmniej cztery lata, zanim ruszy na większą skalę produkcja paliwa z łupków oleistych.

- Więc nie ma żadnej nadziei?

- Owszem, jest. Zatoka Świętego Jakuba.

- Ten kanadyjski program energetyczny?

Mercier skinął głową i zaczął z pamięci cytować statystykę:

- Osiemnaście tam, dwanaście elektrowni, około dziewiętnastu tysięcy pracowników i zmiana biegu dwu rzek, każda z nich wielka jak Colorado. Jeśli wierzyć opracowaniom kanadyjskim, to największy i najkosztowniejszy projekt hydroenergetyczny w historii ludzkości.

- Kto tym kieruje?

- Quebec Hydro, zarząd energetyczny prowincji. Zaczęli prace w 1974. Nakłady są ogromne: dwadzieścia sześć miliardów dolarów, w większości z banków nowojorskich.

- A ile to daje energii?

- Na razie ponad sto miliardów watów, w ciągu dwudziestu lat ta liczba ma się podwoić.

- Ile z tego płynie do nas?

- Wystarczy na oświetlenie piętnastu stanów. Twarz prezydenta ponownie spochmurniała.

- Nie podoba mi się takie uzależnienie od Quebecu. Czułbym się bezpieczniej, gdybyśmy sami produkowali energię na własne potrzeby, na przykład w elektrowniach atomowych.

Mercier sceptycznie pokręcił głową.

- Niestety, nasze siłownie nuklearne zaspokajają zaledwie jedną trzecią potrzeb.

- Jak zwykle, zbyt się z tym grzebaliśmy.

- Tak - zgodził się Mercier - ale przyczyny były różne. Koszty budowy i modernizacji są ogromne i ciągle rosną. Zaczyna też brakować uranu. No i opór ze strony ruchów ekologicznych jest coraz większy.

Prezydent zamyślił się głęboko.

- Wszędzie stawialiśmy na jakieś niewyczerpane rezerwy - ciągnął Mercier - a tych rezerw nie ma. Zapędziliśmy się w ślepy zaułek. A tymczasem sąsiedzi z północy zrobili poważny krok do przodu. Nie mamy wyboru, musimy korzystać z ich energii.

- Ile za to płacimy?

- Bogu dzięki, Kanadyjczycy stosują te same stawki co nasze przedsiębiorstwa energetyczne.

- Przynajmniej jeden jasny promyk.

- Tak, ale to nic pewnego. Musimy się liczyć z pewną niemiłą możliwością. W lecie ma się odbyć w Quebecu referendum w sprawie pełnej niepodległości.

- Na razie premier Sarveux skutecznie blokuje separatystów. Chyba nie myślisz, że to się zmieni?

- Owszem, myślę. Premier prowincji, Guerrier, i jego Parti Quebecois mogą tym razem zdobyć dużo głosów.

- Zerwanie z Kanadą bardzo dużo by ich kosztowało. Nie stać ich na to, już teraz mają kłopoty gospodarcze.

- Liczą na wsparcie finansowe Stanów Zjednoczonych.

- A jeśli nie damy?

- To albo podniosą stawkę za prąd, albo wyciągną wtyczkę.

- Guerrier musiałby zwariować, żeby odciąć dostawy energii. Dobrze wie, że odpowiemy ciężkimi sankcjami gospodarczymi. Mercier spojrział na prezydenta ponuro.

- Upłynie wiele tygodni, może nawet miesięcy, zanim Quebec odczuje te sankcje. Przez cały ten czas nasze główne centra przemysłowe będą sparalizowane.

- Strasznie czarny obraz malujesz.

- O, to tylko tło. Na pierwszym planie jest AQL. Wie pan oczywiście, co to takiego?

Prezydent skrzywił się z niesmakiem. AQL, Stowarzyszenie Wolnego Quebecu, było nielegalną, terrorystyczną organizacją, która zamordowała już kilku wybitnych polityków kanadyjskich.

- Najnowszy raport CIA - kontynuował Mercier - sugeruje, że mają powiązania z Moskwą. Gdyby dorwali się do władzy w wolnym Quebecu, mielibyśmy tam drugą Kubę.

- Drugą Kubę... - powtórzył prezydent mechanicznie. - Tak, i to taką, która może rzucić Amerykę na kolana.

Prezydent wstał z fotela i podszedł do okna. Przez dłuższą chwilę milczał, z przykrością patrząc na przykrywającą ogrody Białego Domu lodową skorupę. Kiedy znowu odwrócił się do Merciera, w jego spojrzeniu malowały się niepokój i

zatroskanie.

- Nie możemy na to pozwolić, Alan. Nie możemy też płacić Bóg wie ile za prąd, nie stać nas na to. Powiem ci w zaufaniu – tobie i tutaj mogę to powiedzieć: państwo jest kompletnie splukane. Jak tak dalej pójdzie, za parę lat nie pozostanie nam nic innego, jak ogłosić bankructwo i zwinąć kramik.

Mercier przygarbił się, jakby przygnieciony zbyt dużym ciężarem.

- Mam nadzieję, że za pańskiej kadencji do tego nie dojdzie.

- No właśnie! Wszyscy tak mówią. Począwszy od Franklina Roosevelta każdy prezydent przerzuca na barki następnego coraz większe obciążenia finansowe. W rezultacie sytuacja jest taka, jaka jest: wystarczy dwudziestodniowa przerwa w dostawach prądu do północno-zachodnich stanów, a katastrofa będzie totalna i nieodwracalna.

- Ma pan jakiś sposób, żeby powstrzymać Quebec przed robieniem głupstw?

- Chyba nie. Nie mamy wielkiego wyboru.

- Zawsze i wszędzie, jak już wszystko zawiedzie, pozostają jeszcze dwa wyjścia - odezwał się sentencjonalnie Mercier. - Pierwsze to modlić się o cud.

- A drugie?

- Wywołać wojnę...

Dokładnie o 14:30 Mercier wszedł do budynku Forrestala przy Independence Avenue i wjechał windą na siódme piętro. Bez specjalnych ceremonii wprowadzono go do obitego pluszem gabinetu Ronalda Kleina, ministra energii.

Nos przypominający dziób kondora i długie siwe włosy nadawały Kleinowi wygląd uczonego. Mimo nadnaturalnego wzrostu - miał sześć stóp i pięć cali - zwinnie wyplątał się zza stołu konferencyjnego, przy którym siedział nad stertą dokumentów, i wyciągnął rękę na powitanie.

- No więc co to za straszna sprawa? - spytał tonem pogodnej rozmowy towarzyskiej.

- Może nie straszna, ale dziwna - odparł Mercier. - Główne Biuro Obrachunkowe domaga się rozliczenia sześciuset osiemdziesięciu milionów dolarów wypłaconych z budżetu federalnego na badania nad różdżką.

- Nad czym?!

- Nad różdżką - powtórzył spokojnie Mercier. - Geologowie nazywają tak wszystkie niekonwencjonalne urządzenia do wykrywania podziemnych złóż.

- Ale co to ma wspólnego ze mną?

- Te pieniądze zostały skierowane trzy lata temu do Departamentu Energii. Do dzisiaj nie zostały rozliczone. Chyba dobrze by było, gdyby twoi ludzie zbadali tę sprawę. To jest Waszyngton: za błędy poprzednich ekip atakowana jest obecna. Jeśli poprzedni minister wywalił bezsensownie kupę publicznych pieniędzy, to chyba lepiej, znał fakty, zanim jakiś nadgorliwy poseł przeprowadzi śledztwo na własną rękę i roztrąbi to w prasie.

- Dziękuję za ostrzeżenie. - Głos Kleina brzmiał najzupełniej szczerze. - Każę moim ludziom przejrzeć szafy.

Po wyjściu Merciera doktor Klein podszedł do kominka i długo wpatrywał się w wielkie świeże polano leżące na okopconym ruszcie.

- To niesamowite - mruknął. - Jak można było stracić z oczu sześćset osiemdziesiąt milionów?

## ROZDZIAŁ 5

Pomieszczenie generatorów elektrowni, najnowszej w systemie hydroenergetycznym St. James Bay, mogło oszołomić każdego. Charles Sarveux miał przed sobą komorę o powierzchni pięciu hektarów, wykutą w granitowej skale 120 jardów pod powierzchnią. Trzy szeregi generatorów napędzanych turbinami wodnymi - każdy zespół miał rozmiary pięciopiętrowego domu - nieprzerwanie produkowały energię rzędu miliardów watów. Sarveux głośno wyraził swój podziw, ku radości towarzyszących mu dyrektorów Quebec Hydro Power, należało to do jego zwykłych obowiązków, ale tym razem nie musiał niczego udawać: hala generatorów rzeczywiście zrobiła na nim ogromne wrażenie. Była to jego pierwsza wizyta w tym przedsiębiorstwie jako premiera Kanady, toteż zadawał wszystkie przewidziane rytuałem pytania.

- Jaką moc daje taki generator?

- Pięćset megawatów, panie premierze - odpowiedział naczelny dyrektor systemu, Percival Stuckey. Sarveux skinął z uznaniem głową, i na jego twarzy pojawił się subtelny uśmiech aprobaty: szczególna umiejętność, która tak bardzo przydała się w kampanii wyborczej.

Oceniany jako przystojniak, zarówno przez kobiety jak i przez mężczyzn, Sarveux mógł pod tym względem skutecznie konkurować z Johnem F. Kennedym lub z Anthonym Edenem. Jasnoniebieskie oczy miały hipnotyczny blask, bujne szpakowate włosy, uczesane modnie, ale zarazem naturalnie podkreślały ostry rysunek twarzy. Średniego wzrostu, proporcjonalnie zbudowany, byłby idealnym klientem każdego krawca, w rzeczywistości nigdy ich nie odwiedzał: kupował seryjne garnitury w domach towarowych. Była to tylko jedna z wielu drobnych cech sprawiających, że tylu wyborców kanadyjskich mogło się z nim utożsamiać. Wysunięty na premiera w wyniku kompromisu między liberałami, Partią Kanady Niepodległej i frankofońską Partią Quebecois, już trzy lata tańczył na linie, skutecznie zapobiegając rozpadowi kraju na suwerenne prowincje. Sam widział w sobie drugiego Lincolna, walczącego o jedność narodu, o zachowanie wspólnego domu. Ale tylko jego stanowczość - groźba użycia armii - trzymała jeszcze w szachu radykalnych separatystów. Jego idee polityczne, apele o wzmocnienie rządu federalnego trafiały na mur głuchego oporu.

- Może chciałby pan obejrzeć centralę? - zasugerował Stuckey. Sarveux obejrzał się na swego sekretarza.

- Jak stoimy z czasem? Jeffery, młody człowiek o bardzo poważnym wyglądzie, spojrzął na zegarek.

- Zaczynamy się spieszyć, panie premierze. Najdalej za pół godziny powinniśmy być na lotnisku.

- Myślę, że możemy trochę ścisnąć dalszy program - oznajmił Sarveux z uśmiechem. - Tutaj nie chciałbym pominąć niczego, co warte obejrzenia.

Dyrektor skinął głową z zadowoleniem i poprowadził całą grupę do windy. Wysiedli dziesięć pięter wyżej i stanęli przed drzwiami z napisem: TYLKO DLA PERSONELU. Stuckey wyjął plastikową kartę magnetyczną i wsunął ją w szczelinę zamka.

- Bardzo mi przykro, panowie - oświadczył - ale ze względu na szczupłość pomieszczeń centrali mogę zabrać ze sobą tylko pana premiera.

Ludzie z ochrony osobistej Sarveux zaczęli protestować, ale premier uspokoił ich ruchem ręki i ruszył za Stuckeyem. Drzwi zamknęły się za nimi automatycznie. Po przejściu długiego korytarza stanęli przed następnymi drzwiami i dyrektor musiał ponownie użyć swojej karty magnetycznej.

Centrala systemu elektrowni Zatoki Świętego Jakuba była rzeczywiście mała i bardzo oszczędnie wyposażona. Czterej operatorzy siedzieli przed konsolą, pełną różnokolorowych światełek i przełączników, nad nią, na ścianie, znajdowała się tablica z setkami wskaźników i zegarów. Jedyne meble, jeśli nie liczyć monitorów telewizyjnych zawieszonych pod sufitem, były cztery krzesła zajęte przez operatorów.

Sarveux rozglądał się uważnie.

- Nigdy bym nie uwierzył, że tak wielką produkcją energii może kierować zaledwie czterech ludzi.

- W istocie pracą wszystkich tych elektrowni i stacji transformatorów kierują komputery, w pomieszczeniu znajdującym się dwa piętra pod nami - wyjaśnił Stuckey. - Cały proces jest w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach zautomatyzowany. To, co pan tu widzi, panie Sarveux, to czterostopniowy system sterowania ręcznego, który może przejąć zadania komputerów w razie awarii.

- A więc ludzie mają tu jeszcze jakąś część władzy? - zażartował Sarveux.

- Owszem, wciąż jeszcze na coś się przydajemy - podchwycił dowcip Stuckey. - Zostało parę takich dziedzin, w których nie można do końca ufać elektronice.

- Dokąd idzie cała ta energia?

- Za parę dni, kiedy system osiągnie pełną sprawność operacyjną, będziemy obsługiwać całe Ontario, Quebec i północno-wschodnie stany USA.

Nagła myśl zakiełkowała w głowie Sarveux.

- A co będzie, jeśli zdarzy się niemożliwe? Stuckey nie zrozumiał.

- Przepraszam...?

- No... wielka awaria, katastrofa żywiolowa, sabotaż.

- Tylko jakieś wielkie trzęsienie ziemi mogłoby zatrzymać produkcję. Awarie poszczególnych urządzeń niczym nie grożą: mamy systemy rezerwowe.

- A sabotaż, napad terrorystyczny? - powtórzył Sarveux.

- Braliśmy to pod uwagę przy planowaniu obiektu - odparł Stuckey z pewnością siebie. - Nasze zabezpieczenia elektroniczne to prawdziwy cud najnowocześniejszej techniki, a oprócz tego mamy jeszcze pięćset osób ochrony. Nawet najlepiej wyszkoleni komandosi musieliby walczyć dwa miesiące, żeby dostać się do tego pomieszczenia.

- Ale potem mogliby wyłączyć cały system?

- Nie. To wymaga zgodnego działania pięciu wtajemniczonych osób. - Stuckey wskazał czterech operatorów. - Piątą osobą jestem ja sam. Każdy z nas zna tylko część instrukcji, niezbędnej do zatrzymania systemu. Jak pan widzi, niczego nie przeoczyliśmy.

Sarveux nie był tego całkiem pewien, ale nie wyraził głośno swoich wątpliwości. Wyciągnął rękę na pożegnanie.

- Muszę przyznać, że ta wizyta zrobiła na mnie duże wrażenie. Dziękuję panu.

Foss Gly bardzo starannie wybrał czas i miejsce likwidacji Charlesa Sarveux. Wziął pod uwagę wszelkie możliwe trudności, nawet tej najmniej prawdopodobne, i przygotował odpowiednie przeciwdziałania. Skrupulatnie wyliczył kąt wznoszenia samolotu i jego prędkość. Wiele godzin zajęły też próby praktyczne - zanim Gly uzyskał pewność, że wszystkie tryby spisku zadziałają z wymaganą precyzją.

Miejscem akcji było pole golfowe, oddalone o milę od lotniska St. James Bay, na przedłużeniu głównego pasa startowego. W tym miejscu, według obliczeń zamachowca, samolot premiera powinien znaleźć się na wysokości 1500 stóp i osiągnąć szybkość 180 węzłów. Gly postanowił użyć dwu brytyjskich wyrzutni rakiet ziemia-powietrze typu „Argo”, skradzionych z arsenału armii w Val Jalbert. Wyrzutnia miała niewielkie rozmiary, ważyła razem z pociskiem zaledwie trzydzieści funtów i można ją było bez trudu ukryć w zwykłym plecaku turystycznym.



Ułożony plan był od początku do końca wzorem dobrej roboty. Do jego realizacji wystarczyło zaledwie pięciu ludzi, w tym trzech na polu golfowym, przebranych za turystów-narciarzy, i jednego z ukrytą krótkofalówką na tarasie dworca lotniczego. Kiedy rakiety, automatycznie kierujące się na silne źródła ciepła, zostaną wystrzelone, trójka narciarzy powróci spokojnie na pustą o tej porze roku parking przy klubie golfowym, gdzie za kierownicą terenowego samochodu przez cały czas czekał piąty i ostatni uczestnik akcji.

Gly obserwował niebo przez silną lornetkę. Dwaj towarzyszący mu spiskowcy montowali wyrzutnie. Zaczął padać drobny śnieg, ograniczając widoczność do jednej trzeciej mili. Była to zarazem dobra i zła okoliczność. Dobra, bo biała kurtyna śniegu chroniła ich przed wzrokiem przypadkowych obserwatorów. Zła, bo oni sami widzieli przelatujące nad nimi samoloty zaledwie przez parę sekund - i tyle tylko czasu mieli, by wycelować i odpalić rakiety. Właśnie od strony lotniska pojawił się z rykiem odrzutowiec British Airways. Gly spojrzął na zegarek, już po sześciu sekundach maszyna zniknęła w wirującej bieli. Niedobrze, pomyślał. Szansę precyzyjnego trafienia były w tych warunkach wręcz znikome. Strzepnął śnieg z bujnej jasnej czupryny i opuścił lornetkę, odsłaniając czerstwą, kwadratową twarz. Mógł się podobać kobietom. Piwne oczy miały sympatyczny wyraz, a ostro zarysowany podbródek zdradzał sportowy, chłopięcy temperament. Tylko nos, duży i zniekształcony licznymi złamaniami w bójkach ulicznych, psuł efekt - ale jego licznym dziewczynom jakoś to nie przeszkadzało.

Nagle małeńki aparat nadawczo-odbiorczy w kieszeni jego kurtki ożył.

Tu Baza do Brygadzisty. Nacisnął guzik nadawania.

- Tu Brygadzista, co tam u was?

Claude Moran, fanatyczny marksista, pracujący w sekretariacie gubernatora generalnego, stał na tarasie dworca lotniczego i przez grubą szybę obserwował kołujące samoloty. Poprawił słuchawkę w uchu i zaczął mówić do wpiętego w klapę małeńkiego mikrofonu.

- Mam już tę rurę dla ciebie. Możesz przyjąć ciężarówkę?

- Tak. Kiedy ją wyślesz?

- Zaraz, jak tylko rozładuję ten amerykański statek.

Niewinnie brzmiąca rozmowa miała zmylić ewentualnego przypadkowego słuchacza. Gly odczytywał jednak słowa Morana po swojemu: samolot premiera jest drugi w kolejce do startu, najpierw wystartuje rejsowa maszyna American Airlines.

- W porządku, Baza. Daj znać, jak ciężarówka ruszy. Osobiście Gly nie miał nic do Charlesa Sarveux. Dla niego było to tylko nazwisko w gazetach. Gly nie był nawet Kanadyjczykiem. Urodził się w Arizonie, w mieście Flagstaff, jako owoc jednodniowego pijackiego flirtu zawodowego zapaśnika z nieletnią córką szeryfa. Jego dzieciństwo było koszmarem, dziadek szeryf ciągle bił go i maltretował. Chcąc przeżyć, Gly musiał stać się twardy i bezwzględny. W końcu przyszedł dzień, kiedy pobił starego na śmierć i uciekł ze swojego stanu. Od tej pory często już musiał walczyć o życie. Taką miał pracę. Zaczął od okradania pijaków w Denver, potem kierował gangiem złodziei samochodów w Los Angeles, jeszcze później porywał cysterny z benzyną w Teksasie.

Ale nie uważał się za zawodowego mordercę. Wolał określenie: „koordynator”. Był specjalistą nr 1: człowiekiem, którego wzywa się na pomoc, kiedy wszyscy inni zawiedli. Słynął z zimnej krwi i z wyjątkowej skuteczności działań.

Na tarasie widokowym lotniska Moran przybliżył twarz do szyby, aż pokryła się mgłą jego oddechu. Przetarł szybę dłonią, dostatecznie szybko, by zauważyć, jak samolot premiera znika w wirującym śniegu w drodze na koniec pasa startowego.

- Brygadzysta?

- Tak, słucham cię, Baza?

- Przepraszam, ale straszny tu bałagan papierkowy, nie mogę ci podać dokładnego terminu dostarczenia rury.

- Zrozumiałem. Skontaktuj się ze mną po obiedzie. Moran nie miał tu już nic do roboty. Zjechał schodami do głównego holu, nie zatrzymując się wyszedł na zewnątrz i przywołał taksówkę. Usiadł z tyłu, zapalił papierosa i dał się ponieść marzeniom: zastanawiał się, jakiego stanowiska w nowym rządzie Quebecu powinien zażądać za swoje usługi.

Na polu golfowym Gly jeszcze raz czujnie spojrzął na ludzi z wyrzutniami. Obaj klęczeli w śniegu, przygotowani do strzału, wpatrzeni w wizjery.

- Przed tym naszym startuje jeszcze jeden - przypomniał.

Minęło prawie pięć minut, zanim Gly usłyszał zbliżający się ryk silników. Pracowały na pełnych obrotach, by oderwać ciężką maszynę od przyprószonego śniegiem asfaltu. Wbił wzrok w śnieżną zasłonę, z której za chwilę powinny wyłonić się czerwono-niebieskie znaki American Airlines.

Zbyt późno przypomniał sobie, że samoloty wiozące głowy państw mają pierwszeństwo przed zwykłymi lotami rejsowymi. Zbyt późno rozpoznał w białej

zadymce charakterystyczny czerwony liść klonu.

- To Sarveux! - wykrzyknął. - Strzelać, do cholery, strzelać! Dwaj klęczący mężczyźni odpalili rakiety w odstępnie sekundy. Pierwszy zdążył skierować lufę wyrzutni w stronę samolotu, ale rakietę minęła statecznik za daleko i pod zbyt ostrym kątem, by jej czujnik ciepła mógł rozpoznać cel. Drugi strzelec zachował się rozważnie. Przez jakieś sto jardów prowadził celownikiem kadłub samolotu, zanim wreszcie nacisnął spust.

Rakietę „wyczuła” wysoka temperatura spalin skrajnego prawego silnika i popędziła za nim. Wybuch zniszczył turbinę - ale trzech ludzi, którzy pozostali na polu golfowym, nie mogli już tego wiedzieć. Samolot premiera niemal natychmiast zniknął im z oczu i dopiero po wielu sekundach dotarł do nich stłumiony huk eksplozji. Czekali jeszcze przez chwilę na odgłosy katastrofy, ale daremnie: wycie silników gasło w oddali spokojnie i równomiernie. Szybko rozmontowali obie wyrzutnie, schowali je do plecaków i ruszyli na nartach w stronę klubowego parkingu. Wkrótce ich samochód wmieszał się w strumień pojazdów na autostradzie wiodącej od Zatoki Świętego Jakuba do Otta wy.

Prawy zewnętrzny silnik stanął w płomieniach. Przez osłonę przebiły się wyrwane wybuchem łopatki turbiny: niektóre z siłą odłamków granatu uderzyły w sąsiedni, wewnętrzny silnik, przecinając przewody paliwa i blokując wtórną sprężarkę.

W kabinie pilotów odezwał się dźwięk alarmu. Ray Emmett, pierwszy pilot, zamknął dopływ paliwa do prawych silników i uruchomił freonowe gaśnice. Dalsze czynności przewidziane instrukcją alarmową przejął drugi pilot, Jack May.

- Kanada Jeden do wieży James Bay. Mamy tu pewien problem, wracamy do was - powiedział Emmett równym, spokojnym głosem.

- Zgłaszasz sytuację krytyczną? - spytał rutynowo kontrolery lotniska.

- Tak - potwierdził Emmett.

- Uwalniamy pas dwa-cztery. Lądowanie standardowe?

- Nie, James Bay. Dwa silniki nieczynne, jeden w ogniu. Lepiej wyślij na pas ekipy.

Po krótkiej chwili kontroler odezwał się ponownie.

- Ekipy pożarnicze i ratunkowe w drodze. Możesz lądować, Kanada Jeden. Powodzenia. - Wolał nic więcej nie mówić. Wiedział, że pilot pracuje teraz w strasznym napięciu, i nie chciał go dekoncentrować. Ludzie z wieży kontrolnej mogli

już tylko bezradnie obserwować dalsze zdarzenia.

Samolot niebezpiecznie tracił szybkość. Emmett skierował dziób maszyny lekko w dół: prędkość wzrosła do dwustu dziesięciu węzłów, zawrócił łagodnym, szerokim łukiem. Na szczęście zadymka zmaląła. Pilot widział już pod sobą płaski, wiejski krajobraz, a daleko z przodu początek pasa „dwa-cztery”.

W tylnym, reprezentacyjnym przedziale odrzutowca dwaj policjanci z Królewskiej Konnej, stanowiący nieodstępną ochronę premiera, podjęli akcję natychmiast po wybuchu rakiety. Zapięli pasy bezpieczeństwa Sarveux i zaczęli budować wokół jego fotela mur z poduszek. W środkowej kabinie pracownicy sekretariatu premiera i akredytowani reporterzy nerwowo wpatrywali się w płonący silnik, który trzymał się na swoich wspornikach niepewnie, jakby lada chwila miał się urwać.

Przestał działać hydrauliczny układ sterowania. Teraz obaj piloci musieli wkładać całą swoją siłę, by za pośrednictwem stalowych linek poruszać wielkimi płaszczyznami sterów. A ziemia zbliżała się niepokojąco szybko: dwa lewe silniki nawet pracując na najwyższych obrotach ledwie zapewniały stateczność ogromnego samolotu. Dlatego Emmett, nie chcąc zwiększać oporu powietrza, wciąż jeszcze nie wysuwał podwozia, mimo że wysokościomierz wskazywał już tylko sześćset stóp.

Odrzutowiec przemknął nad parkiem okalającym lotnisko. Na wysokości siedemdziesięciu jardów Emmett opuścił podwozie. Za przednią szybą, omiataną rytmicznym ruchem wycieraczek, wolno, przeraźliwie wolno zbliżała się dwumilowa wstęga pasa startowego. Kiedy wreszcie koła znalazły się nad pierwszym płatem asfaltu, dzieliły je od nawierzchni zaledwie dwa jardy. By zamortyzować uderzenie, Emmett i May z całej siły pociągnęli stery na siebie. Nie było oczywiście szans na miękkie lądowanie, mogli jedynie marzyć, że uda się nie połamać podwozia. Udało się - choć siła uderzenia spowodowała eksplozję trzech opon i obruszyła wszystkie nity wielkiej duralowej konstrukcji.

Nadwerżone wsporniki prawego zewnętrznego silnika nie wytrzymały wstrząsu. Rozpalona do czerwoności gondola silnika urwała się, odbiła od asfaltu jak piłka i uderzyła od spodu w skrzydło, rozbijając ukryty w nim zbiornik. W ułamku sekundy pięć tysięcy galonów paliwa przemieniło się w kulę ognia, która pochłonęła całe prawe skrzydło samolotu.

Emmett przełączył oba czynne silniki na wsteczny ciąg: maszyna zaczęła zjeżdżać na lewe pobocze i znów trzeba było całej siły mięśni obu pilotów, aby

utrzymać ją na pasie. Dziewięciojardowy odcinek płonącego skrzydła odłamał się i pokoziołkował po równoległym pasie dojazdowym, tylko o cale mijając czekający tam samolot pasażerski. Z tyłu, z wyciem syren i rozpaczliwym migotaniem czerwonych i niebieskich świateł pędziły wozy straży pożarnej.

Ogarnięta piekielnym ogniem maszyna wciąż mknęła naprzód, ciągnąc za sobą jak kometa długi ogon płonących szczątków. Płomienie atakowały już kadłub: zaczynały się topić blachy poszycia. Temperatura we wnętrzu przekroczyła granice ludzkiej wytrzymałości. Pasażerowie środkowej kabiny nie zdążyli jednak spłonąć żywcem – wcześniej zadławił ich i otrul dym z węglącej się izolacji. Szukając ratunku, Ian Jeffery wdarł się ostatkiem sił do kabiny pilotów i nieprzytomny upadł na podłogę. Emmett i May nawet tego nie zauważyli, byli całkowicie pochłonięci swoim ostatnim zadaniem: zatrzymać samolot przed przeraźliwie szybko zbliżającym się końcem asfaltowego pasa.

Czarny, palący płuca dym zaczął się wdzierać drugimi pasmami do tylnej części kadłuba. Opiekujący się premierem policjanci nie mieli już wyboru. Odblokowali i wypchnęli awaryjne drzwi w lewej, wolnej jeszcze od ognia burcie, zainstalowany w drzwiach automat wyrzucił na zewnątrz długi, sięgający asfaltu rękaw ratunkowy. Agenci uwolnili premiera ze wszystkich zabezpieczeń i brutalnie pociągnęli go w stronę owalnego otworu. Zanim jednak tam dotarli, ogniste strzepy, niesione nie wiadomo skąd silnym prądem powietrza, wpadły w rękaw i przepaliły go u nasady, przy samym kadłubie, oderwał się i zniknął gdzieś z tyłu. Wszyscy trzej, jak na komendę, odwrócili głowy w stronę przegrody, oddzielającej ich od środkowej części samolotu: płonęła jak pochodnia. Jeden z policjantów, działając już całkiem instynktownie, owinął głowę Sarveux kocem.

- Trzymaj to mocno! - krzyknął i jednym ruchem wypchnął premiera przez otwór.

Ten koc uratował mu życie. Sarveux wylądował na ramieniu, wybijając je ze stawu, i dobre trzydzieści jardów koziołkował po szorstkiej powierzchni asfaltu, łamiąc goleń, drąc na strzepy ubranie i dotkliwie kalecząc skórę w wielu miejscach. Ale wszystkie uderzenia głową zamortyzował koc.

Emmett i May zdołali zatrzymać samolot, ale umarli przy sterach. Umarli tak samo jak czterdziestu dwóch innych mężczyzn i trzy kobiety na pokładzie, w chwili kiedy dwustutonowa maszyna zmieniła się w wielki słup ognia. Strażacy szybko opanowali sytuację: wkrótce gruba warstwa piany gaśniczej przykryła zwęglony

szkielet samolotu. Ale tragedia już się dokonała. Ludzie w azbestowych kombinezonach, którzy weszli na dymiące jeszcze rumowisko, z trudem powstrzymywali odruch wymiotny, natrafiając na spieczone kształty, ledwie rozpoznawalne jako ciała ludzkie.

Sarveux, okrwawiony, oszołomiony, ale przytomny, obserwował ostatnie sceny dramatu. Sanitariusze, którzy dotarli na miejsce katastrofy tuż po strażakach, początkowo go nie poznali. Dopiero po chwili jeden, schyliwszy się nad leżącym, zawołał ze zdumieniem:

- Matko Przenajświętsza! To przecież premier!

Sarveux próbował coś powiedzieć, otworzył nawet usta, ale nie zdołał wydobyć z siebie ani słowa. Zamknął oczy i z ulgą osunął się w ogarniającą go ciemność.

## ROZDZIAŁ 6

Oślepiające błyski fleszów i długie obiektywy kamer telewizyjnych skupiły się na delikatnej sylwetce Danielle Sarveux, która z gracją żaglowca prującego wzburzone fale przebijała się przez tłum reporterów. Zatrzymała się na chwilę w drzwiach szpitalnego holu - nie z nieśmiałości, ale dla lepszego efektu. Danielle Sarveux nigdy i nigdzie nie wchodziła ot tak, po prostu, raczej podobna monsunowej ulewie wypełniała wnętrze swoją obecnością. Było w niej coś zniewalającego, co sprawiało, że kobiety patrzyły na nią z nie skrywanym podziwem i zazdrością, a mężczyźni natychmiast się poddawali. Doświadczeni przywódcy polityczni świata, wiekowi mężowie stanu zmieniali się przy niej w nieśmiałych, zawstydzonych chłopców. Tych, którzy znali ją dobrze, śmieszyły i drażniły jej wyniosły chłód i niezłomna pewność siebie. Ale takich było niewiele, tłumy widziały w niej symbol, nieodparty dowód, że Kanada nie jest wcale narodem prymitywnych drwali.

Jej stroje cechowała ostentacyjna elegancja - zarówno podczas oficjalnych uroczystości, jak i teraz, kiedy całkiem prywatnie spieszyła odwiedzić w szpitalu ранego męża. Prześlizgiwała się między reporterami, zmysłowa i powabna w obcisłej krepdeszynowej sukience, na którą narzuciła szarą karakułową kurtkę. Kaskada kruczoczarnych włosów opadała na prawe ramię.

Z tłumy wyrastał ku niej las mikrofonów, podekscytowane głosy wykrzykiwały równocześnie setki pytań, ale ona jakby tego wszystkiego nie dostrzegała. Czterej potężni konni skutecznie przebijali dla niej prostą drogę do windy. Na czwartym piętrze czekał już na nią szef personelu medycznego, doktor Ericsson. Popatrzyła na niego, zwlekając przez chwilę z tym pierwszym, najtrudniejszym pytaniem. Ericsson uprzedził ją: na jego twarzy pojawił się krzepiący profesjonalny uśmiech.

- Stan pani męża jest poważny, ale nic nie zagraża, jego życiu. Doznał licznych powierzchownych obtarć skóry, ale prawdopodobnie tylko na dłoniach potrzebne będą przeszczepy. Nie ma żadnych większych komplikacji. Chirurdzy świetnie poradzili sobie ze złamaniami i zwichnięciami, choć oczywiście na pełny powrót do zdrowia będzie trzeba poczekać. Może nawet cztery miesiące.

Mimo optymizmu zawartego w tych słowach, wzrok naczelnego lekarza umykał gdzieś na boki. Zauważyła to.

- Czy ma pan pewność, że po tych czterech miesiącach Charles będzie całkiem jak nowy?

Przyściśnięty do muru Ericsson musiał wreszcie wyznać:

- Pan premier będzie nieco utykał, nie będzie to wielka wada, ale niestety trwała.

- Rozumiem, że to nazywa pan mniejszą komplikacją? Ericsson odważnie spojrzał jej w oczy.

- Tak, proszę pani. Miałem na myśli to, że pan premier nie doznał skomplikowanych obrażeń wewnętrznych, że wszystkie funkcje ciała i umysłu przebiegają normalnie, a blizny z czasem znikną. W najgorszym razie będzie musiał używać laski.

- Charles z łaską! - Jej usta ułożyły się w dziwny uśmiech, a w głosie pojawiła się nuta cynizmu. - Boże, to bezcenna informacja.

Ericsson nie rozumiał lub udał, że nie rozumie.

- Przepraszam...?

Nie uznała za stosowne nic wyjaśniać. To utykanie warte jest co najmniej dwadzieścia tysięcy głosów, wyliczyła w myślach. Ale z łatwością kameleona przybrała znów minę przejętej, zatroskanej żony.

- Mogę go zobaczyć?

Ericsson skinął głową i poprowadził ją do drzwi na końcu korytarza.

- Być może zauważy pani u męża braki w koordynacji mowy, ale niech się pani nie przejmuje: to skutki znieczulenia operacyjnego. Na pewno też odczuwa jeszcze ból, proszę więc nie przedłużać zbytnio tej wizyty. Na wszelki wypadek przygotowaliśmy sąsiedni pokój, gdyby w czasie leczenia chciała pani przebywać blisko męża.

Danielle stanowczo pokręciła głową.

- Doradcy mojego męża uważają, że powinnam raczej pozostać w oficjalnej rezydencji premiera i zastępować go w obowiązkach.

- Rozumiem - stwierdził i otworzył przed nią drzwi pokoju.

Wokół łóżka stało kilka osób: lekarze, pielęgniarki i strażnik policyjny. Na jej widok wszyscy cofnęli się pod ściany. Intensywny odór środków antyseptycznych i widok odsłoniętych, pościeranych do żywego ramion rannego, przyprawiał ją o mdłości. Po chwili opanowała się jednak. Tymczasem Sarveux dostrzegł ją przez półprzymknięte oczy i rozpoznał. Jego wargi wykrzywiły się w bolesnym uśmiechu.

- Danielle... - powiedział słabym głosem - wybacz, ale nie mogę cię uścisnąć.

Po raz pierwszy w życiu widziała go tak słabego i bezradnego, pozbawionego zwykłej pewności siebie. Zupełnie nie potrafiła utożsamić leżącego przed nią



nieruchomego ciała z tym energicznym i pełnym pychy człowiekiem, z którym od dziesięciu lat żyła. Patrzyła na woskową, napiętnowaną bólem twarz jak na kogoś zupełnie obcego.

Z pewnym wahaniem pochyliła się jednak i delikatnie pocałowała go w oba policzki. Potem, nie wiedząc, co powiedzieć, odgarnęła z jego czoła kosmyk siwych włosów.

- Twoje urodziny - powiedział nagle, przerywając niezręczną ciszę. - Zupełnie zapomniałem o twoich urodzinach.

- Moje urodziny? - zdziwiła się. - To jeszcze daleko, najdroższy...

- Chciałem kupić ci jakiś prezent. Popatrzyła niepewnie na Ericssona.

- On chyba majaczy.

- To tylko spóźnione efekty narkozy.

- Całe szczęście, że tobie nic się nie stało - mamrotał dalej Sarveux. - To wszystko moja wina.

- Ależ nie, niczemu nie jesteś winien - próbowała go uspokoić : Danielle.

- Droga była śliska i śnieg zalepił mi szybę. Nic nie widziałem. Za szybko wszedłem w ten zakręt, zablokowałem hamulce, no i straciłem kontrolę...

Danielle nareszcie zrozumiała.

- Miał wypadek samochodowy, wiele lat temu - wyjaśniła Ericssonowi. - Zginęła wtedy jego matka.

- Normalna rzecz: umysł zatruty narkozą często wraca w odległą przeszłość.

- Charles... - łagodnym tonem odezwała się Danielle. - Musisz teraz odpocząć.

Wrócę jutro rano.

- Nie, nie odchodź. - Wzrok Sarveux powędrował ponad ramieniem żony w stronę Ericssona. - Możecie zostawić nas samych?

Ericsson wahał się przez chwilę, w końcu wzruszył ramionami.

- Jeśli pan nalega... tylko - zwrócił się do Danielle - bardzo panią proszę, nie więcej niż dwie minuty.

Kiedy zostali w pokoju sami, Sarveux zaczął coś mówić, ale jego twarz wykrzywił natychmiast spazm bólu.

- Zawolałam doktora... - zerwała się, przestraszona.

- Nie, zaczekaj! - zdołał wyjęczeć przez zaciśnięte zęby. - Mam dla ciebie instrukcje.

- Nie teraz, kochanie. Powiesz mi to później, jak będziesz silniejszy.

- Chodzi o system James Bay!

- W porządku, Charles - zgodziła się, nie chcąc go irytować. - Co z tym systemem?

- Dyspozytornia nad komorą generatorów... Trzeba wzmocnić ochronę. Powiedz Henriemu.

- Komu?

- Henriemu Yillonowi. On będzie wiedział, co zrobić.

- Dobrze, powiem mu, obiecuję.

- Kanada będzie w śmiertelnym niebezpieczeństwie, jeśli źli ludzie dowiedzą się... - Kolejny spazm bólu wstrząsnął jego ciałem. Sarveux z jękiem opadł na poduszkę.

To już było nie do wytrzymania. Pokój zaczął jej wirować przed oczami. W panicznej ucieczce ruszyła do drzwi. Po drodze usłyszała jeszcze z trudem rzucone słowa.

- Zapamiętaj to nazwisko: Max Roubaix! Niech Henri skonsultuje się z Maxem Roubaix...

Kiedy przełożona pielęgniarek weszła do gabinetu, doktor Ericsson siedział przy swoim biurku, studiując wyniki badań Sarveux. Postawiła na stoliku filiżankę kawy i talerzyk z herbatnikami.

- Doktorze. Za dziesięć minut konferencja prasowa. Ericsson przetarł dłonią oczy i spojrzał na zegarek.

- Ci reporterzy... bardzo rozrabiają?

- Jak banda włamywaczy - odparła siostra. - Chybaby już rozwalili budynek, gdyby nie kuchnia, na szczęście zajęli się jedzeniem. Sięgnęła po wiszącą na wieszaku torbę na ubrania i otworzyła suwak.

- Pańska żona podrzuciła tu świeży garnitur i koszulę. Chce, żeby wyglądał pan jak najlepiej w telewizji, kiedy będzie pan mówił o stanie zdrowia premiera.

- A właśnie... jak on się czuje?

- Świetnie, odpoczywa. Doktor Munson strzelił mu tęgą dawkę narkotyków, jak tylko wyszła pani Sarveux... Piękna kobieta, ale ma słaby żołądek.

Ericsson wbił nieprzytomne spojrzenie w talerzyk z herbatnikami.

- Chyba zwariowałem, że zgodziłem się dać premierowi te środki pobudzające zaraz po operacji.

- Właściwie dlaczego tak mu na tym zależało?

- Nie wiem. - Ericsson wstał i zdjął fartuch. - Ale jakkolwiek miał powód, swoje osiągnął. Te jego rzekome majaczenia brzmiały bardzo wiarygodnie.

## ROZDZIAŁ 7

Danielle wysiadła z rolls-royce'a prowadzonego przez służbowego kierowcę i z niechęcią popatrzyła na rezydencję premierów Kanady. Trzypiętrowy kamienny gmach zawsze wydawał jej się równie nie-przytulny i ponury jak budynki z powieści Emily Bronte. Przeszła przez długi hol o wysokim sklepieniu i z antycznymi meblami i po szerokich, kręconych schodach dotarła do swojej sypialni.

To był jej raj: jedyne miejsce w całym domu, które Charles pozwolił jej urządzać po swojemu. W świetle wydobywającym się spoza uchylonych drzwi łazienki zobaczyła na łóżku jakiś duży, nieregularny kształt. Na chwilę serce podskoczyło jej do gardła. Zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami.

- Chyba zwariowałaś, żeby tu przychodzić - mruknęła. W półmroku zaświeciły wyszczerzone w uśmiechu zęby.

- Zastanawiam się, ile żon mówi w tej chwili dokładnie to samo swoim kochankom.

- Ale tego domu pilnują konni...

- O, to bardzo lojalni Francuzi, którzy potrafią oślepnąć i ogłuchnąć, kiedy trzeba.

- Musisz natychmiast stąd iść.

Zwalisty kształt poruszył się i rozprostował. Na łóżku stał kompletnie nagi mężczyzna.

- Lepiej chodź do mnie, moja nimfo.

- Nie... nie tutaj. - Ostry, gardłowy ton z trudem maskował budzące się pożądanie.

- Nie mamy się czego bać.

- Charles wciąż żyje! - wykrzyknęła nagle. - Nie rozumiesz? Charles żyje!

- Wiem - stwierdził mężczyzna bez cienia emocji. Sprężyny materaca skrzypnęły, kiedy zeskoczył na podłogę i ruszył w jej stronę po miękkim dywanie. Miał wspaniałe ciało, potężne mięśnie, rozwinięte przez lata sumiennych ćwiczeń, harmonijnie grały pod jego skórą. Wyciągnął rękę i dotknął jej włosów. Sam był dokładnie ogolony - nie tylko na czaszce, ale wszędzie indziej: na nogach, piersi i podbrzuszu połyskiwała zupełnie gładka skóra. Ujął jej głowę żelaznym uściskiem dłoni i przycisnął ją do piersi. Wdychała podniecający, piżmowy zapach olejku, jakim namaszczał swoje ciało zawsze, kiedy mieli się kochać.

- Charles w tej chwili nie istnieje. Nie myśl o nim! - rozkazał. Wszystkimi

zmysłami doświadczała zwierzęcej siły, emanującej z jego mięśni. Całą jej głowę wypełniło jedno przemożne pragnienie: aby ta bestia ją pożarła. Poczula płomień między nogami i bezwładnie osunęła się w jego ramiona.

Promień słońca, wdzierający się przez szczelinę kotary, natrafił w swojej powolnej wędrówce na dwa splecione na łóżku ciała. Czarne włosy Danielle rozsypały się szeroko na poduszce, między jej piersiami spoczywała nieruchomo gładka, naga czaszka. Kobieta dotknęła jej kilka razy wargami, potem delikatnie odsunęła na bok.

- Musisz już iść - powiedziała.

Mężczyzna wyciągnął rękę nad jej brzuchem i odwrócił w swoją stronę stojący na stoliku budzik.

- Ósma - stwierdził. - Jeszcze za wcześnie. Pójdę koło dziesiątej. W jej oczach pojawił się autentyczny strach.

- Słuchaj, tu wszędzie kręcą się dziennikarze. Na dobrą sprawę powinieneś być wyjść dużo wcześniej, kiedy jeszcze było ciemno. Ziewnął głośno i usiadł.

- Dziesiąta to bardzo przyzwoita godzina na wizytę starego przyjaciela domu. Zresztą wtedy już nikt nie będzie na mnie zwracał uwagi. Zginę w tłumie zatroskanych parlamentarzystów, którzy już teraz ruszają z domów, by zaoferować żonie premiera swoją pomoc w tak trudnych chwilach.

- Cyniczny drań! Udaje czulego kochanka, a przez cały czas kalkuluje sobie na zimno.

- O, ty też przez całą noc byłaś słodka, a teraz się wściekasz, bo nagle przypomniałaś sobie, że Charles żyje.

- Spieprzona robota! - warknęła ze złością.

- To prawda, spieprzona. - Wzruszył bezradnie ramionami. Na jej twarzy pojawił się wyraz determinacji.

- Quebec nie będzie wolnym, socjalistycznym krajem, dopóki Charles nie znajdzie się w grobie.

- Chcesz poświęcić męża dla idei? - spytał niedowierzająco. - Traktujesz go tylko jako symbol, który trzeba zniszczyć? Nic już nie zostało z waszej miłości?

- Nie było żadnej miłości. - Z pudełka leżącego na nocnym stoliku wyciągnęła papierosa i zapaliła. - Charles od samego początku widział we mnie tylko kapitał polityczny: pozycja mojej rodziny dawała mu wstęp do wyższych sfer. Dzięki mnie zyskał polor i styl. Ale nigdy nie byłam dla niego niczym więcej jak salonową ozdobą.

- Dlaczego za niego wyszłaś? Zaciągnęła się papierosem.

- Bo powiedział, że kiedyś będzie premierem, a ja mu uwierzyłam.

- A potem?

- Zbyt późno zorientowałam się, że Charles nie jest zdolny do prawdziwych uczuć, nawet do jakiegoś rewanzu emocjonalnego. Początkowo zależało mi na tym, teraz wręcz przeciwnie: wzdygam się, ilekroć mnie dotknie.

- Widziałem w telewizji konferencję prasową w szpitalu. Lekarz, który udzielał wywiadu, twierdzi, że byłaś bardzo przejęta losem Charlesa, cały personel szpitalny wzruszył się do łez.

- To tylko teatr - odparła ze śmiechem. - Jestem w tym niezła. I nic dziwnego: mam za sobą dziesięć lat występów.

- Czy Charles powiedział coś ciekawego w czasie wizyty?

- Nic sensownego. Dopiero co przywieźli go z sali operacyjnej, był jeszcze oszołomiony narkozą. Bredził coś od rzeczy, przypominały mu się jakieś stare historie: wypadek samochodowy, w którym zginęła jego matka.

Mężczyzna wstał z łóżka i ruszył w stronę łazienki.

- Ale chyba nie wypaplał żadnych tajemnic wojskowych? Jeszcze raz zaciągnęła się papierosem i powoli, jakby zastanawiała się nad czymś, wydmuchiwała dym.

- Może i wypaplał...

- Mów dalej - odezwał się z łazienki. - Słyszę cię.

- Mówił, że trzeba wzmocnić ochronę systemu James Bay. I żebym ci to koniecznie przekazała.

- Czysty nonsens - zaśmiał się. - Mają tam dwa razy silniejszą ochronę, niż to rzeczywiście potrzebne.

- Nie mówił o całym systemie. Tylko o dyspozytorni. Zaciekawiony, stanął w progu.

- O jakiej dyspozytorni?

- Gdzieś nad... komorą generatorów, chyba tak to nazwał. Yillon wyglądał na zaskoczonego.

- Powiedział coś więcej?

- Mamrotał coś o wielkim zagrożeniu dla Kanady, jeśli źli ludzie się dowiedzą.

- Jeśli czego się dowiedzą? Machnęła ręką bezradnie.

- Nie dokończył, miał atak bólu.

- I to wszystko?

- Nie, potem jeszcze mówił, żebyś to skonsultował z niejakim Maxem Roubaix.

- Z Maxem Roubaix? - powtórzył z niedowierzaniem. - Jesteś pewna, że wymienił właśnie to nazwisko? Wpatrywała się w sufit, wyęzając pamięć.

- Tak - powiedziała w końcu - jestem pewna.

- To dziwne - skomentował krótko i wrócił do łazienki. Stanął naprzeciw dużego, zajmującego niemal całą ścianę lustra i przybrał pozę znaną w języku kulturystów jako „próżnia”, wciągnął mięśnie brzucha, tak że niemal przywarły do kręgosłupa, a jednocześnie maksymalnie wypiął pierś: widoczne teraz pod skórą naczynia krwionośne sprawiały wrażenie, jakby za chwilę miały eksplodować. Po chwili przeszedł płynnie do postawy „boczno-piersiowej”: lewa ręka, ściśnięta na prawym nadgarstku, podpierała od dołu łuk żeber.

Henri Yillon krytycznie studiował swoje odbicie w lustrze, ale nie znalazł żadnej skazy. Potem spojrział na posągowe rysy twarzy, na rzymski nos i obojętne, szare oczy. Kiedy był sam i nie musiał stroić żadnych min, ta twarz stawała się twarda, bezwzględna, z cokolwiek diabelskim grymasem ust - w marmurowej rzeźbie odzywała się dzika bestia.

Ale ani żona, ani córka, ani koledzy z Partii Liberalnej, ani rzesze obywateli Kanady, którzy niemal codziennie oglądali go w telewizji - nie oglądali go takiego. Nigdy też nie podejrzewaliby, że Henri Yillon wiezie podwójne życie. Powszechnie szanowany poseł i minister spraw wewnętrznych był bowiem także potajemnym szefem AQL, Stowarzyszenia Wolnego Quebecu, radykalnego ruchu dążącego do pełnej niepodległości tej prowincji, przywiązanej do francuskich tradycji.

W lustrze, za jego plecami, pojawiła się owinięta w prześcieradło jak w togę Danielle. Opuszkami palców czule dotknęła jego bicepsu.

- Znasz go?

Odprężył się i głęboko, spokojnie odetchnął.

- Kogo? Maxa Roubaix? Potwierdziła skinieniem głowy.

- Tylko ze słyszenia.

- Kto to jest?

- Raczej: kto to był? - odparł, nakładając na łysą czaszkę ciemną, lekko „siwiejącą” perukę. - Jeśli mnie pamięć nie myli, Max Roubaix był wielokrotnym mordercą. Zadyndał na szubienicy przeszło sto lat temu.

## ROZDZIAŁ 8

Luty 1989. Princeton, New Jersey.

Heidi Milligan odbijała wyglądem od studenckiej publiczności, jaka zapełniała czytelnię archiwum Uniwersytetu Princeton. Doskonale skrojony mundur komandora-podporucznika US Navy okrywał smukłe ciało, wysokości równych sześciu stóp. Z granatem munduru świetnie komponowały się bujne popielatoblond włosy. Dla młodych mężczyzn przebywających w czytelni Heidi była miłą atrakcją. Często podnosili głowy znad nudnych papierów i - wyczuwała to - kompletnie rozbierali ją wzrokiem. Ale, odkąd skończyła trzydziestkę, traktowała takie spojrzenia obojętnie, no, powiedzmy, prawie obojętnie.

- Chyba mamy następnego nocnego Marka, komandorze. Podniosła głowę i ujrzała nad sobą zawsze uśmiechniętą, macierzyńską twarz Mildred Gardner.

- Nocnego Marka?

- Za moich czasów nazywaliśmy tak studentów ślęczących w bibliotece do późnej nocy. Heidi wyprostowała się.

- Na tę dysertację muszę kraść po prostu każdą wolną minutę. Mildred odgarnęła z czoła grzywkę w stylu lat czterdziestych i usiadła obok.

- Taka ładna dziewczyna jak pani nie powinna spędzać całych wieczorów na nauce. Powinna pani znaleźć sobie jakiegoś fajnego faceta i użyć trochę życia.

- Najpierw jednak zrobię ten doktorat z historii.

- Nie uwierzę, że można aż tak się pasjonować kawałkiem papieru, choćby to był dyplom doktorski. Heidi uśmiechnęła się.

- Może uważam, że to dobrze brzmi: „Doktor Milligan”... Ale tak naprawdę, to ten „kawałek papieru” jest mi niezbędny, jeśli chcę zrobić jakąś karierę w marynarce.

- Czyżby chciała pani konkurować z mężczyznami?

- Płeć nie ma z tym nic wspólnego. Moją pierwszą miłością jest flota. I co w tym złego?

Mildred z rezygnacją machnęła ręką.

- Nie warto dyskutować z upartą kobietą, zwłaszcza jeśli to zatwardziały marynarz. - Wstała i popatrzyła na rozrzucone na stole papiery. - Może poszukam dla pani czegoś na półkach?

- Interesują mnie wszelkie dokumenty dotyczące marynarki pod rządami Woodrowa Wilsona.

- Boże, co za nudziarstwo. Dlaczego właśnie to?



- Chyba lubię błądzić po nieznanym rejonach historii.

- Czyli zajmować się czymś, czym nie zajął się jeszcze żaden mężczyzna?

- To pani powiedziała, nie ja.

- Nie zazdroścę chłopakowi, który się z panią ożeni. Codziennie po powrocie z roboty będzie musiał toczyć ciężki bój.

- Miałam już męża, przez sześć lat. Był pułkownikiem „marines”, do dzisiaj mam blizny.

- Fizyczne czy psychiczne?

- I takie, i takie.

Mildred odwróciła w swoją stronę stojące na stole kartonowe pudło i zanotowała numer katalogowy.

- Ho, ho! - przypomniała sobie. - Pod tym numerem jest cała góra korespondencji Wilsona.

- Większość już przejrzałam - odparła Heidi. - Ale może znajdzie pani coś jeszcze, pani lepiej zna te zbiory.

Mildred zastanawiała się przez chwilę ze wzrokiem utkwionym w sufit, potem zniknęła w drzwiach magazynu. Wróciła po pięciu minutach, niosąc następne pudło z dokumentami.

- Tu są różne nie publikowane rękopisy. Nawet ich nie katalogujemy. Ale może warto rzucić na to okiem.

Heidi przerzucała pożąłkłe kartki, w większości były to odręczne notatki i listy prezydenta: do trzech córek, do W.J. Bryana w związku z konwencją Demokratów w 1912 roku, do pierwszej żony, Ellen Louise Axson, i do drugiej, Edith Bolling Galt.

Na kwadrans przed zamknięciem czytelni Heidi wzięła do ręki list adresowany do Herberta H. Asquitha, premiera Wielkiej Brytanii. Papier, zapisany równym, starannym pismem, nosił ślady nieregularnych załamania, tak jakby ktoś zmiął kartkę, a potem znowu ją rozprostował. Na liście widniała data: 4 czerwca 1914 - ale nie było potwierdzenia nadania, być może w ogóle nigdy nie został wysłany. Zaczęła czytać:

Drogi Herbercie

„Dowiaduję się, że nasz traktat spotkał się z ostrą krytyką ze strony członków twojego gabinetu. Zważywszy, że jego oficjalne, podpisane egzemplarze zaginęły, jak się zdaje, bezpowrotnie, możemy chyba uznać, że go w ogóle nie było. Wydałem już memu sekretarzowi polecenie, aby zniszczyć wszystkie notatki dotyczące traktatu. Zdecydowałem się na ten niezwykle krok nie bez oporów, ale wiem, że jedną z cech

moich rodaków jest wielka zachłanność i na pewno nie zrezygnowaliby oni z roszczeń, gdyby mieli pewność, że.

Następny wiersz wypadał na zgięciu papieru: był pożółkły, wytarty i zupełnie nieczytelny. Dalej następował już tylko jeden krótki akapit.

Zgodnie z życzeniem sir Edwarda, i w porozumieniu z Bryanem, zaksięgowaliśmy przeznaczony dla was depozyt jako pożyczkę.

Szczerze oddany WOODROW WILSON”.

Stwierdziwszy, że list nie zawiera żadnych uwag na temat marynarki, Heidi chciała go już odłożyć do pudła, jednakże fragment: zniszczyć wszystkie notatki dotyczące traktatu - wydał jej się intrygujący. Przez dwa lata szperania w dokumentach poznała prezydenta Wilsona niemal jak własnego wujka i nigdy dotąd nie natrafiła na coś, co określałoby go jako polityka w stylu Watergate.

Odezwał się dzwonek, zapowiadający zamknięcie archiwum za dziesięć minut. Heidi szybko przepisała list do swojego notesu, po czym odniosła oba pudła z dokumentami na biurko kierowniczkini.

- Znalazła pani coś cennego? - spytała Gardner.

- Owszem, coś śmierdzącego, czego wcale nie szukałam - odparła Heidi zagadkowo.

- I co pani z tym zrobi?

- Pojadę do Waszyngtonu... do Archiwum Państwowego.

- Życzę powodzenia. Mam nadzieję, że to będzie sensacja.

- Sensacja?

- No, tak. Znaleźć cenną informację, którą inni przeoczyli - to zawsze jest sensacja.

Heidi wzruszyła ramionami.

- Nie wiadomo, co z tego wyniknie - powiedziała.

Jeszcze przed chwilą nie miała właściwie zamiaru dociekać sensu dziwnego listu Wilsona. Ale, skoro już to znalazła, dlaczego nie miałyby spróbować pójść dalej?

## ROZDZIAŁ 9

Historyk z archiwum Senatu podniósł głowę znad papierów.

- Niestety, komandorze, na strychu Kapitolu nie ma już miejsca na dokumenty Kongresu.

- Wiem - odparła Heidi. - Ale wiem też, że specjalizujecie się w starych fotografiach. Jack Murphy przytaknął.

- Tak, mamy tutaj całkiem obszerną kolekcję zdjęć z wydarzeń państwowych, poczynając od lat czterdziestych zeszłego wieku.

Machinalnie bawił się leżącym na biurku przyciskiem do papierów. - Szukała pani już w Archiwum Państwowym? Oni mają wszelkie możliwe materiały źródłowe.

- Szukałam, daremny wysiłek. Nic nie znalazłam w sprawie, którą się zajmuję.

- Jak mógłbym pani pomóc?

- Interesuje mnie pewien traktat zawarty między Anglią i Ameryką. Pomyślałam sobie, że mogły być robione jakieś zdjęcia z uroczystości podpisania.

- O, tego mamy pod dostatkiem. Jeszcze się nie urodził taki prezydent, który by nie zamówił malarza albo fotografa na uroczystość podpisania traktatu.

- Mogę panu jedynie powiedzieć, że było to w pierwszej połowie 1914 roku.

Murphy popatrzył na nią z namysłem.

- Nie słyszałem o takim traktacie... Ale chętnie poszukam dla pani tych zdjęć. Tylko będzie pani musiała parę dni poczekać: mamy tutaj długą kolejkę zamówień.

- Rozumiem. Dziękuję panu. Murphy nadal miał niepewną minę.

- Wydaje mi się trochę dziwne - powiedział z wahaniem w głosie - że o czymś tak ważnym jak traktat anglo-amerykański nie ma wzmianki w oficjalnych archiwach. Skąd pani o nim wie?

- Natrafiłam na list prezydenta Wilsona do premiera Asquitha. Wilson wspomina tam o jakimś podpisanym niedawno traktacie.

Murphy wstał zza biurka i odprowadził Heidi do drzwi.

- Poszukamy tego, komandorze Milligan. Jeśli tylko istnieje jakieś zdjęcie, na pewno je znajdziemy.

W swoim pokoju w hotelu Jefferson Heidi z niepokojem oglądała w lustrze zmarszczkę, jaka pojawiła się w kąci oka. Czas robił swoje, mimo że Heidi potrafiła jeszcze zachować dziewczęcy wygląd, a pod jej skórą nie było ani jednej uncji zbytecznego tłuszczu.

Ostatnie trzy lata ciężko ją doświadczyły. Operacja usunięcia macicy, rozwód,

wreszcie udany związek z pewnym dwukrotnie od niej starszym admirałem, nieszczęśliwie zakończony jego zgonem na zawał serca, nie pozbawiły jej młodszej energii, takiej samej, jaką miała, kiedy kończyła z czternastą lokatą sławną szkołę morską w Annapolis.

Przybliżyła twarz do lustra i staranniej przyjrzała się swoim piwnym oczom. Prawa tęczówka miała drobny defekt: małą, ale wyraźnie widoczną szarą plamkę. Miała dziesięć lat, kiedy z ust pewnego okulisty poznała uczone nazwę tego zjawiska: heterochromia iridis. Ale rówieśnicy ze szkoły nie przejmowali się uczonymi nazwami i wyśmiewali się z jej „diabelskiego oka”. Potem jednak Heidi polubiła tę swoją odmienną, zwłaszcza kiedy okazało się, że chłopcom bardzo się to podoba.

Od śmierci admirała Waltera Bassa nie odczuwała potrzeby emocjonalnych związków z mężczyznami. Teraz jednak, działając niemal bezwiednie, odwiesiła do szafy granatowy mundur i po chwili ubrana w krótką sukienkę koloru miedzi, wyciętą głęboko z przodu i z tyłu, z krzykliwym jedwabnym kwiatem poniżej piersi zjeżdżała hotelową windą. Oprócz starannie dobranej do koloru sukni torebki, jedynym dodatkiem był kosztowny kolczyk: długi, sięgający niemal ramienia. Dla ochrony przed zimowym chłodem Waszyngtonu narzuciła na siebie sztuczne futro z wysokim kołnierzem, imitujące podpalane lisy.

Hotelowy portier aż westchnął z wrażenia, otwierając przed nią drzwi taksówki.

- Dokąd? - spytał kierowca, nie odwracając głowy.

To proste i oczywiste pytanie zaskoczyło ją. Właściwie nie wiedziała, dokąd, chciała, ot tak, wyskoczyć na miasto. Na szczęście jej żołądek przypomniawszy o sobie głośnym burczeniem.

- Do restauracji - rzuciła pośpiesznie. - Mógłby mi pan polecić jakiś lokal?

- A co ma pani ochotę zjeść?

- Sama nie wiem.

- Stek, chińszczyzna, coś z ryb?

- Może to ostatnie.

- W porządku - powiedział taksówkarz, uruchamiając licznik. - Znam dobre miejsce z widokiem na rzekę. Bardzo romantyczne.

- Właśnie tego potrzebuję - uśmiechnęła się Heidi. - To był strzał w dziesiątkę!

Na razie był to raczej niewypał. Siedziała sama przy słabym blasku świec, sącząc wino i obserwując światła miasta odbijające się w Potomacu. Wszystko to pogłębiało tylko uczucie samotności. Samotna kobieta w restauracji - to wciąż jeszcze

wzbudzało niezdrową ciekawość. Czowała na sobie ukradkowe spojrzenia innych gości i próbowała zgadnąć, za kogo ją biorą. Wystawioną do wiatru kochankę? Porzuconą żonę? Dziwkę z okolicy, która zrobiła sobie przerwę na kolację? Z trojga złego to ostatnie odpowiadało jej najbardziej.

Jakiś mężczyzna przeszedł obok i usiadł dwa stoliki dalej. W restauracji było mroczno, kiedy przechodził, zauważyła tylko, że jest wysoki. Teraz miała ochotę przyjrzeć mu się dokładnie, ale nie potrafiła przezwyciężyć poczucia, że to „nie wypada”. Siedziała więc z wzrokiem wbitym w obrus. Nagle zdała sobie sprawę z czyjejś obecności, poczuła delikatny zapach płynu po goleniu.

- Wybacz, boska istoto - usłyszała szept nad uchem - ulituj się nad biednym pijakiem i postaw szklaneczkę muskatela.

Zaskoczona, odruchowo odsunęła głowę, potem podniosła wzrok. Twarz intruza pozostawała wciąż w mroku. Obszedł stół dookoła i usiadł naprzeciw niej. Miał gęste, czarne włosy, płomień świecy odbijał się w ciepłych oczach koloru wody morskiej. Twarz była ogorzala od wiatru i słońca. Patrzył na nią, jakby oczekując słów powitania. Nie doczekał się, uśmiechnął się szeroko - i w całym lokalu zrobiło się jaśniej.

- Cóż to, Heidi Milligan, naprawdę mnie nie poznajesz? Przypomniała sobie wreszcie i odczuła radosny dreszcz.

- Pitt! O mój Boże, Dirk Pitt!

Spontanicznie ujęła dłońmi jego głowę, przyciągnęła do siebie i pocałowała w usta. Pitt osłupiał ze zdziwienia. Kiedy wreszcie go puściła, usiadł prosto i z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- To zadziwiające, jak mało mężczyźni wiedzą o kobietach. Spodziewałem się w najlepszym razie uścisku ręki. Na policzkach Heidi pojawił się rumieniec.

- Zaskoczyłeś mnie w momencie słabości. Rozczuliłam się nad swoim marnym losem i nagle zobaczyłam przyjaciela... no i trochę mnie poniosło.

Pitt delikatnie uściśnął jej dłonie. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Bardzo zasmuciła mnie wiadomość o śmierci admirała Bassa. To był porządny facet. Jej wzrok przygasł.

- Na szczęście nie cierpiał długo. Stracił przytomność i odszedł...

- Gdyby nie jego dobrowolna interwencja, ta afera Vixena mogła się skończyć fatalnie - przypomniał sobie Pitt.

- Pamiętasz, jak się poznaliśmy?

- Tak: przyjechałem do jego domu koło Lexington w Wirginii, żeby zrobić wywiad w tej sprawie, był już na emeryturze.

- A ja pomyślałam wtedy, że znowu jakiś urzędnik przyjeżdża zawracać mi głowę. Potraktowałam cię okropnie.

Przez chwilę Pitt patrzył na nią w milczeniu.

- Był dla ciebie kimś bardzo bliskim, prawda? Przytaknęła.

- Żyliśmy razem prawie półtora roku. To był facet ze starej, dobrej szkoły, ale nie proponował mi małżeństwa. Zawsze mówił, że to bez sensu, żeby młoda kobieta wiązała się na trwałe z kimś, kto już jedną nogą jest w grobie.

Pitt dostrzegł w jej oczach łzy i szybko zmienił temat.

- Nie obrazisz się chyba, jeśli powiem, że wyglądasz dziś jak pensjonarka na pierwszej w życiu randce.

- Przeciwnie. To wspaniały komplement i we właściwym momencie. - Heidi uśmiechnęła się z wdzięcznością. Wyprostowała się i rozejrzała po sali. - Ale nie powinnam ci zabierać za wiele czasu. Chyba jesteś tu z kimś?

- Nie, jestem sam. Korzystam z krótkiego urlopu i doszedłem do wniosku, że najlepiej odpocznę w jakiejś cichej, spokojnej knajpce.

- Cieszę się, że cię spotkałam - powiedziała nieśmiało.

- Wystarczy, że rozkażesz, a będę twoim niewolnikiem aż do świtu.

Spojrzała na niego i nagle przestała widzieć i słyszeć wszystko, co działo się wokół. Spuściła skromnie wzrok.

- No to rozkazuję - szepnęła.

Zaledwie weszli do pokoju, Dirk wziął ją delikatnie na rękę i zaniósł na łóżko.

- Nie ruszaj się - powiedział. - Sam wszystko zrobię.

Rozbierał ją powoli, systematycznie, nie zapominając nawet o kolczyku w uchu. Starał się przy tym jak najmniej jej dotykać, wzmagając w niej głód oczekiwania. Nie spieszył się. Ciekawe, pomyślała, ile kobiet poddawał już takiej słodkiej torturze. W bezdennej głębi jego oczu dostrzegła iskrę pożądania i jeszcze bardziej ją to podnieciło.

Nagle poczuła jego wargi na swoich: były gorące i wilgotne. Z radością poddała się, kiedy ujął mocnymi dłońmi jej biodra i przyciągnął do siebie. Wszystkie tkanki jej ciała zaczęły tętnić nie kontrolowanym pulsem. Kiedy wreszcie Dirk wszedł w nią, jej ciche westchnienia przeszły w otwarty krzyk. A potem była już tylko nie kończąca się furia rozkoszy.

## ROZDZIAŁ 10

Najrozkoszniejsza faza snu to nie początek i nie środek nocy, ale ostatnie minuty przed przebudzeniem. To właśnie wtedy przez śpiący umysł przebiegają żywe, barwne fantazje. W takim momencie dzwonek telefonu brutalnie przywracający nas do rzeczywistości brzmi jak zgrzyt żelaza po szkle.

Heidi cierpiała podwójnie: nie dość, że telefon dzwonił jak wściekły, to jeszcze od drzwi pokoju dobiegało głośnie, niecierpliwe stukanie. Jej myśli z trudem uwalniały się z kokonu snu. Machinalnie sięgnęła jednak po słuchawkę i mruknęła:

- Proszę chwilę zaczekać...

Wstała z łóżka i poczłapała w stronę drzwi. Dopiero w połowie drogi zdała sobie sprawę, że jest kompletnie naga. Z otwartej walizki wyciągnęła aksamitny szlafrok, zarzuciła go na ramiona i uchyliła drzwi. Przez szczelinę wśliznął się jak węgorz goniec hotelowy i postawił na stoliku wazon z wielkim bukietem białych róż. Wciąż jeszcze półprzytomna, Heidi wcisnęła mu napiwek i wróciła do telefonu.

- Przepraszam, że musiał pan czekać. Komandor Milligan.

- Dzień dobry, komandorze! - Poznała głos Jacka Murphy'ego, historyka z Senatu.

- Chyba panią obudziłem?

- Nie szkodzi i tak powinnam już wstać - odpowiedziała, z trudem maskując wściekłość.

- Dzwonię, bo pomyślałem, że zaciekwawi panią to, co odkryłem. Po naszej rozmowie o czymś sobie przypomniałem. Wieczorem zostałem trochę dłużej w archiwum i poszedłem tego poszukać.

No, i mam.

Heidi jeszcze raz przetarła zaspane oczy.

- Tak... słucham pana...

- W zbiorze fotografii z oficjalnych uroczystości traktatowych nie ma nic z 1914. Gdzie indziej znalazłem jednak zdjęcie, na którym trzech mężczyzn wsiada do samochodu przed Białym Domem. Ci trzej to William J. Bryan, sekretarz stanu za prezydentury Wilsona, jego zastępca, Richard Essex, i niejaki Harvey Shields - jak wynika z podpisu przedstawiciel rządu Jego Królewskiej Mości.

- Nie bardzo rozumiem związek...

- Przepraszam, może nie dość jasno to powiedziałem. Z samej fotografii rzeczywiście niewiele wynika. Ale na odwrocie, w lewym dolnym rogu, jest słabo

czytelny napis sporządzony ołówkiem. Jest tam data, 20 maja 1914, i tekst: Bryan opuszcza Białą Dom z Traktatem Północnoamerykańskim w towarzystwie... Heidi mocniej przycisnęła słuchawkę.

- A więc jednak był jakiś traktat.

- Sądzę, że był to raczej szkic traktatu. - W głosie Murphy'ego łatwo można było wyczuć dumę z dokonanego odkrycia. - Jeśli chce pani mieć odbitkę tego zdjęcia, będziemy musieli panią obciążyć pewnym kosztem.

- Oczywiście, zapłacę... Czy możecie również skopiować ten napis na odwrocie?

- Tak, to żaden problem. Może pani odebrać odbitki już dzisiaj, po trzeciej.

- Wspaniale. Dziękuję panu.

Heidi odłożyła słuchawkę i wróciła do łóżka, rozkoszując się poczuciem sukcesu. Dopiero po chwili przypomniała sobie o kwiatach. Do jednej róży przyczepiona była kartka.

Bez munduru wyglądasz cudownie. Wybacz, że nie będzie mnie, kiedy się obudzisz.

Dirk.

Heidi przytuliła różę do policzka i otworzyła usta w leniwym uśmiechu. Jak żywe, lekko tylko przymglone powróciło nagle wspomnienie wszystkich godzin, wszystkich chwil, które spędziła z Pittem. Potem równie szybko rozplynęło się: została tylko intensywna pamięć dotyku jego ciała i palący żal za czymś utraconym.

Z trudem wyrwała się z tych marzeń. Sięgnęła po leżącą przy łóżku książkę telefoniczną Waszyngtonu. Znalazła właściwy numer i podkreśliła go długim, ostrym paznokciem. Drugą ręką wystukała numer na klawiaturze. Dopiero po trzecim sygnale odezwał się ktoś po tamtej stronie:

- Departament Stanu, czym mogę służyć?



## ROZDZIAŁ 11

Zbliżała się druga po południu. John Essex zapiął wysoko kołnierz płaszcza, chcąc się ochronić przed lodowatą północną bryzą, i zaczął przeglądać kolejne „szuflady” swojej plantacji ostryg. Jego farma w Coles Point w Wirginii zajmowała kilka płytkich stawów na starych rozlewiskach Potomacu.

Stary człowiek był tak zajęty swoją pracą, że nie zauważył gościa, podniósł głowę dopiero wtedy, kiedy usłyszał kobiecy głos, wymawiający jego nazwisko. Na ścieżce między stawami stała kobieta w granatowym płaszczu oficera marynarki wojennej, bardzo ładna kobieta - jeśli nie myliły go oczy, służące mu już siedemdziesiąt pięć lat. Zwinął swoje narzędzia i poczłapał w jej kierunku przez pływiczny staw.

- Pan Essex? - powtórzyła pytanie, uśmiechając się ciepło. - Dzwoniłam do pana wcześniej, jestem Heidi Milligan.

- Nie chwali się pani swoją rangą, komandorze? - Bezbłędnie rozpoznał dystynkcje na epoletach. Teraz z kolei on uśmiechnął się przyjaźnie. - Nic by pani na tym nie straciła, przeciwnie, jestem starym przyjacielem floty. Wejdzimy do domu na filiżankę herbaty?

- Z przyjemnością. „Mam nadzieję, że w niczym panu nie przeszkodziłam.

- W niczym, co nie mogłoby poczekać na lepszą pogodę. Właściwie powinienem być pani wdzięczny: zapewne ratuje mnie pani przed zapaleniem płuc.

Z widocznym grymasem odwróciła twarz od wiatru, niosącego nieprzyjemny odór.

- Czuję się trochę jak na targu rybnym - powiedziała.

- A nie lubi pani ostryg, komandorze?

- Owszem, lubię. To przecież one produkują perły, prawda? Roześmiał się.

- Typowo damska odpowiedź. Mężczyzna wychwalałby raczej zalety kulinarne.

- Może ma pan na myśli właściwości podniecające?

- Afrodyzjak? Nie, to niczym nie uzasadniony mit. Spoważniała.

- No więc, prawdę mówiąc, nigdy nie przepadałam za surowymi ostrygami.

- Na szczęście dla mnie wielu jednak jest takich, co przepadają. W zeszłym roku z każdego akra tych stawów zebrałem piętnaście ton. Mam na myśli same ostrygi, bez skorup! I wszystko sprzedałem.

Heidi doskonale udawała zainteresowanie, kiedy Essex opowiadał o rozmnażaniu i tuczeniu ostryg, szli żwirowaną ścieżką w stronę ceglanego domu w

stylu kolonialnym, ukrytego w jabłkowym sadzie. Kiedy znaleźli się w środku, wskazał jej wygodne miejsce na skórzanym kanapie i zabrał się do parzenia herbaty. Heidi przyglądała mu się uważnie.

Widziała tylko górną część twarzy: migotliwe niebieskie OC<sub>2</sub> i wydatne kości policzkowe. Reszta była ukryta w bujnym białym, zarostcie. Szczupła sylwetka w niczym nie przypominała zacnych: starych mieszczuchów. Nawet teraz, w sfatygowanym dresie, grubej: sukiennej kurtce i długich kaloszach - imponował elegancją, tą samą, którą niegdyś czarował w salonach ambasady amerykańskiej w Londynie.

- Czy to urzędowa wizyta, komandorze? - spytał, stawiając przed nią filiżankę na spodku.

- Nie, jestem tu prywatnie. Essex uniósł brwi.

- Młoda damo, gdybym miał trzydzieści lat mniej, potraktował- bym to jako zaproszenie do flirtu. Teraz, wyznaję ze smutkiem, wzbudza to już tylko pustą ciekawość starego rozbitka.

- Nigdy nie nazwałabym starym rozbitkiem powszechnie szanowanego i cenionego dyplomaty.

- Było, minęło... - Essex uśmiechnął się. - Czym więc mogę pani służyć?

- Zbieram materiały do pracy doktorskiej. Natrafiłam na list prezydenta Wilsona do Herberta Asquitha, z 1914 roku. - Przerwała na chwilę, by wyjąć z torby swoje notatki. - Prezydent wspomina tam o jakimś niedawno podpisanym traktacie anglo-amerykańskim.

Essex włożył okulary i dwukrotnie przeczytał sporządzoną przez Heidi notatkę.

- Ma pani pewność, że to autentyk?

Nic nie mówiąc, Heidi podała mu dwie duże odbitki fotograficzne. Na pierwszej William J. Bryan, sztucznie uśmiechnięty do kamery, wsiadał właśnie do samochodu. Obok konwersowali wesoło dwaj mężczyźni. Richard Essex, elegancki i subtelny, mówił coś do Harveya Shieldsa. Ten zaśmiewał się serdecznie, z otwartymi szeroko ustami: dwa nadmiernie wyrośnięte górne siekacze wysuwały się przed równy szereg złotych koronek. I tylko szofer, przytrzymujący otwarte drzwiczki, był śmiertelnie poważny.

Twarz Essex'a, studiującego fotografię, nie zdradzała żadnych emocji.

- Co właściwie spodziewa się pani znaleźć, komandorze?

- Traktat Północnoamerykański. Nie ma o nim żadnej wzmianki, ani w

rejestrach Departamentu Stanu, ani w archiwach. Wydało mi się podejrzane, że po tak ważnym akcie nie został nawet ślad.

- I sądzi pani, że ja mógłbym to wyjaśnić?

- Na tym zdjęciu jest Richard Essex, pański dziadek. Zwracam się do pana, bo mam nadzieję, że w zbiorach rodzinnych zostały jakieś notatki lub dokumenty związane z tą sprawą.

Essex podsunął jej tacę ze śmietanką i cukrem, Heidi wrzuciła do filiżanki dwie kostki.

- Przykro mi, komandorze, ale straciła pani czas na darmo. Po śmierci dziadka rodzina przekazała Bibliotece Kongresu wszystkie jego papiery, aż po ostatni świstek.

- Zawsze warto próbować - powiedziała Heidi, ale w jej głosie można było wyczuć rozczarowanie.

- Była pani w Bibliotece Kongresu?

- Tak, jeszcze dzisiaj rano spędziłam tam cztery godziny. Pański dziadek był niezwykle płodnym pisarzem. Zbiór jego notatek i dokumentów jest imponujący.

- Badała pani także pisma Bryana?

- On też mnie zawiódł. Bryan był podobno natchnionym mówcą, ale niewiele zostawił po sobie pisemnych dokumentów. Essex uśmiechnął się i wypił łyk herbaty.

- Nic dziwnego. Mając tak skrupulatnego i, jak pani zauważyła, płodnego współpracownika, Bryan przerzucił na niego cały ciężar pisania dokumentów i korespondencji dyplomatycznej. Mój dziadek, jak sądzę, robił to bez przykrości. Miał niemal patologiczne upodobanie do opisywania wszystkiego, nawet najdrobniejszych szczegółów. A w dokumentach Departamentu Stanu z tamtego okresu trudno znaleźć coś, co nie byłoby opatrzone jego komentarzem.

- A jednak wydał mi się trochę tajemniczy - powiedziała Heidi, zanim zastanowiła się, czy powinna to powiedzieć. Oczy Essexa nagle straciły blask i spoważniały.

- A to dlaczego?

- Działalność Richarda Essexa jako podsekretarza stanu jest w jego notatkach obficie udokumentowana. A jednocześnie nie ma tam nic albo prawie nic o jego życiu prywatnym. Oczywiście jest curriculum vitae: gdzie i kiedy się urodził, kim byli jego rodzice, jakie szkoły ukończył, wszystko w nienagannym porządku chronologicznym. Ale nigdzie nie znalazłam niczego osobistego, niczego, co pozwoliłoby stwierdzić, jaki był, co lubił i czego nie lubił. Nawet jego pamiętniki są pisane w trzeciej osobie.

- Sądzi pani, że tak naprawdę nie istniał? - spytał Essex drwiąco.

- Och, nie... - Heidi była autentycznie zaskoczona, ale szybko odzyskała refleks.

- Pan sam jest najlepszym dowodem.

Essex wpatrywał się w swoją herbatę, jakby widział ducha na dnie filiżanki.

- Ma pani rację - przyznał w końcu. - Poza codziennymi notatkami z prac Departamentu Stanu i kilkoma fotografiami w rodzinnym albumie, nic po nim nie pozostało.

- Czy pan go pamięta?

- Nie, umarł mając czterdzieści dwa lata, w tym samym roku, w którym ja się urodziłem.

- W dziewięćset czternastym?

- Dwudziestego ósmego maja, jeśli już mamy być dokładni. Heidi spojrzała na niego zdumiona.

- Osiem dni po podpisaniu traktatu w Białym Domu!

- Wolno pani w to wierzyć, komandorze - cierpliwie skomentował Essex. - Ale nie było takiego traktatu.

- Kwestionuje pan autentyczność tego zdjęcia?

- Bryan i mój ojciec bywali w Białym Domu niezliczoną ilość razy. Zapis na odwrocie to niewątpliwie błąd. A co do listu, to myślę, że mylnie interpretuje pani jego sens.

- Fakty się zgadzają - upierała się Heidi. - Sir Edward, o którym pisze Wilson, to Edward Grey, brytyjski minister spraw zagranicznych. A w dokumentach finansowych, na tydzień przed datą listu, odnotowana jest pożyczka dla Wielkiej Brytanii, w wysokości stu pięćdziesięciu milionów dolarów.

Essex znowu uniósł brwi.

- Przyznaję - powiedział z namysłem - że wtedy była to ogromna suma. Ale Wielka Brytania miała wielkie potrzeby: w toku był kosztowny program reform socjalnych, a jednocześnie trzeba było kupować broń, bo nieuchronnie zbliżała się wojna. Krótko mówiąc, te dolary mogły być potrzebne na łagodzenie nastrojów przed podwyżką podatków. Zresztą, ta pożyczka nie wymagała żadnych nadzwyczajnych uzasadnień. Wedle dzisiejszych praktyk, można by ją uzyskać w drodze zwykłych, rutynowych negocjacji.

Heidi wstała.

- Przepraszam, że niepokoiłam pana, panie Essex. Nie chciałabym panu popsuć

reszty dnia.

W jego niebieskich oczach znów pojawił się migotliwy blask.

- Z przyjemnością godzę się na to, aby mnie pani niepokoiła, o każdej porze.

Już stojąc w drzwiach Heidi odwróciła się nagle.

- Coś sobie przypomniałam. W Bibliotece Kongresu jest komplet miesięcznych dzienników, które pański dziadek prowadził w biurze. Brakuje ostatniego, z maja 1914. Czyżby zaginął?

Essex wzruszył ramionami.

- Nie ma w tym wielkiej tajemnicy. Ten zeszyt nie znalazł się na półce razem z innymi, leżał w jakiejś szufladzie, bo nie był jeszcze ukończony. Po śmierci dziadka porządkowano jego gabinet - i taki niepozorny notes mógł po prostu trafić do kosza.

Essex stał przy oknie i patrzył, jak samochód Heidi znika za drzewami. Jego ramiona opadły ciężko. Nagle poczuł się bardzo stary i bardzo zmęczony. Podszedł do bogato rzeźbionej antycznej komody i obrócił główkę jednego z czterech drewnianych cherubinów zdobiących narożniki. Na dole, tuż nad podłogą wysunęła się mała płaska szufladka. Wyjął z niej cienki, oprawny w skórę zeszyt. Wytłoczony na okładce napis był nieczytelny, spękany ze starości.

Essex zagłębił się w miękkim fotelu, poprawił okulary na nosie i zaczął czytać. To był rytuał, powtarzany w różnych odstępach czasu od wielu, wielu lat. Oczy nie śledziły tekstu, Essex już od dawna znał go na pamięć.

Siedział tak nadal, kiedy słońce skryło się za horyzontem, a coraz dłuższe cienie zlały się w jednolity mrok. Trzymał zeszyt przyciśnięty do piersi, cierpiąc straszną rozterkę duchową i nie mogąc podjąć decyzji.

Dawno zapomniana przeszłość osaczyła starego człowieka, dopadła go w mroku, w chwili słabości i osamotnienia.

## ROZDZIAŁ 12

Porucznik Ewen Burton-Angus z trudem wcisnął swój samochód na ostatnie wolne miejsce parkingu przed Glen Echo Racquet Club, wyłowił z tylnego siedzenia torbę ze sprzętem i zatrzasnął drzwiczki. Skulił się pod lodowatym podmuchem wiatru. Szybko przemknął obok opróżnionego basenu pływackiego i pokrytych śniegiem kortów tenisowych, by schronić się w ciepłe budynku klubowego. Od razu zobaczył kierownika klubu, siedział przy stoliku pod gablota wypełnioną po brzegi trofeami sportowymi.

- Czym mogę służyć? - spytał kierownik.

- Nazywam się Burton-Angus. Jestem gościem pana Argusa. Kierownik przejrzał kartki przypięte klipsem do podręcznej tabliczki.

- ...Tak: porucznik Burton-Angus... Bardzo mi przykro, sir, ale pan Argus odwołał dzisiejszą rezerwację, powiedział, że nie może przyjechać. Kazał powtórzyć panu, że dzwonił do ambasady, ale już tam pana nie zastał.

- Trudno - pogodził się z losem Burton-Angus. - Ale skoro już tu jestem, mógłbym trochę poćwiczyć. Ma pan jakiś wolny kort do raketbola?

- Niestety, po telefonie pana Argusa wynająłem jego kort komuś innemu. Ale jest tu ktoś, kto zwykle grywa sam. Może spróbuje się pan z nim dogadać?

- Gdzie mogę go znaleźć?

- Na razie w barze. Jego kort będzie wolny dopiero za pół godziny. Nazywa się Jack Murphy.

Burton-Angus znalazł Murphy'ego nad szklaneczką lekkiego drinka przy panoramicznym oknie wychodzącym na kanał Chesapeake. Podeszedł i przedstawił się.

- Bardzo nie lubi pan grać z przeciwnikiem?

- Dlaczego? Nawet wolę to, niż grać sam. Pod warunkiem, że nie zmiecie mnie pan z kortu.

- Na to się raczej nie zanosi.

- Często grywa pan w raketbola?

- Prawdę mówiąc, wolę squasha.

- Domyśliłem się tego... po pańskim brytyjskim akcencie. - Murphy wskazał przybyszowi krzesło. - Napije się pan czegoś? Mamy jeszcze kupę czasu, zanim kort się zwolni.

Burton-Angus z przyjemnością zamówił gin.

- Piękna okolica - powiedział patrząc za okno. - A ten kanał przypomina mi

Devon, moje strony rodzinne.

- Przecina Georgetown, a następnie dociera do Potomacu - powiedział Murphy, w stylu godnym przewodnika turystycznego. - Zimą, kiedy woda zamarza, miejscowi jeżdżą po kanale na łyżwach albo wiercą przeręble i łowią ryby.

- Pracuje pan w Waszyngtonie? - zaciekał się Burton-Angus.

- Tak, jestem historykiem w Senacie. A pan?

- Asystent attache morskiego w ambasadzie brytyjskiej.

Na twarzy Murphy'ego pojawił się na moment wyraz roztargnienia, Burton-Angus miał wrażenie, że Amerykanin patrzy gdzieś w przestrzeń ponad jego głową.

- Coś nie w porządku? Murphy wrócił do rzeczywistości.

- Nie, po prostu coś mi się nagle skojarzyło. Pan jest Brytyjczykiem i zajmuje się pan sprawami morskimi, a właśnie ostatnio pewna kobieta, komandor US Navy, szukała u nas materiałów dotyczących traktatu anglo-amerykańskiego.

- Handlowego?

- Trudno powiedzieć. Dziwna rzecz: w naszych archiwach nie ma żadnego śladu tego traktatu, z wyjątkiem jednej starej fotografii.

- Fotografii? - zdziwił się Brytyjczyk.

- Tak. Jest tam dopisek, który mówi o jakimś Traktacie Północno-amerykańskim.

- Jeśli pan chce, każę poszperać w archiwum naszej ambasady.

- Proszę się nie kłopotać. To nie takie ważne.

- To żaden kłopot - upierał się Burton-Angus. - Jeśli tylko zna pan datę...

- Około 20 maja 1914.

- O, to stara historia!

- Tak... I prawdopodobnie był to tylko projekt traktatu, potem porzucony.

- Tak czy inaczej, poszukam. - Na stoliku pojawił się zamówiony gin. Burton-Angus podniósł szklankę. - Żeby nam się dobrze grało!

Alexander Moffat siedział przy swoim biurku w ambasadzie przy Massachusetts Avenue. Wyglądał i zachowywał się tak, że mógł uchodzić za wzorzec brytyjskiego urzędnika państwowego. Krótko przystrzyżone włosy rozdzielał po lewej stronie głowy idealnie wytyczony przedziałek. Szttywna, wojskowa postawa, a także schematyczna poprawność wymowy i stylu sprawiają, że wszyscy pracownicy służby dyplomatycznej są podobni do siebie jak ciasteczka upieczone w tej samej formie. Na biurku Moffata nie było żadnych zbędnych przedmiotów ani papierów: tylko jego

dłonie, splecione na nieskazitelnie lśniącej politurze.

- Ogromnie mi przykro, poruczniku, ale nie znalazłem w naszych rejestrach żadnej wzmianki o traktacie anglo-amerykańskim z pierwszej połowy czternastego roku.

- To bardzo dziwne - stwierdził Burton-Angus. - Amerykanin, który nadał mi tę sprawę, wyglądał na całkiem przekonanego, że taki traktat albo istniał, albo przynajmniej był negocjowany.

- Może podał złą datę.

- Nie sądzę. To historyk z Senatu. Taki raczej nie przekreśla faktów i dat.

- Chce pan ciągnąć dalej tę sprawę? - spytał Moffat urzędowym tonem.

Burton-Angus namyślał się przez chwile.

- Może warto to sprawdzić w ministerstwie, w Londynie? Może ich to zainteresuje?

Moffat wzruszył sceptycznie ramionami.

- Jakie znaczenie może mieć dzisiaj wątpliwy ślad mało prawdopodobnego zdarzenia sprzed siedemdziesięciu pięciu lat?

- Pewnie żadne. Ale skoro już obiecałem temu facetowi, że poszukam... Mam złożyć formalne zamówienie, na piśmie?

- Nie, nie trzeba. Zadzwoń do szefa wydziału łączności, to mój stary kolega szkolny, a w dodatku ma wobec mnie pewien dług. Niech poszpera w starych rejestrach. Myślę, że już jutro będziemy mieli odpowiedź, ale niech pan nie będzie rozczarowany, jeśli i on nic nie znajdzie.

- Liczę się z tym - odparł Burton-Angus. - Chociaż jestem pewien, że w archiwach Ministerstwa Spraw Zagranicznych kryje się dużo nieznanymi, a ciekawymi rzeczy.



## ROZDZIAŁ 13

Peter Beaseley wiedział na temat Foreign Office więcej niż ktokolwiek inny w Londynie. Po trzydziestu latach pracy na stanowisku naczelnego archiwisty ministerstwa traktował całą historię brytyjskiej dyplomacji jak swoją prywatną domenę. Wyspecjalizował się w tropieniu różnych gaf i skandali, wywołanych przez dawnych i obecnych polityków i oczywiście starannie zatajanych przed opinią publiczną.

Przegarnął dłonią rzadkie kosmyki siwych włosów i sięgnął po jedną z fajek rozrzuconych na dużej okrągłej tacy. Jeszcze raz spojrzął na kartkę leżącą przed nim na biurku i parsknął jak kot, któremu podsunęto miseczkę z czymś niezbyt apetycznym.

- Traktat Północnoamerykański, też coś... - powiedział głośno. - Nigdy o tym nie słyszałem.

Na szczęście był sam w gabinecie. Bo gdyby te słowa usłyszał ktoś z jego pracowników, sprawa byłaby już na zawsze zamknięta: dla nich, jeśli Peter Beaseley nigdy nie słyszał o jakimś traktacie, to tego traktatu z pewnością nigdy nie było.

Zapalił fajkę i przez dłuższą chwilę beczynnie obserwował unoszący się dymek. Rok 1914, pomyślał, to właściwie ostatni rok prawdziwej dyplomacji. Potem, po wojnie, w negocjacjach międzynarodowych bezduszna, mechaniczna rutyna wyparła dawną arystokratyczną elegancję. Wszystko stało się płaskie i trywialne.

Usłyszał stukanie, w uchylonych drzwiach pojawiła się głowa sekretarki.

- Panie Beaseley...

- Tak, panno Gosset? - spytał, nie podnosząc wzroku.

- Wychodzę na obiad.

- Obiad? - Wyciągnął z kieszonki zegarek. - Och, rzeczywiście, zupełnie straciłem poczucie czasu. A gdzie będzie pani jadła? Jest pani x kimś umówiona?

Dwa tak niezwykle pytania postawione równocześnie wprawiły pannę Gosset w osłupienie.

- Nie, idę sama. Może sprawdzę tę nową indyjską restaurację przy Glendover Place.

- Świetnie, pasuje mi to - oznajmił Beaseley. - Zapraszam panią na ten obiad.

Coś takiego zdarzało się szefowi niezmiernie rzadko, toteż panna Gosset nie potrafiła ukryć zdziwienia. Beaseley zauważył to i uśmiechnął się.

- Mam pewien ukryty powód, nie bardzo szlachetny, może pani nawet nazwać

to łapówką. Chcę, żeby mi pani pomogła odnaleźć pewien stary traktat. Co czworo oczu, to nie dwoje, a zresztą nie mogę poświęcić temu zbyt wiele czasu.

Zaledwie zdążyła włożyć płaszcz, Beaseley wyciągnął ją z biura, kiedy znaleźli się na ulicy, machnął parasolem na przejeżdżającą taksówkę.

- Budynek Sanktuarium, Great Smith Street - rzucił adres szoferowi.

- To dla mnie zawsze zagadka - powiedziała, owijając się szalikiem, który dotąd trzymała w garści. - Ministerstwo ma pięć archiwów rozsianych po całym Londynie, a pan zawsze od razu wie, gdzie szukać.

- Cała dokumentacja z 1914 dotycząca Ameryki leży na drugim piętrze wschodniego skrzydła budynku Sanktuarium - wyjaśnił stanowczym tonem.

Okazawszy należny podziw, panna Gosset milczała już do końca podróży. Beaseley zapłacił taksówkarzowi. Weszli do budynku, okazali strażnikowi przepustki i wpisali się do księgi wizyt. Potem starą, rozklekotaną windą pojechali na drugie piętro. Beaseley szybko i bezbłędnie odnalazł właściwy dział.

- Pani sprawdzi kwiecień, a ja maj.

- Ale nie powiedział mi pan jeszcze, czego szukamy.

- Ach, prawda... Wszelkich wzmianek na temat Traktatu Północnoamerykańskiego.

Miała ochotę dowiedzieć się czegoś więcej, ale Beaseley odwrócił się, wyciągnął z półki wielki skórzany foliał i zaczął przekopywać i przez stos pożółkłych dokumentów i notatek. Rada nierada, sięgnęła po sąsiedni, równie gruby foliał, z napisem KWIECIEŃ 1914.

Po czterech godzinach daremnych poszukiwań odłożyli oba foliały na półkę. Żołądek panny Gosset coraz głośniej dopominał się o swoje prawa, ale Beaseley tego nie słyszał, był całkowicie pogrążony w myślach.

- Przepraszam, panie Beaseley, ale co z tym obiadem? - ośmielił się spytać.

Dopiero teraz spojrzał na zegarek.

- Och, strasznie mi przykro, zupełnie zapomniałem. Czy zgódź się pani, byśmy ten obiad zamienili na kolację?

- Z najwyższą przyjemnością - westchnęła panna Gosset. Byli już na dole - wpisywali w rejestrze wizyt godzinę wyjścia kiedy Beaseley coś sobie przypomniał.

- Chciałbym jeszcze zajrzeć do działu dokumentów tajnych zwrócił się do strażnika. - Mam upoważnienie.

- Owszem, pan ma, ale ta młoda dama nie - zauważył strażnik, uśmiechając się

grzecznie. - Jej przepustka dotyczy tylko zbiorów jawnych.

Beaseley przepraszająco ścisnął ramię panny Gosset.

- Błagam panią, jeszcze chwila cierpliwości. To naprawdę nie zajmie mi więcej niż parę minut.

Zszedł ze strażnikiem na trzeci poziom podziemia. Stanęli przed dużymi stalowymi drzwiami w betonowej ścianie. Beaseley patrzył z ciekawością, jak dwa wielkie mosiężne klucze bezgłośnie obracają się w starych, ale dobrze naoliwionych zamkach. Strażnik otworzył drzwi.

- Będę musiał zamknąć pana w środku. Na ścianie jest telefon. Wystarczy zadzwonić pod trzydzieści dwa, kiedy będzie pan chciał, wyjść - wyrecytował instrukcję.

- Dziękuję, znam procedurę - odparł Beaseley.

Teczka z tajnymi materiałami z wiosny 1914 zawierała nie więcej niż czterdzieści kartek, nie znalazł w nich żadnych rewelacji. Dopiero kiedy wsuwał teczkę na jej miejsce na półce, zauważył coś dziwnego: kilka sąsiednich teczek, z obu stron, wystawało na zewnątrz o pół cala dalej niż pozostałe. Wyciągnął wszystkie i od razu zauważył przyczynę.

W głębi stała jeszcze jedna teczka, przyciśnięta płasko do ściany. Sięgnął po nią, otworzył i przerzucił kartki: wyglądało to na typowy raport z negocjacji. Na stronie tytułowej widniał napis: TRAKTAT PÓŁNOCNOAMERYKAŃSKI.

Beaseley usiadł na niskim metalowym stoliku i zaczął czytać. Dziesięć minut później wyglądał jak ktoś, kto wybrawszy się samotnie o północy na cmentarz poczuł nagle kościstą dłoń na ramieniu. Ręce trzęsły mu się tak, że ledwie zdołał trafić palcem na właściwe klawisze telefonu.

## ROZDZIAŁ 14

Heidi sprawdziła numer lotu na swojej karcie pokładowej, potem spojrzała na monitor z rozkładem startów.

- Jeszcze czterdzieści minut - stwierdziła.

- W sam raz na jakiegoś pożegnalnego drinka - odparł Pitt.

Poprowadził ją przez zatłoczoną halę lotniska imienia Dullesa w stronę baru. Niemal wszystkie miejsca okupowali zmęczeni biznesmeni w wygniecionych garniturach, z rozpiętymi kołnierzykami koszul. Pitt znalazł jednak wolny stolik i zamówił napoje.

- Szkoda, że nie mogę zostać - powiedziała Heidi smutno.

- Właściwie dlaczego nie możesz?

- Marynarka nie toleruje oficerów urywających się z okrętu.

- Jesteś przecież na urlopie.

- Tylko do jutra. Najpóźniej, w południe muszę się zgłosić w Centrali Łączności Floty w San Diego. Tam dadzą mi przydział na rejs.

Zajrzał jej głęboko w oczy.

- Wygląda na to, że nasz romans padnie ofiarą geografii.

- Romans... to może za mocno powiedziane?

- Możemy uznać, że go w ogóle nie było - zgodził się Pitt. Heidi popatrzyła na niego zdumiona.

- To są jego słowa! - wykrzyknęła.

- Czyje?

- Prezydenta Wilsona, w tym liście, który znalazłam.

- Chyba rzeczywiście nie myślisz o mnie - uśmiechnął się z rezygnacją Pitt.

- Przepraszam. - Machnęła lekceważąco ręką. - To bzdura.

- A jednak ta historia cię wciąga.

- Na zasadzie niespodziewanej komplikacji. Tak bywa w pracy naukowej: grzebiez się latami w jakichś sprawach i nagle znajdujesz przypadkową informację, która zupełnie zmienia twoje zainteresowania.

Kelnerka przyniosła napoje, Pitt zapłacił.

- Naprawdę nie możesz przedłużyć tego urlopu?

- Bardzo bym chciała, ale wyczerpałam już wszystko, co mi się należało. Na następny urlop muszę pracować przez pół roku. - Nagle jej wzrok się rozjaśnił. - Ale może ty mógłbyś polecieć ze mną? Mielibyśmy parę dni dla siebie, zanim wypłynę.

Ujął jej rękę.

- Niestety, mój rozkład jazdy na to nie pozwala. Zaczynam nowe zadanie, na Morzu Labradorским.

- Długo tam będziesz?

- Miesiąc, może sześć tygodni.

- Zobaczymy się jeszcze? - spytała niepewnie.

- Jestem wyznawcą poglądu, że dobre doświadczenia należy powtarzać.

Dwadzieścia minut później, po drugim drinku, Pitt odprowadził Heidi do jej wyjścia. Poczekalnia między dwiema bramkami kontrolnymi była już pusta: głos spikerki z głośnika wzywał ostatnich pasażerów do wejścia na pokład. Heidi na moment odstawiała torbę i neseser i wyczekująco spojrzała na Dirka. Odpowiedział pocałunkiem, ale szybko cofnął głowę i uśmiechnął się przekornie.

- To zagraża mojej męskiej reputacji!

- Dlaczego?

- Gdyby tak ktoś z moich kolegów dowiedział się, że całowałem marynarza - byłbym skończony!

- Nie wygłupiaj się. - Przytuliła się i pocałowała go, długo i mocno. Potem odchyliła głowę daleko do tyłu, by powstrzymać łzy.

- Bywaj, Dirku Pitt!

- Bywaj, Heidi Milligan.

Chwyliła swoje bagaże i ruszyła w stronę rękawa wyjściowego. Nagle zatrzymała się, jakby sobie coś przypomniała. Zanurzyła dłoń w torbie i wyłowiła z niej kopertę.

- Przeczytaj może te notatki - powiedziała pospiesznie. - Zrozumiesz, co mnie tak nagle zaabsorbowało. Widzisz, Dirk... to może być coś bardzo ważnego. Obejrzyj to, a jak dojdiesz do wniosku, że warto sprawę ciągnąć, zadzwoń do mnie do San Diego.

Odwróciła się i odeszła, zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć.

## ROZDZIAŁ 15

Powiadają, że po śmierci trudno o miejsce pobytu bardziej romantyczne niż wiejski cmentarzyk gdzieś w Anglii. Tutaj kamienne nagrobki, przytulone do parafialnego kościoła, obrastają mchem w wieczystej ciszy i spokoju i tylko deszcz pracuje niestrudzenie, zacierając już po stu latach najgłębiej nawet ryte inskrypcje.

W takiej odciętej od świata, choć położonej niemal na przedmieściu Londynu, wiosce Manuden, samotny dzwon wieścił światu kolejny pogrzeb. Dzień był chłodny, ale piękny, słońce szczęśliwie przemykało się między perłowymi masywami cumulusów. Wokół trumny okrytej wojskowym sztandarem stało pięćdziesiąt sześć osób z uwagą słuchając słów miejscowego proboszcza. Nic jednak z treści egzekwii nie docierało do świadomości niemłodej kobiety o królewskiej postawie. Cała jej uwaga skupiła się na człowieku, który stał nieco z boku, samotnie, o kilka kroków od żałobnego zgromadzenia.

Ma już sześćdziesiąt sześć lat, pomyślała. Jego czarne, przyprószone siwizną, niezbyt starannie uczesane włosy były miejscami przerzedzone. Twarz miał wciąż piękną, choć rysy z upływem lat złagodniały. Z odrobiną zazdrości zauważyła, że zachował smukłą, sportową sylwetkę, podczas gdy ona miała wyraźną skłonność do tycia.

Nie widział jej: utkwiał spojrzenie w budynku kościoła, a jego myśli najwyraźniej błądziły gdzieś daleko. Dopiero kiedy opuszczono trumnę, a żałobnicy zaczęli się rozchodzić, przeszedł kilka kroków i zajrzał w otwarty grób jak w okno, przez które widać dawno zapomnianą przeszłość.

- Czas obszedł się z tobą łaskawie - powiedziała, podchodząc bliżej.

Odwrócił się i dopiero teraz dostrzegł jej obecność. Uśmiechnął się tym samym urzekającym uśmiechem, który pamiętała sprzed lat, i pocałował ją w policzek.

- Niewiarygodne, chyba jesteś jeszcze piękniejsza niż w moich wspomnieniach.

Roześmiała się, świadomie przegarniając dłonią siwe włosy, w których pozostało już tylko kilka złocistych pasm.

- Nic się nie zmieniłeś, wciąż taki sam fałszywy pochlebca.

- Właściwie - zmienił temat - kiedy myśmy się ostatnio widzieli?

- Jak odchodziłeś ze służby, dwadzieścia pięć lat temu.

- Boże, a mnie się zdaje, że upłynęły już co najmniej dwa wieki.

- Nazywasz się teraz Brian Shaw?

- Tak. - Wskazał ruchem głowy na nie przysypaną jeszcze trumnę. - To on

nalegał, żebym po przejściu na emeryturę całkowicie! zmienił tożsamość.

- Miał rację. Miałeś przecież więcej wrogów niż Attila. Agent SMIERSZ, który by cię zabił, na pewno zostałby natychmiast! Bohaterem Związku Sowieckiego.

- Teraz nie mam się już czego bać - uśmiechnął się. - Wątpię czy ktokolwiek z moich starych przeciwników jeszcze żyje. Zresztą, jał też należą już do przeszłości: moja głowa nie jest warta nawet jednej butelki z benzyną.

- Nie ożeniłeś się. - Raczej stwierdziła, niż spytała.

- Owszem, ale to krótko trwało. Zabili ją. Przecież wiesz.

- Tak, ale jakoś nigdy nie mogłam się pogodzić z myślą, że byłeś żonaty.

- A ty?

- Wysłałam za mąż w rok po twoim odejściu. Był wtedy pracownikiem sekcji analizy szyfrów. Nazywa się Graham Huston. Mieszkamy w Londynie i jakoś się utrzymujemy z naszych emerytur. No, niej tylko... Prowadzę jeszcze antykwariat.

- Czyli jednak coś się zmieniło od tamtych czasów.

- Nadal mieszkasz na Karaibach?

- Zrobiło się tam raczej niezdrowo, więc wróciłem do kraju. Kupiłem małą farmę na wyspie Wight, próbuję coś tam uprawiać.

- Jakoś nie widzę cię w roli zanego farmera.

- Mógłbym to samo powiedzieć o twoim antykwariacie.

Z gospody po drugiej stronie drogi wynurzyli się grabarze z łopatami. Po chwili pierwsze grudy ziemi z łoskotem uderzyły w drewniane wieko trumny.

- Kochałem starego - rzekł Shaw ze smutkiem - choć czasem miałem ochotę go zabić.

- On też darzył cię szczególnym uczuciem - odparła. - Zawsze bardzo się niepokoił, kiedy byłeś w terenie. A przecież inni agenci byli dla niego tylko pionkami na szachownicy.

- Znałaś go lepiej niż ktokolwiek inny - powiedział miękko. - Trudno ukryć coś przed własną sekretarką, jeśli się z nią pracuje dwadzieścia lat.

Skinęła nieznacznie głową.

- Czasami go to irytowało. Doszło do tego, że nieraz odczytywałam jego myśli, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć...

Jej głos załamał się. Nie mogła już patrzeć na grób, odwróciła głowę. Shaw ujął ją pod ramię i wyprowadził z cmentarza.

- Masz chwilę na drinka? - spytał.

Otworzyła torbę, wyjęła chusteczkę i głośno wytarła nos.

- Naprawdę muszę już wracać do Londynu.

- A więc do widzenia pani Huston.

- Brian...! - Ledwie jej to przeszło przez gardło, powstrzymała się jednak od użycia jego prawdziwego imienia. - Chyba już się nie nauczę mówić do ciebie: Brian Shaw.

- Tych dwoje ludzi, którymi byliśmy kiedyś, już dawno nie żyje, umarli na wiele lat przed naszym starym szefem - powiedział łagodnie. Uścisnęła mu dłoń, a w jej oczach pojawiły się łzy.

- Jaka szkoda, że nie można powrócić do przeszłości.

Zanim zdążył odpowiedzieć, wyciągnęła z torebki kopertę i wsunęła ją do bocznej kieszeni jego płaszcza. Nie spytał o nic: zachował pokerową twarz, jakby niczego nie zauważył.

- Do widzenia, panie Shaw - powiedziała tak cicho, że ledwie dosłyszał. - Trzymaj się ciepło.

Lodowata mżawka smagała pogrążone w wieczornym mroku ulice Londynu, kiedy diesel czarnego austina zadudnił przed frontem dużego kamiennego gmachu w Hyde Parku. Shaw zapłacił taksówkarzowi i wysiadł. Stał przez chwilę na chodniku, nie zwracając uwagi na igiełki lodu siekące go po twarzy: patrzył na ponury budynek, w którym kiedyś, dawno temu pracował. Okna były brudne i zamazane, na ścianach zgromadziła się sadza i inne paskudztwa z bodaj połowy wieku. Wydało mu się to podejrzane: większość okolicznych domów miała czyste, świeżo piaskowane elewacje. Wszedł po schodach do holu. Strażnik bez żadnych wstępów poprosił go o dowód tożsamości i poszukał jego nazwiska na liście umówionych wizyt.

- Proszę wjechać windą na dziesiąte piętro - powiedział. - Ktoś będzie tam czekał na pana.

Winda trzęsła się i grzechotała jak za dawnych czasów, ale teraz nie było już w niej operatora. Shaw wjechał na dziewiąte piętro i poszedł korytarzem prosto do swojego starego biura. Otworzył drzwi. Spodziewał się ujrzeć za nimi sekretarkę pracownicę stukającą na maszynie, a w pokoju w głębi kogoś, kto teraz pracuje na jego miejscu. Oszupiał: oba pokoje były kompletnie puste, jeśli nie liczyć śmieci walających się w kątach.

Wrócił na korytarz i odnalazł klatkę schodową, przynajmniej ona była na swoim miejscu, chociaż i tutaj dziwny był brak strażnika pilnującego piętra. Nie było



go również na dziesiątym piętrze. Stała tam za to przed drzwiami windy, odwrócona do niego tyłem, jasnowłosa dziewczyna w bardzo obcisłej dżersejowej sukience. Podszedł i zatrzymał się o krok za nią.

- To chyba na mnie pani czeka? - powiedział głośno. Zaskoczona, obróciła się gwałtownie w jego stronę.

- Pan Shaw?

- Tak, przepraszam za spóźnienie, ale zrobiłem sobie małą przechadzkę po budynku. To dla mnie jakby wizyta we własnym, starym domu. Dziewczyna patrzyła na niego ze słabo ukrywaną ciekawością.

- Brygadier czeka na pana, proszę za mną. Zastukała w dobrze znane mu drzwi i, nie czekając na odpowiedź, otworzyła je.

- Panie generale, przyszedł pan Shaw - zaanonsowała.

Z wyjątkiem nowego biurka i człowieka, który siedział za nim, wszystko w pokoju było takie samo jak dawniej. Nareszcie poczuł, że jest na znajomym terenie.

- Proszę wejść, panie Shaw. - Brygadier Morris V. Simms wyciągnął dłoń na powitanie. Intensywnie niebieskie oczy promieniowały serdecznością, ale Shaw nie dał się zwieść. Wiedział, że obserwują go z precyzją czulego obiektywu. - Niech pan siada.

Shaw usiadł na krześle z wysokim oparciem, było twarde jak kamień. Niezbyt to oryginalny sposób kruszenia morale rozmówców, pomyślał. Jego stary szef gardził takimi trywialnymi sztuczkami.

Zauważył, że na biurku panuje nieład. Teczki z dokumentami były chaotycznie rozrzucone, niektóre do góry nogami. Nie brakowało też kurzu, nie na blacie biurka, bo ten był starannie wytarty, ale w różnych mniej widocznych miejscach: na górnych krawędziach pojemników na pocztę, pod słuchawką telefonu, na niektórych wystających z teczek papierach. Dopiero teraz Shaw zrozumiał to, co zauważył wcześniej. Brak windziarza, którego głównym zadaniem było pilnowanie, aby goście trafili na właściwe piętro, brak strażników na piętrach i na klatce schodowej, brak ludzi i mebli w jego dawnym biurze.

Wniosek mógł być tylko jeden: wydział brytyjskiej Tajnej Służby Wywiadowczej, w którym Shaw niegdyś pracował, już dawno się stąd wyprowadził. Biuro generała Simmsa było tylko dekoracją teatralną, ustawioną tu dla jednego widza: Briana Shawa.

Brygadier, sztywno wyprostowany, patrzył na byłego agenta w milczeniu. Ale

nic nie zdradzało uczuć i myśli Shawa. Jego twarz pozostawała nieprzenikniona jak oblicze jaspisowego Buddy.

- To chyba pierwsza pańska wizyta w starej budzie, odkąd poszedł pan na emeryturę?

- Tak - stwierdził krótko Shaw. Dziwnie się czuł, siedząc w tym pokoju naprzeciw człowieka o tyle młodszego.

- Chyba niewiele się zmieniło?

- Rzeczywiście, tylko parę drobiazgów.

- Ma pan na myśli personel? - Lewa brew Simmsa uniosła się nieznacznie.

- Czas mąci pamięć - odparł Shaw filozoficznie. Brew generała wróciła na swoje miejsce.

- Na pewno zastanawia się pan, po co pana zaprosiłem.

- Zaproszenie, wetknięte ukradkiem do kieszeni podczas pogrzebu, wydaje mi się cokolwiek teatralne. Nie mógł pan po prostu wysłać listu albo zadzwonić?

Simms uśmiechnął się chłodno.

- Miałem swoje powody. Poważne powody. Shaw postanowił zachować rezerwę. Simms nie przypadł mu do gustu, nie było więc powodu specjalnie się angażować.

- Chyba nie chodzi o zjazd koleżeński?

- Nie. - Simms wyciągnął dolną szufladę biurka i wygodnie oparł o nią but, wypolerowany na wysoki połysk. - Prawdę mówiąc, chciałbym znów zaprząć pana do kieratu.

Shaw był autentycznie zaskoczony. Nie tylko słowami brygadiera - także pewnym podniecaniem, jakie te słowa w nim wywołały.

- To już tak źle z firmą, że musicie wyciągać ze śmieci starych, zdezelowanych agentów?

- Zbyt surowo pan się ocenia, panie Shaw. Był pan jednym z najlepszych, może nawet najlepszym agentem, jaki kiedykolwiek tutaj służył. Stał się pan żywą legendą.

- Pewnie dlatego musiałem przedwcześnie odejść na emeryturę.

- Mniejsza o to... Mam dla pana zadanie, które idealnie pasuje do pańskich zdolności. Potrzebny jest człowiek dojrzały i mądry. Sprawność fizyczna nie jest istotna, fajerwerków i podrzynania gardeł nie przewidujemy. Ważny jest tylko spryt i dar obserwacji. Człowiek z pańskim doświadczeniem - mimo wieku, na który się pan skarży - na pewno świetnie sobie tutaj poradzi.

W głowie Briana Shaw wirowały sprzeczne myśli. Nadal nie mógł zgadnąć, co kryje się za pochlebstwami Simmsa.

- Ale dlaczego właśnie ja? Z pewnością macie całą masę sprawniejszych agentów. A Rosjanie? Przecież oni nigdy nie niszczą starych akt. Namierzają mnie i capną w godzinę po przekroczeniu granicy.

- Panie Shaw, dzisiaj o wszystkim decydują mózgi elektroniczne. Szefowie wydziałów nie podejmują już arbitralnych, intuicyjnych decyzji. Wprowadza się do komputera szczegółowy opis zadania a potem przepuszcza się to przez bazę danych z charakterystyką wszystkich agentów - i komputer wybiera najlepszego. Tym razem nie znaleźliśmy nikogo odpowiedniego wśród aktualnego personelu sięgnęliśmy więc po listę emerytów. I wypadło na pana... A co dc Rosjan, niech się pan nie martwi. Nie będzie pan miał z nimi dc, czynienia.

- Może mi pan wreszcie powiedzieć, do czego ja tak idealnie, pasuję? I co to znaczy: nie Rosjanie? Więc kto to?

- Amerykanie.

Shaw siedział w milczeniu, chyba się przesłyszał! W końcu odezwał się oficjalnym tonem:

- Bardzo mi przykro, generale, ale pańskie roboty musiały się pomylić. Rzeczywiście, nigdy zbyt wysoko nie ceniłem kultury Amerykanów, ale to uczciwy naród. W okresie służby miałem z nimi wiele dobrych, przyjaznych kontaktów. Współpracowałem blisko z chłopami- i karni z CIA. Nie, nie będę ich szpiegował. Niech pan lepiej poszuka kogoś innego.

Twarz Simmsa poczerwieniała.

- Niepotrzebnie się pan denerwuje. Nie ma mowy o szpiegowaniu. Nie namawiam pana do kradzieży tajnych informacji, chcę tylko, żeby pan ich poobserwował przez parę tygodni. Wiem, że to zabrzmi pompatycznie, ale tu naprawdę zagrożone są interesy Królestwa.

- Bierze mnie pan pod włos. Ale proszę mówić dalej.

- Dziękuję. - Simms odetchnął z ulgą. - Chodzi o rutynowe badanie w sprawie Traktatu Północnoamerykańskiego. Jankesi wygrzebali starą puszkę pełną jadowitych gadów. Musi pan zbadać, ile wiedzą i jaki użytek mogą z tego zrobić.

- Nadal nie bardzo rozumiem. Co to za traktat?

- Wolalbym nie wprowadzać pana na razie w szczegóły.

- Rozumiem.

- Nie, nie rozumie pan, ale to nie ma nic do rzeczy. No więc jak, zajmie się pan tym?

Shaw zastanawiał się przez dłuższą chwilę. Nie miał już nawet połowy tych sił i refleksu co dawniej. Do czytania musiał używać okularów. Wprawdzie wciąż jeszcze bezbłędnie trafiał kuropatwy i to z dużego dystansu, ale z dubeltówki, pistoletu nie miał w ręku już od dwudziestu lat.

- A moja farma...?

- Poprowadzi ją tymczasem jakiś profesor agronomii. - Simms znowu się uśmiechnął. - Przekona się pan zresztą, że jesteśmy dziś nieco hojniejsi niż za pańskich czasów. I pomożemy panu tanio kupić osiemset akrów obok pańskiej farmy. Te, o które tyle czasu już się pan targuje. Oczywiście po wykonaniu zadania.

Czasy się zmieniły, ale sprawność firmy pozostała na najwyższym poziomie, pomyślał Shaw. Obserwują mnie pewnie już od dłuższego czasu, a ja niczego nie zauważyłem. Chociaż może wcale nie są tacy dobrzy, tylko to ja się zestarzałem i oślepiłem.

- Po tym wszystkim, co pan mówi, generale, strasznie trudno powiedzieć: nie.

- Więc niech pan powie: tak.

Shaw podjął decyzję. Wzruszył ramionami i, znowu ze zwykłą pewnością siebie, oświadczył:

- Spróbuję.

Simms popukał nerwowo palcami w biurko.

- Wspaniale. - Wyciągnął szufladę, wyjął z niej kopertę i położył przed Shawem. - Tu jest bilet lotniczy, czeki i paszport na nowe nazwisko. Mam nadzieję, że dane w paszporcie są w porządku?

- Tak - odparł Shaw, ledwie zajrzawszy do koperty. - Będę potrzebował dwóch tygodni na uporządkowanie swoich spraw... Simms przerwał mu niecierpliwym ruchem ręki.

- Pański samolot startuje pojutrze. Zajmiemy się pańskimi sprawami tutaj. Życzę pomyślnych łowów.

- Nie spodziewa się pan po mnie zbyt wiele? Simms uśmiechnął się szeroko.

- Postawiłem na starego konia bojowego, który aż rwie się do jeszcze jednej bitwy.

Teraz z kolei Shaw musiał się uśmiechnąć. W końcu wypadało okazać trochę poczucia humoru.

- To po co była ta maskarada?

Simms zdrętwiał, wyglądał jak zapędzony w kozi róg. Milczał.

- Maskarada? - powtórzył głośniejszym głosem Simms.

- Przecież ten budynek nie był używany od lat.

- To aż tak widać? - spytał cicho Simms.

- Równie dobrze mógł pan wywiesić szyld. Simms wzruszył ramionami.

- Może trochę przesadziłem, ale Amerykanie mają niemiły zwyczaj podglądania tego, co robi wywiad brytyjski. Zresztą, musieliśmy sprawdzić, czy jest pan równie spostrzegawczy jak dawniej.

- A więc to był test?

- Może pan to i tak nazwać. - Simms wstał i wyszedł zza biurka. Wyciągnął rękę na pożegnanie. - Przepraszam, że zakłóciłem pański spokój. Nie dla osobistej fantazji zawracam głowę komuś, kto może wolałby już odpocząć. Ale jestem jak ślepiec we mgle - a pa wydaje mi się jedynym wiarygodnym przewodnikiem.

Dziesięć minut później brygadier Simms i jego sekretarka stanęły w windzie, która grzechocząc zsuwała się w dół. Simms wyglądał~” całkowicie pogrążonego w myślach.

- Dziwny facet - powiedziała sekretarka, wkładając na głowę kaptur przeciwdeszczowy. Simms podniósł wzrok.

- Przepraszam...?

- Pan Shaw. Chodzi cicho jak kot. Aż się przestraszyłam, kiedy czekałam na niego przy windzie i nagle okazało się, że już stoi za mną.

- Wszedł po schodach?

- Z dziewiątego piętra. Zorientowałam się po światłkach nad drzwiami.

- Spodziewałem się tego. To dobrze, że mimo upływu lat nie stracił węchu.

- Wygląda na sympatycznego faceta.

- Ten sympatyczny facet ma na swoim koncie co najmniej dwadzieścia trupów. Oczywiście zawsze w słusznej sprawie.

- Czyli dałam się nabrać?

- To też punkt na jego korzyść, dostał takie zadanie, że jeszcze wielu ludzi będzie musiał nabrać - mruknął pod nosem Simms. Drzwi windy rozsunęły się ze zgrzytem. - Chyba jednak nie zdaje sobie sprawy, jak trudnej rzeczy się podjął. Chwilami mam wyrzuty sumienia, czuję się tak, jakbym wrzucił go do morza między rekiny.

## ROZDZIAŁ 16

Brian Shaw wyszedł z sali kontroli paszportowej i stanął jak wryty. Przed nim stał człowiek w mundurze oficera marynarki brytyjskiej.

- Pan Shaw?

- Tak.

- Porucznik Burton-Angus z ambasady. Przepraszam za spóźnienie, ale utknąłem w jakimś korku. Witam w Waszyngtonie. Shaw popatrzył krytycznie na mundur rozmówcy.

- Nie za bardzo się afiszujemy?

- Nie sądzę. - Burton-Angus uśmiechnął się. - Przeciwnie, byłoby podejrzane, gdybym pojawił się na lotnisku po cywilnemu. lepiej zachować pozory rutynowego postępowania.

- Muszę jeszcze odebrać bagaż.

- Nie trzeba. Prawdę mówiąc, pański pobyt w stolicy potrwa raczej krótko.

- Rozumiem. Dokąd lecę i o której?

- Za czterdzieści minut, do Los Angeles. Mam dla pana bilet.

- Może mi pan powiedzieć coś więcej?

- Oczywiście, po to tu jestem - odparł Burton-Angus, biorąc go pod ramię. - Ale może najpierw wmieszajmy się w tłum, to najskuteczniej utrudnia podsłuch, zarówno osobisty jak i elektroniczny.

Shaw przytaknął z aprobatą.

- Dawno pracuje pan dla firmy?

- Generał Simms zwerbował mnie sześć lat temu. - Burton-Angus sterował w stronę lotniskowej księgarni. - Pewnie pan wie, że mam pewien udział w rozpoznaniu tej sprawy?

- Czytałem raport. To pan natrafił na pierwszą informację o traktacie?

- Tak, powiedział mi o tym historyk z Senatu.

- Ten... Jack Murphy?

Oficer skinął głową.

- Wyciągnął pan z niego coś więcej?

- Generał Simms uznał, że nie trzeba go specjalnie naciskać. Powiedziałem Murphy'emu, że w Londynie nie ma żadnych wzmianek o tym traktacie.

- I uwierzył?

- Nie miał powodu nie wierzyć.

- Czyli skreślamy go i szukamy kogoś innego?

- Właśnie po to leci pan do Los Angeles. Murphy dowiedział się o traktacie od pewnej kobiety, oficera marynarki, która studiuje tę sprawę. Znalazł dla niej jakąś starą fotografię. Potem jeden z naszych ludzi włamał się do jego biura i przejrzał rejestr zamówień: jedyna kobieta oficer, jaka ostatnio figuruje w tym rejestrze, to niejaka Heidi Milligan, komandor-podporucznik.

- Mamy szansę ją znaleźć?

- Komandor Milligan jest oficerem łączności na okręcie desantowym, który właśnie wyruszył na Ocean Indyjski. Dwa dni temu wypłynął z San Diego.

Shaw zatrzymał się.

- To po co ja tam lecę?

- Na nasze szczęście ten okręt, USS „Arvada”, zacumuje jeszcze na trzy dni w Los Angeles. Chodzi o jakieś modyfikacje w automatyce sterów.

Ruszyli dalej. Shaw patrzył na porucznika z coraz większym uznaniem.

- Dużo pan wie.

- To moja praca - odparł Burton-Angus skromnie. - Zresztą, Amerykanie niewiele ukrywają przed Brytyjczykami.

- No, to ma pan komfortową sytuację.

Ironicznie brzmiąca uwaga speszyła nieco porucznika.

- Przejdźmy lepiej do hali odlotów. Pański samolot stoi przy rękawie numer 22.

- Może jednak przekaże mi pan nowe instrukcje, skoro nastąpiła zmiana planu.

- Oczywiście... Ma pan trzy doby na zorientowanie się, co wie komandor Milligan.

- Będę potrzebował pomocy.

- W hotelu w Los Angeles skontaktuje się z panem niejaki Graham Humberly. To dobrze prosperujący dealer rolls-royce'ów. Zaaranżuje dla pana spotkanie z komandorem Milligan.

- Zaaranżuje spotkanie z komandorem Milligan! - powtórzył sarkastycznie Shaw.

- Właśnie tak - potwierdził Burton-Angus, nie zrażony tonem Shawa. - Humberly to były obywatel brytyjski. Utrzymuje tutaj rozległe kontakty towarzyskie, także z oficerami floty amerykańskiej.

- I wejdziemy sobie po trapie na pokład USS „Arvada” gwizdząc Britannia rules he waves... i pogawędzimy sobie z jednym z oficerów.

- Myślę, że Humberly mógłby i to załatwić - odparł Burton-Angus stanowczo. Shaw zaciągnął się głęboko papierosem i popatrzył poważnie na porucznika.

- Dlaczego ja? - spytał.

- O ile wiem, panie Shaw, był pan kiedyś najskuteczniejszym pracownikiem operacyjnym. I umie pan postępować z Amerykanami. Humberly chce przedstawić pana jako biznesmena brytyjskiego, kolegę z czasów wspólnej służby w Royal Navy. Jest pan w tym samym wieku co on.

- To brzmi przekonująco, przyznaję.

- Generał Simms nie oczekuje cudów. Od tej Milligan nie dowie się pan dużo, to w najlepszym razie tylko punkt wyjścia.

- Ale dlaczego ja? - powtórzył swoje pytanie Shaw. Burton-Angus zatrzymał się i popatrzył na monitor telewizyjny z rozkładem odlotów.

- Pański samolot startuje bez opóźnienia. Proszę, tu jest bilet. Może się pan nie martwić o bagaż, zajęliśmy się tym.

- Mam zgadywać? - nalegał Shaw.

- No cóż, myślę, że zadecydowały pańskie sukcesy... w kontaktach z kobietami. Generał Simms uważa to za ważny atut. Dowiedzieliśmy się, że komandor Milligan przeżyła ostatnio intymną przygodę z pewnym dwa razy od niej starszym admirałem - i to niewątpliwie przechyliło szalę na pańską stronę.

Shaw spiorunował go wzrokiem.

- To i takimi sprawami musi się pan zajmować?

- Och, życie osobiste innych interesuje nas tylko trochę - słabo zaprotestował Burton-Angus.

- Powiedział pan, że już sześć lat jest pan w firmie?

- Sześć lat i cztery miesiące, jeśli mam być ścisły.

- Uczyli „pana, jak rozpoznawać ogony? Oczy porucznika zwęziły się podejrzliwie.

- To był jeden z przedmiotów obowiązkowych, zdawaliśmy z tego egzamin. Dlaczego pan pyta?

- Bo coś mi się zdaje, że dzisiaj oblałby pan ten egzamin. - Shaw zaczął chwilę, aż jego, słowa zrobią odpowiednie wrażenie. - Widzi pan tego człowieka z metalową dyplomatką? Patrzy niewinnie na zegarek. Ale szedł krok w krok za nami od momentu odprawy paszportowej. A ta stewardesa w mundurze Pan American: co ona tutaj robi? Jej linia ma swoje stanowiska w innej sali. Jak ich znam, to powinien być



jeszcze ktoś trzeci, na razie go nie zidentyfikowałem.

Burton-Angus zbladł jak ściana.

- To niemożliwe - szepnął. - Wcale nas nie śledzą... Shaw okazał swój bilet, dziewczynie stojącej przy wejściu do rękawa. Potem znowu obrócił twarz w stronę porucznika.

- Mam wrażenie, że i Brytyjczycy niewiele ukrywają przed Amerykanami - powiedział najbardziej sardonicznym tonem, na jaki mógł się zdobyć. Burton-Angus wyglądał jak człowiek, który tonie w bagnie.

Shaw rozparł się wygodnie w fotelu. Poczul, że ma ochotę na szampana. Stewardesa przyniosła dwie butelki i plastikowe kubki. Spojrzał na etykiety: California. To, o czym marzył, to był raczej bardzo wytrawny Taittinger. Perliste kalifornijskie w plastikowych kubkach, pomyślał z niesmakiem, kiedyż ci Amerykanie nabiorą ogłady? Ale już po pierwszej buteleczce jego umysł rozjaśnił się na tyle, że mógł dokonać przeglądu sytuacji. Tak jak przewidywał brygadier Simms, CIA wzięła go pod dyskretny nadzór, zaledwie wsiadł do samolotu w Londynie. Nie przejmował się tym. Właściwie wolał nawet otwartą rozgrywkę, zamiast udawania, że jest nikim. Odczuwał przyjemne podniecenie na myśl, że znów będzie robił to, w czym był kiedyś taki dobry. Jego zmysł gończy wciąż działał: może odrobinę wolniej, ale nadal ostro i precyzyjnie.

## ROZDZIAŁ 17

Obskurna stacja benzynowa, pamiętająca czasy drugiej wojny światowej, znajdowała się na peryferiach Ottawy. Prosta stalowa konstrukcja osłaniała wysepkę z trzema dystrybutorami, poobijanymi i odrapanymi. W sklepiku, na półkach między puszkami oleju leżały wyschnięte muchy, przez brudne szyby ledwie było widać wyblakłe plakaty, reklamujące jakąś dawno zapomnianą wyprzedaż opon.

Henn Yillon skręcił z szosy na podjazd i zatrzymał mercedesa przy dystrybutorze. Spod samochodu stojącego na kanale naprawczym wynurzył się pracownik stacji, w kombinezonie poplamionym smarami, i podszedł, wycierając po drodze ręce w szmatę.

- Co ma być? - spytał ze znudzoną miną.

- Do pełna, proszę - odparł Yillon.

Pracownik spojrzał uważnie na parę starszych ludzi, siedzących na ławce na pobliskim przystanku autobusowym, i oświadczył głośno, tak że musieli go słyszeć:

- Tylko dwadzieścia litrów, wie pan przecież, że obowiązują ograniczenia.

Villon nie protestował. Tamten uruchomił pompę, obszedł samochód i pokazał palcem maskę silnika, Yillon pociągnął dźwignię zamka.

- Powinien pan zmienić pasek klinowy - powiedział mechanik, zajrzawszy do środka. - Niech pan zobaczy, jaki popękany.

Yillon wysiadł i schylił głowę nad silnikiem. Starał się mówić jak najciszej.

- Zdajesz sobie sprawę, jakie są skutki twojego partactwa? Foss Gly wzruszył ramionami.

- Co się stało, to się nie odstanie. Była zadymka i pierwsza rakieta po prostu nie trafiła.

- Jak to: po prostu?! - wypalił Yillon. - Prawie pięćdziesiąt osób zginęło na darmo. A jeśli komisja odkryje przyczynę katastrofy, to parlament zrobi ostre śledztwo we wszystkich organizacjach, nawet u skautów. Prasa też podniesie straszny krzyk, jak się dowie, że zamordowano dwudziestu czołowych publicystów politycznych. I oczywiście pierwsze podejrzenia padną na Stowarzyszenie Wolnego Quebecu.

- Nie ma żadnych śladów prowadzących do AQL. - Ton Gly'a był chłodny i stanowczy.

- Cholera! - Yillon z całej siły walnął pięścią w zderzak. - Żeby chociaż ten Sarveux zginął. Rząd byłby w rozsypce i moglibyśmy już coś zrobić dla Quebecu.

- I twoi kumple na Kremlu byliby zachwyceni.

- Jeśli jeszcze raz zdarzy nam się taki niewypał, nie będę już mógł liczyć na ich pomoc.

Gly wyciągnął rękę w stronę silnika, udając, że coś przy nim robi.

- Po co właściwie zadajesz się z czerwonymi? Uważaj: wystarczy, że raz się im sprzedasz, i już nigdy cię nie wypuszczą z łap.

- Gównu cię to obchodzi, ale powiem. Rząd prokomunistyczny to jedyna szansa niepodległości Quebecu. Gly nadal udawał, że dłubie w silniku.

- Więc czego chcesz ode mnie? Yillon zastanawiał się przez chwilę.

- Chodzi o to, żebyście nie wpadali w panikę, ty i twoi „specjaliści”. Nigdzie nie uciekajcie, nie zmieniajcie oficjalnego miejsca pracy. Was przecież nikt nie będzie podejrzewał: żaden z was nie jest Francuzem.

- Mamy siedzieć i czekać, aż nas wyłapią?

- Zapominasz chyba, że to ja jestem ministrem spraw wewnętrznych, wszystkie sprawy związane z bezpieczeństwem przechodzą przez moje ręce. Wszystko, co mogłoby prowadzić do was, zginie gdzieś w moich papierach.

- Jednak lepiej bym się czuł po tamtej stronie granicy.

- Przeceniasz niebezpieczeństwo, Gly. Nasz rząd już ledwie się trzyma. Prowincje skaczą sobie nawzajem do gardeł. Rozpad Kanady jest tylko kwestią czasu. Sarveux to czuje. Ci angielscy sztywniacy codziennie przekrzykują się w tym kamiennym grobowcu nad Tamizą też to wiedzą. Kanada, taka jaką znamy, długo już nie pociągnie. A w tym chaosie, możesz mi wierzyć, zgubisz się jak igła w stogu siana.

- I nie dostanę żadnej roboty - zgodził się ponuro Gly.

- Dostaniesz, dostaniesz. Jak długo istnieją rządy, korporacje finansowe i prywatni bogacze, ludzie twojego pokroju nie będą musieli zarabiać na życie sprzedawaniem odkurzaczy.

Gly pokręcił sceptycznie głową i zmienił temat.

- Jak mam się z tobą kontaktować w razie jakichś problemów? Villon chwycił ramię Gly'a żelaznym uściskiem.

- Zapamiętaj sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, nie będzie już żadnych problemów. A po drugie, nie próbuj pod żadnym pozorem kontaktować się ze mną. Nie może być nawet cienia podejrzeń, że coś mnie łączy z AQL.

Zaskoczony Gly aż zmrużył oczy z bólu. Po chwili jednak uśmiechnął się sztucznie i spojrzał prosto w oczy Yillona. Ten rozluźnił uścisk i odpowiedział

uśmiechem.

- Gratuluję. Wygląda na to, że jesteś równie twardy jak ja. Gly miał ochotę rozmasować obolały biceps, ale się powstrzymał.

- Z twarzy też jesteś do mnie podobny - ciągnął swoją myśl Villon, wsiadając do mercedesa. - Gdyby nie twój obrzydliwy nos, moglibyśmy uchodzić za braci.

- Wypchaj się, Villon! - warknął wściekle Gly. Rzucił okiem na parę staruszków, wciąż czekających na przystanku autobusowym, potem na licznik dystrybutora: wskazywał niemal czterdzieści litrów.

- Należy się osiemnaście sześćdziesiąt - powiedział cicho.

- Sam sobie zapłać! - burknął Villon i odjechał.

## ROZDZIAŁ 18

Yillon posmarował masłem grzanekę i sięgnął po poranną gazetę. NIE MA DOWODÓW TERRORYSTYCZNEGO ZAMACHU NA SAMOLOT PREMIERA - przeczytał na drugiej stronie.

Tak, Foss Gly faktycznie dobrze zatarł ślady. Villon, który trzymał rękę na pulsie, wiedział, że rzeczywiście niczego dotąd nie znaleziono, a upływ czasu coraz bardziej zacierał tropy. Zresztą, gdyby nawet... - dzięki swoim wpływom umiałby ukryć wszelkie związki między zabójcami a Stowarzyszeniem Wolnego Quebecu. Na razie jednak nie musiał się o to martwić.

Ale samo przypomnienie postaci Gly'a popsuło mu humor. Prymitywny najemnik, wierzący tylko w jednego boga: mamonę. Z drugiej strony trudno sobie wyobrazić, co taki wściekły pies mógłby zrobić, gdyby nie trzymać go krótko na smyczy.

W drzwiach pojawiła się żona, ładna szatynka o niebieskich oczach.

- Telefon do ciebie, w gabinecie - powiedziała. Wszedł do gabinetu, zamknął za sobą drzwi i podniósł słuchawkę do ucha.

- Yillon.

- Mówi nadinspektor McComb - zadudnił głos jak z głębokiej studni. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam panu w śniadaniu.

- Ani trochę - skłamał Yillon. - To pan szukał tych starych zapisów sądowych?

- Tak jest, sir. Mam na biurku całą teczkę Maxa Roubaix. Może porobię z tego kopie i wyślę panu?

- Nie trzeba. Może mi pan przekazać główne dane przez telefon.

- Tego też będzie sporo - zastrzegł się McComb.

- Wystarczy mi pięciominutowe streszczenie. - Yillon zaśmiał się w duchu. Wyobraził sobie, co myśli teraz McComb. Zaczny ojciec rodziny musiał być wściekły, kiedy minister wyrwał go w niedzielę rano z ciepłego łóżka i kazał grzebać się - nie wiadomo po co - w starych, zakurzonych papierach.

- Te akta mają ponad sto lat, są pisane ręcznie, ale spróbuję to szybko przerzucić... O pierwszych latach życia Roubaix wiadomo niewiele. Nie ma dokładnej daty urodzenia. Podobno był sierotą, wychowywał się w różnych przybranych rodzinach. Po raz pierwszy notowany w wieku lat dwunastu: doprowadzony na posterunek, bo mordował kurczaki.

- Mordował?

- Tak. Na placu targowym odcinał im głowy nożycami do drutu. Zdziętkował w ten sposób stado pewnego farmera. Potem, w innej miejscowości, zabrał się do koni. Popodrzynał gardła wielu zwierzętom, zanim go złapano.

- A więc młodociany morderca z motywacją psychotyczną?

- Ludzie określali to wtedy inaczej: wioskowy idiota. Nie znali terminu: „motywacja psychotyczna”. Co gorsza jednak, nie przyszło im do głowy, że chłopak, który morduje dla przyjemności zwierzęta, lada chwila może to samo robić z ludźmi. Za tę końską jatkę skazali go na dwa lata, ale ze względu na młody wiek - miał wtedy czternaście - pozostawili go na wolności, pod kuratelą konstabla, u którego pracował jako ogrodnik czy też służący. Wkrótce w okolicy zaczęto znajdować włóczęgów i pijaków, brutalnie zaduszonych...

- Gdzie to się działo?

- W promieniu pięciu mil wokół miasteczka Moose Jaw w Saskatchewan.

- Oczywiście aresztowano go jako głównego podejrzanego?

- W dziewiętnastym wieku konni nie działali tak szybko jak dzisiaj. Zanim zaczęli kojarzyć te morderstwa z Roubaix, uciekł gdzieś w lasy Terytorium Północno-zachodniego, pojawił się znowu dopiero podczas powstania Riela, w osiemdziesiątym piątym.

- Chodzi o to powstanie potomków Francuzów i Indian?

- Tak, nazywano ich Metysami. Roubaix zaciągnął się do oddziałów Riela i zasłynął jako najbardziej wydajny zabójca w dziejach Kanady.

- Wróćmy jeszcze do okresu, kiedy zniknął. Długo go nie było?

- Sześć lat. Nie ma żadnych zapisów. Było w tym czasie dużo nie wyjaśnionych zabójstw, które mu przypisywano, ale ani jednego dowodu, ani jednego świadka. Tylko metoda wskazywała, że to Roubaix.

- Metoda? - zaciekawiał się Yillon.

- Tak, większość tych ludzi umarła wskutek uduszenia, a mówiąc ściślej i bardziej fachowo: zadzierzgnięcia. Ale wtedy nikt na to nie zwrócił szczególnej uwagi. Wie pan, trochę inna była wtedy moralność. Ktoś, kto mordował pijaków i włóczęgów, był traktowany przez społeczność lokalną jak dobroczyńca.

- O ile pamiętam, sławę przyniosło mu dopiero to, że w czasie powstania Riela zabił kilku policjantów.

- Trzynastu, jeśli mamy być dokładni.

- To musiał być kawał byka!

- Otóż nie - zaprzeczył McComb. - Sądząc z zapisów, był to człowiek drobnej budowy i chorowity. Lekarz, który badał go przed egzekucją, stwierdził, że „organizm jest wyniszczony suchotami” - tak wtedy nazywali gruźlicę.

- Jak taki cherlak mógł udusić policjanta: silnego, wy trenowanego mężczyznę?

- Roubaix używał garoty, zrobionej z mocnego rzemienia, niewiele grubszego niż drut. Paskudne narzędzie, zdolne przeciąć na pół gardło ofiary. A przy tym działał z zaskoczenia, przeważnie napadał na śpiących. Ośmielę się twierdzić, że tym sposobem i z takim narzędziem mogłaby pana wykończyć nawet żona, mimo że jest pan mistrzem muskulatury, panie Yillon.

- Mówi pan o tej garocie tak, jakby pan ją widział.

- Bo widziałem - stwierdził McComb. - Pan też może ją zobaczyć: leży w gablocie w muzeum Policji Konnej. Roubaix, podobnie jak wielu innych patologicznych morderców, bardzo troszczył się o swoją broń, można powiedzieć, że ją pieścił. Na rękojeściach garoty są pięknie rzeźbione wilki. To prawdziwe dzieło sztuki, naprawdę warto zobaczyć.

- Może zajrzę do tego muzeum, jak mi czas pozwoli - obiecał Yillon bez entuzjazmu. Wciąż zastanawiał się, jaki mógł być sens tego, co Sarveux powiedział Danielle w szpitalu. Nadal nic mu się nie składało. Spróbował z innej strony.

- Panie McComb, jak by pan określił przypadek Roubaix jednym zdaniem?

McComb namyślał się przez chwilę, wreszcie powiedział:

- Morderca-maniak, ze szczególną skłonnością do zaciskania gardeł.

Yillon skoncentrował się, potem znowu się rozluźnił.

- Dziękuję panu, nadinspektorze.

- Czy coś jeszcze?

- Nie, nie, to już wszystko. Bardzo mi pan pomógł.

Odłożył słuchawkę. Popatrzył w przestrzeń, próbując wywołać w myślach obraz opętanego człowieka, skręcającego swoją garotą na szyi ofiary. I wyraz bezgranicznego zaskoczenia na jej twarzy: oczy wychodzące z orbit, zanim zgasną na zawsze.

Tak, bredzenia Sarveux na łożu boleści miały jednak jakiś sens.

## ROZDZIAŁ 19

Pozostający wciąż w szpitalnym łóżku Sarveux uśmiechnął się, kiedy do jego pokoju wszedł wicepremier Malcolm Hunt.

- Dobrze, że znalazłeś dla mnie chwilę, Malcolm. Wyobrażam sobie, jakie piekło masz teraz w Izbie Gmin.

Hunt z przyzwyczajenia wyciągnął na powitanie dłoń, ale szybko cofnął ją, widząc pokryte maścią ręce premiera.

- Weź sobie krzesło i usiądź tu przy mnie - powiedział przyjaźnie Sarveux. - I zapal, jeśli masz ochotę.

- Przez tę fajkę mogę stracić głosy ekologów w następnych wyborach... Nie, lepiej się powstrzymam. Sarveux szybko przeszedł do rzeczy.

- Rozmawiałem z szefem wydziału bezpieczeństwa powietrznego. Twierdzi, że ta tragedia na James Bay to nie był wypadek. Twarz Hunta pobladła gwałtownie.

- Skąd może mieć pewność?

- Znalaziono część pokrywy silnika, w której tkwiły jakieś obce odłamki. Po analizie okazało się, że to fragmenty pancerza rakiety, stosowanej w wyrzutniach typu Argo. Remanent w arsenale armii w Val Jalbert wykazał, że brak dwu takich wyrzutni i kilku pocisków, do nich.

- O Boże! - Głos Hunta drżał. - A więc tych wszystkich ludzi z samolotu zamordowano?

- To właściwe określenie - przyznał chłodno Sarveux.

- Stowarzyszenie Wolnego Quebecu! - wykrzyknął Hunt z oburzeniem. - Nikt inny nie wchodzi chyba w grę?

- Zgadzam się, ale trudno będzie dowieść ich winy.

- Dlaczego? Trzeba być albo durniem, albo nie mieć poczucia rzeczywistości, żeby zrobić coś takiego i liczyć na bezkarność. Konni nie puszcza płazem zamachu terrorystycznego na taką skalę. To jest koniec kariery politycznej AQL.

- Jesteś niepoprawnym optymistą, nie doceniasz ich. To już nie był taki sam zamach, jak te wszystkie bomby, porwania czy zabójstwa z ostatnich czterdziestu lat. Tamto rzeczywiście robili fanatycy, amatorzy, szeregowi działacze AQL. Jatką nad James Bay to już robota profesjonalistów - od początku do końca. Najlepszy dowód, że dotąd nie znaleziono żadnego śladu sprawców. Naczelnny inspektor policji domyśla się tylko, że musieli to być najemnicy, obcokrajowcy.

Hunt utkwiał wzrok w pustej przestrzeni.



- Ci bandyci z AQL mogą jeszcze wywołać wojnę domową.

- Do tego dopuścić nie można - powiedział Sarveux spokojnie. - Nie pozwolę na to.

- Ale to przecież ty groziłeś użyciem wojska przeciw separatystom. Sarveux uśmiechnął się blado.

- Blefowałem. Tobie pierwszemu to mówię, ale tak naprawdę nigdy nie myślałem o wojskowej okupacji Quebecu. Represje wobec zrewoltowanego narodu nie dadzą.

Hunt sięgnął do kieszeni.

- Chyba jednak zapalę fajkę.

- Nie krępuj się.

Przez dłuższą chwilę obaj milczeli. Wicepremier nabijał tytoniem piękną wrzoscową fajkę, rozpalał ją wprawnie, wreszcie dmuchnął pod sufit niebieskawym dymem i zapytał:

- Co przewidujesz?

- Kanada rozpadnie się, nie mamy żadnego sposobu, żeby to powstrzymać - powiedział Sarveux ze smutkiem. - Zresztą, niepodległość Quebecu była czymś nieuniknionym od samego początku, autonomia w ramach konfederacji - to był tylko żalony półśrodek.

Ale teraz także Alberta chce się odłączyć, coraz więcej mówi się o państwowości Ontario i Kolumbii Brytyjskiej.

- Zrobileś wiele, Charles, żeby zachować jedność, żebyśmy nadal byli razem. Nikt nie może zaprzeczyć...

- To był błąd - przerwał Sarveux. - Zamiast opóźniać i powstrzymywać usamodzielnienie prowincji, trzeba było raczej rozsądnie, po ludzku zaplanować ten proces. Teraz już za późno: Kanada jest nieodwracalnie podzielona i skłócona.

- To zbyt pesymistyczna opinia, nie mogę się z nią zgodzić - powiedział Hunt głośno, ale bez przekonania.

- Zrozum - wyjaśniał cierpliwie Sarveux, patrząc prosto w oczy rozmówcy. - Przepaść między prowincjami anglosaskimi a Quebeciem jest zbyt wielka, żeby zasypać ją pięknymi, patriotycznymi słowami. Tu nie chodzi tylko o to, że wy mówicie po angielsku, a my po francusku. Ty sam, dla przykładu: z pochodzenia Brytyjczyk, absolwent Oksfordu. Należysz do anglosaskiej elity, która zawsze dominowała w życiu politycznym i gospodarczym tego kraju. To wy stanowicie establishment Kanady. W

waszycy szkołach wiszą wszędzie fotografie królowej. Dzieci quebeckie gapią się w swoich klasach na generała de Gaulle'a, a potem, w dorosłym życiu, mają nikłe szanse na sukces finansowy lub polityczny.

- Wszyscy jednak jesteśmy patriotami kanadyjskimi - zaprotestował Hunt.

- Niestety, nie wszyscy... Jest między nami ktoś, kto sprzedał się Moskwie.

Hunt aż podskoczył z wrażenia. Wyrwał fajkę z ust.

- Kto? O kim ty mówisz?

- O szefie AQL. Tuż przed wizytą na James Bay dowiedziałem się, że ten człowiek zawarł z Rosjanami tajną umowę, która wejdzie w życie, kiedy Quebec oderwie się od konfederacji. Co gorsza, jest on w dobrych stosunkach z Julesem Guerrierem.

- Co? Z premierem Quebecu? Nigdy w to nie uwierzę! Jules kocha francuską tradycję, ale jest Kanadyjczykiem do szpiku kości. A jego niechęć do komunizmu i do AQL jest sławna i na pewno szczerą.

- Ale Jules, tak samo jak my, zawsze zakładał, że AQL to fanatyczni terroryści z marginesu społecznego. To nieprawda. Szefem AQL nie jest żaden z tych małych krzykaczy politycznych. Dostałem wiadomość, że ten człowiek zajmuje wysokie stanowisko w rządzie Kanady.

- Kto to jest, powiedz wreszcie? I skąd to wiesz? Sarveux spokojnie pokręcił głową.

- Nie mogę podać źródła informacji, nawet tobie - poza tym, że pochodzi ona z zagranicy. A co do nazwiska zdrajcy, to po prostu, jeszcze nie mam pewności. W kontaktach z Rosjanami używa różnych, pseudonimów. Nie rozszyfrowano dotąd jego tożsamości.

- Boże, strach pomyśleć, co będzie, jeśli coś się stanie z Julesem.

- To oczywiste: rozsypie się Parti Quebecois, a jej miejsce w polityce zajmie AQL.

- Chcesz powiedzieć, że Rosja zdobędzie silny przyczółek w Ameryce Pomocnej?

- Tak. - Głos Sarveux brzmiał złowieszczo. - Dokładnie tak.

## ROZDZIAŁ 20

Henri Yillon uśmiechnął się krzywo do swego odbicia w lustrzanej ścianie sterowni systemu energetycznego James Bay. Dziesięć pięter i niżej, w wielkiej hali generatorów znalazł rozwiązanie zagadki, którą ułożył dla niego Charles Sarveux.

Naczelny dyrektor, Percival Stuckey, stał za jego plecami coraz bardziej zmieszany i przerażony.

- Muszę stanowczo zaprotestować - powiedział wreszcie. - To absolutnie nieuczciwe.

Yillon odwrócił się i spojrzał mu prosto w oczy lodowatym wzrokiem.

- Zapewniam pana, jako poseł i jako minister spraw wewnętrznych w rządzie pana Sarveux, że ta próba jest bezwzględnie potrzebna naszemu państwu, a uczciwość nie ma tu nic do rzeczy.

- Ale to wbrew wszelkim przepisom - próbował jeszcze bronić się Stuckey.

- Mówi pan jak typowy urzędnik. - Ton Yillona stał się cyniczny. - Może jednak zechce pan zrobić to, czego domaga się przedstawiciel rządu.

Stuckey próbował zyskać na czasie.

- Wyłączenie miliardów watów to skomplikowana operacja: wymaga skoordynowanego działania kilku osób. A w dodatku to niebezpieczne, większość wyłączonego prądu możemy skierować do ziemi, ale i tak ryzykujemy przeciążenie systemów.

- Potrafi pan to zrobić, czy nie?

Strzał był celny: pytanie podrażniło próżność Stuckeya.

- Oczywiście, potrafię. Ale w dalszym ciągu nie rozumiem, dlaczego mamy pozbawiać prądu wszystkie miasta od Minneapolis po Nowy Jork.

- Tylko na pięć sekund - odparł wymijająco Yillon. - Odetnie pan dopływ energii do Stanów tylko na pięć sekund.

Stuckey zrezygnował z dalszego oporu. Pochylił się nad operatorami siedzącymi przy pulpicie sterowniczym i dotknął kilku wyłączników. Rozjarzyły się zawieszane pod sufitem monitory telewizyjne. Pokazywały w panoramicznym ujęciu obrazy z różnych miast.

- Te po prawej są chyba jaśniejsze - zauważył Yillon.

- W Bostonie, Nowym Jorku i Filadelfii jest już ciemno. - Stuckey spojrzał na zegarek. - Ale w Chicago dopiero się zmierzcha, a w Minneapolis wciąż świeci słońce.

- To jak się pan przekona, że i tam nie ma prądu?

Stuckey znów sięgnął do pulpitu. Na monitorze Minneapolis pojawił się obraz ruchliwego skrzyżowania: był tak wyraźny, że Yillon bez trudu rozpoznał narożnik Trzeciej Ulicy i Hennepin Avenue.

- Sygnalizacja uliczna - wyjaśnił Stuckey. - Jak zgasną wszystkie światła, na pewno to zobaczymy.

- Czy to obejmie również Kanadę?

- Tylko miasta przygraniczne, te, które są za głównym rozgałęzieniem.

Operatorzy zaczęli przesuwac dzwignie na pulpicie. Dyrektor powstrzymał ich, odwrócił się i wbił w Yillona twarde spojrzenie.

- Nie biorę żadnej odpowiedzialności za konsekwencje.

- Oczywiście, pański protest zostanie sumiennie odnotowany.

Yillon patrzył na monitory, przeżywał nagły, niespodziewany moment wahania. Niemal fizycznie odczuwał ciężar decyzji, którą miał za chwilę podjąć. Pięć sekund: niewiele, ale wystarczająco dużo, żeby tamci zrozumieli ostrzeżenie. Wyzbył się ostatnich wątpliwości.

- Proszę wykonać...

Z napięciem patrzył, jak jedna czwarta Stanów Zjednoczonych pogrąza się w ciemnościach.

**CZEŚĆ II**  
**RÓŻDŻKA**

## ROZDZIAŁ 21

Marzec 1989, Waszyngton, D.C.

Bezradność, może nawet trwoga - takich uczuć doświadczał Alan Mercier, kiedy późnym wieczorem przeglądał stosy raportów wojskowych, ostrzegających o zagrożeniu bezpieczeństwa narodowego. Zastanawiał się, czy nowy prezydent zdaje sobie sprawę z tych wszystkich groźnych realiów. Tak czy inaczej jego żartobliwa zapowiedź ogłoszenia bankructwa państwa zasługiwała na potępienie.

Mercier rozprostował się i przetarł zmęczone oczy. Leżące przed nim krótkie, jednokartkowe notatki nie były już - jak dawniej, gdy pracował naukowo - materiałem do refleksji, sugestii, propozycji. Teraz musiał podejmować na ich podstawie decyzje, dramatycznie ważące na losach milionów żywych ludzi. Nagle poczuł się całkiem bezsilny. Ogrom spraw przerastał jego pole widzenia i jego wyobraźnię. Rządzenie światem stało się zbyt skomplikowane, by mogła sobie z tym poradzić garstka ludzi. Czuł się jak człowiek, którego porwała wielka fala przyływu, pędząca ku skalistym brzegom.

Te czarne myśli przerwał jeden z jego asystentów, zajrzał do gabinetu i wskazał ręką telefon.

- Dzwoni doktor Klein. Mercier podniósł słuchawkę.

- Cześć Roń. Widzę, że tobie także nie starcza dnia na pracę.

- To prawda... Dzwonię, bo pomyślałem, że będziesz ciekaw, czego się dowiedziałem w sprawie tej subwencji.

- No właśnie, na co to poszło?

- Tego jeszcze nie wiem.

- To co wiesz?

- Subwencja rzeczywiście trafiła do Departamentu Energii. Ale natychmiast przepompowano ją do innej agencji rządowej.

- Do której?

- Do NUMA, Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych.

Mercier milczał, namyślając się.

- Jesteś tam, Alan?

- Tak, przepraszam...

- Wygląda więc na to, że my byliśmy tylko pośrednikiem skrzynką pocztową - ciągnął Klein. - Żałuję, że nie mogę powiedzieć nic więcej, ale na razie tylko tyle znalazłem.

- To jakaś mętna sprawa - zastanawiał się głośno Mercier. - Dlaczego właśnie Departament Energii musiał pośredniczyć w przekazaniu tak wielkich sum agencji zajmującej się badaniami morskimi?

- Naprawdę nie wiem. Chcesz, żeby moi ludzie zbadali głębiej te sprawę?

Mercier namyślał się przez chwilę.

- Nie, lepiej zajmę się tym sam. Taka sonda wywołuje mniej zamieszania, jeśli wychodzi z neutralnego źródła.

- Nie zazdroścę ci starcia z Sandeckerem.

- Mówisz o tym dyrektorze NUMA? Nie znam go, podobno to antypatyczny facet?

- To bardzo łagodne określenie - skomentował Klein. - Ja goj znam i znam też kupę ludzi w Waszyngtonie, którzy by cię ozłocili, gdybyś choć trochę przetrzepał mu skórę.

- Ale słyszałem też, że to uczciwy człowiek.

- To tęga głowa. Za mądry jest, żeby wchodzić w brudne interesy. Kręci się trochę koło polityki, ale bardzo ostrożnie dobiera sobie przyjaciół. Dlatego nikt jeszcze z nim nie wygrał, chociaż czepiali się go o różne sprawy. Jeśli i ty masz coś przeciwko niemu, to musisz się przygotować na ciężki bój.

- Dopóki niczego mu nie udowodnię, muszę go uważać za niewinnego.

- Oczywiście. Ale powiem ci jeszcze, że bardzo trudno go złapać. Nigdy nie odpowiada na telefony, prawie nigdy nie siedzi w swoim biurze.

- Wymyślę jakiś sposób - powiedział Mercier z pewnością , siebie. - Dziękuję za pomoc.

- Nie ma za co - odparł szczerze Klein. - Życzę powodzenia. Mam wrażenie, że przydałby ci się teraz jakiś sukces.

## ROZDZIAŁ 22

Każdego popołudnia, dokładnie za pięć czwarta, admirał James Sandecker, naczelny dyrektor Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych opuszczał swój gabinet, by zjechać windą na dziesiąte piętro, do działu łączności.

Sandecker był niski, szczupły, nosił krótko przystrzyżoną brodę, która świetnie komponowała się z gęstą rudą czupryną, w której pojawiały się dopiero pierwsze ślady siwizny. Mimo wieku - miał już sześćdziesiąt jeden lat - cieszył się świetnym zdrowiem. Bardzo zresztą dbał o swoją formę: pochłaniał regularnie duże porcje witamin i tabletek czosnkowych i co dzień rano pokonywał biegiem sześciomilową trasę z domu do biura.

Tego popołudnia wszedł, jak zwykle, tuż przed czwartą do wielkiej - piętnaście tysięcy stóp kwadratowych - sali łączności, wypełnionej aparaturą. Pracowało tu czterdziestu pięciu inżynierów i techników. Sześć satelitów, krążących po wysokich orbitach, łączyło tę salę ze stacjami meteo, okrętami oceanograficznymi i setką innych zespołów badawczych NUMA, rozrzuconych po całym świecie.

Dyrektor działu popatrzył nań bez zdziwienia: znał już dobrze zwyczaje Sandeckera.

- Sala projekcyjna „B”, admirale, bardzo proszę.

Sandecker skinął głową i wszedł do pokoju przypominającego małe kino. Zanurzył się w miękkim fotelu i cierpliwie czekał, aż na ekranie pojawi się obraz.

Z ekranu przenikliwym wzrokiem patrzył na admirała wysoki, kościsty facet z krzywym uśmiechem na twarzy. Śniady, czarnowłosy - wyglądał jak skała, stawiająca śmiały opór wielkim falom oceanu. Trzy tysiące mil od Waszyngtonu Dirk Pitt siedział rozparty w obrotowym fotelu, nogi ułożył - bez żadnego szacunku - na pulpicie sterowniczym, w rękę trzymał mocno nadgryzioną kanapkę.

- Przepraszam, admirale, zaskoczył mnie pan w trakcie posiłku.

- Skąd ten Wersal? Nigdy nie dbałeś specjalnie o formy.

- Może stąd, że tu jest cholernie zimno, zimniej niż w dupie polarnego niedźwiedzia. Zużyliśmy już chyba tonę paliwa, żeby się trochę rozgrzać.

- „Różdżka” to nie statek wycieczkowy. Pitt odłożył kanapkę.

- Może i nie, ale załoga byłaby wdzięczna, gdyby przed następnym rejssem zapewnił nam pan trochę lepsze ogrzewanie.

- Na jakiej głębokości jesteś? Pitt spojrzał na zegary.

- Siedemset trzydzieści stóp. A woda ma około zera Celsjusza. To naprawdę nie



są warunki do gry w piłkę wodną.

- Masz jakieś problemy?

- Żadnych - odparł Pitt, wciąż krzywo uśmiechnięty. - „dżka” zachowuje się bez zarzutu, jak wytworna dama.

- Mamy coraz mniej czasu - oznajmił Sandecker spokojnie. - W każdej chwili spodziewam się telefonu od nowego prezydenta, na pewno zapyta, co osiągnęliśmy.

- Będę tu tkwił z załogą, dopóki się paliwo nie wyczerpie. N więcej nie mogę panu obiecać, admirale.

- Znalazłeś jakieś minerały?

- Tak: dużo rud żelaza, nadające się do eksploatacji złoża uranu toru, złota i manganu. Właściwie prawie wszystko - z wyjątkiem naszego głównego celu.

- Ale pokłady geologiczne nadal są obiecujące?

- Tak, nawet coraz bardziej, ale nie zlokalizowałem ani jednego wypiętrzenia czy siodła.

- Wiesz, że najbardziej liczę na jakąś pułapkę stratygraficzną? To, największa szansa na bogate złożo.

- Niestety, admirale, „Róźdzka” nie potrafi produkować złotego piasku, może go tylko znaleźć.

- Dobra, szukaj dalej, tylko rozglądaj się uważnie. Nie będę ci mógł w żaden sposób pomóc, jeśli cię złapią po drugiej stronie ulicy.

- Właśnie chciałem zapytać: czy przypadkiem ktoś postronny nie może namierzyć tych naszych telewizyjnych konwersacji?

- Może, ale ma szansę jak jeden do czterdziestu.

- Jak pan to policzył?

- Nasza sieć obejmuje czterdzieści innych stacji nadawczych. Wszystkie odbierają ten sygnał przez satelity i natychmiast retransmitują go, z opóźnieniem milisekund. Jeśli ktoś przypadkiem złapie, twój głos i obraz i będzie próbował namierzyć, stwierdzi, że sygnały dochodzą z czterdziestu różnych punktów globu. Nigdy nie zgadnie, który jest pierwotny.

- Miejmy nadzieję, że jakoś przeżyję...

Sandecker patrzył, jak ekran z obrazem Pitta gaśnie. Wstał i wyszedł z salki projekcyjnej. Powędrował schodami dwa piętra wyżej, do sekcji komputerów. W szklanej kabinie, odseparowany od szumu maszyn, człowiek w białym fartuchu studiował długie wstęgi wydruków komputerowych. Spojrzał znad okularów na

przybysza.

- Dobry wieczór, doktorku - pozdrowił go Sandecker.

Doktor Ramon King odpowiedział tylko gestem, podnosząc w górę ołówkę. Miał bladą, szczupłą twarz z wystającą szczęką. Krzaczaste brwi nadawały jej stały wyraz: trudno było z niej wyczytać myśli czy choćby zmiany nastrojów właściciela.

„Doktorek” King mógł mieć powody do dumy. To jego genialne pomysły umożliwiły zbudowanie „Róźdzki”.

- Wszystko w porządku? - spytał Sandecker, nie bardzo wiedząc, jak zacząć rozmowę.

- Sonda działa doskonale, jeśli o to panu chodzi. Tak samo jak wczoraj, przedwczoraj i przez poprzednie dwa tygodnie. Gdyby nasza dziecina miała jakieś kłopoty z ząbkami, pan dowie się o tym pierwszy.

- Chodzi mi raczej o dobre wiadomości, niż o brak złych. King odłożył na bok wydruki i stawiał czoło Sandeckerowi.

- Nie wystarcza panu gwiazdka z nieba, chce pan jeszcze mieć księżyc na dodatek. Właściwie po co ciągniemy tę ryzykowną wyprawę? „Róźdzka” sprawdziła się już pod każdym względem. Sonduje głębiej, niż mieliśmy prawo się spodziewać. Otwiera niebywale możliwości dla poszukiwaczy. Czy nie można by wreszcie skończyć z tą ciuciubabką i ujawnić nasz wynalazek?

- Nie! - zaprotestował gwałtownie Sandecker. - Dopóki naprawdę nie będę musiał, nie ujawnię!

- Na co pan jeszcze czeka?

- Chcę dowieść, że to jest coś więcej niż te wszystkie rozreklamowane patenty, z których nic potem nie wynika.

King poprawił okulary na nosie i wrócił do swoich wydruków.

- Nie mam usposobienia hazardzisty, admirale - mruknął - ale jeśli bierze pan na siebie cały ciężar gry, to mogę być pańskim pionkiem, chociaż i tak pewnie trafię na czarną listę Departamentu Sprawiedliwości jako współnik. - Przerwał i przez chwilę w milczeniu wpatrywał się w Sandeckera. - Bardzo zaangażowałem się w ten projekt. Zależy mi na jego sukcesie tak samo jak panu i wszystkim innym. Ale jeśli coś się rypnie i ci chłopcy, tam, na dnie oceanu, wpadną w potrzask jak zwykli złodzieje - to obaj, i pan, i ja, zasłużymy na to, żeby nas wysmarować smołą, oblepić pierzem i wygnać na Antarktydę. To nas czeka w najlepszym razie, o najgorszym wolę nawet nie myśleć.

## ROZDZIAŁ 23

Sportowa społeczność Waszyngtonu krzywo patrzyła na osobliwe zwyczaje Sandeckera. Był chyba jedynym w świecie biegaczem, który szlifował chodniki z nieodstępnym niedopałkiem cygara w kąciku ust zupełnie w stylu Winstona Churchilla.

Biegł właśnie, jak co dzień rano, w stronę budynku NUMA, kiedy jakiś człowiek czekający na przystanku autobusowym - tęgi, w wymiętym garniturze - uniósł głowę znad gazety i zawołał w jego stronę.

- Admirale Sandecker, można prosić na słówko?! Sandecker, zaciekawiony, odwrócił na chwilę głowę, ale nie pozna prezydenckiego doradcy i ruszył dalej.

- Proszę zapisać się na rozmowę u mojej sekretarki - wysapał. - Teraz nie mogę tracić rytmu.

- Nie poznaje mnie pan, admirale? Jestem Alan Mercier. Sandecker stanął zdziwiony i zmrużył oczy. Mercier złożył gazet i wstał.

- Przepraszam, że przerywam poranny trening, ale mówiono mi, że inaczej strasznie trudno pana złapać.

- Przecież pański urząd jest nadrzędny wobec mojego. Mógł pan, po prostu wezwać mnie do Białego Domu.

- Nie lubię oficjalnego protokołu. Zresztą, takie nieformalne spotkanie jak tutaj ma liczne zalety.

- Na przykład tę, że dopada pan ofiarę w miejscu, gdzie ona czuje się niepewnie odparował złośliwie Sandecker. - Chytra taktyka, sam też ją czasem stosuję.

- O, mówią nawet, że jest pan prawdziwym mistrzem chytrych taktyk.

Sandecker miał niepewny wyraz twarzy. Po chwili jednak roześmiał się głośno, wyciągnął z kieszeni dresu zapalniczkę i zapalił kikut cygara.

- No, dobra. Nie zatrzymał mnie pan tu przecież po to, żeby mi ukraść portfel. O co chodzi, panie Mercier?

- Powiedzmy, że o parę słów na temat różdżki.

- Różdżki? - Admirał nieznacznie przechylił głowę i tylko w ten sposób wyraziło się jego bezbrzeżne zdumienie. - O, to bardzo interesujący przyrząd, ale chyba wie pan, do czego służy?

- Chętnie dowiem się od pana. Sandecker wzruszył ramionami.

- O ile wiem, służy do poszukiwania wody.

- Na to nie trzeba chyba aż sześciuset osiemdziesięciu milionów dolarów z

kieszeni podatnika?

- Co konkretnie chce pan wiedzieć?

- Po pierwsze: czy ten niezwykle instrument rzeczywiście istnieje?

- Projekt badawczy „Różdzka” rzeczywiście istnieje i, mogę pana zapewnić, przynosi znakomite efekty.

- Czy jest pan gotów je przedstawić, a przy okazji rozliczyć się z wydanych pieniędzy?

- Kiedy?

- W jak najkrótszym terminie.

- Niech mi pan da dwa tygodnie: położę panu tę różdzkę na kolanach, w pięknym opakowaniu na dodatek. Mercier nie dał się nabrać.

- Dwa dni - rzekł sucho.

- Domyślam się, co pan podejrzewa - powiedział Sandecker poważnie. - Ale zapewniam pana, że tu nie ma żadnej afery. Niech pan mi zaufa jeszcze przez tydzień. Po prostu nie zdołam wcześniej tego wszystkiego uporządkować.

- Zaczynani się czuć jak współnik w podejrzanej grze.

- Proszę, tylko tydzień.

Mercier spojrział uważnie w oczy Sandeckera. O Boże, pomyślał, on rzeczywiście prosi o ten tydzień jak o łaskę! Nie tego się spodziewał. Rzucił ukradkowe spojrzenie w stronę swojego samochodu, kierowca zaparkował go blisko przystanku. Skinął nieznacznie głową.

- Dobrze, admirale. Ma pan ten tydzień.

- Ciężko się z panem targować - przyznał Sandecker z krzywym uśmiechem. Bez słowa pożegnania odwrócił się i pobiegł w stronę wysokiego budynku NUMA.

Mercier obserwował oddalającą się, coraz mniejszą sylwetkę. Jak wmurowany tkwił na przystanku autobusowym, choć jego kierowca już od dłuższego czasu cierpliwie czekał przy otwartych drzwiach samochodu. W głowie Merciera dojrzewiała pewna szalona myśl.

## ROZDZIAŁ 24

To był dla Sandeckera ciężki dzień. Po nieoczekiwanym spotkaniu z Mercierem musiał aż do ósmej wieczór zeznawać przed komisją budżetową Kongresu: chwalić się osiągnięciami NUMA, reklamować nowe projekty badawcze, upominać się o przyznane już, ale niechętnie wypłacane pieniądze, a w paru przypadkach rozpaczliwie apelować o dodatkowe środki. Szczerze nie znosił tego biurokratycznego kieratu.

Po lekkiej kolacji w klubie wojskowych dotarł wreszcie do swojego, mieszkania na Watergate. Nalał sobie dużą szklankę maślanki. Zdjął buty i zaczął się rozbierać, kiedy zadzwonił telefon. Może w ogóle by go nie odebrał, gdyby kątem oka nie zauważył, że na aparacie błyska złowieszczą czerwone światelko sygnalizacyjne: specjalne, bezpośrednie połączenie z NUMA.

- Sandecker...

- Mówi Ramon King. Admirale, mamy problem z „Róźdzką”.

- Defekt?

- Gorzej. Nasze sondy wykryły jakiegoś intruza.

- Próbował nawiązać kontakt z „Róźdzką”?

- Na razie nie.

- Może to któraś z naszych łodzi podwodnych, przepływająca przypadkowo w pobliżu? King zawahał się.

- To nie przypadek. Intruz utrzymuje kurs równoległy, odległość cztery tysiące metrów. Wygląda na to, że śledzi „Róźdzkę”.

- Niedobrze...

- Na razie nie wiemy, kto to jest, czekamy na komputerową analizę danych z sondy.

Sandecker przez chwilę milczał, sącząc bezwiednie maślankę, w końcu zdecydował:

- Postawcie na nogi centralę alarmową. Niech ściągną natychmiast Ala Giordino. Na pewno się przyda.

- Czy Giordino wie...? - spytał King z wahaniem.

- Wie wszystko - odparł Sandecker. - Osobiście wtajemniczyłem go w cały projekt, na wypadek gdyby musiał nagle zastąpić Pitta. Ale nie gadajmy tyle: lepiej od razu weźcie się do roboty. Będę tam za kwadrans.

Odłożył słuchawkę. Najgorsza z jego obaw stała się faktem. Wpatrywał się w

białawy płyn w szklance, jakby mógł zobaczyć w nim tajemniczy okręt tropiący bezbroną „Róźdzkę”.

Odstawił szklanekę i szybko ruszył w stronę drzwi, zapominając, że na nogach ma tylko skarpetki.

Głęboko pod powierzchnią Morza Labradorskiego, w pobliżu pomocnych brzegów Nowej Fundlandii, Pitt stał w milczeniu przed ekranem, na którym pojawiały się kolejne wyniki pomiarów sondy. Nadal informacje były skąpe: nie zidentyfikowana łódź podwodna pozostawała wciąż na granicy zasięgu sonaru.

Nagle cały ekran zgasł: nie było już kontaktu z obcym okrętem. Obsługujący aparaturę Bili Lasky popatrzył na Pitta z przeprasającym uśmiechem.

- Niestety, Dirk, nasz gość jest chyba bardzo nieśmiały. Nie lubi, jak go obmacują.

Pitt położył dłoń na ramieniu Lasky'ego.

- Próbuj dalej. Prędzej czy później znowu znajdzie się po naszej stronie płotu.

Przez gąszcz aparatury przedarł się na drugi koniec kabiny sterowniczej, opuścił zainstalowaną przy ścianie drabinkę i zszedł na dolny pokład. Po chwili znalazł się w kajucie nie większej niż dwie połączone budki telefoniczne. Usiadł na krawędzi składanej koi i na małym biurku rozłożył schemat techniczny „Róźdzki”. „Podmorski potworek” - to było najzyczliwsze określenie, jakie przyszło mu do głowy, kiedy po raz pierwszy zobaczył plany najnowocześniejszego w świecie okrętu badawczego. Bo też „Róźdzka” nie przypominała z wyglądu niczego, co dotąd pływało pod wodą.

Zwarta, zamknięta forma mogła wzbudzać śmiech. Różni ludzie różnie ją określali: „środkowa część skrzydła samolotowego, postawiona na sztorce”, „kiosk” łodzi podwodnej oderwany od kadłuba”, albo wreszcie: „metalowy placek, poruszający się w pozycji pionowej”.

Nietypowy kształt „Róźdzki” miał swoją głęboką przyczynę. Był to prawdziwy przewrót w technologii, w samym sposobie myślenia konstruktorów. Dotychczas starali się oni pomieścić wszystkie systemy mechaniczne i elektroniczne w ograniczonej przestrzeni tradycyjnego kadłuba. Inaczej było z „Róźdzką”, jej duralowy kadłub był opakowaniem dostosowanym do kształtów i funkcji aparatury.

Trzyosobowa załoga nie miała tu łatwego życia: ludzie byli jedynie dodatkiem do maszyn, niezbędnym tylko w sytuacjach nietypowych lub awaryjnych. Wszystkie systemy badawcze działały automatycznie, a cały okręt sterowany był zdalnie, z

odległości trzech tysięcy mil, przez komputery centrali NUMA w Waszyngtonie.

- Co byś powiedział na parę kropelek odżyvky, dla rozjaśnienia umysłu?

Pitt uniósł głowę: Sam Quayle, pokładowy elektronik-czarodziej, patrzył na niego poważnym, smutnym spojrzeniem rasowego wyzła. Nie słysząc sprzeciwu, Quayle postawił na biurku dwa plastikowe kubki i małą butelkę brandy, a raczej po brandy: resztką cennego płynu ledwie przykrywała dno.

- Jak ci nie wstyd? - spytał Pitt, daremnie usiłując powstrzymać się od śmiechu.

- Przecież wiesz, że regulamin NUMA bezwzględnie zabrania wnoszenia alkoholu na pokład.

- Och, to nie ja - odparł Quayle tonem urażonej niewinności. - Znalazłem ten pomiot szatana, albo raczej to, co z niego zostało, na mojej koi. Pewnie zostawił to jakiś zabląkany stoczniovec.

- Ciekawe... - powiedział z namysłem Pitt.

- Niby co?

- Taki zbieg okoliczności. Na moją koję też się zabląkał jakiś stoczniovec. - Pitt sięgnął pod poduszkę i wyciągnął butelkę scotcha. Była prawie pełna. Quayle uśmiechnął się szeroko i podsunął Pittowi oba kubki.

- Jeśli nie robi ci to różnicy, zachowam moją miksturę na wypadek ukąszenia żmii.

Pitt nalał, podał kubek koledze, a potem usiadł wygodniej na koi i powoli, cedząc słowa, zapytał:

- Co o tym myślisz, Sam?

- O naszym płochliwym gościu?

- No właśnie. Dlaczego nie zbliży się i nie wykończy nas od razu? Po co ta gra w kotka i myszkę?

Quayle łyknął solidnie i zastanawiał się przez chwilę.

- Prawdopodobnie jego komputer ma kłopoty z identyfikacją „Rózdźki”, a szyper, zanim nas ostatecznie przyciśnie do muru, na pewno musi najpierw powiadomić swoją bazę, że w jego akwenie kręci się jakaś obca łódź podwodna. - Opróżnił kubek i popatrzył tęsknie na butelkę. - Może by tak na drugą nóżkę?

- Proszę. Nie krępuj się.

Quayle potraktował zaproszenie poważnie i nalał sobie do pełna.

- Żeby chociaż można było zobaczyć ich znak rozpoznawczy.

- Na tyle na pewno się nie zbliżą. Swoją drogą, intryguje mnie, jak oni

wyczuwają tę granicę: trzymają dystans, zupełnie jakby byli przywiązani liną.

- To nic tajemniczego... - powiedział Quayle i przerwał, bo whisky paliła mu gardło. - Mają urządzenie wyczuwające nasze i sygnały: wiedzą z dokładnością do kilku metrów, gdzie nasz sygnał wygasa.

Pitt wyprostował się gwałtownie, zmrużył oczy.

- Więc gdybyśmy na przykład...

Nie skończył. Wybiegł z kajuty i błyskawicznie wspiął się po drabince do sterowni. Quayle wypił jeszcze łyk i ruszył w jego ślady. Tyle że wolniej.

- Jest coś nowego? - spytał Pitt. Lasky pokręcił przecząco głową.

- Nieproszeni goście wciąż są bardzo ostrożni.

- Słuchaj: zacznij stopniowo osłabiać sygnał sondy. Może w ten sposób przyciągniemy ich bliżej. A jak już będą w naszym ogródku, włącz pełną moc.

- Myślisz, że nabierzesz ich na taki dziecinny trik? - spytał Quayle sceptycznie. - To przecież zawodowcy najwyższej klasy, kimkolwiek są.

- Dlaczego nie? - Pitt uśmiechnął się szatańsko. - Stawiam moją miksturę przeciw twojej, że dadzą się nabrać.

Quayle wyglądał jak handlarz nieruchomości, któremu właśnie udało się sprzedać nadmorską działkę na pustyni Gobi.

- Przyjmuję.

Przez następną godzinę nic się nie działo. Trzej mężczyźni rutynowo sprawdzali wskazania instrumentów, przeglądali sprzęt. W końcu Pitt, spojrzawszy na zegarek, wydał polecenie:

- Przygotować systemy!

- Systemy gotowe - potwierdził wykonanie rozkazu Lasky.

- No to macaj tych drani. Pełna moc sondy! Ekran rozjarzył się literami i cyframi.

Kontakt: 3480 metrów. Kurs: jeden-zero-osiem. Prędkość: 10 węzłów.

- Połknęli haczyk! - Quayle nie potrafił ukryć podniecenia. Na ekranie pojawiły się dalsze parametry:

Długość całkowita: 76 metrów. Średnica kadłuba: ok. 10,7 m. Przypuszczalna wyporność: 3650 ton. Napęd: reaktor nuklearny chłodzony wodą. Przeznaczenie: myśliwiec-niszczyciel. Klasa: Amberjack. Bandera: USA.

- To nasz! - wykrzyknął Lasky z wyraźną ulgą.

- Przynajmniej jesteśmy wśród przyjaciół - mruknął Quayle. Ale twarz Pitta



pozostawała napięta.

- Ostrożnie, jeszcze nie wyszliśmy z dolka.

- Nasz wścibski przyjaciel zmienił kurs na zero-siedem-sześć. I zwiększa prędkość - odczytał Lasky z ekranu. - Oddała się od nas.

- Gdyby mnie ktoś o to pytał - rzekł z namysłem Quayle - to powiedziałbym, że szykuje się do ataku. Pitt spojrział na niego zaskoczony.

- Możesz to wyjaśnić?

- Parę lat temu pracowałem w biurze konstrukcyjnym, której zajmowało się bronią podwodną. Dowiedziałem się wtedy, że taki myśliwiec-niszczyciel, zanim wystrzeli torpedę, zwiększa prędkość i ucieka od celu.

- Chcesz powiedzieć, że strzela do tyłu przez ramię w pełnym galopie, jak na głupich westernach?

- Bardzo trafne porównanie - zgodził się Quayle. - Te nowoczesne torpedy automatycznie naprowadzają się na cel: mają czujniki ultradźwiękowe, cieplne i magnetyczne. Jak już raz zauważą i cel, ścigają go z piekielnym uporem. Ale jeśli torpeda za pierwszym razem nie trafi - zawraca, i wtedy mogłaby zamiast przeciwnika zaatakować okręt macierzysty. Dlatego tamci starają się uciec z zasięgu czujników torpedy, zanim ją wystrzelą.

Cień niepokoju przemknął przez twarz Pitta.

- Jak daleko do dna?

- Dwieście trzydzieści metrów - odparł natychmiast Lasky.

Pitt ciągle nie mógł przyzwyczać się do obowiązującego od niedawna w amerykańskiej marynarce systemu metrycznego. Szybko przeliczył w myślach: około 750 stóp.

- A jakie to dno?

- Dosyć paskudne. Występy skalne, do piętnastu metrów wysokości.

Pitt podszedł do stolika nawigatora i zaczął studiować podświetloną mapę dna.

- Przełącz na ręczne sterowanie: schodzimy! - zdecydował. Lasky spojrział nań niepewnie.

- NUMA nie będzie zachwycona, że odcinamy lejce.

- Wiem, ale Waszyngton jest trzy tysiące mil stąd. Lepiej będzie, jeśli sami przejmujemy kontrolę, przynajmniej dopóki nie wiemy, co tu jest grane.

- Naprawdę myślisz, że nas zaatakują? - spytał Quayle z głupią miną.

- Jak długo jest choć jeden procent takiej możliwości, nie mam zamiaru jej

lekceważyć. - Pitt dał znak Lasky'emu. - Schodzimy! Miejmy nadzieję, że uda nam się jakoś schować między tymi skałami.

- Będę potrzebował sonaru do obserwacji dna.

- Nie! Zostaw sonar tam, gdzie był. Dno możesz oglądać na monitorze telewizyjnym. Włącz reflektory.

- To szaleństwo... - zaczął Quayle, ale przerwał mu dramatyczny okrzyk Lasky'ego:

- Matko Przenajświętsza!

Pitt i Quayle spojrzeli z powrotem na ekran, na którym zapaliły się nowe szeregi zielonych liter. Przez moment obaj doświadczyli panicznego lęku ściganej zwierzyny.

Stan bezpieczeństwa: KRYTYCZNY. Nowy kontakt: kurs 193, prędkość 70 węzłów. Kolidzja nieunikniona! Odległość w sekundach: 71.

- Zrobili to - szepnął Lasky z miną człowieka, który zobaczył własny grób. - Wystrzelili tę cholerną torpedę.

Giordino, zaledwie przekroczył próg sali komputerów, natychmiast wyczuł, co się święci, mógł to zresztą odczytać z pełnych niepokoju i napięcia spojrzeń doktora Kinga i admirała Sandeckera. Żaden z nich nie spojrzał w stronę małego, smągłego Włocha, może nawet nie zauważyli jego przybycia. Cała ich uwaga skupiła się na wielkim, zajmującym całą ścianę ekranie. Giordino szybko przebiegł wzrokiem dane: zwiastowały rychłą katastrofę.

- Zredukujcie prędkość poziomą - powiedział spokojnie.

- Nie możemy. - King, uniósł ręce w bezradnym geście. - Przeszli na sterowanie ręczne.

- No to kaźcie im to zrobić - powiedział Giordino nieoczekiwanie ostrym tonem.

- To też niemożliwe - głuchym, pełnym napięcia głosem odpowiedział Sandecker. - Jest akurat jakaś przerwa na fonii.

- A kontakt komputerowy?

- Tak, mam - mruknął niecierpliwie King. - Wciąż wprowadzam nowe dane do ich komputera.

Giordino wpatrywał się w ekran, licząc w myślach sekundy, które pozostały do eksplozji torpedy. King mówił coś półgłosem do mikrofonu: specjalne urządzenie przetwarzało jego słowa i przekazywało je do pamięci komputera „Róźdzki”.

- Pitt wpadł na to wcześniej - zauważył nagle Sandecker, wskazując palcem napis na ekranie. Prędkość pozioma okrętu wyraźnie się zmniejszyła. Ale słaba to była pociecha.

- Dziesięć sekund do kolizji - powiedział mechanicznie Giordino. Sandecker chwycił za słuchawkę i ryknął na przerażoną telefonistkę:

- Z admirałem Joem Kemperem, szefem operacji morskich! Natychmiast!

- Trzy sekundy... dwie... jedna...

Zapadła grobowa cisza, jakby nikt nie chciał pierwszy wypowiedzieć epitafium dla okrętu badawczego i jego załogi. Przez chwilę ekran był całkiem ciemny, potem znowu pojawiły się na nim napisy. King odetchnął z ulgą.

- Nie trafiła: przeszła dziewięćdziesiąt metrów za rufą.

- To pewnie ten aluminiowy kadłub wprowadza w błąd czujniki magnetyczne - próbował się domyślić Sandecker.

Na ekranie pojawił się komentarz Pitta i Giordino nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

Pierwsza runda: wygrana na punkty. Macie jakieś cudowne pomysły na drugą?

- Torpeda zawraca - zauważył King.

- Jaka trajektoria? - spytał Giordino.

- Chyba w tej samej płaszczyźnie.

- Niech położą okręt na boku, kilem w stronę torpedy: to zmniejszy rozmiary celu.

Tymczasem telefonistka połączyła się ze Sztabem Operacji Morskich. Ale adiutant Kempera - przedstawił się jako komandor-porucznik - oświadczył, że admirał śpi i nie można mu przeszkadzać. Równie dobrze mógłby próbować zatrzymać pociąg, kładąc na torach ciastko.

- Słuchaj, synku - odezwał się Sandecker swoim sławnym, lodowatym, paralizującym tonem. - To jest alarm, a mówi ci to admirał James Sandecker z NUMA. Dobrze ci radzę: dawaj natychmiast Kempera albo następny dyżur wypadnie ci na Mount Everest. No, ruszysz się wreszcie?!

Już po paru sekundach w słuchawce zabełkotał zaspany głos admirała Kempera.

- Jim? Co jest, do cholery?!

- Jedna z twoich łodzi właśnie zaatakowała mój okręt badawczy. Kemper natychmiast oprzytomniał.

- Gdzie?

- Na Morzu Labradorским, dziesięć mil od Button Islands.

- To przecież wody kanadyjskie!

- Nie mam czasu na wyjaśnienia - powiedział Sandecker. - Każ swoim ludziom zniszczyć tę torpedę, zanim dojdzie do tragedii.

- Zaczekaj przy telefonie. Zaraz będę z powrotem.

- Pięć sekund! - wykrzyknął Giordino.

- Tym razem krąg jest ciaśniejszy - zauważył King.

- Trzy sekundy... dwie... jedna...

Czas dłużył się przeraźliwie, kiedy tak wpatrywali się w ekran czekając na nowe informacje. Wreszcie King mógł oznajmić:

- Znów chybiła. Ale już tylko o dziesięć metrów.

- Jak daleko do dna? - spytał Giordino.

- Trzydzieści pięć metrów. Ciągłe schodzą niżej. Pitt chce się chyba schować między skałami na dnie. Ale to szaleństwo. Jeśli nawet torpeda znowu ich nie trafi, to prawie pewne, że rozprują sobie kadłub na tych skałach...

Sandecker przerwał, bo znów usłyszał w słuchawce głos Kempera:

- Rozmawiałem z szefem obrony Arktyki. Łączy się alarmową linią z dowódcą tej łodzi. Mam nadzieję, że zdąży.

- Nie ty jeden.

- Strasznie mi przykro, Jim. My raczej nie mamy zwyczaju najpierw strzelać, a potem zadawać pytania. Ale, sam rozumiesz, to jest pełnia sezonu, i nagle jakaś nie zidentyfikowana łódź podwodna tak blisko brzegów Ameryki... A propos, co ta twoja jednostka tam robi?

- Nie tylko marynarka prowadzi tajne misje - odparł wymijająco Sandecker. - Dziękuję ci za pomoc.

Odłożył słuchawkę i skupił wzrok na ekranie. Torpeda niezmordowanie pruć podwodne ciemności. Już znowu tylko piętnaście sekund dzieliło ją od „Róźdzki”.

- Niżej, niżej! - Niemal modlił się głośno King. - Jeszcze dwanaście metrów do dna. Boże, dlaczego oni tego nie robią?

Umysł Giordina pracował gorączkowo w poszukiwaniu jakiegoś wyjścia, ale nie znajdował żadnego. Tym razem nie było już szans na unik. Jeśli w ciągu paru najbliższych sekund torpeda nie dostanie z macierzystego okrętu sygnału autodestrukcji, „Róźdzka” i trzej zamknięci w niej ludzie pozostaną na zawsze na dnie.

Poczuł suchość w gardle, jakby od tygodni przebywał na pustyni. Nie liczył już sekund. Jak to się zdarza ludziom przeżywającym silny stres, zaczął nagle dostrzegać z niezwykłą jasnością jakieś drugorzędne drobiazgi: dopiero teraz zauważył, że Sandecker nie ma na nogach butów.

- Tym razem trafi - powiedział King. Była to prosta konstatacja nic nadto. Także i jego pobladła twarz nie zdradzała żadnych emocji. Uniósł obie dłonie i zakrył oczy, by nie widzieć ekranu.

Komputery nie przekazały żadnego dźwięku, kiedy torpeda dotarła do „Róźdzki”. Ani eksplozji, ani trzasku pękającego metalu, ani rozpaczliwych krzyków ludzi, umierających w czarnej, lodowatej głębinie. Bezduszne ekrany maszyn po prostu gasły - jeden po drugim. Zamilkły głowice drukarek. Dla komputerów centrali NUMA źródło danych, oznaczone kryptonimem „Róźdzka”, po prostu przestało istnieć.

## ROZDZIAŁ 25

Mercier nie był zachwycony tym, co musiał zrobić. Cenił Sandeckera, podobała mu się jego szczerłość i prostolinijność w działaniu, alei nie można było przecież uniknąć śledztwa w sprawie utraty „Róźdzki”. Wolał z tym nie zwlekać: wiedział, że sprawa tak czy owak wyjdzie na jaw, a wtedy dziennikarze rzucą się na nią jak sępy. Musiał więc szybko podjąć działania, które bezpiecznie przeprowadzą admirała i Biały Dom przez nieuniknioną publiczną wrzawę. W interkomie odezwał się głos sekretarki.

- Jest już admirał Sandecker, sir.

- Niech wejdzie.

Mercier spodziewał się zobaczyć człowieka wycieńczonego brakiem snu i przygnębionego ponurą tragedią, ale jego oczekiwania okazały się błędne. Sandecker wszedł do pokoju dziarskim krokiem, połyskując galonami odświętnego munduru. Świeżo zapalone cygaro tkwiło mocno w kąciku ust. Oczy promieniowały zwykłą u niego pewnością siebie. Wszystko to było może trochę przesadne i na pokaz, ale miało swój styl.

- Niech pan siada, admirale - powiedział Mercier wstając. - Rada Bezpieczeństwa zbierze się za parę minut.

- Chciał pan powiedzieć: trybunał inkwizycji?

- Przesada. Prezydent chce po prostu znać fakty dotyczące projektu „Róźdzka”, żeby dobrze zrozumieć sens ostatnich wydarzeń.

- Widzę, że nie marnuje pan czasu. Moi ludzie zostali zamordowani zaledwie osiem godzin temu.

- To zbyt surowe określenie...

- A jakiego pan by użył?

- Nie jestem sędzią - spokojnie odparł Mercier. - I chciałbym, żeby pan wiedział, że jestem szczerze zmartwiony klęską tego projektu.

- Niepotrzebnie pan to mówi. Jestem gotów wziąć na siebie całą winę.

- Nie szukamy kozłów ofiarnych. Chcemy tylko znać fakty. Dotychczas niezbyt chętnie je pan ujawniał.

- Miałem swoje powody.

- Tego też jesteśmy ciekawi. Zabrzęczał sygnał interkomu.

- Tak?

- Są już wszyscy, sir.

- Dobrze, idziemy. - Mercier ruszył w stronę drzwi. - Proszę, admirale.

Weszli do sali konferencyjnej Białego Domu. Błękitny dywan świetnie komponował się z kolorem draperii. Z portretu zawieszzonego na północnej ścianie, nad kominkiem, patrzył na nich srogo Harry Truman. Naprzeciw niego, tyłem do okien wychodzących na Ogród Różany, przy wielkim, owalnym, mahoniowym stole siedział aktualny prezydent. Po drugiej stronie stołu skupili się ciasno pozostali członkowie Rady Bezpieczeństwa Państwa. Wiceprezydent pisał coś w leżącym przed nim notesie. Obok, bez ruchu, siedzieli admirał Kemper, sekretarz energii doktor Ronald Klein, sekretarz stanu Douglas Oates i dyrektor CIA Martin Brogan.

Prezydent wstał, podszedł do Sandeckera i powitał go przyjaźnie.

- Cieszę się, że pana widzę, admirale. Proszę siadać, sądzę, że zna pan wszystkich obecnych...

Sandecker potwierdził ruchem głowy i zajął miejsce na końcu stołu, jakby świadomie wybierał osamotnienie, izolację.

- A teraz - zaczął prezydent - chciałbym, aby opowiedział nam pan o tej tajemniczej „Róźdźce”.

Sekretarka Pitta, Zerri Pochinsky, weszła do sali komputerów, niosąc na tacy kawę i kanapki. W kąciach jej piwnych oczu perlily się łzy, choć wciąż jeszcze nie chciała pogodzić się z myślą, że jej szef nie żyje. Nie jest łatwo pojąć, że ktoś, kogo znamy tak dobrze z bliskich, codziennych kontaktów, nagle całkiem przestał istnieć.

Giordino siedział okrakiem na krześle, wsparłszy łokcie i brodę o wysokie oparcie, tępo wpatrywał się w rząd ciemnych ekranów Zerri usiadła obok i podsunęła mu tacę z kanapkami.

- Takie, jakie lubisz - powiedziała. - Biała bułka i pastrami. Giordino nie chciał jeść, ale chętnie sięgnął po kubek z kawą. Kofeina mogła trochę złagodzić ból i przygnębienie, jakie ogarnęły go, kiedy bezradnie oglądał na ekranach sygnały agonii Pitta i jego załogi.

- Lepiej idź do domu i prześpij się trochę - powiedziała Zerri. - Tu już nic nie zdziałasz.

Giordino jakby nie słyszał jej słów.

- Kawał życia przeżyłem razem z Pittem - rzekł w zamyśleniu.

- Tak, wiem.

- Graliśmy w tej samej szkolnej drużynie futbolowej. To był najsprytniejszy, najbardziej nieobliczalny gracz w całej lidze.

- Zapominasz, że znam na pamięć wszystkie wasze wspomnienia z tamtego

okresu. Z tych rozmów wynikało raczej...

- ...że byliśmy kiepscy? - Giordino uśmiechnął się blado. Zerri odpowiedziała takim samym uśmiechem przez łzy.

- No, raczej tak.

W drzwiach pojawiła się grupka techników komputerowych. Ich szef podszedł do Giordina.

- Nie chcę panu przeszkadzać, ale w związku z przerwaniem, programu kazano mi przenieść aparaturę do innej sekcji.

- Pora zniszczyć dowody, co?

- Nie rozumiem, sir...

- Czy uzgodniłście to z doktorem Kingiem? Kierownik grupy poważnie pokiwał głową.

- Oczywiście, sir, dwie godziny temu, kiedy wychodził do domu.

- No właśnie - wtrąciła się Zerri, wstając. - My też powinniśmy już wrócić do domów. Zawiozę cię.

Giordino podniósł się posłusznie i przetarł palcami zmęczone oczy. Otworzył drzwi, przepuszczając Zerri przed sobą. Potem ruszył za nią, ale na progu zatrzymał się nagle i jeszcze raz odwrócił głowę. Ani wtedy, ani nigdy później nie umiał wyjaśnić, dlaczego to zrobił.

Rozbłysk na ekranie był tak słaby i trwał tak krótko, że Giordino na pewno by go przeoczył, gdyby nie patrzył dokładnie w tamtą stronę.

- Włączyć z powrotem wszystkie obwody! - wrzasnął na technika, który właśnie zabrał się już do systematycznego wyłączania.

- Po co? - spytał przytomnie technik.

- Jak mówię, że włączyć, to włączyć, do cholery!

Wściekła mina oficera nie pozostawiała technikowi żadnego wyboru. Bez słowa wykonał polecenie. I nagle wszystkim obecnym wydało się, że zobaczyli ducha, wszystkim - z wyjątkiem Giordina. Tylko on jeden, radośnie uśmiechnięty, rozumiał, dlaczego martwe od wielu godzin ekrany teraz znowu zapełniają się długimi szeregami danych.

- Spróbujmy to podsumować - powiedział prezydent. Na jego twarzy wyraźny był cień niedowierzania. - Mówi pan, że ta wasza „Różdżka” widzi na wylot przez dziesięć mil skały?

- I rozróżnia przy tym pięćdziesiąt jeden minerałów, i rozpoznaje śladowe ilości



metali - uzupełnił Sandecker. - Tak, właśnie tak powiedziałem.

- Nie sądzę, żeby to było możliwe - odezwał się Brogan, dyrektor CIA. - Czujniki elektromagnetyczne mogą dość dokładnie mierzyć oporność elektryczną różnych minerałów, ale przecież nie na taki dystans.

- Jak to się stało, że taki ważny program uruchomiono i prowadzono bez wiedzy prezydenta i Kongresu? - spytał wiceprezydent.

- Poprzedni prezydent wiedział o nim - wyjaśnił Sandecker. - Lubił takie śmiałe, przyszłościowe programy i popierał je. Jak panowie już zapewne wiedzą, powołał do życia tajny bank mózgow pod nazwą: „Sekcja Meta”. To właśnie naukowcy z Sekcji Meta zaprojektowali „Różdżkę”. Te projekty przekazano następnie do NUMA, z pieczęcią pełnej tajności. Prezydent zorganizował środki finansowe, a my zbudowaliśmy urządzenie.

- I to rzeczywiście działa? - nalegał prezydent.

- Próby przebiegły pomyślnie: już pierwsze badania doprowadziły do wykrycia użytecznych złóż złota, manganu, chromu, aluminium i co najmniej dziesięciu innych pierwiastków - w tym uranu.

Ludzie siedzący przy owalnym stole mieli teraz różne miny. Prezydent patrzył na Sandeckera z podziwem. Twarz admirała Kempera była nieprzenikniona. Pozostali otwarcie demonstrowali niewiarę.

- Chce pan powiedzieć, że to urządzenie może ocenić nie tylko rozmiary złoża, ale i jego wartość użytkową? - Głośno wyraził wątpliwości Douglas Oates.

- Natychmiast po wykryciu poszukiwanej substancji „Różdżka” przeprowadza dokładną analizę komputerową, w efekcie już po p, sekundach mamy takie dane jak zasobność złoża, szacunkowe koszty wydobycia i przewidywany zysk - oprócz, rzecz jasna, precyzyjny lokalizacji.

To oświadczenie Sandeckera nie tylko nie rozwiało wątpliwości słuchaczy, ale jeszcze pogłębiło ich nieufność. Sekretarz energii, Kleiń zadał wreszcie pytanie, które wszystkim już cisnęło się na usta.

- Jak to właściwie działa?

- Na tej samej zasadzie, co radary i sonary, z tą tylko różnicą że wiązka fal, którą „Różdżka” wysyła w głąb ziemi, jest bardzo silnie skoncentrowana. Wiazka zawiera fale radiowe różnej częstotliwości, rozmaicie odbijają się one od różnych minerałów. W rezultacie zróżnicowane jest też echo, które wraca do naszych urządzeń pomiarowych. To trochę tak, jakby ktoś krzyczał w nocy w wąwozie: jeżeli echo powraca ostre,

wyraźne, to znaczy, że po drugiej stronie! jest skalista ściana, ale jeśli rośnie tam las, echo będzie stłumione,! rozmyte.

- Nadal nie rozumiem, jak można w ten sposób rozpoznać różne minerały - powiedział Klein.

- Każdy pierwiastek daje rezonans przy pewnej częstotliwości, każdy przy innej. Miedź na przykład reaguje na dwa tysiące herców, żelazo na dwa tysiące dwieście, cynk na cztery tysiące. Skała, piasek, błoto - każda substancja ma swoje cechy charakterystyczne, które w niepowtarzalny sposób deformują odbity sygnał. Oczywiście analizę tych powracających sygnałów robi komputer: na ekranie wygląda to jak przekrój pionowy prawdziwego gruntu, bo każda substancja oznaczona jest innym kolorem.

- A odległość mierzycie czasem powrotu echa - domyślił się Kemper.

- Tak, dokładnie tak.

- Nie znam się na tym - rzucił Mercier - ale wydaje mi się, że taki sygnał musi ulegać osłabieniu i deformacjom, im głębiej sięga.

- Oczywiście - zgodził się Sandecker. - Wiązka traci energię w miarę przechodzenia przez kolejne warstwy. Ale rejestrując wszystkie próby i pomiary nauczyliśmy się przewidywać i rozpoznawać deformacje sygnału i echa. Komputer bierze to pod uwagę i koryguje wyniki.

Prezydent poruszył się niespokojnie w fotelu.

- Wszystko to brzmi dość fantastycznie - powiedział.

- Ale jest prawdą, wyłącznie prawdą - odparł Sandecker. - Z naszych obliczeń wynika, że flotylla złożona z dziesięciu takich „Róźdzek” mogłaby w ciągu pięciu lat zrobić kompletną mapę zasobów mineralnych pod każdym dostępnym skrawkiem dna morskiego.

Przez chwilę w sali konferencyjnej panowała cisza. Wreszcie Oates mruknął z uznaniem:

- O Boże, to przecież daje niewiarygodne możliwości. Dyrektor CIA, Brogan, pochylił się nad stołem.

- Czy Rosjanie mogą już mieć podobne urządzenie? Sandecker pokręcił głową.

- Nie sądzę. Nie mają technologii pozwalającej na takie skupienie wiązki energetycznej, my zresztą też mamy ją dopiero od paru miesięcy. Gdybyśmy nawet teraz musieli zaczynać wszystko od nowa, to i tak jesteśmy o dobre dziesięć lat do przodu.

- Jedną rzecz chciałbym koniecznie wyjaśnić - odezwał się Mercier. - Dlaczego robiliście to na Morzu Labradorским? Nie można było testować „Róźdzki” na naszym własnym szelfie kontynentalnym?

- Uznałem, że lepiej będzie prowadzić próby gdzieś daleko od szlaków żeglugowych.

- Rozumiem, ale dlaczego tak blisko brzegów Kanady?

- Zaczynaliśmy na naszych wodach, ale kiedy pojawiły się sygnały obecności ropy...

- Ropy?! - przerwały mu, zaciekawione okrzyki.

- Tak, ropy naftowej. Ten ślad prowadził do Cieśniny Hudsona, na północ od Nowej Fundlandii. To ja dałem załodze rozkaz zejścia z pierwotnego kursu i dalszego tropienia tego śladu na wodach kanadyjskich. Dlatego na mnie i tylko na mnie spada cała odpowiedzialność za śmierć przyjaciela, jego załogi i utratę okrętu badawczego. Nikogo innego nie można za to winić.

Nagle do pokoju weszła sekretarka, niosąc dla wszystkich kawę. Kiedy dotarła do Sandeckera, położyła przed nim na stole kartkę. Przeczytał:

MUSZĘ Z PANEM POROZMAWIAĆ. NATYCHMIAST. GIOR-DINO.

- Mogę prosić o krótką przerwę? - spytał Sandecker, podnosząc głowę. - Ktoś z mojego zespołu jest tutaj, jak sądzę, z najnowszymi wiadomościami o tej tragedii.

Prezydent spojrzał nań ze zrozumieniem i wskazał ręką drzwi.

- Oczywiście. Niech pan go przyprowadzi do nas.

Giordino wszedł do sali konferencyjnej z rozpromienioną twarzą.

- „Róźdzka” jest cała, wszyscy żyją - wyrzucił z siebie żadnych wstępów, zanim jeszcze dotarł do stołu.

- Jak to możliwe? - spytał Sandecker.

- Torpeda uderzyła w występ skalny, piętnaście metrów kadłuba. Wstrząs spowodował zwarcia w głównych obwodach. Osie godzin naprawiali, zanim udało im się z powrotem nawiązać łączności.

- I nikt nie jest ranny? - spytał admirał Kemper. - Kadłub nie przecieka?

- Poobijany, ludzie też. Jeden ma złamany palec. Nie stwierdzili żadnych przecieków.

- Najważniejsze, że żyją, Bogu niech będą dzięki! - powiedział prezydent, nagle rozjaśniony.

- O najważniejszym jeszcze w ogóle nie wspomniałem - sprzeciwił się Giordino.

Sandecker popatrzył nań zaintrygowany.

- Co masz na myśli?

- Zaraz po ponownym uruchomieniu komputerów wskaźniki sond zupełnie oszalały. Gratuluję, admirale. „Róźdzka” znalazła jakąś okropnie starą pułapkę stratygraficzną.

Sandecker zastygł w bezruchu.

- Chcesz powiedzieć, że znaleźli ropę?

- Z analizy wstępnej wynika, że jest tam pole długości dziewięćdziesięciu pięciu mil, szerokie prawie na milę. To nasycony piasek: z każdego akra można wycisnąć do dwóch tysięcy baryłek ropy. W sumie można liczyć na wydobycie ośmiu miliardów baryłek.

Nikt ze słuchaczy nie był w stanie wyrzec słowa. Siedzieli w milczeniu, zastanawiając się nad konsekwencjami tego, co powiedział Giordino. Mały Włoch otworzył teczkę i podał Sandeckerowi plik kartek.

- Nie miałem czasu, żeby ładnie to opakować, ale tu są wszystkie podstawowe dane, obliczenia i szacunki kosztów wydobycia. Bardziej systematyczny raport przedstawi doktor King, kiedy „Róźdzka” gruntownie zbada to pole.

- Gdzie, dokładnie, jest to złożo? - spytał Klein. Giordino wyjął z teczki mapę i rozłożył ją na stole przed prezydentem. Ołówkiem zaczął kreślić kurs „Róźdzki”.

- Po wybuchu torpedy załoga podjęła próbę ucieczki. Nie wiedzieli, że atak został odwołany. Z Morza Labradorskiego prześliznęli się po dnie przez Cieśninę Graya aż do Ungava Bay. To właśnie tam - przerwał na chwilę, żeby dokładnie wskazać miejsce na mapie - znaleźli tę ropę.

Nagle cała euforia prezydenta gdzieś się ulotniła.

- A więc to nie było przy brzegach Nowej Fundlandii?

- Nie, panie prezydencie. Granica prowincji biegnie przez przylądek zamykający Cieśninę Graya. A złożo ropy jest już pod wodami terytorialnymi Quebecu.

Prezydent nie próbował nawet ukryć wyrazu rozczarowania. Wymienili z Mercierem krótkie porozumiewawcze spojrzenia.

- Tyle miejsca na tej północnej półkuli - powiedział prezydent cicho, niemal szeptem. - Dlaczego musiało się to trafić akurat w Quebecu?

- Na dno...

**CZEŚĆ III**  
**TRAKTAT**  
**PÓŁNOCNOAMERYKAŃSKI**

## ROZDZIAŁ 26

Kwiecień 1989, Waszyngton, D.C.

Pitt wsunął z powrotem do teczki notatki Heidi, dotyczące Traktatu Północnoamerykańskiego, i uśmiechnął się do stewardesy, która przed lądowaniem sprawdzała, czy pasażerowie dobrze zapięli pasy i czy oparcia foteli ustawione są pionowo. Wciąż masował palcami skronie, daremnie próbując uwolnić się od bólu głowy, który prześladował go już od startu w St. John's.

Skończyła się dramatyczna wyprawa „Różdżki”. Miniokręt badawczy wędrował teraz, na pokładzie statku-bazy, do stoczni w Bostonie, w celu dokonania napraw i modyfikacji. Bili Lasky i Sam Quayle prosto z Nowej Fundlandii polecili do swoich domów, na tygodniowe wakacje. Pitt zazdrościł im szczerze, sam jednak nie mógł sobie pozwolić na taki luksus. Sandecker wezwał go do sztabu NUMA, domagając się pilnie raportu z pierwszej ręki.

Parę minut przed siódmą koła samolotu dotknęły asfaltu lotniska krajowego w Waszyngtonie. Pasażerowie zerwali się niecierpliwie z miejsc i stłoczyli w przejściach. Pitt spokojnie czekał w swoim fotelu, wiedział, że nawet jeśli opuści samolot jako ostatni, to i tak dotrze do hali przylotów na długo przed bagażem.

I rzeczywiście, minęło sporo czasu, zanim mógł wreszcie pójść ze swoją torbą na parking dla VIP-ów, gdzie czekał czerwony ford Cobra model 1966, pozostawiony tam wczesnym popołudniem przez sekretarkę. Pod kierownicą zatknięta była kartka:

Kochany szefie, witaj w domu. Przepraszam, że nie czekam osobiście z kwiatami, ale mam dziś randkę. Możesz się dobrze wyspać: admirałowi powiedziałam, że przylecisz dopiero jutro wieczorem. Możesz to traktować jako mój prezent powitalny. Zerri Ps. Już zupełnie zapomniałam, jak się jeździło tymi starymi, wielkimi potworami. Frajda szalona, ale ile toto pali...!

Pitt uśmiechnął się i przekręcił kluczyk w stacyjce, z przyjemnością słuchając, jak sześciolitrowy silnik cobry zwiększa obrót aż do nieprzyzwoitego ryku. Czekając, aż wskazówka termometr dojdzie do napisu: HOT - jeszcze raz przeczytał kartkę od sekretarki.

Zerri Pochinsky była energiczną, pogodną dziewczyną, na ładnej buzi utrzymywał się wciąż zaraźliwy uśmiech, piwne oczy miał! figlarny i ciepły wyraz. Około trzydziestki, tu i ówdzie przyjemny zaokrąglona, z pięknymi, długimi, płowymi włosami - wciąż jeszcze była panną. Pitt nie mógł tego zrozumieć. Nieraz myślał nawet o jakimś flircie. Zaproszenia z jej strony, choć dyskretne, były całkiem wyraźne. Z

prawdziwym żalem poddał się jednak niepisanemu prawi obowiązującemu w tym budynku, prawu, z którym w pierwszych latach swojej kariery nie umiał się pogodzić: „Nie będziesz uwodzić własnego personelu”.

Wyrwał się z erotycznych marzeń i włączył bieg. Leciwy dwumiejscowy kabriolet wyskoczył z parkingu jak sprinter z bloków startowych i zapiszczał oponami na długim łuku drogi wiodącej na południową autostradę. Szybko oddalał się od stolicy wzdłuż prawego, wirgińskiego brzegu Potomacu. Potężna cobra bez wysiłku przebijająca się przez gest o tej porze strumień minisamochodów.

W małej miejscowości o znanej skądinąd nazwie Haga Pitt zjechał z autostrady na wąską drogę prowadzącą do Coles Point. Kiedy zobaczył rzekę, zwolnił i zaczął czytać nazwiska na przydrożnych skrzynkach pocztowych. Nagle w świetle reflektorów zobaczył starszą kobietę, spacerującą z dużym seterem irlandzkim.

Zatrzymał się i opuścił prawą szybę.

- Przepraszam panią, gdzie tu jest rezydencja Essex? Popatrzyła na niego uważnie, potem wskazała ręką w stronę z której przyjechał.

- Musi pan wrócić, to jakieś pół mili stąd. Brama z żelaznymi lwami.

- Rzeczywiście, widziałem coś takiego. Dziękuję.

Chciał zawrócić, ale kobieta pochyliła się nad otwartym oknem.

- Nie zastanie go pan w domu. Pan Essex wyjechał, jakieś cztery - pięć tygodni temu.

- Nie wie pani, kiedy wróci?

- Któż to może wiedzieć? - Wzruszyła ramionami. - O tej porze roku często jeździ do Palm Springs, zostawia ostrygi pod opieką! mojego syna. W ogóle pan Essex często wyjeżdża i nikomu się z tego nie spowiada. W końcu nie musi, żyje tu całkiem samotnie. Orientujemy się w tych jego wyjazdach tylko po tym, że skrzynka pocztowa się przepelnia.

Ze też, pomyślał Pitt, musiałem akurat trafić na taką plotkarę.

- Dziękuję - powtórzył grzecznie. - Bardzo mi pani pomogła. Pomarszczona twarz kobiety nagle przybrała przyjazny wyraz, a ton jej głosu zmiękł.

- Jeśli ma pan dla niego jakąś wiadomość, może pan to zostawić u mnie. Na pewno mu dostarczę. I tak trzymam jego pocztę i gazety. Pitt spojrzał na nią zdziwiony.

- Wyjechał i nie zawiesił prenumeraty?

- To roztargniony człowiek. Parę dni temu mój chłopak pracował przy jego

stawach. Mówi, że z kominków wentylacyjnych wciąż się dymi. Zostawiłby pan włączone ogrzewanie, wyjeżdżając na tyle czasu z domu? To przecież czyste marnotrawstwo, zwłaszcza teraz, przy tych ograniczeniach energetycznych.

- Powiedziała pani, że Essex mieszka samotnie?

- Tak, jego żona umarła dziesięć lat temu. Ma wprawdzie troje dzieci, ale rozjechały się gdzieś po świecie i prawie nigdy do niego nie pisują.

Pitt jeszcze raz podziękował i zasunął szybę, nie słuchając dalszej paplaniny. Nie musiał patrzeć w lusterko, by wiedzieć, że kobieta śledzi go wzrokiem aż do bramy posiadłości Essexa. Skręcił w żwirową drogę między dwoma żelaznymi lwami, minął dużą kępę drzew i zatrzymał cobrę przed domem, wyłączył silnik, ale zostawił zapalone reflektory. Przez chwilę siedział bez ruchu, wsłuchując się w ciszę, słyszał tylko cykanie stygnącego silnika i odległy dźwięk syreny policyjnej, dobiegający chyba z drugiego brzegu rzeki. Noc była piękna, powietrze czyste i rześkie. W gładkiej powierzchni Potomacu odbijały się gwiazdy.

Dom pozostawał mroczny i cichy. Pitt wysiadł z samochodu i obszedł dookoła duży garaż, na którym zatrzymały się światła cobry. Spróbował unieść szeroką bramę. Udało się to zdumiewająco łatwo i bez zgrzytów: zawiasy były dobrze naoliwione. Zobaczył dwa samochody ustawione przodem do bramy - małego, nowoczesnego, oszczędnego forda i dużo starszego cadillaca Brougham - musiał to być jeden z ostatnich egzemplarzy tych wspaniałych, wielkich maszyn. Oba pojazdy pokrywała równa, cienka warstwa kurzu. Wnętrze cadillaca było w nieskazitelnym stanie, licznik wskazywał zaledwie sześć tysięcy czterysta mil. Zresztą oba samochody wyglądały jak na wystawie: nawet spodnia strona błotników była starannie umyta. Pitt zaczynał poznawać charakter Essexa. Były ambasador musiał być człowiekiem pedantycznym, ceniącym porządek i czystość.

Wyszedł z garażu, opuścił bramę i popatrzył na dom. Sja gadatliwej sąsiadki mówił prawdę: z kominków wentylacyjny wzbijała się w czarne niebo wibrująca mgiełka spalin. Pitt wszedł ganek i po omacku odnalazł przycisk dzwonka. Nie było zadr reakcji, żadnego ruchu po drugiej stronie ciemnych okien z rozsuniętymi kotarami. Odruchowo, bez jakiegokolwiek intencji, nacisnął klamkę.

Drzwi ustąpiły.

Pitt stał przez chwilę w progu, zaskoczony. W jego scenariusz nie było ani otwartego zamka, ani ciężkiego odoru zgnilizny który zaatakował jego nozdrza. Wszedł do środka, zostawiając drzwi otwarte na oścież. Wymacał kontakt na ścianie i



włączył światło. Hol był pusty, podobnie jak przylegający doń stołowy. Pitt wszedł na piętro i zajrzał do wszystkich sypialni. Ohydna woń unosiła się wszędzie, ale nie mógł zlokalizować jej źródła. Wrócił na parter i zajrzał jeszcze do kuchni i salonu. Tu też nikogo nie było. W końcu otworzył drzwi, na które przedtem nie zwracał uwagi, bo sądził, że to tylko szafa w ścianie. Zobaczył nieduży gabinet.

Pod ścianą, zagłębiony w miękkim fotelu, siedział John Essei z szeroko otwartymi ustami, z głową przekrzywioną na bok w śmiertelnym grymasie, okulary zawisły groteskowo na pergaminom uchu. Oczy zapadły się głęboko w czaszkę. Rozkład zwłok przyspieszył wysoka temperatura, termometr wskazywał 75 stopni Fahrenheita.

Pitt próbował odtworzyć przebieg zdarzeń. Essex umarł prawdopodobnie miesiąc temu (na zawał serca, jak później stwierdził coroner). Przez pierwsze dwa tygodnie zwłoki zsiniały i spuchły. Dowodem były wyrwane guziki koszuli. Potem wewnętrzne płyty wyciekły i wyparowały, a ciało skurczyło się i wyschło: teraz skóra wyglądała jak wygarbowana.

Pitt otarł pot z czoła. Upał i fetor panujące w pokoju doprowadziły go niemal do mdłości. Z chusteczką przy nosie, walcząc z odruchem wymiotnym, ukląkł przy zwłokach Johna Essexa.

Na kolanach zmarłego leżała książka. Wyschnięta, szponiasta dłoń zaciskała się na okładce z wytłoczonym napisem. Lodowaty dreszcz grozy przebiegł po plecach Pitta. Widywał już z bliska zwłoki ludzkie i zawsze reagował tak samo: początkowa odraza szybko ustępowała miejsca przerażającej refleksji, że kiedyś i on będzie tak wyglądał.

Z pewnym wahaniem, jak gdyby obawiał się nagłego przebudzenia Essexa, wyciągnął książkę z dłoni zmarłego. Potem zapalił lampę biurku i szybko przerzucił kartki. Nie była to książka, raczej elegancki, oprawiony w skórę dziennik czy notes. Zajrzał na pierwszą stronę. Z pożółkłego papieru były w oczy starannie wykaligrafowane litery:

NOTATKI OSOBISTE RICHARDA C. ESSEXA KWIECIEŃ 1914.

Pitt usiadł za biurkiem i zaczął czytać. Siedział tak dobrą godzinę, zanim wreszcie uniósł wzrok znad notatek i ponownie popatrzył na zwłoki. W jego spojrzeniu nie było już odrazy - raczej litość i współczucie.

- Biedny, stary głupcze... - powiedział półgłosem.

Zgasił światło i wszedł, zostawiając byłego ambasadora w ciemnym pokoju.

## ROZDZIAŁ 27

W powietrzu unosił się ostry zapach prochu. Pitt mijał kolejnych amatorów starej broni, oddających się swemu hobby na strzelnicy pod Fredericksburgiem. Zatrzymał się przy stanowisku, na którym łysy mężczyzna pochylony nad poręczą wpatrywał się w odległy cel wzdłuż stalowej lufy, długiej na czterdzieści sześć cali. John Epstein - felietonista „Baltimore Sun”, . który raz na tydzień zmieniał się w fanatycznego muszkietera, delikatnie pociągnął spust. Coś stuknęło, pojawił się obłoczek czarnego dymu, wreszcie strzelba gruchnęła jak armata. Epstein popatrzył przez lunetę, by sprawdzić efekt swojego strzału, potem postawił broń pionowo i zaczął sypać do lufy następną porcję prochu.

- Zanim znowu załadujesz ten zabytek, Indianie zdążą cię oskalpować - powiedział Pitt z uśmiechem. Dopiero teraz Epstein go zauważył.

- O, jak zechcę, potrafię oddać cztery strzały w ciągu minuty! - Wepchnął w lufę przybitkę z gęstego płótna, potem dużą ołowianą kulę. - Próbowałem do ciebie dzwonić...

- Wyjeżdżałem - szybko wyjaśnił Pitt. Przeniósł wzrok na strzelbę. - Co to za armata?

- Skalkówka. Brown Bess, kaliber siedemdziesiąt pięć. Używali jej żołnierze brytyjscy w czasie wojny o niepodległość Stanów. - Podał broń Pittowi. - Masz ochotę spróbować?

Pitt pochylił się, oparł łokieć o poręcz i wymierzył do odległej o dwieście jardów tarczy.

- Udało ci się coś znaleźć?

- Mamy w archiwum redakcyjnym dużo starych wycinków mikrofilmach. - Epstein podsypał trochę prochu na panewkę. - tego nie wystrzeli - wyjaśnił.

Pitt odciągnął kurek, potem jeszcze raz starannie wycelował i uruchomił spust. Jasny płomyk pojawił się na panewce, niebezpieczni! blisko oka i powędrował kanalikiem zapala w głąb lufy. Po chwili nastąpił wybuch. Pitt poczuł odrzut jak uderzenie kafaru. Epstein popatrzył przez lunetę.

- Druga na zegarze, osiem cali od środka. Nieźle, jak na takiego miastowego dupka - skomentował.

Głos z megafonu zarządził przerwanie ognia. Strzelcy odstawili broń i ruszyli przez pole, by zmienić tarcze.

- Chodź, po drodze powiem ci, co znalazłem.

Pitt ruszył posłusznie za Epsteinem w stronę odległego nasypu.

- Podalesz mi dwa nazwiska: Richard Essex i Harvey Shields Essex był podsekretarzem stanu w Waszyngtonie, Shields jego brytyjskim odpowiednikiem, wiceministrem spraw zagranicznych. Ot zawodowi dyplomaci, typowe konie pociągowe w swoich ministerstwach. Rozumiesz: tacy, co stoją w cieniu, choć wykonują żmudną robotę. Dlatego niewiele o nich pisano.

- Do rzeczy, Joe, na pewno masz coś więcej.

- Mam, ale niedużo. Z tego, co wiem, nigdy nie spotkali się osobiście, przynajmniej na gruncie oficjalnym...

- Ależ mam ich wspólną fotografię przed Białym Domem! Epstein wzruszył ramionami.

- Czyli znów się pomyliłem, to już setny raz w tym roku.

- Co się stało z tym Shieldsem?

- Utonął, na pokładzie „Empress of Ireland”.

- Coś czytałem o tej „Empress”... Już wiem: transatlantyk, zatonął na Rzece Świętego Wawrzyńca, po zderzeniu z jakimś norweskim węglowcem. Ponad tysiąc ofiar śmiertelnych.

Epstein potwierdził ruchem głowy.

- Co do mnie, to dowiedziałem się o tym dopiero teraz, kiedy przeczytałem nekrolog Shieldsa. To była jedna z największych katastrof morskich w tym wieku.

- Swoją drogą to dziwne, w ciągu paru lat aż trzy takie tragedie: „Empress”, „Titanic” i „Łuskania”.

- Ciała Shieldsa nigdy nie znaleziono. Rodzina wyprawiała mu symboliczny pogrzeb w jakiejś walijskiej wsi - nie umiem nawet wymówić jej nazwy. I to już wszystko, co wiem na temat Harveya Shieldsa.

Dotarli do nasypu, Epstein obejrzał dokładnie swoją tarczę.

- Wszystko w sześciocalowym kręgu - stwierdził z zadowoleniem. - Jak na flintę z gładką lufą to chyba dobrze, co?

- Taka siedemdziesiątka piątka robi straszne dziury w tarczy - zauważył Pitt.

- Pomyśl lepiej, co może zrobić z człowieka!

- Wolę nie.

Epstein zmienił tarczę na nową. Ruszyli z powrotem w stronę stanowisk strzeleckich.

- A Essex? - przypomniał Pitt.

- Pewnie wiesz o nim więcej niż ja. Ale pytaj.

- Jak zginął? .

- W katastrofie kolejowej. Ściślej: załamał się most nad Hudsonem. Wszyscy pasażerowie pociągu, około stu osób, utonęli. Essex był jednym z nich.

Pitt namyślał się przez chwilę.

- W takim razie powinna być w lokalnych rejestrach lista przedmiotów znalezionych przy zwłokach.

- Na pewno jej nie ma.

- Dlaczego tak myślisz?

- Bo jest pewna intrygująca analogia między losami Essex'a i Shieldsa. Stracili życie w tym samym dniu: 28 maja 1914 roku. I w obu przypadkach nie znaleziono zwłok.

- Cholera...! Myślisz, że to mogło być coś więcej niż przypadkowy zbieg okoliczności? Jakiś spisek? , Epstein stanowczo pokręcił głową.

- Wątpię. Oczywiście, zdarzają się różne pomysły. Ale po co zatapiać wielki statek, mordować ponad tysiąc ludzi, skoro można było takiego Shieldsa po prostu wyrzucić za burtę gdzieś na Atlantyku?

- Oczywiście, masz rację.

- A może ty wiesz, o co tu chodzi?

- Prawdę mówiąc, jeszcze nie. Może to jakieś głupstwo.

- Za dobrze cię znam, Dirk: nie masz zwyczaju zajmować się głupstwami.

- Powiedzmy więc, że jestem amatorem zagadek historycznych.

- A, w takim razie mam dla ciebie jeszcze jedną.

- Świetnie, mów.

- Rzekę pod mostem przeszukiwano co najmniej miesiąc. Nie znaleziono ani jednego ciała. Pitt stanął jak wryty.

- W to nie uwierzę. Przy takim wypadku co najmniej kilka c musiało wypłynąć na powierzchnię. Na pewno znaleźli je w dc rzeki.

- Nie. A to jeszcze nie wszystko. - Epstein zrobił chytrą minę. - Nie znaleziono też pociągu.

- O, rany...

- Ze zwykłej zawodowej ciekawości poszukałem informacji o pociągu: nazywał się „Manhattan Limited”. Nurkowie sondowali przez wiele tygodni po wypadku, ale nic nie znaleźli. W końcu uznano oficjalnie, że lokomotywa i wszystkie wagony

utonęły w grząskim piasku. Dyrektorzy New York & Quebec Northern Railroad wydali majątek na dalsze prace poszukiwawcze, ale w końcu zrezygnowali. Zresztą niedługo po tym linia została przejęta przez New York Centra.

- I to już wszystko?

- Niezupełnie - odparł Epstein. - Powiadają, że ciągle pojawia się nad Hudsonem widmo tego „Manhattan Limited”.

- Kpisz sobie...

- Ależ słowo honoru! Mieszkańcy tamtej okolicy przysięgają, TĄ już parę razy widzieli, jak widmowy pociąg wjeżdża na wiadukt i nagle znika tuż przed zerwanym mostem. Oczywiście pojawia się tylko w nocy.

- Oczywiście! - powtórzył z przekąsem Pitt. - Dodaj jesz że przy pełni księżyca i z towarzyszeniem wycia wilkołaków. Epstein wzruszył ramionami, potem roześmiał się serdecznie.

- Pomyślałem, że spodoba ci się trochę makabry.

- Masz kopie tych wszystkich wycinków?

- Jasne. Będziesz miał co czytać: co najmniej pięć funtów papier Na dokładkę masz parę nazwisk i adresów ludzi, którzy pasjonują się badaniem starych katastrof kolejowych i morskich. Mam to wszystka pięknie zapakowane, w samochodzie. - Epstein ruszył w stronę parkingu.

- Poświęciłeś kupę czasu moim sprawom - stwierdził z uznaniem i wdzięcznością Pitt.

- Nie ma o czym mówić. - Epstein popatrzył na niego poważnie. - Ale chyba jedna rzecz mi się należy.

- Tak?

- Powiedz szczerze: to twój własny pomysł, czy jakaś robota dla NUMA?

- Całkiem własny.

- Rozumiem. - Epstein popatrzył pod nogi i kopnął niedbale kamyk. - Na pewno wiesz, że jeden z potomków Richarda Essexa właśnie niedawno zmarł.

- Tak, wiem, niejaki John Essex, były ambasador.

- Nasz reporter opisywał tę sprawę. - Epstein przerwał na chwilę i skierował wzrok na cembrę Pitta. - Podobno na godzinę przed anonimowym telefonem o śmierci Essexa jego sąsiadka widziała jakiegoś faceta w czerwonym sportowym samochodzie, pytał o dom Essexa, a potem pojechał tam. Jej opis dziwnie pasuje do ciebie.

- Eee, przypadek.

- Nie pierdol! - Epstein najwyraźniej miał już tego dosyć. - W co ty się właściwie bawisz?

Pitt zrobił kilka kroków w milczeniu. Jego twarz przybrała nieprzyjemny wyraz. Potem znowu się uśmiechnął, ale Epstein gotów był przysiąc, że w tym uśmiechu jest coś złowieszczonego.

- Uwierz mi, stary. Gdybym ci to powiedział, mógłbyś żałować, że pytałeś.

## ROZDZIAŁ 28

Rezydencja Grahama Humberly'ego rozsiadła się na szczycie wzgórza Palos Yerdes, które jest wytworną sypialnią Los Angeles. Dom stanowił osobliwe połączenie starego stylu kalifornijsko-hiszpańskiego i współczesnej architektury, chropowate gipsowe ściany, wzmocnione spłóviałymi drewnianymi belkami wieńczył dach z falistej czerwonej terakoty.

Na głównym tarasie woda z potężnej fontanny strzelała wysoko w górę, po czym rozpryskiwała się w okrągłym basenie. Roztaczał się stąd wspaniały panoramiczny widok: od wschodu bezkresny dywan światła wielkiego miasta, od zachodu Ocean Spokojny i Catalina Island.

Już na progu rezydencji wchodzącego Anglika powitała muzyka meksykańska i głośny gwar około setki głosów. Barmani gorliwie mieszali całe galony koktajlu z tequili. Kelnerzy w pośpiechu uzupełniali półmiski pieprzonymi meksykańskimi potrawami, po czym stawiali je na długim bufecie, który zdawał się nie mieć końca.

Do Shawa podszedł mały człowieczek z nieproporcjonalnie dużą głową. Miał na sobie czarną wieczorową marynarkę z wyhaftowanym na plecach wschodnim smokiem.

- Graham Humberly - powiedział, uśmiechając się sztucznie. Witam na naszym party.

- Brian Shaw - przedstawił się gość. Uśmiech gospodarza na pozostał sztuczny.

- Ach, to pan. Przepraszam, że pana nie poznałem, ale na wspólni przyjaciele nie przysłali mi pańskiego zdjęcia.

- Ma pan wspaniały dom. Niczego podobnego nie można znaleźć w Anglii.

- Dziękuję. Ale to wszystko dzieło mojej żony. Ja wybrałbym pewnie coś skromniejszego. Na szczęście jej gust jest lepszy niż mój. Akcent Humberly'ego zdradzał jego kornwalijskie pochodzenie.

- Czy jest już komandor Milligan? - spytał Shaw. Humberly wziął go pod ramię i poprowadził przez tłum.

- Tak, jest tutaj - powiedział cicho. - Musiałem zaprosić wszystkich oficerów z tego okrętu, żeby mieć pewność, że przyjdzie. Proszę za mną. Przedstawię pana.

- Wolalbym nie robić sobie publicity - odparł Shaw. Wystarczy, jeśli pokaże mi ją pan. Potem jakoś sobie poradzę.

- Jak pan woli. - Humberly przebiegł wzrokiem kłębując się tarasie tłum, po czym ruchem głowy wskazał postać stojącą przy barze. - Ta wysoka, atrakcyjna

blondynka w niebieskiej sukience.

Shaw z łatwością wyłowił ją wzrokiem z kręgu ubranych na białe oficerów marynarki. Wyglądała na trzydziestkę, promieniowało niej ciepło, którego brakuje większości kobiet. Adorację stojących wokół niej mężczyzn traktowała najwyraźniej jak coś naturalnego.

- Spróbuję ją dyskretnie wyrwać z tego towarzystwa - zaproponował Humberly.

- Proszę jej nie przeszkadzać. Przy okazji, czy mógłby mi pożyczyć jakiś samochód?

- Jakiego pan potrzebuje? Bo mam całą flotyllę. Może dr limuzyna z szoferem?

- Raczej coś z większą fantazją. Humberly zastanawiał się przez chwilę.

- Pasowałby panu odkryty rolls-royce Corniche?

- Znakomicie.

- Stoi przy bramie, z kluczykami w stacyjce. Czerwony.

- Dziękuję.

- Nie ma o czym mówić. Życzę udanych łowów.

Humberly wrócił do swej roli gospodarza.

Shaw, przepychając się przez tłum, podszedł do stojącej przy barze Heidi Milligan. Młody jasnowłosy porucznik obrzucił go niechętnym spojrzeniem.

- Trochę tu ciasno, ojczulku.

Shaw, nie zwracając na to uwagi, uśmiechnął się do Heidi.

- Komandor Milligan, prawda? Admirał Brian Shaw. Czy mogę porozmawiać z panią... na osobności?

Heidi przyglądała mu się przez chwilę, próbując go rozszyfrować. Wstała i skinęła głową.

- Oczywiście, panie admirale.

Jasnowłosy porucznik miał taką minę, jakby nagle odkrył, że ma rozpięty rozporek.

- Proszę o wybaczenie, sir. Myślałem, że... Shaw posłał, mu dobrotliwy uśmiech.

- Pamiętaj chłopcze, zawsze opłaca się najpierw rozpoznać przeciwnika.

- Podoba mi się pański styl, admirale. - Heidi starała się przekrzyczeć szum wiatru.

Shaw mocniej przycisnął pedał gazu. Rolls pomknął na południe, w stronę San Diego. Wychodząc z party razem z Heidi Shaw nie miał w głowie żadnego wyraźnego



planu podróży, ostatni raz w Los Angeles był trzydzieści lat temu. Prowadził samochód kierując się jedynie przypadkowymi drogowskazami. Nawet nie bardzo wiedział, dokąd one prowadzą.

- Proszę trochę zwolnić, bo złapie pana glina - rzekła Heidi.

Shaw cofnął nogę z gazu wracając do przepisowej szybkości. Włączył radio. W samochodzie rozległy się dźwięki walca Straussa. Chciał zmienić stację, ale powstrzymała go.

- Niech pan to zostawi. - Głęboko zatopiona w fotelu obserwowała gwiazdy. - Dokąd jedziemy?

- Czy zna pani stary szkocki numer? Wiezie się dziewczynę w odległe miejsce, a potem, jeśli chce wrócić do domu, musi być grzeczna.

- Ten numer nie przejdzie - roześmiała się - już i tak jestem trzy tysiące mil od domu.

- I to nie w mundurze.

- Prawo marynarskie na to zezwala. Kobiety oficerowie mój przy okazjach towarzyskich ubierać się po cywilnemu.

- Punkt dla marynarki amerykańskiej. Heidi przyjrzała mu się uważnie.

- Nigdy jeszcze nie widziałam admirała za kierownicą roll-royce'a.

Uśmiechnął się.

- Wielu brytyjskich wilków morskich jeździ takimi samochodami.

- Punkt dla marynarki angielskiej - zaśmiała się.

- Mówiąc poważnie, kiedy dowodziłem bazą morską na Cejlonie udało mi się zrobić kilka korzystnych inwestycji.

- A czym się pan teraz zajmuje, po wycofaniu się ze służby?

- Głównie pisaniem historycznych książek. „Nelson i bitw o Nil”, „Admiralicja w czasie pierwszej wojny światowej” i tym podobne rzeczy. Nie są to bestsellery, ale cieszą się pewnym prestiżem.

Spojrzała na niego sceptycznie.

- Nabiera mnie pan.

- Nie rozumiem.

- Czy naprawdę pisze pan te historyczne książki?

- Oczywiście - oznajmił niewinnie. - Dlaczego miałbym kłaniać?

- Nie do wiary - mruknęła Heidi. - Ja robię to samo i jeszcze muszę się starać, żeby mi wydali.

- Rzeczywiście, to dziwne - udał prawdziwe zdziwienie. Lekko dotknął jej ręki. - Kiedy musi pani wracać na okręt? Poczuł, że jej ręka drgnęła.

- Nie ma pośpiechu.

- Czy była pani kiedyś w Santa Barbara?

- Nie - odrzekła niemal szeptem. - Słyszałam, że tam jest cudownie.

Rano Heidi zamówiła śniadanie do pokoju. Pijąc kawę delektowała się wspomnieniem minionej nocy. Pójście do łóżka ze świeżo poznanym mężczyzną dostarczyło jej nie znanego dotąd, przyjemnego dreszczu.

Przypomniała sobie mężczyzn, których miała w życiu. Wystraszony aspirant z Annapolis, eks-mąż, admirał Walter Bass, Dirk Pitt i tera Shaw... Pamiętała ich dokładnie, tak jakby robiła przegląd wojskowy. Tylko pięciu: za mało na armię, za mało nawet na pluton.

Doszła do wniosku, że im się robi starsza, tym bardziej żałuje, że nie miała więcej kochanków. Nagle zaniepokoiła się. Zbyt dbała dotąd o własny obraz: żeby nie ujawnić pożądanego, żeby nie tracić nad sobą kontroli w przypadkowych przygodach. To głupio i bez sensu. Mogła przecież mieć dziesięć razy więcej fizycznej rozkoszy z każdym mężczyzną. Rozkosz tkwiła w niej mocno i głęboko, podczas gdy mężczyźni, których znała, przeżywali to powierzchownie. Wszystko to działo się w ich wyobraźni, często czuli się rozczarowani. Seks nie był dla nich niczym więcej, niż pójściem do kina. Kobieta żąda więcej... być może zbyt wiele.

- Bardzo dziś jesteś zamyślona - rzekł Shaw. Pocałował ją w szyję, odsuwając burzę włosów. - Może w zimnym świetle poranka żałujesz tego wszystkiego?

- Raczej pogrzyżłam się we wspomnieniach.

- Kiedy odpływasz?

- Pojutrze.

- Mamy więc dla siebie jeszcze trochę czasu. Potrząsnęła głową.

- Aż do odpłynięcia będę miała wachtę.

Shaw podszedł do szklanych balkonowych drzwi i ogarnął wzrokiem ocean. Widoczność była tylko na kilkaset stóp. Brzegi Santa Barbara zasłaniał płaszcz mgły.

- Przekłęta służba - mruknął do siebie. - Moglibyśmy razem wiele zdziałać.

Podeszła do niego i objęła go ramieniem.

- Co masz na myśli? Kochać się w nocy, a w dzień prowadzić naukowe badania? Roześmiał się.

- Typowo amerykański, bezpośredni humor. Rzeczywiście, możemy się

doskonale uzupełniać. Nad czym teraz pracujesz?

- Nad doktoratem. Marynarka za czasów prezydenta Wilsona.

- To chyba strasznie nudne.

- To prawda. - Heidi nagle umilkła. Jej twarz przybrała napięty wyraz. - Czy słyszałeś kiedyś o Traktacie Północnoamerykańskim?

O to mu właśnie chodziło. Bez umizgów, bez intryg, bez gróźb. Zwlekał przez chwilę z odpowiedzią, starannie dobierając słowa.

- Tak, coś sobie przypominam.

Heidi spojrzała na niego. Z ust otwartych do dalszych pytań nie padło jednak żadne słowo.

- Masz dziwną minę. Wiesz coś więcej o tym traktacie? Może są jakieś nowe prace na ten temat?

- Nic prawie nie wiem. Nie pamiętam nawet, o co w nimi chodziło. Wiem tylko, że chyba nic z niego nie wynikło. Możesz znaleźć jakieś materiały na ten temat w londyńskim archiwum.

Shaw spokojnie ćmił papierosa. Starał się utrzymać nonszalancki ton.

- Czy to jest część twojego tematu badawczego?

- Nie - odpowiedziała Heidi. - Przypadkiem trafiłam na małą wzmiankę o tym. Zainteresowało mnie to z czystej ciekawości, ale nie udało mi się znaleźć żadnych dowodów, że traktat istniał naprawdę.

- Spróbuję zrobić z niego kopię i przyślę ci.

- Daj sobie spokój. Świadomość, że nie jest to twór mojej wyobraźni, zupełnie mi wystarczy. Zresztą wysłałam już moje notatki zaprzyjaźnionej osobie z Waszyngtonu.

- W takim razie jej wyślę kopię.

- Nie jej, lecz jemu.

- Dobrze, niech będzie jemu - rzekł Shaw, starając się ukryć niecierpliwość w głosie. - Możesz mi podać jego nazwisko i adres?

- Dirk Pitt. Możesz go znaleźć w Agencji Badań Morskich i Podwodnych.

Miał już to, po co przyjechał. Agent doskonały wysłałby teraz Heidi z powrotem na okręt, a sam pierwszym samolotem poleciałby do Waszyngtonu. Ale Shaw wcale nie chciał być agentem doskonałym. Czasami nie wychodziło mu to na dobre i to był właśnie jeden z tych przypadków.

Mocno pocałował Heidi w usta.

- O badaniach naukowych już wystarczy. Teraz wolałbym wrócić do łóżka. I wrócili.

## ROZDZIAŁ 29

Od Atlantyku ciągnęła popołudniowa bryza. Zimny wiatr tysiącami małych igiełek atakował skórę. Temperatura wynosiła co prawda trzy stopnie Celsjusza, ale smaganemu przez wiatr Pittowi, stojącemu nad i brzegiem Rzeki Świętego Wawrzyńca, wydawało się, że jest dziesięć stopni mrozu.

Wdychał zapachy doków małej zatoczki oddalonej kilka mil od Rimouski. Czuł w nozdrzach smród smoły, rdzy i oleju silnikowego.

Przeszedł po starych deskach w kierunku schodków, które wiodły do łodzi spokojnie kołyszącej się na oleistej wodzie.

Łódź była taka, jak trzeba: czterdzieści pięć stóp długości, duży pokład, podwójna śruba i dieslowski silnik. Kadłub pomalowany na czarno, bez śladu połysku chromowanych części. Łódź funkcjonalna i doskonale utrzymana, idealna do połowów i wypraw płetwonurków.

Na pomoście ukazał się człowiek ubrany w wełnianą czapkę, którą na próżno usiłował przykryć tłuste, czarne włosy. Twarz miał zniszczoną wiatrem, a poważne oczy bacznie przyglądały się Pittowi, wstępującemu na tylny pokład.

- Nazywam się Dirk Pitt. Szukam niejakiego Julesa Le Mat. Nastąpiła krótka pauza i nagle silne białe zęby zajaśniały w uśmiechu.

- Witam, panie” Pitt. Proszę na pokład.

- Całkiem udana łódź.

- Może niepiękna, ale jak dobra żona: twarda i niezawodna. - Uścisk dłoni był jak z żelaza. - Wybrał pan piękny dzień. Sprzyja nam święty Wawrzyniec, żadnej mgły i leciutka fala. Jeśli poda mi pan rękę i rzuci cumę, możemy ruszać w drogę.

Le Mat wszedł pod pokład i uruchomił silnik, podczas gdy Pitt zdjął cumy z pachołków i rzucił je na pokład łodzi. Zielona woda zatoki prawie się nie poruszyła, kiedy czarny kadłub bezszelestnie włączył się w nurt rzeki. Oddalone o dwadzieścia osiem mil wzgórze drugiego brzegu pokryte były śniegiem. Minęli kuter rybacki, wracający do portu z tygodniowym połowem, szyper pozdrowił Le Mata odpowiadając na syrenę jego łodzi. Za rufą, w marcowym słońcu, ostro rysowały się strzeliste wieże kościołów Rimouski.

Opuścili bezpieczne sąsiedztwo lądu, lodowaty wiatr jeszcze się zaostrzył. Pitt dał nurka do mesy.

- Filiżankę herbaty? - spytał Le Mat.

- Przydałoby się - uśmiechnął się Pitt.

- Imbryk jest w kuchni - powiedział Le Mat nie odwracając się. Jego ręce mocno trzymały koło steru, wzrok skierowany był prosto przed siebie. - Niech się pan poczęstuje, ja muszę uważać na kry. W tym roku jest ich tu więcej niż much na gnoju.

Pitt napełnił filiżankę parującym płynem. Siadł na obrotowym krześle i przyglądał się rzece. Le Mat miał rację. Rzeka pokryta była kawałkami kry prawie tej grubości co lódź.

- Jaka była pogoda tego dnia, kiedy „Empress of Ireland” poszedł na dno? - spytał, przerywając milczenie.

- Niebo czyste jak lza - odpowiedział Le Mat. - Rzeka była spokojna, temperatura wody kilka stopni powyżej zera, bez siadaj wiatru. Trochę mgły, typowej wiosną, kiedy ciepło z południa styki się z zimną rzeką.

- Czy to był dobry statek?

- Jeden z najlepszych. - Le Mat odpowiadał poważnie na naiwne pytania. - Zbudowany według najlepszych wzorów owych czasów dla Canadian Pacific Railroad. Ten statek i jego bliźniak „Empress of Britain”, to były piękne liniowce. Czternaście tysięcy ton wyporności, pięćset pięćdziesiąt stóp długości. Nie były być może tak eleganckie jak „Olympic” i „Mauretania”, ale dzięki luksusom i wygodzie, jakie zapewniały pasażerom przepływającym Atlantyk zyskały solidną reputację.

- O ile pamiętam, „Empress” wyruszyła z Quebecu do Liverpool.

To była jej ostatnia podróż.

- Rzucili liny cumownicze około 4:30 po południu. Dziewięć godzin później „Empress” była już na dnie. Leżała na prawej burcie. Tylko mgła napisała pożegnalne epitafium.

- I węglowiec o nazwie „Storstad”.

Le Mat uśmiechnął się.

- Dobrze się pan przygotował, panie Pitt. Tyle że nigdy do końca nie udało się ustalić, jak doszło do zderzenia „Empress” ze „Storstadem”. Załogi musiały się nawzajem widzieć z odległości ośmiu mil. Kiedy dzieliły ich tylko dwie mile, przesunął się między nimi obłoki mgły. Kapitan Kendall na „Empress” zatrzymał maszyny i to był błąd. Powinien iść naprzód. Kiedy „Empress” zniknęła we mgle ludzie na mostku kapitańskim „Storstada” nie wiedzieli, co się stało. Spodziewali się, że liniowiec zbliża się do nich od lewej burty tymczasem „Empress” dryfowała z wyłączonymi maszynami od ich prawej strony. Pierwszy oficer „Storstada” kazał zwrócić ster w prawo i w tym momencie „Empress of Ireland” wraz z pasażerami skazana już była na

zagładę.

Le Mat przerwał, by wskazać swemu rozmówcy krę lodową o powierzchni jednego akra.

- Mieliśmy wyjątkowo ciężką zimę w tym roku. Sto pięćdziesiąt mil w górę rzeki jest jeszcze lód. Pitt milczał, wolno sącząc herbatę. Le Mat ciągnął dalej.

- Sześciotysięcznik „Storstad”, wyładowany jedenastoma tysiącami ton węgla, wbił się w śródkręcie „Empress ot Ireland”, tworząc otwartą ranę wysoką na dwadzieścia cztery stopy i szeroką na piętnaście. W ciągu czternastu minut „Empress” znalazła się na dnie Rzeki Świętego Wawrzyńca, pociągając ze sobą tysiące istnień.

- Dziwne, jak szybko ta historia pogrążyła się w przeszłości - rzekł Pitt w zamyśleniu.

- Tak, niech pan spyta o „Empress” kogoś w Stanach czy w Europie. Nikt o niej nie słyszał. To zbrodnia, jak szybko o tym.

Zapomniano.

- Pan jednak ciągle pamięta.

- Ja i cała prowincja Quebec. - Le Mat wskazał ręką na wschód. - Tam, za Pointe-au-Pere, na małym cmentarzyku utrzymywanym przez Canadian Pacific Railroad, leży osiemdziesiąt osiem, niezidentyfikowanych ofiar tej tragedii. - Twarz Le Mata wyrażała głęboki smutek. Mówił o tej przerażającej matematyce śmierci tak, jakby to się wydarzyło wczoraj. - Pamięta także o tym Armia Zbawienia. Spośród stu siedemdziesięciu jeden jej przedstawicieli, którzy jechali na konferencję w Londynie, przeżyło tylko dwudziestu sześciu. W każdą rocznicę katastrofy odprawiają mszę za swoich zmarłych na cmentarzu Mount Pleasant w Toronto.

- Wygląda na to, że sprawa „Empress” kompletnie pana pochłonęła.

- Tak, ta historia mnie pasjonuje. Jak wielka miłość do nieżyjącej już kobiety, która wyraża się w adoracji jej obrazu.

- Interesują mnie fakty, a nie fantazja.

- Czasami fantazja bardziej popłaca - odparł Le Mat z wyrazem rozmarzenia na twarzy. Nagle stał się czujny, szybko obrócił koło steru, żeby ominąć ogromną krę, która wyrosła tuż przed łodzią. - Między czerwcem i wrześniem, kiedy robi się cieplej, nurkuję często do wraku, czasem nawet po-dwadzieścia, trzydzieści razy.

- W jakim stanie, znajduje się „Empress”?

- Daleko posunięty rozkład. Choć może nie jest aż tak źle, zważywszy, że leży tam już siedemdziesiąt pięć lat. Myślę, że to dzięki zimnym prądom płynącym ze

wschodu. Kadłub leży na prawej burcie pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Parę ścian wewnętrznych zupełnie się rozsypało, ale reszta okrętu jest prawie nietknięta.

- Na jakiej głębokości?

- Około stu sześćdziesięciu pięciu stóp. Cholernie głęboko, jak na nurkowanie ze sprężonym powietrzem, ale jakoś mi się to udaje.

Mat zamknął przepustnice i silnik stanął. Łódź zaczęła dryfować z prądem rzeki. Nagle Le Mat odwrócił się do Pitta.

- Panie Pitt, co pana właściwie tak bardzo interesuje w historii? Dlaczego mnie pan szukał?

- Chcę zdobyć informację o człowieku, który zginął w t katastrofie. O Harveyu Shieldsie. Powiedziano mi, że tylko jedna osoba wie coś o „Empress of Ireland”. I tą osobą jest Jules Le Mat.

Le Mat przez chwilę nad czymś się zastanawiał, po czym rzekł:

- Tak, pamiętam. Harvey Shields był jedną z ofiar. Ci, które przeżyli, nigdy nie o nim nie mówili. Przypuszczalnie był jednym z siedmiuset ludzi pogrzebanych wewnątrz wraku.

- Może go znaleziono, ale nie zidentyfikowano, jak tych, którzy leżą na Father Point.

Le Mat potrząsnął głową.

- To byli przeważnie pasażerowie trzeciej klasy. Shields, jako angielski dyplomata, był kimś ważnym. Na pewno rozpoznano bo jego ciało.

Pitt odstawił filiżankę.

- Widzę, że moje poszukiwania tu się kończą.

- Nie, panie Pitt - rzekł Le Mat -jeszcze nie tutaj. Spojrzał na niego w milczeniu.

- Tam, w dole. - Le Mat wskazał głową pokład. - „Empre of Ireland” znajduje się pod nami. Pokazał coś za oknem kabiny.

- To są boje oznaczające wrak. Pięćdziesiąt stóp za lewą burtą, na zlodowaciałej rzece kołysała się pomarańczowa boja. Jej lina poprzez ciemność wody prowadziła w otchłań, do spokojnie spoczywającego na dnie wraku.



## ROZDZIAŁ 30

Pitt zjechał małym, wynajętym samochodem z głównej szosy i zapuścił się w wąską, wyboistą dróżkę prowadzącą w stronę Hudsonu. Było tuż po zachodzie słońca. Minął przydrożny kamień upamiętniający Wojnę o Niepodległość. Zamierzał właśnie zatrzymać się, żeby nieco rozprostować nogi, kiedy nagle zmienił decyzję. Postanowił dojechać do celu jeszcze przed zmrokiem. Malownicza rzeka wyglądała wspaniale w świetle kończącego się dnia. Schodzące do rzeki pola błyszczały resztkami śniegu.

Zatrzymał się na małej stacji benzynowej poniżej Cocksackie. Agent, starszy już człowiek w wypłowiałym kombinezonie, siedział w swoim biurze, trzymając wyciągnięte nogi na żelaznym taborecie przystawionym do piecyka. Pitt zatankował i wszedł do środka. Urzędnik omiół go wzrokiem i przyjrzał się cenie wybitej na dystrybutorze.

- Wygląda na dwadzieścia dolarów - powiedział. Pitt wręczył mu pieniądze.

- Jak daleko jeszcze do Wacketshire? Facet przez chwilę badał Pitta wzrokiem.

- Wacketshire? Nikt o to od wielu lat nie pytał. Prawdę mówiąc to miasto już nie istnieje.

- Miasto-widmo w stanie Nowy Jork? Myślałem, że takie rzeczy zdarzają się tylko na pustyniach Południowego Zachodu.

- Niech pan nie żartuje. W 1949, kiedy zlikwidowano linię kolejową, Wacketshire, praktycznie biorąc, umarło. Nikt tam już nie mieszka. Może z wyjątkiem takiego jednego, co robi pomniki.

- Czy zostało coś po starym torowisku? - spytał Pitt.

- Prawie wszystko rozkradli - powiedział stary człowiek z odcieniem smutku. - Aż wstyd. Wzruszył ramionami.

- No, ale przynajmniej nie musimy wdychać tych wszystkich spalin pociągów, które by tędy jeździły. Ostatni pociąg starej linii był jeszcze parowy.

- Być może parowozy jeszcze kiedyś powrócą.

- Pewnie już tego nie dożyję. - Stary człowiek przyglądał się Pittowi z rosnącym respektem. - Dlaczego pan się interesuje tą nieistniejącą linią?

- To moje hobby. - Pitt skłamał bez wahania. Ostatnio wychodziło mu to coraz lepiej. - Najbardziej interesują mnie stare ekspresy. Teraz na przykład zajmuję się pociągiem „Manhattan Ltd”, linia New York & Quebec Northern.

- To ten, który spadł z mostu Deauville. Zginęła setka ludzi.

- Tak, wiem o tym.

Stary człowiek obrócił się w stronę okna.

- O, „Manhattan Ltd” to coś szczególnego. Zawsze go można poznać po specyficznym odgłosie.

Pitt sądził, że się przesłyszał. Urzędnik użył czasu terażniejszego.

- Chyba mówi pan o innym pociągu.

- Nie. To przecież „Manhattan Ltd” klekocze nocami po szynach, gwizdże jak szalony i świeci wielkim reflektorem, zupełnie jak tamtej nocy, kiedy wpadł do rzeki.

Stary rozgadał się: rozprawiał o pociągu-widmie tak swobodnie jakby mówił o pogodzie.

Zapadał już zmierzch, kiedy Pitt zatrzymał samochód na odludnym skrzyżowaniu. Wiał zimny wiatr z północy. Pitt podciągnął pod samą szyję zamek błyskawiczny starej skórzanej kurtki szoferskiej i postaw kołnierz. Wsadził na głowę wełnianą narciarską czapkę i wysiadł z samochodu, zamknął starannie drzwi. Niebo na zachodzie stało t najpierw pomarańczowe, potem szaropurpurowe. Pitt mozolnie brnął przez zamarznięte pola w kierunku rzeki, pozostawiając za sobą w śniegu głębokie na cztery cale ślady butów. Uświadomił sobie nagli że zapomniał o rękawiczkach. Powrót do samochodu zabrałby m jednak ostatnie cenne minuty dziennego światła, wsunął więc tylko ręce głęboko do kieszeni.

Przeszedłszy ćwierć mili natknął się na rząd drzew orzechowych i niskich krzaków. Omijał zmarznięte gałęzie przypominające lodów, kryształę. Doszedł wreszcie do wysokiego nasypu. Skarpa był stroma, musiał więc pomagać sobie rękami, by dostać się na wyślizgany mroźnym wiatrem szczyt wzniesienia. Odmroziwszy sobie niemal palce, stanął wreszcie na opuszczonym torowisku. Były zniszczone i wyboiste, w wielu miejscach rozmyte, porośnięte chwastami. Ruchliwa niegdyś linia kolejowa stała się już tylko odległym wspomnieniem.

W przygasającym świetle wzrok Pitta wylawiał relikty przeszłości znanej tylko z opowiadałi. Kilka zniszczonych, na wpół spalonych podkładów, jakiś zardzewiały hak, rozrzucone kamienie nasypu. Słupy telegraficzne jeszcze stały, tworząc coś na kształt nie kończącego się szeregu gotowych do boju żołnierzy. Zmurszałe belki izolatorów tkwiły wciąż na swoich miejscach.

Pitt z mozołem ruszył pod górę: nasyp wznosił się lekkim łukiem, w stronę zniszczonego mostu. Ostre powietrze kłuło go w nozdrza. Z ust szła para tworząc bezkształtną, natychmiast znikającą mgłę. i Spod jego nóg wyskoczył królik i szybko zbiegł z nasypu. Powoli zapadał mrok. Pitt zatrzymał się i spojrzał na ciągnącą się sto

pięćdziesiąt stóp niżej rzekę. Kamiennie resztki mostu Deauville-Hudson zdawały się prowadzić donikąd.

Niczym zapomniani wartownicy, z wody wystawały dwa samotne filary. Dźwigane przez nie niegdyś pięćsetstopowej długości przęsło znikło bez śladu. Mostu nigdy nie odbudowano. Główna linia kolei została poprowadzona bardziej na południe, gdzie wybudowano dla niej nowy i solidny most wiszący.

Pitt przykucnął na chwilę, próbując odtworzyć sobie w wyobraźni ową fatalną noc. Prawie udało mu się zobaczyć czerwone światła ostatniego wagonu, malejące w miarę, jak pociąg wjeżdżał na główne przęsło mostu. Niemal słyszał szcęk miazdzonego metalu i straszny plusk obojętnej na wszystko rzeki.

Jego myśli przerwał nagle inny dźwięk, był to dolatujący z oddali przenikliwy, wysoki pisk.

Pitt podniósł się i nadstawił uszu. Przez chwilę słyszał tylko wycie wiatru. Potem dźwięk powrócił chyba z północy, rozbijając się o skaliste brzegi Hudsonu, o nagie konary drzew i o mroczne wzgórza doliny wielokrotnie powtarzanym echem. Był to gwizd pociągu.

Początkowo niewyraźne, potem coraz większe żółte światło zbliżało się w jego stronę. Doszły do tego nowe dźwięki: stukot, zgrzytanie oraz syk pary. Niewidoczne ptaki, przestraszone nagłym hałasem, fruwały w czarne niebo.

Pitt nie wierzył, że to wszystko dzieje się naprawdę. Wydawało mu się niemożliwe, by pociąg pędził po opuszczonym torowisku, na którym nie było szyn. Stał bez ruchu nie czując zimna. Szukał wyjaśnienia. Wszystko wydawało mu się urojeniem, z wyjątkiem gwizdu i zbliżających się świateł. Przez dziesięć, może dwadzieścia sekund Pitt stał zlodowaciały niczym konary drzew wzdłuż toru. Podwyższony poziom adrenaliny we krwi i paroksyzm lęku sprawiły, że przestał logicznie myśleć. Zaczął tracić przytomność, czując jedynie kleszcze strachu opasujące mu gardło.

Preraźliwy gwizd na nowo rozdarł ciszę nocną. Widmo zatoczyło łuk i z łomotem zmierzało w stronę nie istniejącego mostu, świecąc oślepiającym reflektorem.

Pitt nie mógł sobie nigdy przypomnieć, jak długo był sparaliżowany tym, co w istocie było przerażającym przywidzeniem.

W końcu zwyciężył jednak instynkt samozachowawczy. Błyskawicznie rzucił się do ucieczki. Obie strony wąskiego, stromego nasypu pogrążone były w ciemnościach,

za nim była po prostu rzeka. Poczul się w pułapce.

Widmo lokomotywy zbliżało się z wściekłością, dźwięk dzwonu przebijał się przez ryk pary. Pitt zamiast strachu poczul nagle złość na własną bezsilność i bezradność. W jednej sekundzie - długiej jak życie - podjął decyzję. Miał tylko jedno wyjście. Jak sprinter, wyskakujący z bloków na strzał startera, skoczył na spotkanie z nieznanym.

## ROZDZIAŁ 31

Oślepiające światło nagle zniknęło, piekielny hałas zastąpiła cisza.

Pitt zatrzymał się i skamieniał. Nic nie rozumiał. Usiłował na nowo przyzwyczać wzrok do ciemności. Wsłuchiwał się w ciszę. Słych było tylko wycie północnego wiatru. Poczł ostre zimno gołych dłoniach i bicie własnego serca.

Przez następne dwie minuty nic się nie działo. Zaczł wolno biec po torowisku, co chwila zatrzymując się po to, by przyjrzeć ośnieżonej ziemi. Na niezmaconej bieli niczego jednak nie mógł dostrzec, z wyjątkiem własnych śladów. Zachowując ostrożność biegł jeszcze przez około pół mili, ciągle liczył na jakiś ślad mechanicznej widma. Nic z tego, wyglądało na to, że żaden pociąg tędy przejeżdżał.

Nagle potknął się o coś i runął na śnieg. Rozgarnął go szeroko rękami i wyczuł dwie równoległe wstęgi zimnego metalu.

- Mój Boże, tu są szyny!

Pochyliwszy się jeszcze bardziej, by im się przyjrzeć, nagle dostrzegł kątem oka niebieskawą poświatę telewizora, migającą w oknie domu Szyny zdawały się przechodzić tuż przed jego frontowym wejściem.

Z wnętrza dochodziło szczekanie psa, przez uchylone drzwi sączyli się światło. Pitt stanął w cieniu. Olbrzymi, kudłaty owczarek wyskoczył na podkłady kolejowe, zachłysnął się lodowatym powietrzem i zniechęcony zimnem szybko cofnął się do ciepłego wnętrza. Drzwi zamknęły. Podszedłszy bliżej Pitt dostrzegł wielki czarny kadłub stojący na bocznym torze. Była to lokomotywa z węglarką. Ostrożni wszedł do parowozu i dotknął paleniska. Metal był zupełnie zimny. Rdza zostawała na rękach, kotły nie były używane od dawna. Opuścił tor i zapukał do drzwi domu. Pies szczeknął parę razy z obowiązku. W progu przywitał go mężczyzna w wygniecionym szlafroku. Trudu było rozpoznać rysy, ponieważ światło padało zza jego pleców. Ogromna postać zajmowała całą szerokość drzwi.

- Czym mogę panu służyć? - spytał głosem jakby wydobywającym się z dna beczki.

- Przepraszam, że przeszkadzam - zaczął Pitt z przymilnym uśmiechem - czy mogę zamienić z panem parę słów? Mężczyzna pośpiesznie obrzucił Pitta wzrokiem.

- Proszę, niech pan wejdzie.

- Nazywam się Pitt, Dirk Pitt.

- Anselm Magee.

Nazwisko poruszyło jakąś strunę w pamięci Pitta, ale zanim cokolwiek sobie

skojarzył, Magee odwrócił się i krzyknął do wnętrza domu:

- Annie, mamy gościa!

Z kuchni ospałym krokiem wyszła wysoka kobieta, chuda jak patyk. Musiała być kiedyś modelką, ocenił Pitt. Włosy w kolorze pieprzu i soli były elegancko uczesane. Miała na sobie dopasowaną, czerwoną podomkę i fartuszek, w rękę trzymała kuchenną ścierkę.

- Moja żona Annie - przedstawił ją ruchem ręki Magee. - Pan Pitt.

- Dobry wieczór - powiedziała serdecznie - podejrzewam, że przydałaby się panu filiżanka kawy.

- Marzę o tym - odrzekł Pitt. Nagle jej oczy rozszerzyły się.

- Czy wie pan, że pana ręce krwawią? Pitt spojrzał na obtarcia dłoni.

- Musiałem się skaleczyć przechodząc przez szyny. Tak zdrętwiałem z zimna, że nawet nie zauważyłem obtarcia.

- Proszę sięść przy kominku. - Anna posadziła go na półokrągłej kanapie. - Zrobię panu opatrunek.

Poszła do kuchni, żeby nabrać do miseczki ciepłej wody, po czym wzięła z łazienki środki dezynfekcyjne.

- Przyniosę kawę - zaproponował Magee.

Owczarek bezmyślnie przyglądał się Pittowi. Tak się przynajmniej Pittowi zdawało, ponieważ oczy psa przykrywała gęsta, opadająca sierść.

Przyglądał się mieszkaniu. Meble wyglądały na specjalnie zaprojektowane w nowoczesnym stylu. Wszystkie sprzęty, w tym lampy i liczne dzieła sztuki były koloru czerwonego lub białego. Living-room robił wrażenie zamieszkanego muzeum. Powrócił Magee z dymiącą kawą. W świetle lampy Pitt dojrzał sympatyczną, figlarną twarz.

- To pan jest tym sławnym rzeźbiarzem - przypomniał sobie wreszcie Pitt.

Magee roześmiał się.

- Obawiam się, że niektórzy krytycy nie zgodziliby się na to określenie.

- Jest pan skromny - rzekł Pitt. - Zdarzyło mi się kiedyś stać w długiej kolejce po to, by obejrzeć pana wystawę w National Art Gallery w Waszyngtonie.

- Czy jest pan znawcą sztuki współczesnej?

- Jestem zaledwie dyletantem. Ostatnio interesuje się star, maszynami. Zbieram stare samochody i aeroplany. - To była prawda. - Zajmują mnie również lokomotywy parowe. - To b kłamstwo.

- Mamy więc wspólny temat - rzekł Magee - sam jest miłośnikiem starych pociągów. Odwrócił się i zgasił telewizor.

- Widziałem pana prywatny parowóz.

- Typ Atlantic 4-4-2 - wyrecytował z dumą Magee - w produkowany w Zakładach Baldwina w 1906. Ciągnął „Overlaid Ltd” z Chicago do Council Bluffs w stanie Iowa. Na owe czasy to był prawdziwy samochód wyścigowy.

- A kiedy ostatnio uruchamiał go pan? - Z wyrazu twarzy Magee'ego odgadł od razu, że użył niefachowego zwrotu.

- Rozpaliłem pod kotłem dwa lata temu, jak tylko ułożyłem te pół mili toru. Przewoziłem sąsiadów i ich dzieci tam i z powrotem mojej prywatnej linii. Po ostatnim zawale musiałem przestać. Ot stoi bezczynnie.

Weszła Annie i zaczęła przemywać skaleczenia Pitta.

- Niestety, udało mi się znaleźć tylko jodynę. Będzie pana piekło.

Myliła się. Pitt nie odzyskał jeszcze czucia w rękach. Spokojni obserwowali zakładanie bandaża. Anna odsunęła się i oceniła swoje dzieło.

- Być może nie zasługuje to na specjalną nagrodę dla pielęgniarek ale powinno się trzymać do pańskiego powrotu do domu.

- Już mi lepiej - powiedział Pitt.

Magee rozsiadł się w fotelu o kształcie tulipana.

- Proszę mi powiedzieć, co pana tu sprowadza, panie Pitt? Pitt od razu przeszedł do rzeczy.

- Zbieram dane na temat „Manhattan Ltd”.

- Rozumiem - odparł Magee, ale widać było, że nic nie rozumie. - Przypuszczam, że interesuje pana raczej jego ostatni kurs historia samej linii.

- Tak - przyznał Pitt - wiele aspektów tej katastrofy nigdy nie doczekało się wyjaśnienia. Korzystam ze starych raportów dziennikarskich, ale więcej jest tam pytań niż odpowiedzi.

Magee przyjrzał mu się podejrzliwie.

- Czy jest pan reporterem? Pitt potrząsnął głową.

- Jestem dyrektorem do zadań specjalnych w Agencji Badai Morskich i Podwodnych.

- A więc pracuje pan dla rządu?

- Rząd mi płaci, to prawda. Ale moje zainteresowanie tragedią mostu Deauville ma charakter całkiem prywatny.

- Zainteresowanie? Raczej obsesja. Jak inaczej tłumaczyć fakt, że błąka się pan po polach po ciemku w taki mróz.

- Mam bardzo mało czasu - wyjaśniał Pitt cierpliwie. - Jutro rano muszę być w Waszyngtonie. To była jedyna możliwość obejrzenia okolic mostu. Zresztą, kiedy się tu znalazłem, było jeszcze widno.

Magee uspokoił się.

- Przepraszam za podejrzliwość, ale jest pan pierwszym przybyszem, który zabłąkał się w to odludzie. Wyjawszy paru przyjaciół i współników w interesie, większość ludzi sądzi, że jestem zdziwaczalnym odludkiem, dłubiącym swoje rzeźby w zrujnowanym magazynie we wschodniej dzielnicy Nowego Jorku. Lubię tworzyć pozory i cenię samotność. Gdybym musiał ciągle mieć do czynienia z chmarą głupków, krytyków i dziennikarzy sterczących pod moimi drzwiami, nigdy bym nic nie zrobił. Tutaj, ukryty w dolinie Hudsonu, mogę spokojnie tworzyć.

- Jeszcze trochę kawy? - spytała Anna. Zręcznie znalazła okazję, żeby się wtrącić.

- Proszę - odrzekł Pitt.

- A może kawalek szarlotki?

- Z przyjemnością. Nic nie jadłem od śniadania.

- To przygotuję panu coś solidniejszego?

- Nie, szarlotka wystarczy. Kiedy wyszła, Magee ciągnął dalej:

- Panie Pitt, myślę, że mnie pan zrozumiał.

- Nie mam żadnego powodu, żeby zakłócać pańską prywatność.

- Wierzę panu.

Pitt stopniowo odzyskiwał czucie w rękach. Bolały go potwornie. Anna przyniosła szarlotkę. Rzucił się na ciasto jak wygłodniały wiejski parobek.

- Jako wielbiciel starych pociągów i mieszkaniec tych okolic - podjął Pitt po chwili - musi pan wiedzieć coś więcej o tej katastrofie niż to, co można znaleźć w starych szpargałach.

Magee przez dłuższy czas wpatrywał się w ogień kominka, po czym rozpoczął z pewnym ociąganiem:

- Oczywiście ma pan rację. Badałem trochę dziwne okoliczności związane z katastrofą „Manhattan Ltd”. Głównie lokalne plotki. Miałem szczęście, bo udało mi się rozmawiać z Samem Hardingiem, zawiadowcą stacji, który był na służbie w noc katastrofy, rozmawiał z nim na kilka miesięcy przed jego śmiercią w domu starców w



Germantown. Miał osiemdziesiąt osiem lat i pamięć jak bal danych w komputerze. Mój Boże, czułem się, jakbym rozmawiał z Historią. Prawie widziałem przed oczyma wszystkie wypadki strasznej nocy.

- Napad właśnie w momencie przejazdu pociągu przez stacje - wtrącił Pitt. - Złodziejaszek, który nie pozwala zawiadowcy ostrą maszynisty pociągu, choć mogłoby to ocalić setki ludzi. To brzmi fantazja.

- Żadna fantazja, panie Pitt. Tak właśnie było. Harding opowiedział to wszystko policji i dziennikarzom. Najlepszy dowód, telegrafista Hiram Meechum miał kulę w biodrze.

- Znam to zeznanie - potwierdził Pitt.

- Musi pan też wiedzieć, że złodzieja nigdy nie złapano. Hardii i Meechum rozpoznali go jako Clementa Maseya lub Dappe Doyle'a, jak go również nazywano. Mały rzezimieszek, ale miał kil naprawdę genialnych skoków.

- Najdziwniejsze, że dosłownie zapadł się pod ziemię.

- Inne były czasy przed wojną. Prawo nie było aż tak wieloznaczne jak dzisiaj. A Doyle nie był durniem. Parę latek za kradzież to jedne a pośrednie spowodowanie śmierci setki mężczyzn, kobiet i dzieci -to całkiem co innego. Gdyby go złapano, sąd w ciągu pięciu dni wysłałby go na szubienicę.

Pitt skończył jeść i wygodnie rozsiadł się na kanapie.

- Czy nikt nie zastanawiał się, dlaczego nigdy nie odnaleziono pociągu?

Magee potrząsnął głową.

- Przypuszczano, że utopił się w szlamie rzeczonym. Miejscowe kluby płetwonurków do dziś szukają jakichś szczątków. Parę lat temu wydobyto o milę stąd w dół rzeki starą przednią latarnię lokomotyw. Ludzie sądzili, że pochodzi z „Manhattan Ltd”. Myślę, że niedługo zmienią koryto rzeki, żeby wydobyć wrak. To tylko kwestia czasu.

- Jeszcze trochę szarlotki? - spytała Anna.

- To wielka pokusa, ale już dziękuję - powiedział Pitt wstając z miejsca. - Za parę godzin mam samolot z lotniska Kennedy'ego w Nowym Jorku. Dziękuję za gościnność.

- Zanim pan wyjdzie, chcę panu jeszcze coś pokazać - powiedział Magee.

Wstał z krzesła i ruszył w kierunku drzwi umieszczonych pośrodku przeciwległej ściany. Otworzył je i znikł we wnętrzu ciemnego pokoju. W kilka minut później ukazał się znowu, niosąc w ręku wielką lampę.

- Tędy - zaprosił do środka.

Pitt wszedł, wciągając nosem stęchły zapach starego drewna i skóry, zmieszany z zapachem nafty. Jego oczy łowiły cienie tańczące w świetle lampy.

Stopniowo rozpoznawał wnętrze urządzonego po staroświecku biura. Na środku podłogi stał pękaty piecyk, żelazna rura biegła pionowo ku sufitowi. W kącie umieszczono pomarańczowy sejf, na jego drzwiach namalowany był kryty płótnem wóz pędzący przez prerię. Pod ścianą stały dwa biurka. Jedno z nich, zamykane żaluzją, miało z boku przytwierdzony na stałe staroświecki telefon. Drugie biurko było długie i wąskie z szeregiem drobnych przegródek. Na jego krawędzi, na wprost skórzanego fotela umieszczony był telegraf, którego druty plątały się pod sufitem. Na ścianie wisiał zegar firmy Seth Thomas, afisz reklamujący wędrowną trupeę rozrywkową Parkera i Smitha, obraz, na którym bardzo dojrzałe dziewczę reklamowało piwo z browaru Rupperta na Dziewięćdziesiątej Czwartej Ulicy w Nowym Jorku oraz kalendarz kompanii ubezpieczeniowej Feeney & Co. z maja 1914.

- Biuro sama Hardinga - z dumą oświadczył Magee. - Odtworzyłem je dokładnie tak, jak wyglądało w noc napadu.

- Więc pana dom...

- Jest dawną stacją Wacketshire - dokończył za Pitta Magee. - Farmer, od którego to kupiłem, używał go jako obory dla krów. Oboje z Anną postanowiliśmy go odremontować. Szkoda, że nie widział go pan w świetle dziennym. Ta architektura ma szczególny charakter: ozdoby dachu, wdzięczne łuki. Pochodzi z osiemdziesiątych lat osiemnastego wieku.

- Wspaniale to pan odrestaurował - pochwalił go Pitt.

- Tak, spośród wielu starych dworców ten był najlepszy - rzekł Magee. - Zrobiliśmy parę zmian. Dawny magazyn przerobiliśmy na sypialnię, a living-room zrobiliśmy w starej poczekalni.

- Czy meble są oryginalne? - spytał Pitt dotykając telegrafu.

- W większości tak. Biurko Hardinga było tu od początku. Piec wyłowiliśmy ze śmietnika, a sejf Anna znalazła w sklepie żelaznym w Selkirk. Ale naprawdę cenne jest to...

Magee uniósł irchowe przykrycie i odkrył szachownicę. Ręcznie rzeźbione figurki z brzozy i hebanu musiały służyć całe lata.

- Szachy Meechuma - wyjaśnił Magee. - Dostałem je od wdowy po nim. Ślad po kuli pistoletu Massey'a nigdy nie został załatany.

Pitt badał przez chwilę szachownicę w milczeniu, potem wyrzwał przez okno w ciemność.

- Musi pan niemal czuć ich obecność.

- Często siadam tu przy samym oknie i próbuję sobie wyobrazić tę straszną noc.

- Czy widzi pan także „Manhattan Ltd” i słyszy pan jego ryk?

- Czasami - odparł Magee w rozmarzeniu - jeśli puszcza wodze fantazji...

Przerwał i spojrzał na Pitta podejrzliwie.

- Dziwne pytanie. Dlaczego to pana interesuje?

- Pociąg-widmo - odpowiedział Pitt - podobno nadal strasz na starym torowisku.

- Dolina Hudsonu obfituje w legendy - zadrwił Magee. - N litość Boga, niektórzy nawet twierdzą, że widzieli jeźdźca bez głów Te wielkie legendy często zaczynają się od nie sprawdzonej pogłoską Upiększana z wiekiem i coraz bardziej deformowana przez lokalny folklor, plotka z czasem staje się wielką legendą daleko wykraczającą poza granice rzeczywistości. Pociąg-widmo zaczął straszyć® kilka lat po zawaleniu się mostu. Podobnie jak duch zgilotynowanego mężczyzny, który szuka wszędzie swojej głowy, tak i pasażerowi „Manhattan Ltd” nigdy nie pójda do nieba, dopóki pociąg nit przejedzie wreszcie rzeki. Tak przynajmniej twierdzą niektórzy.

- Jest pan wielkim sceptykiem, panie Magee - roześmiał się Pitt.

- Nie przeczę.

Pitt spojrzał na zegarek.

- Muszę już rzeczywiście iść.

Magee poprowadził go do wyjścia. Uścisnęli sobie dłonie na starym peronie kolejowym.

- To był fascynujący wieczór - rzekł Pitt. - Dziękuję państwu za gościnność.

- Cała przyjemność po naszej stronie. Proszę nas odwiedzać. Uwielbiam rozmowy o pociągach. Pitt zawahał się przez chwilę.

- Coś mi jeszcze przyszło do głowy.

- Co takiego?

- Coś na temat legend - rzekł Pitt patrząc Magee'emu prosto w oczy. - Zawsze u ich źródła tkwi jakieś źdźbło prawdy.

W świetle żarówki uprzejma twarz gospodarza była ponura i zamyślona. Poza tym nic więcej nie dało się z niej wyczytać. Potem Magee obojętnie wzruszył ramionami i zamknął drzwi.

## ROZDZIAŁ 32

Na korytarzu szpitalnym Danielle Sarveux serdecznie przywitała się z premierem Quebecu, Julesem Guerrierem. Towarzyszyli mu jego sekretarz i Henri Yillon.

Guerrier lekko pocałował Danielle w oba policzki. Był grubo po siedemdziesiątce, ale trzymał się dobrze: wysoki, szczupły, z bujnymi siwymi włosami i gęstą, falistą brodą. Mógłby doskonale służyć artyście za model Mojżesza. Jako premier Quebecu był także liderem frankofońskiej Partii Quebeckiej.

- Cieszę się, że cię widzę, Jules - powiedziała Danielle.

- To raczej dla mnie przyjemność zatrzymać stare oczy na pięknej kobiecie - odrzekł z galanterią.

- Charles czeka na ciebie.

- Jak się teraz czuje?

- Lekarze twierdzą, że dobrze. Ale to jeszcze trochę potrwa.

Sarveux siedział podparty poduszkami. Łóżko miał przysunięte do wielkiego okna, z którego mógł oglądać gmach parlamentu.

Goście oddali pielęgniarce płaszcze i kapelusze i otoczyli łóżko chorego. Rozsiedli się na krzesłach i na kanapie. Danielle nalała wszystkim koniaku.

- Wolno mi częstować moich gości - rzekł Sarveux - ale niestety alkohol źle się łączy z lekarsstwami, nie będę więc wam towarzyszył.

- Za szybki powrót do zdrowia - wzniosł toast Guerrier.

- Szybki powrót do zdrowia - powtórzyli pozostali. Guerrier odstawił szklanekę.

- To dla mnie zaszczyt, że chciałeś mnie widzieć, Charles. Sarveux spojrzał na niego poważnie.

- Słyszałem, że ogłaszasz referendum w sprawie całkowitej niepodległości.

Guerrier wzruszył ramionami w typowo francuski sposób.

- Już dawno nadszedł czas, żeby ostatecznie zerwać z konfederacją.

- Zgoda. Mam zamiar dać ci moje pełne poparcie. Oświadczenie Sarveux zabrzmiało jak szczęk gilotyny. Guerrier wyraźnie napięty.

- Jak to, nie będziesz się sprzeciwiał?

- Nie, wolałbym, żeby było już po wszystkim i chciałbym o tym zapomnieć.

- Zbyt długo cię znam, Charles, żeby za twoją zgodą doszukiwał się jakichś ukrytych motywów.

- Źle mnie rozumiesz, Jules. Ja tu niczego nie gram. Jeśli Quelx chce się

usamodzielnąć, proszę bardzo. Dość już tych referendum walki o mandaty, nie kończących się negocjacji. To już przeszłe Konfederacja nie potrzebuje Quebecu. Jakoś przeżyjemy bez was.

- I my bez was.

Sarveux gorzko się uśmiechnął.

- Zobaczymy, jak ruszycie pod górę.

- Myślę, że już ruszyliśmy - rzekł Guerrier. - Zamkniemy Parlament Quebecu i stworzymy nowy rząd wzorowany na Republic Francuskiej. Ułożymy własne prawa, będziemy zbierać własne podatki i ustanowimy formalne stosunki z obcymi mocarstwami. Oczywiście zachowamy wspólną walutę i więzy ekonomiczne z prowincja anglojęzycznymi.

- Nie możecie zjeść ciastka i mieć go nadal - zauważył Sarveu twardo. - Quebec musi drukować własne pieniądze, renegocjować wszystkie stare układy konfederacji. Musimy ustawić stanowiska celni wzdłuż wspólnych granic. Kanada wycofa wszystkie swoje instytucje i biura rządowe w Quebecu.

Przez twarz Guerriera przesunął się cień niezadowolenia.

- To surowe warunki.

- Jeśli mieszkańcy Quebecu nie chcą Kanady z jej politycznymi swobodami, dobrobytem i perspektywami, zerwanie musi być ostatecznie i całkowite.

Guerrier zaczął powoli:

- Mógłbym spodziewać się więcej zrozumienia po moim francuskim współziomku.

- Mój francuski współziomek zamordował pięćdziesięciu niewinnych ludzi po to, żeby mnie zgładzić. Ciesz się, Jules, że nie obwiniam o to Parti Quebecois. Publiczne oburzenie w całej Kanadzie bardzo zaszkodziłoby twojej sprawie.

- Daję ci najsolenniejsze słowo honoru, że Partia Quebecka niej maczała palców w twoim wypadku lotniczym.

- A terroryści ze Stowarzyszenia Wolnego Quebecu?

- Nigdy nie broniłem terrorystów z AQL - zaprotestował Guerrier.

- To trochę mało. Nic nie robiłeś, żeby im przeszkodzić.

- Oni działają jak duchy - bronił się Guerrier. - Nie wiadomo nawet, kto im przewodzi.

- A co będzie, jeśli po zatwierdzeniu niepodległości Quebecu AQL nagle wyjdzie z podziemia?

- Jeśli Quebec będzie wolny, AQL nie będzie miało już racji bytu. Organizacja i jej przywódca umrą śmiercią naturalną.

- Zapominasz, Jules, że ruchy terrorystyczne mają brzydki zwyczaj przekształcania się w legalne partie opozycji.

- Nowy rząd Quebecu nigdy nie będzie tolerował AQL.

- O ile ty będziesz na jego czele.

- Mam nadzieję - rzekł Guerrier bez odcienia zarozumiałości. - Kto inny zdobędzie społeczne poparcie w dziele tworzenia nowego wspaniałego państwa?

- Życzę ci wszystkiego najlepszego - powiedział Sarveux sceptycznie.

Trudno z Guerrierem dyskutować, pomyślał. Ci kanadyjscy Francuzi to marzyciele. Myślą tylko o romantycznych czasach, kiedy wszędzie powiewała majestatycznie burbońska lilijka. Ten szlachetny eksperyment będzie fiaskiem, zanim się rozpocznie.

- Jako premier Kanady nie będę ci przeszkadzał. Ale ostrzegam cię, Jules, żadnych demonstracji ani politycznych zamieszek przeciwko Kanadzie.

- Przrzekam ci, Charles - rzekł konfidencyjnie Guerrier - narodziny będą spokojne.

Ta obietnica miała się okazać pusta.

Danielle poznała od razu, że Yillon jest wściekły. Siadł obok niej na ławce w szpitalnym ogrodzie. Drżąc z zimna na wiosennym chłodzie spokojnie czekała na wybuch, który musiał nastąpić.

- Łajdak! - krzyknął wreszcie. - Ten przebiegły sukinsyn oddał Quebec Guerrierowi bez walki.

- Ciągle jeszcze nie mogę w to uwierzyć - rzekła Danielle.

- Wiedziałaś, musiałaś wiedzieć, co Charles szykuje.

- Nic mi nie mówił...

- Dlaczego?! - przerwał jej z twarzą wykrzywioną wściekłością. - Dlaczego tak nagle zmienił stanowisko w sprawie Kanady?

Danielle siedziała cicho. Instynktownie bała się jego gniewu.

- Podstawił nam nogę, zanim zdążyliśmy dobrze przygotować grunt. Boję się, że moi przyjaciele z Kremla wycofają się, jeśli się o tym dowiedzą.

- Co Charles chciał tym wygrać? Przecież to było polityczne samobójstwo.

- Prowadzi jakąś sprytną grę - rzekł Yillon. - Z tym star głupcem Guerrierem u steru Quebec będzie dla Ottawy marionetkowym państwkiem, proszącym o

jałmużnę, o długoterminowe pożyczki i kredyty handlowe. Quebec będzie biedniejszy jako państwo niż jako prowincja.

Spojrzała na niego twardym wzrokiem.

- To wcale nie musi tak wyglądać.

- Co masz na myśli? Mocno ścisnęła jego ramię.

- Zapomnijmy o AQL. Ujawnij się i walcz z Guerrierem.

- Nie jestem dość silny, żeby porywać się na Julesa.

- Quebec stanowczo potrzebuje młodego, silnego i energicznego przywódcy - nastawała. - Henri Yillon, którego znam, nigdy nie ugnie się przed angielską Kanadą i Stanami Zjednoczonymi.

- Twój mąż zatrzymał mnie w pół drogi. Bez odrobiny czasu stworzenie własnej organizacji, to niemożliwe.

- A jeśli Jules Guerrier umrze? Po raz pierwszy Yillon zaśmiał się.

- To bzdura. Jules może złapać wszystkie możliwe choroby, o których piszą w medycznych książkach, ale i tak nas wszystkich przeżyje.

Twarz Danielle stała się dziwnie napięta.

- Jules musi umrzeć, aby Quebec mógł żyć.

Wniosek był jasny. Yillon na dłuższą chwilę pogrążył się w myślach.

- Co innego zabijać obcych - odezwał się w końcu. - Ich śmierć jest czasem polityczną koniecznością, ale Jules jest lojalnym Francuzem. I walczył dłużej niż ktokolwiek inny.

- Biorąc pod uwagę to, co możemy zyskać, cena nie jest wysoka.

- Cena nigdy nie jest niska - powiedział w zamyśleniu. Prawdę mówiąc, zastanawiam się, kto jeszcze będzie musiał umrzeć, zanim to wszystko się dokona.

## ROZDZIAŁ 33

Gly pochylił się w stronę lustra nad brudną miednicą i zaczął zmieniać swoją twarz.

Przede wszystkim zmienił swój zniekształcony nos. Używając białej lateksowej pianki wydłużył go i podniósł chrząstkę nosową. Protezę umocował z pomocą specjalnej gumy, następnie powłókł odpowiednim kolorem podkładu i przypudrował, by ukryć niepotrzebny połysk. Na chwilę przerwał swoje dzieło, porównując je z fotografią zatkniętą za dolną krawędź lustra. Zadowolony z wyników, pracował dalej. Pociągnął nieco ciemniejszym fluidem od podbródka, wzdłuż linii szczęk, aż do oczu. Twarz stała się bardziej owalna.

Zmienił także linię ust, które dzięki specjalnie zastosowanej szmince, podkreślającej wydatność dolnej wargi, wyglądały teraz na grube i mięsiste.

Teraz przysza kolej na oczy. Dzięki szkłom kontaktowym udało mu się zmienić jej kolor z brązowych na szare. Tego jednak nie lubił. Czuł się tak, jakby zmienił duszę. W lustrze nie mógł już rozpoznać Fossa Gly'a.

Wreszcie włosy, obiema rękami mocno wcisnął brązową perukę aż na kark, tak jakby to była korona.

Tak zmieniony odsunął się nieco od lustra i począł starannie badać swoją twarz, oświetlając się z różnych stron małą lampką. Niemal idealnie - ocenił. Tak doskonale, jak to tylko było możliwe w warunkach brudnej łazienki zapchlonego hotelu, w którym się zatrzymał.

Wyszedł nie zauważony: nocnego recepcjonisty akurat nie było. Minął dwie boczne ulice i szeroką aleję i wsiadł do mercedesa. Ukradł go tego dnia wczesnym popołudniem z bankowego parkingu, oczywiście zmienił numery rejestracyjne.

Jechał starą dzielnicą Quebec City, zwaną Starym Miastem. Mercedes z trudem mieścił się w wąskich i krętych uliczkach. Przypadkowi przechodnie na dźwięk klaksonu usuwali się na bok z oburzeniem w oczach. Było parę minut po dziewiątej. Światła Quebecu skrzyły się w lodowej krze na Rzece Świętego Wawrzyńca. Gly przejechał poniżej słynnego hotelu Chateau Frotenac i włączył się w ruch na autostradzie biegnącej wzdłuż rzeki. Po chwili był już przy Battlefield Park na Wzgórzach Abrahama, gdzie w 1759 Brytyjczycy pokonali Francuzów, zyskując tym samym Kanadę dla swojego Imperium.

Skręcił w eleganckie przedmieście Sillery. Wielkie kamienne domy, prawie fortece, wyglądały na ponadczasowe. Tu właśnie chroniły się wszystkie finansowe i



społeczne potęgi prowincji. Gly nie cenił tej rodzaju bezpieczeństwa. Dla niego domy te przypominały racz monstrualne krypty zamieszkałe przez ludzi, którzy nie zdawali sobie sprawy, że już są martwi.

Zatrzymał się przed ciężką żelazną bramą i przedstawił się domofonu. Nie było odpowiedzi, ale brama się otworzyła. Spokój, podjechał pod imponujący granitowy pałac otoczony kilkoma akrami trawnika. Zaparkował samochód przed frontowym wejściem i zadzwonił do drzwi. Szofer i zarazem goryl premiera zaprosił Gly'a do wnętrza.

- Dobry wieczór, panie Yillon, co za miła niespodzianka.

Gly ucieszył się. Jego nowa twarz zdała egzamin.

- Byłem z wizytą u przyjaciół w Quebecu i postanowiłem przy okazji złożyć uszanowanie panu premierowi. Słyszałem, że nie czuje się dobrze.

- Ciężka grypa - odparł szofer, biorąc płaszcz od Gly'a - ale najgorsze już ma poza sobą. Temperatura spadła, niemniej musi min trochę czasu, zanim będzie mógł znów wrócić do swoich zajęć.

- Jeśli nie jest usposobiony do tak późnej wizyty, nie będę dziś przeszkadzał. Zadzwonię jutro.

- Nie, proszę wejść. Premier Guerrier właśnie ogląda telewizję. Wiem, że ucieszy go pana wizyta. Zaprowadzę pana do jego pokoju. Gly powstrzymał go ręką.

- Niech pan się nie trudzi. Znam drogę.

Wszedł wielkimi krętymi schodami na pierwsze piętro. Na same górze zawahał się. Nauczył się na pamięć planu całej willi, miał w głowie każde wyjście na wypadek konieczności ucieczki. Jeśli dobrze pamiętał, sypialnia Guerriera była za trzecimi drzwiami na prawo. Wszedł spokojnie, nie pukając. Jules Guerrier siedział rozparty w ogromnym, miękkim fotelu z nogami umieszczonymi na kanapie. Oglądał telewizję. Miał na sobie jedwabny szlafrok niedbale narzucony na piżamę. Zwrócony plecami do drzwi, nie zauważył nawet wejścia Gly'a. Gly bezszelestnie przeszedł po dywanie w kierunku łóżka. Podniósł dużą poduszkę i podszedł z tyłu do Guerriera. Zaczął już przybliżać poduszkę do jego twarzy, kiedy nagle się powstrzymał. Musi mnie zobaczyć, pomyślał. Domagała się tego jego ambicja. Chciał dowieść samemu sobie, że rzeczywiście może stać się Villonem. Guerrier wyczuł czyjaś obecność, obrócił się powoli. Jego wzrok znalazł się na wysokości pasa Gly'a. Potem podniósł oczy na jego twarz i znieruchomiał, nie ze strachu, lecz ze zdumienia.

- Henri?

- To ja, Jules.

- To niemożliwe - głucho zabrzmiał głos Guerriera.

Gly stanął za telewizorem i spojrzał premierowi prosto w twarz.

- Ależ to naprawdę ja. Na ekranie twojego telewizora.

Był tam rzeczywiście. Twarz Henriego Yillona wypełniała cały ekran. Właśnie przemawiał na otwarciu nowego centrum sztuki w Ottawie. Za nim siedziała Danielle Sarveux, a obok niej żona Yillona.

Guerrier nic nie rozumiał z tego, co jego oczy przekazywały komórkom mózgowym. Program telewizyjny nagle ożył, nie miał co do tego wątpliwości. Ale przecież on także dostał zaproszenie na tę ceremonię i dobrze pamiętał, że według programu Yillon miał rzeczywiście o tej porze przemawiać. Patrzył na Gly'a z padniętą szczęką.

- Co takiego?

Gly nie odpowiedział. Jednym ruchem dopadł fotela i przycisnął poduszką twarz Guerriera. Krzyk przerażonej ofiary nie był głośniejszy niż przytłumiony pisk zwierzęcia. Premier nie miał sił podjąć tak nierównej walki. Chwycił potężne nadgarstki Gly'a i usiłował odepchnąć je od siebie. W płucach czuł ognistą kulę. Wielki błysk światła zapalił się na chwilę w jego głowie, potem zapadła ciemność.

Po trzydziestu sekundach ręce Guerriera zwolniły uścisk i zwiły bezwładnie po obu stronach fotela. Ciało stało się wiotkie, ale Gly trzymał jeszcze poduszkę na jego twarzy przez dobre trzy minuty.

Wyłączył telewizor i posłuchał serca ofiary. Wszystkie funkcje życiowe ustały. Premier Quebecu nie żył.

Gly szybko podszedł do drzwi i sprawdził korytarz. Był pusty. Wrócił do Guerriera, zdjął mu poduszkę z twarzy i rzucił ją na łóżko. Spokojnie zdjął z niego szlafrok i powiesił na poręczy fotela. Z zadowoleniem stwierdził, że premier się nie zmoczył. Potem przyszła kolej na pantofle, powędrowały pod łóżko.

Układając ciało w łóżku Gly nie czuł żadnego obrzydzenia, nawet niesmaku. Otworzył siłą usta nieboszczyka i obejrzał język. Policja, która podejrzewa uduszenie, przede wszystkim sprawdza język ofiary. Ale Guerrier mu sprzyjał. Na języku nie było śladów zębów. Były jednak sine plamy w ustach. Gly wyjął z kieszeni małe pudełko z przyborami do makijażu i pędzelkiem zamalował te miejsca różowym, tłustym kremem. Oczywiście odbarwienia nie znikły kompletnie, ale stały się mniej widoczne. Przyciemnił również wargi od wewnętrznej strony, usuwając w ten sposób inny ślad

uduszenia.

Wreszcie zamknął oczy ofiary. Zaczął także masować wykrzywioną twarz Guerriera tak długo, aż przybrała spokojny, łagodny wyraz. Następnie ułożył ciało w sposób naturalny dla osoby śpiącej i przykryje kołdrą. Wychodząc z pokoju poczuł jednak niejasne wątpliwości do perfekcji wykonanego dzieła. Był to stan ducha mistrza, któremu zawsze wydaje się, że czegoś zaniedbał, że dzieło mogło być wykonane jeszcze lepiej.

Zaczął schodzić, kiedy ujrzał na dole szofera wychodzącej z kuchni z zastawą do herbaty.

Nagle zatrzymał się w pół kroku. Uświadomił sobie ten zapomniany szczegół. Zęby Guerriera były zbyt doskonałe, żeby mogły być prawdziwe. Oczywiście były sztuczne.

Pochylił się, by szofer go nie dostrzegł, po czym biegiem wrócił sypialni. Pięć sekund ścisnął protezę w dłoni. Gdzie starszy pan je zwykle kładzie? Z pewnością trzyma w jakimś dezynfekcyjnym płynie. Stojący obok stolik służył za bar, prócz tego stał na nim zegar. Gly znalazł wreszcie w łazience plastikowy kubek z niebieskim płynem. Nie zastanawiając się, co jest w środku, wrzucił do niego protezę.

Kiedy ponownie otwierał drzwi sypialni, goryl właśnie sięgał rei do klamki z drugiej strony.

- Myślałem, że napiją się panowie herbaty. Gly wskazał ruchem ramienia łóżko.

- Jules był zmęczony. Myślę, że zasnął natychmiast, ledwo przyłożył głowę do poduszki.

- Może jednak wypiłby pan filiżankę przed wyjściem, pani Yillon?

Gly zamknął drzwi sypialni.

- Nie, dziękuję. Muszę już iść.

Zeszli razem do holu. Goryl odstawił tacę i pomógł mu włożyć płaszcz. Gly umyślnie chwilę zwlekał, chcąc, by człowiek Guerrier zobaczył stojącego przed domem mercedesa.

Powiedział „dobranoc” i zapalił silnik. Brama otworzyła się i Gly wyjechał na pustą ulicę. Osiem przecznic dalej zaparkował między dwoma dużymi rezydencjami. Zamknął samochód i wkopał kluczyki do kanału.

Cóż bardziej zwykłego niż mercedes w dzielnicy eleganckiej rezydencji, pomyślał. Ludzie, którzy tu mieszkają, raczej nie rozmawiają z sąsiadami. Każdy pomyśli, że samochód przyjechał z wizytą do sąsiada. Może tak stać wiele dni.

Wrócił do Quebecu dziesięć po dziesiątej. Ciągłe trzymał w kieszeni egzotyczną truciznę. Była to niezawodna metoda zabójstwa stosowana przez komunistyczne służby wywiadowcze. Żaden lekarz sądowy nie byłby w stanie wykryć tej substancji w ciele ofiary. Decyzję, by użyć poduszki, podjął bez wcześniejszego namysłu. Po prostu lubił nietypowe metody. Większość morderstw dokonuje się według pewnego scenariusza, wcześniej obmyśloną bronią. Metoda Gly'a polegała na tym, że nie miał żadnej metody. Każde zabójstwo całkowicie różniło się od poprzedniego. Nigdy nie zostawiał żadnych charakterystycznych poszlak, które wskazywałyby na niego.

Czuł miłe podniecenie. Pokonał pierwszy płotek. Został mu jeszcze jeden, najtrudniejszy i najbardziej podniecający.

## ROZDZIAŁ 34

Danielle Teżała w łóżku obserwując unoszący się ku sufitowi dym z papierosa. Wrażenia docierały do niej z pewnej oddali: przytulne wnętrze letniego domku pod Ottawą, zapadający zmierzch i krzepkie, piękne męskie ciało obok niej.

Podniosła się i spojrzała na zegarek. Niestety nic nie może trwać wiecznie. Poczucie odpowiedzialności kazało jej zakończyć to interludium i wrócić do rzeczywistości.

- Czy musisz już iść? - spytał. Przytaknęła ruchem głowy.

- Muszę grać dobrą żonę i odwiedzić męża w szpitalu.

- Nie zazdrozczę ci. Szpitale to piekło w bieli.

- Już się do tego przyzwyczaiałam.

- Jak się czuje Charles?

- Lekarze obiecują mu powrót do domu za parę tygodni.

- Myślę, że już nie ma do czego wracać - rzucił lekceważąco. - Kraj pozbawiony jest steru. Gdyby wybory były jutro, z pewnością by je przegrał.

- To bardzo dobrze. - Wstała z łóżka i zaczęła się ubierać. - Bez Julesa Guerriera świat należy do ciebie. Zrezygnuj z gabinetu i oficjalnie zgłoś swoją kandydaturę na prezydenta Quebecu.

- Muszę starannie to przygotować. Chcę przyjść jako zbawiciel, a nie jak szczer uciekający z tonącego okrętu.

Przytuliła się do niego. Zapach męskiego ciała znów ją oszołomił. Położyła mu rękę na piersi, tak by czuć uderzenia jego serca.

- Jesteś dziś inny niż zwykle, Henri.

Spojrzał na nią uważnie.

- Co masz na myśli?

- Kochałeś mnie dziś brutalnie, niemal okrutnie.

- Sądziłem, że pewna zmiana sprawi ci przyjemność.

- Sprawiała - pocałowała go. - Nawet we mnie byłeś inny.

- Nie rozumiem dlaczego - rzucił mimochodem.

- Ja też, ale było cudownie.

Z ociąganiem zbierała się do wyjścia. Włożyła płaszcz i rękawic Obserwował ją, ciągle z pozycji leżącej. Nagle ona przyjrzała mu się badawczo.

- Nigdy mi nie opowiadałeś, jak to się stało, że śmierć Guerrie uznano za naturalną.

Zimny wyraz pojawił się w jego oczach.

- Nie powinnaś wiedzieć o pewnych rzeczach. Odczuła to jako policzek.

- Nigdy nie mieliśmy przed sobą sekretów.

- Teraz mamy - odparł niecierpliwie.

Nie wiedziała, jak zareagować na jego nagły chłód. Nigdy nie był taki, zmroziło ją to.

- Jesteś zdenerwowany. Czy powiedziałam coś złego? Spojrzał na nią obojętnie i wzruszył ramionami.

- Spodziewałem się więcej po tobie, Danielle.

- Więcej?

- Nie powiedziałaś mi o Charlesie nic ponad to, co mogłem wyczytać w gazetach. Spojrzała pytająco.

- Co jeszcze chcesz wiedzieć?

- Chcę znać jego myśli. Rozmowy z ministrami. Jaki będzie jego stosunek do Quebecu po odłączeniu prowincji? Do licha, potrzebuj informacji, a ty nic mi nie mówisz.

Rozłożyła ręce.

- Charles zmienił się po tym wypadku. Zrobił się tajemniczy. Niej zwierza mi się ze wszystkiego jak kiedyś. Skrzywił się.

- Nie jesteś mi już potrzebna.

Odwróciła głowę. Uczuła w sercu złość i ból.

- Nie kontaktuj się więcej ze mną - ciągnął lodowato - chyba że masz mi coś ważnego do powiedzenia. Nie chcę więcej ryzykować dla nudnego erotyzmu.

Danielle odwróciła się jeszcze od drzwi.

- Ty sukinsynu - wyrzuciła z siebie ze szlochem.

Dlaczego nigdy nie dostrzegłam w nim potwora, pomyślała. Już opanowana otarła łzy wierzchem dłoni.

Jego śmiech ścigał ją jeszcze przy samochodzie i dźwięczał jej w uszach podczas drogi do szpitala.

Nie wiedziała, że w sypialni letniego domku leżał z nią Foss Gly. Był bardzo zadowolony z siebie. Ostatni test wypadł śpiewająco.

## ROZDZIAŁ 35

Szef kancelarii prezydenta obojętnie kiwnął głową na powitanie Pitta. Nie podniósł się nawet zza biurka. Rzucił tylko sucho:

- Niech pan siada, panie Pitt. Prezydent za chwilę pana przyjmie.

Nie było uścisku dłoni. Pitt postawił teczkę na dywanie i usiadł w fotelu przy oknie.

Szef kancelarii, młody człowiek około trzydziestki o pretensjonalnym nazwisku Harrison Moon IV, zdążył odpowiedzieć na trzy telefony, jednocześnie przekładając papiery z jednego stosu na drugi. Wreszcie zwrócił się w stronę Pitta.

- Chcę, żeby pan sobie zdawał sprawę, panie Pitt, że spotkanie to jest poza wszelkim regulaminem. Prezydent ma zbyt mało czasu, żeby tracić go na pogawędki z trzeciorzędnyimi urzędnikami. Tylko dzięki temu udało się panu tu dostać, że prosił o to pana ojciec, senator George Pitt, zaznaczając, że to pilne.

Pitt spojrział wzrokiem niewiniątka.

- Do licha, cholerny zaszczyt.

Twarz szefa Białego Domu nachmurzyła się.

- Proszę o więcej szacunku dla siedziby prezydenta.

- Jak mogę przejmować się prezydentem, jeśli zatrudnia takich gówniarzy jak pan - odparł Pitt ze złośliwym uśmiechem. Harrison Moon IV zeszywniał.

- Jak pan śmie!

W tym momencie weszła sekretarka prezydenta.

- Prezydent na pana czeka.

- Nie! - wrzasnął Moon zrywając się na równe nogi, z twarzą pełną wściekłości.

- Spotkanie jest odwołane!

Pitt podszedł do Moona, chwycił go za klapy marynarki i silnie pchnął na biurko.

- Woda sodowa uderzyła ci do głowy, synku.

Pitt wręczył mu kopię listu Wilsona.

- To list Woodrowa Wilsona do premiera Asquitha z 4 czerwca. Proszę zauważyć, że brakuje w nim pół zdania. Zrobiłem spektrograficzny i odnalazłem brakujące wiersze: moi współziomkowi nie zadowolą się samą świadomością tego, że północny sąsiad stał częścią naszej ukochanej ojczyzny.

Prezydent przez chwilę studiował list, po czym siadł przy niskim stoliku.

- Co pan jeszcze ma?

Pitt w milczeniu pokazał fotografię Bryana, Essexu i Shields wychodzących z traktatem z Białego Domu. Po czym zagrał atowego asa.

- A to jest dziennik Richarda Essexu, kartki przypadające maj. Wszystkie konferencje prowadzące do Traktatu Północnoamerykańskiego są odnotowane z najdrobniejszymi szczegółami. Ostatni spotkanie datowane jest 22 maja 1914. Tego dnia Essex opuścił stolicę by udać się do Kanady, tego dnia także podpisano traktaty.

- Mówi pan w liczbie mnogiej: traktaty.

- Mam na myśli trzy kopie, po jednej dla każdego kraju. Pierwszy podpisał Asquith i król Jerzy. Shields zawiózł ten historyczny dokument do Waszyngtonu, gdzie 20 maja złożyli swoje podpisy Wilson i Bryartf. Dwa dni później Essex i Shields wspólnie udali się pociągiem do Ottawy. Ostatni położył swój podpis premier Kanady, sir Rober Borden.

- Dlaczego w takim razie formalnie nie włączono Kanady do Stanów?

- Na skutek paru nieprzychylnych okoliczności - wyjaśnił Pitt. - Harvey Shields wraz z tysiącem innych osób poszedł na dno na transatlantyku „Empress of Ireland”, który zderzył się z węglowem na Rzece Świętego Wawrzyńca i zatonął. Nigdy nie znaleziono ani jego ciała, ani brytyjskiej kopii traktatu.

- Ale przynajmniej Essex dotarł do Waszyngtonu z amerykańską kopią.

Pitt potrząsnął przecząco głową.

- Pociąg wiozący Essexu spadł z mostu na Hudsonie. Historia jak z klasycznego horroru: ani załogi, ani pasażerów, ani nawet samego pociągu nigdy nie odnaleziono.

- Została jeszcze kopia kanadyjska.

- Tak, ale możemy jedynie snuć spekulacje, co się z nią stało. Przypuszczalnie w Londynie gabinet Asquitha zaprotestował. Ministrowie, przede wszystkim Churchill, musieli być wściekli, kiedy dowiedzieli się, że premier i król usiłowali za ich plecami sprzedać największe dominium.

- Myślę, że i Kanadyjczycy nie byli tym zachwyceni.

- W momencie kiedy obie kopie przepadły, zniszczenie trzeciej zależało tylko od sir Roberta Bordena, lojalnego Anglika. W ten sposób Wilson nie miał już podstaw do żadnych roszczeń.

- Wydaje się niemożliwe, żeby oficjalne raporty dotyczące negocjacji w tak fundamentalnych sprawach po prostu zginęły - zauważył prezydent.

- Wilson przyznaje w swoim liście, że polecił sekretarzowi zniszczyć wszystkie wzmianki o traktacie. Nie mogę wypowiadać się w imieniu Foreign Office, ale o ile



wiem, Brytyjczycy mają zwyczaj przechowywać wszystkie dokumenty. Jeśli jakiegokolwiek papiery dotyczące traktatu jeszcze istnieją, prawdopodobnie są przywalone toną kurzu w jakimś starym wiktoriańskim magazynie.

Prezydent wstał i zaczął chodzić po pokoju.

- Chciałbym znać brzmienie tego traktatu.

- Może pan - uśmiechnął się Pitt. - Essex naszkicował go w swoim dzienniku.

- Czy mogę go dostać?

- Oczywiście.

- Jak pan trafił na ten dziennik?

- Należał do jego wnuka - odparł Pitt po prostu.

- Do Johna Essexa?

- Tak.

- Dlaczego przez ten cały czas trzymał go w tajemnicy?

- Widocznie bał się, że jego ujawnienie może spowodować międzynarodowy zamęt.

- I chyba miał rację - rzekł prezydent. - Jeśliby prasa się za to wzięła, trudno byłoby przewidzieć reakcje ludzi po obu stronach granicy. Wilson napisał prawdę: Amerykanie to naród zachłanny. Mogą domagać się Kanady. I Bóg tylko wie, co działałoby się w Kongresie.

- Jest jednak pewien haczyk. Prezydent zatrzymał się.

- Jaki?

- Nie ma dowodu wpłaty. Pierwszy depozyt figuruje jako pożyczka. Nawet jeśliby się znalazła jakaś kopia traktatu, Brytyjczycy wszystkiego się wyprą, twierdząc, nie bez racji, że nigdy nie dostali żadnych pieniędzy.

- Tak - rzekł prezydent. - Brak dowodu zapłaty może unieważnić traktat.

Podszedł do wysokiego okna i spojrzał na trawnik przed Białym Domem. Milczał walcząc z myślami. Wreszcie obrócił się i spojrzał wprost na Pitta.

- Kto wie o tym traktacie oprócz pana?

- Komandor Heidi Milligan, która wszczęła wstępne poszukiwania po odkryciu listu Wilsona, archiwista Senatu, który znalazł, fotografię, mój ojciec i oczywiście admirał Sandecker. Ponieważ jestem moim przełożonym, muszę go informować, czym się zajmuję.

- Nikt więcej?

Pitt potrząsnął głową.

- Myślę, że nikt.  
- Niech to zostanie w tym gronie.  
- Jak pan sobie życzy, panie prezydencie.  
- Bardzo jestem wdzięczny, że przyszedł pan z tym do mnie panie Pitt.  
- Czy mam dalej się tym zajmować?  
- Nie, myślę, że na razie włożmy tę sprawę z powrotem trumny. Nie ma sensu psuć naszych stosunków z Kanadą i Zjednoczonym Królestwem.  
- John Essex zapewne by się zgodził.  
- Pan też tak uważa, panie Pitt? Pitt zamknął teczkę i wstał.  
- Jestem inżynierem marynarki, panie prezydencie. Trzymał ster z dala od polityki.

- Mądry kurs. - Prezydent uśmiechnął się ze zrozumieniem. Naprawdę mądry kurs.

Natychmiast po wyjściu Pitta prezydent odezwał się do interkomu.

- Maggie, daj mi na holografie Douglasa Oatesa.

Siadł za biurkiem i czekał.

Krótko po wprowadzeniu się do Białego Domu zażądał w swoim biurze systemu komunikacji holograficznej. Odczuwał dziecięcą ni« mai przyjemność w obserwowaniu członków swojego gabinetu odległość wielu mil: ich wyrazów twarzy, ruchów i emocjonalnych reakcji.

Na środku Owального Gabinetu pojawił się trójwymiarowy obraz mężczyzny o falistych, kasztanowatych włosach, w staroświeckim, szarym garniturze w prążki. Siedział w sztywnym, skórzanym fotelu.

Douglas Oates, sekretarz stanu, kiwnął głową i uśmiechnął się.

- Dzień dobry, panie prezydencie. Co tam na froncie?

- Douglas, ile pieniędzy dały Stany Zjednoczone Anglii od 1914 roku?

Oates spojrzał zdziwiony.

- Dały?

- Tak. Wiesz, umowne długi wojenne, pomoc gospodarcza, kontrybucje, wszystko.

Oates wzruszył ramionami.

- Myślę, że niezłą sumkę.

- Ponad miliard?

- O, na pewno - odrzekł Oates. - Dlaczego pan pyta? Prezydent zignorował

pytanie.

- Przygotuj kuriera. Mam ciekawą wiadomość dla przyjaciela w Ottawie.
- Jakies szczegóły o tych złożach ropy? - Oates nalegał.
- Coś więcej. Dostaliśmy dzokera w rozgrywce kanadyjskiej.
- Musimy go dobrze zagrać.
- Mógłbyś mu dać kryptonim „czerwony śledź”?
- Czerwony śledź?

Prezydent miał minę kota, który schwytał mysz.

## ROZDZIAŁ 36

Prezydent podpłynął na boku do brzegu basenu. Podciągnął się na drabince i zobaczył Merciera i Kleina wychodzących z przebieralni.

- Myślę, że poranna kąpiel nie zakłóci wam pracy.

- Bynajmniej, panie prezydencie - rzekł Mercier. - Ja potrafię pracować i tutaj. Klein rozejrzał się ciekawie.

- A więc to jest ta sławna pływalnia Białego Domu. O ile pamiętam, ostatnim prezydentem, który tutaj pływał, był Jack Kennedy.

- Zgadza się - odparł prezydent. - Nixon kazał przykryć basen deskami i urządzał tu konferencje prasowe. A ja wolę raczej popływać, niż stawiać czoło hordzie głupich reporterów.

Mercier zaśmiał się.

- Na dno...

- Ciekawe, co napisałyby waszyngtońska prasa, gdyby dowie działa się, co pan mówi o reporterach.

- Och, tylko poza protokołem - roześmiał się także prezydent. - A co byście powiedzieli o gorącej wannie? Zainstalowano ją dopiero wczoraj.

Przeszli do małego okrągłego baseniku, znajdującego się w kąci pływalni. Prezydent nastawił temperaturę na 105 stopni Fahrenheita, W miarę jak woda stawała się coraz gorętsza, Mercier nabierał pewności, że ugotuje się na śmierć. Po raz pierwszy w życiu skłonny był współczuć homarom.

Prezydent jednak czuł się tu świetnie.

- To tak samo dobre miejsce do załatwiania interesów, jak każde inne... Powiedzcie mi na przykład, jak wygląda sprawa tej kanadyjskiej energii?

- Wygląda ponuro - rzekł Mercier. - Nasz wywiad donosi, a to minister Henri Yillon zarządził odcięcie prądu z James Bay.

- Yillon - prezydent wymawiał to nazwisko, jakby połykał coś obrzydliwego. - To ten dwulicowy facet, który obsmarowuje Stany Zjednoczone, ilekroć dorwie jakiegoś dziennikarza?

- Ten sam - potwierdził Mercier. - Plotki mówią, że szykuje się na prezydenta w nowej Republice Quebecu.

- Po śmierci Guerriera ma cholernie duże szansę - dodał Klein. Prezydent nachmurzył się.

- Nie wyobrażam sobie nic gorszego niż Yillon dyktujący ceny i wielkości

dostaw energii z James Bay, a i nafty z tych nowych pól odkrytych przez NUMA.

- To rzeczywiście irytujące - mruknął ponuro Mercier. Zwrócił się do Kleina: - Czy zasoby są rzeczywiście tak duże, jak twierdzi admirał Sandecker?

- On podał szacunek minimalny - dodał Klein. - Moi eksperci przejrzyli dane komputerowe NUMA. I sądzą, że to będzie raczej dziesięć miliardów baryłek niż osiem.

- Jak to możliwe, że kanadyjskie towarzystwa naftowe przeoczyły to?

- Pułapka stratygraficzna to najtrudniejszy do wykrycia rodzaj złoża - wyjaśnił Klein. - Ekwipunek sejsmiczny, pomiary grawitacyjne, magnetofony, nic nie jest w stanie wykryć obecności węglowodanów. w takiej formacji geologicznej. Trzeba wierzyć na oślep. Kanadyjczycy wiercili w szelfie dwie mile od „Różdżki”, ale niczego nie znaleźli.

Zaznaczyli to miejsce na mapach jako puste. Dlatego inne ekipy badawcze omijają już ten teren.

Mercier ruchem ręki rozpędził gorącą parę sprzed oczu.

- Wygląda na to, że dzięki nam nowy Quebec będzie bardzo bogatym państwem.

- Pod warunkiem, że ich o tym poinformujemy - rzekł prezydent. Klein spojrział na niego.

- Dlaczego trzymać to w tajemnicy? Przecież to tylko kwestia czasu, zanim sami natrafiają na to złożo. Wskazując im je i pomagając przy wierceniach możemy liczyć na wdzięczność Quebecu. Z pewnością będą sprzedawać nam ropę po rozsądnych cenach.

- Naiwny optymizm - rzekł Mercier. - Spójrzcie, co się stało w Iranie i innych krajach OPEC.

Prezydent przechylił głowę do tyłu i przymknął oczy.

- Przypuśćmy, że mamy kawałek papieru, z którego wynika, że Kanada należy do USA. I co z tego?

Mercier i Klein zamilkli w osłupieniu. Nie wiedzieli, co prezydent ma na myśli. W końcu Mercier wypowiedział jedyne słowa, które przyszyły mu do głowy:

- Nie mogę sobie wyobrazić takiego dokumentu.

- Ani ja - dorzucił Klein.

- To tylko takie moje rojenia - wycofał się prezydent i machnął ręką. - Nie ma o czym mówić, mamy ważniejsze, konkretne sprawy do omówienia.

Mercier spojrział w wodę.

- Największym niebezpieczeństwem dla naszego państwa jest podzielona Kanada. Musimy zrobić co się da, żeby pomóc premierowi Sarveux w powstrzymaniu Quebecu od secesji.

- To brzmi logicznie - rzekł prezydent - a jednak będę musiał cię prosić, żebyś zrezygnował z tych planów.

- Dlaczego, panie prezydencie?

- Chcę, żebyś razem z CIA i Departamentem Stanu zajął się koordynacją poufnego programu, który ma doprowadzić do pełnej niepodległości Quebecu.

Mercier wyglądał, jakby ugryzł go rekin.

- Nie wiem, czy pan sobie zdaje sprawę...

- Moja decyzja jest ostateczna - uciął prezydent. - Proszę cię jak przyjaciela, żebyś zastosował się do tego polecenia.

- Czy mogę przynajmniej wiedzieć dlaczego?

Wzrok prezydenta był odległy i nieobecny. Mercier poczuł dziwny dreszcz, słysząc twardy, męski głos:

- Uwierzcie mi, podzielona Kanada to najlepsze rozwiązanie Stanów Zjednoczonych.

Klein zapinał płaszcz stojąc przed południowym wejściem Białego Domu. Czekał na swój samochód z szoferem. Ciężkie, ołowiane niebo nie robiło już żadnych nadziei.

- Nie mogę się powstrzymać od myśli, że prezydent jest równie szalony jak Yillon - powiedział.

- Nie rozumiesz ich - odrzekł Mercier. - To spryciarze i grac\_ ale żaden z nich nie jest szalony. A ta jego bajeczka, że niby Kanada należy do Stanów? Czy to nie dziwne?

- Rzeczywiście, to nie w jego stylu. On coś kombinuje, ale co?

- To ty powinieneś wiedzieć, jako jego doradca do spraw bezpieczeństwa. Jeśli ktoś ma wiedzieć, to tylko ty.

- Tak? A słyszałeś, czego on teraz ode mnie chce?

- Więc co zrobimy?

- Poczekamy - odpowiedział głucho Mercier. - Poczekamy, dowiemy się, co prezydent ma w rękawie.

## ROZDZIAŁ 37

- Sprzedane!

Głos prowadzącego aukcję zabrzmiał przez głośniki jak wystrzał. karabinu. Towarzyszył temu zwykły szmer tłumu. Tym razem licytacja była wysoka, a stawką był ford coupe 1946.

- Proszę następny samochód.

Biały mercedes-benz 540K z 1939 z karoserią Freestone & Webt wolno wtoczył się na arenę Koloseum w Richmond, w stanie Wirginial Kiedy światła areny odbiły się w lśniącym lakierze luksusowego pojazdu, trzytysięczny tłum zaszumiał z aprobatą. Zainteresowani kręcili się wokół sceny. Niektórzy na klęczkach sprawdzali zawieszenie i skrzynię biegów, inni oglądali szczegóły tapicerki, jeszcze inni badali silnik z minami koneserów, próbujących na podstawie wyglądu konia i ocenić jego szansę na zwycięstwo w derby.

Dirk Pitt siadł w trzecim rzędzie i sprawdził raz jeszcze kolejność.

pojazdów. Mercedes był czternasty na liście richmondzkiej aukcji starych, klasycznych samochodów.

- To naprawdę piękny i rzadki wóz. Król między klasykami. Czy ktoś zacznie od czterystu tysięcy?

Maklerzy w smokingach krążyli w tłumie daremnie wypatrując śmiałego oferenta. W końcu ktoś podniósł rękę.

- Mogę dać sto pięćdziesiąt.

Szef ceremonii łatwo przystał na tę cenę wywoławczą i zaczął swoją litanię zrozumiałą tylko dla wtajemniczonych. Cena szybko szła w górę: osiągnęła już dwieście pięćdziesiąt tysięcy, ale gra toczyła się dalej. Zajęty aukcją Pitt nie zwrócił uwagi na młodego człowieka w urzędowym garniturze z kamizelką, który zajął miejsce obok niego.

- Pan Pitt?

Odwrócił się i ujrzał dziecianną twarz Harrisona Moona IV.

- Śmieszne - rzekł Pitt bez zdziwienia - nie wygląda pan na człowieka interesującego się starymi samochodami.

- Istotnie, interesuję się panem. Pitt spojrział na niego rozbawiony.

- Jeśli jest pan pedalem, to traci pan czas. Moon zmarszczył czoło i rozejrzał się wokół, czy nikt z siedzących obok nie słucha ich rozmowy. Wszyscy byli pochłonięci licytacją.

- Jestem tu w oficjalnej, rządowej sprawie. Czy możemy porozmawiać w jakimś mniej publicznym miejscu?

- Niech mi pan da jeszcze pięć minut - rzekł Pitt. - Licytują następny samochód.

- Panie Pitt - zaczął Moon rozkazującym tonem - moja sprawa jest znacznie ważniejsza niż obserwowanie, jak dorośli ludzie wyrzucają pieniądze na stare żelastwo.

- Mam już dwieście osiemdziesiąt tysięcy - ciągnął licytator. - Czy ktoś da trzysta?

- To prawda, nie jest to tanie - odrzekł spokojnie Pitt - ale samochód jest mechanicznym dziełem sztuki, inwestycją, która przynosi od dwudziestu do trzydziestu procent rocznie. Pana wnuki nie będą w stanie tego kupić za mniej niż dwa miliony dolarów.

- Nie jestem tu po to, by dyskutować o przyszłości antyków. Idziemy?

- Nie ma mowy.

- Może pana upór zmięknie, jeśli powiem, że jestem tu w imieniu prezydenta.

Rysy Pitta stwardniały.

- Do ciężkiej cholery! Typpek, który trafił do pracy w Białym Domu, myśli, że wolno mu traktować cały świat z góry? Niech pał wraca i powie prezydentowi, że się panu nie udało, panie Moon. Można mu pan także powiedzieć, że jeśli chce czegoś ode mnie, niech wyśle posłańca nieco lepszej klasy.

Moon zbladł. Wszystko przebiegło zupełnie inaczej, niż soi planował.

- Nie... Nie mogę... - wyjąkał.

- To siedź pan cicho! Prowadzący aukcję podniósł młotek.

- Trzysta sześćdziesiąt tysięcy raz... dwa...

Przerwał obserwując publiczność.

- Jeśli nikt nie daje więcej... Sprzedane! Kupił Robert Esbensoq z Denver, Kolorado.

Moon czuł się zniszczony, z zimną krwią i bezlitośnie. Zdecydował się na jedyną ścieżkę, jaka mu pozostała.

- W porządku, panie Pitt. Przyjmuję pańskie warunki. Mercedes zjechał z podium. Jego miejsce zajął czterodrzwiowy dwutonowy, słomianobeżowy kabriolet.

- Teraz, panie i panowie, numer piętnasty naszego programu i Angielski Jensen z 1950 roku. Bardzo rzadko spotykany samochód. Jedyne istniejący egzemplarz tego



modelu. Prawdziwe чудо. Czy możemy zacząć od pięćdziesięciu tysięcy?

Znów przez chwilę trwała cisza. Pierwszy oferent zaproponował tylko dwadzieścia pięć tysięcy. Pitt obserwował w milczeniu, jak ceny rosą. Moon bacznie mu się przyglądał.

- Zamierza pan licytować?

- Wszystko we właściwym czasie.

Dobrze ubrana kobieta około pięćdziesiątki podniosła swoją tabliczkę. Prowadzący licytację spojrział na nią i uśmiechnął się.

- Mamy dwadzieścia dziewięć tysięcy od drogiej pani O'Leary z Chicago.

- Czy on tu wszystkich zna? - spytał Moon, okazując cię zainteresowania.

- Kolekcjonerzy tworzą zamknięte grono. Większość z nas spotyka się na tych samych aukcjach.

Licytacja powoli wspięła się do czterdziestu dwóch tysięcy. Licytator i czuł, że wyżej już nie pójdzie.

- Śmiało, panie i panowie. Samochód wart jest znacznie więcej. Pitt podniósł tabliczkę.

- Dziękuję, mam już czterdzieści trzy tysiące. Czy ktoś da czterdzieści cztery tysiące?

Pani O'Leary, ubrana w elegancką, wełnianą, dwurzędową marynarkę i wąską spódniczkę z rozcięciem z boku, podniosła tabliczkę. Zanim prowadzący aukcję zdążył zareagować na gest pani O'Leary, zgłosił się Pitt.

- Teraz zrozumiała, że wszystko zależy już tylko od niej - szepnął do Moona.

- Czterdzieści cztery tysiące, a teraz czterdzieści pięć. Kto da czterdzieści sześć?

Licytacja zatrzymała się. Pani O'Leary naradzała się z siedzącym obok niej młodym mężczyzną. Rzadko pokazywała się w tym samym towarzystwie na dwóch kolejnych aukcjach. Była to energiczna kobieta, która własnymi siłami dorobiła się niezłego majątku na kosmetykach. Jej kolekcja była znana w świecie. Obejmowała już blisko sto samochodów. Kiedy makler spojrział na nią pytającym wzrokiem, potrząsnęła stanowczo głową. Potem mrugnęła do Pitta.

- To chyba było coś więcej niż gest zaprzyjaźnionego konkurenta - zauważył Moon.

- Powinien pan spróbować od czasu do czasu ze starszą kobietą - rzekł Pitt tonem nauczyciela do ucznia. - One wiedzą prawie wszystko o mężczyznach.

Ładna dziewczyna podeszła do Pitta i poprosiła go o podpisanie kontraktu

kupna.

- Może teraz? - spytał Moon z nadzieją.

- Jak pan tu przyjechał?

- Przywiozła mnie z Arlington moja dziewczyna. Pitt wstał.

- Niech ją pan odnajdzie, a ja tymczasem ureguluję w biurze mój rachunek.

Potem poprosi ją pan, żeby jechała za nami.

- Za nami?

- Chciał pan porozmawiać na osobności, panie Moon. Ofiarowuję więc panu powrót do Arlington prawdziwym samochodem.

Jensen bez wysiłku toczył się autostradą w kierunku Waszyngtonu. Pitt jednym okiem sprawdzał, czy nie śledzi ich policja drogowa, drugim spoglądał na szybkościomierz. Starał się utrzymywać stałą szybkość, siedemdziesiąt mil na godzinę.

Moon w zapiętym pod szyję płaszczu wyglądał żałośnie.

- Czy ten antyk ma jakieś ogrzewanie?

Pitt nie zwracał uwagi na nieszczelność płóciennego dachu. Nie obchodziło go nic prócz silnika, czuł się prawie jego częścią. Obrócił jedną z galek na tablicy rozdzielczej i prąd ciepłego powietrza ocieplił wewnątrz samochodu.

- W porządku, Moon, jesteśmy sami. Co to za historia?

- Prezydent chciałby, żeby poprowadził pan wyprawę rybacką nil St. Lawrence i na Hudsonie.

Pitt oderwał wzrok od szosy i spojrzał na Moona.

- Pan żartuje?

- Nic bardziej poważnego. Prezydent sądzi, że jest pan jedynym człowiekiem odpowiednim do tego, żeby odnaleźć kopię Traktatu Północnoamerykańskiego.

- Pan zna tę sprawę?

- Prezydent wtajemniczył mnie w dziesięć minut po pana odejściu. I powierzył mi funkcję oficera łącznikowego w tej sprawie.

Pitt zwolnił do przepisowej szybkości i milczał przez chwilę. Potem rzekł:

- Myślę, że prezydent nie całkiem wie, o co mnie prosi.

- Zapewniam pana, że przyjrzał się tej sprawie ze wszystkich stron.

- Prosi mnie o rzecz niemożliwą i spodziewa się cudu. - Głos Pitta był sceptyczny i spokojny. - Nie jest możliwe, żeby kawałek papieru pozostał nietknięty spędziwszy w wodzie trzy czwarte stulecia.

- Przyznaję, że i mnie rzecz wydaje się trudna - zgodził się Moon. - Ale prezydent uważa, że należy podjąć ten trud, nawet jeśli szansa odnalezienia kopii traktatu jest jedna na dziesięć milionów.

Pitt wpatrywał się w drogę, która przecinała wiejski pejzaż Wirginii.

- Załóżmy przez chwilę, że nam się poszczęści i złowimy traktat na wędkę. Co dalej?

- To tajemnica.

- Nie chce pan powiedzieć, czy pan nie wie?

- Pomagam tylko prezydentowi... Jestem chłopcem na posyłki, jak pan to ładnie określił. Robię, co do mnie należy. Mam polecenie zapewnić panu wszechstronną pomoc, dostarczyć niezbędnych funduszy i ekwipunku. Co stanie się dalej, po znalezieniu tego, oby: czytelnego, dokumentu, to nie moja sprawa, a już na pewno nie pańska.

- Niech pan posłucha, Moon. - Słaby uśmiech błąkał się po twarzy Pitta. - Czy czytał pan kiedyś książkę „Jak zdobyć przyjaciół i współpracowników”?

- Nigdy nie słyszałem o takiej książce.

- Tak też myślałem.

Pitt dogonił elektryczny minisamochód, który nie chciał ustąpić mu szybkiego pasa ruchu, i mignął długimi światłami. Samochodzik ustąpił wreszcie z drogi.

- Co będzie, jeśli się nie zgodzę? Moon usztywnił się.

- Prezydent będzie bardzo rozczarowany.

- Pochlebia mi to. - Pitt przez chwilę prowadził pogrążony w myślach, następnie zwrócił się do Moona: - OK. Zrobię, co będę mógł. I chcę zacząć od razu.

Moon odetchnął. Skinął głową.

- Pierwsza sprawa, której się domagam, to NUMA z jej ludźmi i środkami - rzekł Pitt. - Admirał Sandecker musi o wszystkim wiedzieć. Nie chcę działać za jego plecami.

- Pańska misja, panie Pitt, podpada pod to, co się określa jako „delikatna sprawa”. Im mniej osób będzie wiedziało o tym traktacie, tym mniejsza szansa, że Kanada się o tym dowie.

- Sandecker musi być poinformowany. - Pitt się upierał.

- W porządku. Spotkam się z nim i przedstawię mu projekt.

- To za mało. Chcę, żeby prezydent przyjął admirała. Zasługuje na to.

Moon miał minę, jakby mu wyciągnięto portfel z kieszeni.

- OK, załatwione.

- Druga sprawa - ciągnął Pitt. - Potrzebuję dobrego historyka.

- Mamy w kołach rządowych kilku odpowiednich ludzi do tego celu. Przyślę panu ich dane.

- Myślałem o kobiecie.

- Czy jest jakiś szczególny powód?

- Komandor Heidi Milligan robiła już wstępne badania na temat traktatu. Potrafi szukać w archiwach, a my nie musimy powiększać grona wtajemniczonych.

- Słusznie - zauważył Moon. - Tylko że ona jest teraz gdzieś na Pacyfiku.

- Niech pan skontaktuje się z szefem operacji morskich i ściągnie ją z powrotem, zakładając oczywiście, że umie pan to zrobić.

- Umieję to zrobić, panie Pitt - odrzekł Moon chłodno.

- Trzecia sprawa. Jedna z kopii traktatu poszła na dno wraz z „Empress of Ireland” na wodach kanadyjskich. Nie sposób będzie utrzymać całej akcji nurkowania w tajemnicy. Według istniejących praw ratownictwa musimy powiadomić władze Kanady, Canadian Railroad, czyli właściciela statku, oraz firmy ubezpieczeniowe, które płaciły odszkodowania.

Twarz Moona rozjaśniła się.

- Zrobiłem więcej, niż pan sądzi. Przygotowałem już odpowiednie dokumenty. Wedle oficjalnej wersji będzie to archeologiczna wyprawa poszukująca eksponatów dla amerykańskiego i kanadyjskiego muzeum marynistycznego. Na pewno wydobędzie pan przy okazji trochę starych rupieci, które uspokoją wszystkich podejrzliwych.

- Czwarta sprawa - rzekł Pitt - to pieniądze.

- Będzie miał pan do dyspozycji znaczne fundusze, wystarczają do płynnego przeprowadzenia całej akcji.

Pitt przez chwilę nic nie mówił, wsłuchując się w równy pomruk stutrzydziestokonnego silnika jensena. Słońce zaszło już za czubi drzew, zapalił więc światła.

- Niczego nie gwarantuję - rzekł wreszcie.

- Jasne.

- Jak się będziemy kontaktować?

Moon wziął pióro i napisał coś na odwrocie programu aukcji.

- Będę pod tym numerem dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie będziemy

się spotykać, chyba że byłby jakiś nowy kryzys.

Przerwał i spojrzał badawczo na kierowcę. Z twarzy Pitta trudne było coś wyczytać.

- Ma pan jeszcze jakieś pytania?

- Nie - rzekł Pitt w zamyśleniu. - Nie mam już żadnych pytań, W rzeczywistości przychodziły mu do głowy setki. Na żadne z nich jednak nie oczekiwał odpowiedzi od Moona. Próbował odgadnąć, co kryją w sobie tajemnicze wody Hudsonu i St. Lawrence, i nagle poczuł, że jakieś niezrozumiałe szaleństwo pcha go w krainę nieprzeniknionej tajemnicy.

## ROZDZIAŁ 38

- Czas podjąć decyzję. Sandecker nie zwracał się do nikogo w szczególności. Oglądał fotograficzne powiększenia map hydrograficznych, zajmujące całą ścianę pokoju operacyjnego NUMA.

Stuknął palcem w jedną z map z okolicami Hudsonu.

- Czy zaczniemy od „Manhattan Ltd”? - przeniósł dłoń na sąsiednią mapę - czy od „Empress of Ireland”?

Zwrócił się w stronę czterech osób siedzących wokół podłużnego stołu.

- Co ma być pierwsze?

Heidi Milligan, na której twarzy widać było zmęczenie długim lotem z Honolulu, chciała coś powiedzieć, ale się powstrzymała.

- Panie mają pierwszeństwo - rzekł uśmiechając się Al Giordino.

- Nie znam się na ratownictwie podwodnym - rzekła Heidi z wahaniem - ale myślę, że dokument w czytelnym stanie mamy szansę znaleźć tylko na statku.

- Dlaczego tak pani sądzi? - spytał Sandecker.

- Zanim zaczęto używać samolotów - wyjaśniła Heidi - istniał specjalny sposób przewożenia przez ocean przesyłek dyplomatycznych. Pieczętowano je w wielowarstwowej, ceratowej kopercie, w obawie przed zamoczeniem. Przypominam sobie taki przypadek, odnaleziono nietknięte dokumenty przy kurierze brytyjskiego Foreign Office, którego ciało zostało wyrzucone na brzeg w sześć dni po zatonięciu „Lusitanii”.

Sandecker uśmiechnął się i spojrzał z zadowoleniem na Heidi. Dobrze mieć obok siebie kogoś takiego.

- Dziękuję, komandorze. Dała mi pani pierwszą iskierkę nadziei. Giordino ziewnął. Przez całą noc Pitt zapoznawał go z projektem. Jedyne, na co mógł się teraz zdobyć, to nie zasnąć.

- Może Richard Essex również owinął traktat ceratą. Heidi potrząsnęła głową.

•».

- Po co? Najprawdopodobniej trzymał go w opancerzonej torbie podróźnej.

- No to mamy małe szansę, że dokument ocalał - postawił kropkę nad „i” Sandecker.

- A ja proponuję, żebyśmy zaczęli od pociągu - rzekł Giordino. - „Empress” leży sto sześćdziesiąt stóp pod wodą, czyli znacznie poniżej granicy bezpiecznego nurkowania. Pociąg natomiast nie może być głębiej niż czterdzieści stóp. Po siedmiu

dekadach statek musi być zżarty przez słoną wodę, wpływającą do St. Lawrence od zatoki. A pociąg leży w słodkiej wodzie, może więc być w lepszym stanie.

Sandecker spojrział na małego człowieczka, którego niebieskie, sowie oczy wyglądały zza okularów w rogowej oprawie.

- Rudi, a co ty o tym sądzisz?

Rudi Gunn, dyrektor techniczny NUMA, wyrzwał zza góry papierów i odruchowo podrapał się w nos. Gunn nie lubił zagadek i domysłów. Cenił solidne fakty, a nie obliczanie szans.

- Ja głosuję za statkiem - rzekł spokojnie. - Jedyna przewaga ratowania „Manhattan Ltd” to to, że działamy na amerykańskiej ziemi. Ale prąd Hudsonu jest bardzo silny, trzy i pół węzła, to o v za dużo, żeby nurkowie mogli skutecznie pracować. A lokomotywy i wagony pogrążone są w mule. To wymagałoby pogłębiania d Najgorsza rzecz pod słońcem.

- Ratowanie statku na otwartej wodzie jest znacznie trudniejsze i czasochłonne niż wyciągnięcie wagonu nawet z najgorszego mułu spierał się Al Giordino.

- To prawda - zgodził się Gunn. - Ale wiemy przynajmniej gdzie leży „Empress of Ireland”. A wraku „Manhattan Ltd” nigdy ni odnaleziono.

- Pociąg nie mógł się rozpuścić. Musimy zbadać powierzchni nie większą niż mila kwadratowa. Magnetometr protonowy znajdzie go w ciągu kilku godzin.

- Chyba nie sądzisz, że lokomotywa jest nadal połączona z wagonami. Po upadku z mostu na pewno wszystko rozbilo się o dno rzeki. Całe tygodnie może nam zająć wyławianie nie tego wagonu trzeba. Nie lubię szukania po omacku.

Giordino nie dawał za wygraną.

- A czy szukać małego pakietu w krypie o wyporności czternastu tysięcy ton, to nie będzie po omacku?

Nagle rozległ się spokojny głos Pitta, siedzącego na końcu z rękami założonymi na karku.

- Proponuję zacząć obie akcje jednocześnie.

W pokoju operacyjnym zaległa cisza. Giordino popijał kawę, zastanawiając się nad słowami Pitta. Gunn rozglądał się naokół przez grube szkła okularów.

- Czy stać nas na rozdzielanie sił?

- Spytaj raczej, czy mamy dość czasu, żeby się nie dzielić? odparł Pitt.

- Czy wyznaczono nam jakiś termin?

- Nie mamy ścisłego terminu - rzekł Sandecker. Odsunął się od map i siadł w

rogu stołu. - Ale prezydent dał mi jasno do zrozumienia, że jeśli kopia Traktatu Północnoamerykańskiego jeszcze istnieje, chce ją mieć jak najszybciej. - Admirał potrząsnął głową. - Jakie znaczenie ma ten cholerny, mokry, siedemdziesięcioletni świstek papieru dla naszego rządu i dlaczego trzeba się z tym tak śpieszyć, tego mi nie wyjaśnił. Nie byłem gozdzien tego zaszczytu. Niemniej Dirk ma rację. Nie mamy czasu, żeby spokojnie całym zespołem prowadzić poszukiwania w jednym miejscu. Giordino spojrział na Pitta i westchnął.

- W porządku, spróbujmy ułować dwa ptaki jednym kamieniem.

- Dwoma kamieniami - poprawił go Pitt. - Ekipa ratownicza będzie próbowała dotrzeć do wnętrza statku, a zespół badawczy poszuka na dnie Hudsonu pociągu, ściśle biorąc rządowej salonki, która wiozła Richarda Essexu.

- Kiedy zaczynamy? - spytał Sandecker.

Pitt miał wzrok nieobecny, jakby skupiony na czymś, co jest poza ścianami pokoju.

- Czterdzieści osiem godzin na skompletowanie załogi i sprzętu, dwadzieścia cztery godziny na załadowanie i wyposażenie statku badawczego. Potem przy sprzyjającej pogodzie jeszcze pięć dni na dotarcie do wraku „Empress of Ireland”.

- A „Manhattan Ltd”?

- Mogę przygotować kuter z magnetometrem, sonarem panoramicznym i miernikiem profilu dna na pokładzie na pojutrze.

- Al, „Manhattan Ltd” należy do ciebie. A ty, Rudi, poprowadzisz akcję na „Empress of Ireland”. Skierował wzrok na Pitta.

- Dirk, ty koordynujesz cały projekt.

- A ja od czego mam zacząć? - spytała Heidi.

- Od statku. Plany konstrukcyjne, plany pokładów, dokładna lokalizacja kabiny Harveya Shieldsa. Wszystko, co może doprowadzić nas do traktatu.

Heidi skinęła głową.

- W Quebecu prowadzono oficjalne śledztwo w sprawie tej katastrofy. Zacznę od zbadania tego, co wtedy stwierdzono. Jeśli tylko pańska sekretarka zarezerwuje mi najbliższy lot, jestem gotowa do drogi.

Sprawiała wrażenie wyczerpanej fizycznie i psychicznie, ale Sandecker zbyt się śpieszył, żeby zaproponować jej przynajmniej kilka godzin odpoczynku. Przez chwilę milczał spoglądając na napięte twarze zebranych.

- W porządku - rzekł spokojnie - niech pani leci.



## ROZDZIAŁ 39

General Morris Simms czuł się dziwnie w stroju wędkarza, z bambusowym kijem i wiklinowym koszem w rękę. Szedł wydeptaną ścieżką w stronę rzeki Blackwater, w pobliżu wioski Seward's End w hrabstwie Essex. Zatrzymał się na brzegu rzeki, tuż przy malowniczym kamiennym moście, i pozdrowił skinieniem głowy mężczyznę siedzącego na składanym krzeselku, cierpliwie wpatrującego się w wędki.

- Dzień dobry, panie premierze.

- Dzień dobry, generale.

- Bardzo przepraszam, że zakłócam panu wakacje...

- Ani trochę - odparł premier. - Ten cholerny okoń wcale chce brać.

Obrócił głowę w stronę turystycznego stolika, który stał za nimi. Na stoliku Simms dostrzegł butelkę wina i coś, co wyglądało na pieróg z mięsem.

- W koszyku są szklanki i talerze. Proszę się poczęstować.

- Z przyjemnością.

- Co pana dręczy?

- Traktat Północnoamerykański. - Przerwał na chwilę i pociągnął łyce sherry.

- Nasi ludzie w Stanach twierdzą, że Amerykanie za wszelką cenę chcą go odnaleźć.

- Czy mają jakieś szansę?

- Wątpliwe. - Simms trzymał butelkę w powietrzu. - Nalać panu?

- Tak, dziękuję.

Simms napełnił szklaneczkę premiera.

- Początkowo myślałem, że poprzestaną na paru prostych operacjach. Ot tak, po prostu po to, by przekonać samych siebie, że szanse znalezienia dokumentu są nikłe. Teraz wygląda jednak na to, śmiertelnie poważnie zabrali się do prac poszukiwawczych.

- To źle - skrzywił się premier. - Wynika z tego, że jeśli im się, nie daj Boże, uda znaleźć traktat, to będą chcieli go wyegzekwować.

- Ja też tak sądzę - przytaknął Simms.

- Nie mogę sobie wyobrazić Wspólnoty Brytyjskiej bez Kanady - rzekł premier.

- Cała nasza koncepcja światowego rynku Wspólnoty musi wówczas upaść. A to byłby ciężki cios dla naszej gospodarki. Tak, utrata Kanady byłaby prawdziwą katastrofą.

- To aż tak źle?

- Jeszcze gorzej. - Premier przez cały czas patrzył na rzekę. Jeśli stracimy

Kanadę, Australia i Nowa Zelandia pójdą w jej ślady najdalej w ciągu trzech lat. Nie muszę panu tłumaczyć, co się wtedy stanie ze Zjednoczonym Królestwem.

To, co mówił premier, przeraziło Simmsa. Rzeczywiście, trudno było wyobrazić sobie Anglię bez Imperium. Niestety - obawiał się w głębi duszy - dzisiejsi ślamazarni Brytyjczycy mogliby się i z tym pogodzić.

Spławik drgnął parę razy, ale po chwili znowu zastygł w bezruchu. Premier w zamyśleniu sączył swoje sherry. Był to potężnie zbudowany mężczyzna o niewiarygodnie niebieskich oczach, kąciki ust były na stałe podniesione w lekkim uśmiechu.

- Jakże wydał pan instrukcje? - spytał.

- Na razie tylko obserwować i donosić o działaniach Amerykanów.

- Czy pańscy ludzie zdają sobie sprawę z ewentualnych niebezpieczeństw, wynikających z traktatu?

- Nie.

- To niedobrze, trzeba im o tym powiedzieć. Muszą wiedzieć, że nasze państwo jest śmiertelnie zagrożone... Co pan już wie?

- Pod pretekstem badań naukowych NUMA, Agencja Badań Morskich i Podwodnych, podejmuje na polecenie prezydenta intensywną akcję poszukiwawczą na wraku „Empress of Ireland”.

- Trzeba to udaremnić. Musimy ich trzymać z dala od tego wraku. Simms odkaszlnął.

- A... jakich możemy użyć środków, sir?

- Najwyższy czas powiedzieć Kanadyjczykom, jakie Amerykanie mają wobec nich plany. Powołamy się na prawa Wspólnoty i zażądamy, aby Kanada cofnęła zgodę na badania NUMA w wodach St. Lawrence. Jeśli amerykański prezydent będzie się upierał, niech pan każe zniszczyć wrak, wtedy brytyjska kopia traktatu po prostu przestanie istnieć i będzie spokój.

- A egzemplarz amerykański, zatopiony w tym pociągu? Nie możemy im przecież zabronić poszukiwań we własnej rzece. Premier spojrzął na Simmsa kwaśno.

- Tu musi pan pomyśleć o czymś trochę bardziej drastycznym.

**CZEŚĆ IV**

**THE EMPRESS OF IRELANE**

## ROZDZIAŁ 40

Maj 1989, Ottawa, Kanada.

Yillon zamknął teczkę i pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Nonsens!

- Zapewniani pana - odezwał się Brian Shaw - że to nie jest nonsens.

- Więc co to ma znaczyć?

- Dokładnie to, co pan przeczytał w raporcie. Amerykanie szukają śladów traktatu, który oddawał im całą Kanadę.

- Nigdy nie słyszałem o takim traktacie.

- Mało kto słyszał. - Shaw przerwał, by zapalić papierosa. - Kiedy zaginęły oficjalne dokumenty, zniszczona też nieliczne istniejące notatki o negocjacjach.

- Skąd pan wie, że Amerykanie rzeczywiście chcą się teraz dobrać do tego traktatu?

- Natrafiłem na nitkę w tym labiryncie. Doprowadziła mnie do faceta, który nazywa się Dirk Pitt i zajmuje wysokie stanowisko w Agencji Badań Morskich i Podwodnych. Poprosiłem personel naszej ambasady, aby go śledzili. Odkryli, że Pitt prowadzi jednocześnie dwie ekspedycje badawcze: jedną na dno Hudsonu, w miejscu, gdzie wpadł do rzeki pociąg Essexa, a drugą do wraku „Empress of Ireland”. I mogę pana zapewnić, panie Yillon: tu nie chodzi o poszukiwanie skarbów.

Yillon milczał przez chwilę, potem pochylił się w stronę Shawa.

- Jak mógłbym panu pomóc?

- Na początek mógłby pan nie wpuścić Pitta i jego ludzi na Rzekę Świętego Wawrzyńca.

- Tego nie mogę zrobić. Pozwolenie na prace przy wraku dostał najzupełniej legalną drogą. Nie mówię już o tym, co Amerykanie mogliby zrobić w odwecie: mogą na przykład odebrać nam prawo połowu na ich wodach.

- Generał Simms brał to pod uwagę. Dlatego zaproponował rozwiązanie. - Shaw znowu zrobił krótką przerwę. - Sugerował zniszczenie wraku „Empress”.

- Potrafiłby pan to zrobić bez wywołania jakiejś paskudnej awantury?

- Tak, pod warunkiem, że dotrę do wraku przed przybyciem Pitta.

Yillon przez dłuższą chwilę zastanawiał się, jakie korzyści mógł mu przynieść informacje dostarczone przez Shawa. Jego wzrok błądził po ścianach, wreszcie zatrzymał się na obrazie okrętu żeglującej z pełnym wiatrem. Skinął głową.

- Udzielę panu wszelkiej pomocy.

- Dziękuję. Będę potrzebował pięciu ludzi z łodzią i odpowiednim sprzętem do nurkowania.

- Może przyda się też ktoś do koordynacji działań?

- Ma pan kogoś konkretnego na myśli?

- Tak - potwierdził Yillon. - Polecę mu skontaktować się z panem. To policjant, bardzo doświadczony w takiej robocie. Na się Gly, inspektor Foss Gly.

## ROZDZIAŁ 41

Od samego początku jakiś pech prześladował grupę, która ruszyła na poszukiwanie „Manhattan Limited”. Giordino był wściekły: już , starcie zanotował czterodniowe opóźnienie.

Po szybkim załadowaniu ludzi i sprzętu, „De Soto” - całkiem nowy kuter badawczy, długi na sześćdziesiąt stóp, zaprojektowany przez inżynierów NUMA specjalnie do prac na wodach śródlądowych - pomknął z dużą szybkością w górę rzeki. Sternik pilniej uważał na boje wyznaczające tor wodny, na liczne motorówki, ale najbardziej niepokoił go opadający barometr i smugi deszczu na szybach kabiny. Zanosilo się na ostrą burzę.

I rzeczywiście: tuż po zmroku fale rzeki osiągnęły taką wysokość, że zaczęły przewalać się przez pokład „De Soto”. Prędkość wiatru wzrosła do sześćdziesięciu mil na godzinę. Nagły, niespodziewany podmuch zepchnął kuter poza tor wodny i zanim sternik zdołał zareagować, jakaś stercząca z dna kłoda wybiła w lewej burcie dziurę na dwie stopy.

Przez następne cztery godziny Giordino gonił swoich ludzi do, galerniczej pracy. Operator sonaru twierdził później, że ostry język Włocha schlastał ich gorzej niż dorożkarski bat. Ale efekt był imponujący: załatali dziurę tak, że przeciskały się przez nią już tylko pojedyncze krople. Zanim jednak to osiągnęli, woda przykryła dolny pokład na wysokość kostek. Ruszyli, ale obciążony dwiema tonami wody „De Soto” stał się powolny i ospały. Rozwścieczony Giordino włączył maksymalne obroty. Niespodziewanie przyniosło to dobry skutek: dziób z prowizorycznie załataną dziurą uniósł się wysoko nad powierzchnię wody, dzięki czemu gładko już popłynęli z powrotem do Nowego Jorku. Dwa dni trwała fachowa naprawa kadłuba w suchym doku, a kiedy kuter już znowu był na wodzie, okazało się, że niesprawne jest jedno z głównych urządzeń poszukiwawczych, magnetometr. Części zapasowe trzeba było sprowadzać z San Francisco, co zabrało następne dwa dni. „De Soto” dotarł do ruin mostu Deauville w nocy, przy pełni księżyca. Giordino z niepokojem obserwował, jak kuter zbliża się do wielkiego kamiennego filaru, na którym kiedyś oparte były przęsła. Wsunął głowę do sterówki.

- Co tam na głębokościomierzu?

Glen Chase, małomówny kapitan kutra, jeszcze raz rzucił okiem na czerwone cyfry.

- Około dwudziestu stóp. Chyba możemy tu bezpiecznie zaparkować do rana.

Giordino aż się zatrząsł, słysząc znowu tę lądową terminologię. Kapitan Chase konsekwentnie odmawiał stosowania tradycyjnych terminów marynarskich: z uporem na przykład mówił „prawa strona” zamiast „sterburta”. Twierdził, że stara tradycja zupełnie nie pasuje do nowych czasów.

Rzucili kotwicę i zabezpieczyli kuter cumami. Wyłączyli główny silnik, cicho mrucał tylko pomocniczy diesel generatora. Chase popatrzył w górę na piętrzący się nad nimi spękany filar.

- To musiała być potężna konstrukcja.

- W swoim czasie piąty co do długości most świata - potwierdził Giordino.

- Dlaczego się zawalił? Giordino wzruszył ramionami.

- Śledztwo po katastrofie nie przyniosło jasnej odpowiedzi. Najprawdopodobniej jednoczesne silne uderzenia wiatru i pioruny nadwerężyły któryś dźwigar.

Chase przeniósł wzrok na rzekę.

- Myśli pan, że on tam leży?

- Pociąg? Leży, na pewno. Nie znaleźli go w 1914, ale jaki oni mieli wtedy sprzęt? Ciężkie impregnowane kostiumy, miedziane hełmy z niemal zerową widocznością i małe, słabe łodzie, z których macali, dno bosakami. A w dodatku szukali w złym miejscu. Chase zdjął czapkę i podrapał się w łysawą głowę.

- Może znajdziemy go za parę dni.

- Może i szybciej, jak będziemy mieli szczęście.

- Napiłby się pan piwa? - spytał z uśmiechem Chase. - To w nagrodę za optymizm.

- Chyba rzeczywiście bym się napił.

Chase zszedł po drabince na dolny pokład i powędrował do „kuchni”. Przechodząc koło „salonu-jadalni” usłyszał wesołe głosy paru członków załogi: próbowali właśnie dostroić antenę satelitarną do jakiegoś pornograficznego programu.

Giordino dopiero teraz zdał sobie sprawę z przenikliwego chłodu, sięgnął do kabiny sternika po ciepłą wiatrówkę. Na odgłos zaciąganego zamka nałożył się drugi, podobny, ale odległy dźwięk. Mały Włoch, nadstawił ucha. W tym momencie spod pokładu wyłonił się Chase z dwiema puszkami piwa.

- Przepraszam, nie zawracałem sobie głowy szklankami... Giordino powstrzymał go gestem dłoni.

- Pan też to słyszał?

- Co?

- Niech pan posłucha.

Chase przechylił głowę i utkwiał wzrok w przypadkowym punkcie przestrzeni, koncentrując całą uwagę na dźwiękach.

- Pociąg gwizdże - stwierdził w końcu obojętnie.

- Na pewno?

- Tak, słyszę wyraźnie. ,To z pewnością gwizd pociągu.

- Nie dziwi to pana? - spytał Giordino.

- Nie, dlaczego?

- Bo tak gwizdzą tylko lokomotywy parowe, a ostatnie parowozy wycofano trzydzieści lat temu.

- Może to jakieś wesołe miasteczko ze starą ciuchcią dla dzieci? - szukał wyjaśnienia Chase. - Taki dźwięk może się nieść bardzo daleko, zwłaszcza po wodzie.

- Nie sądzę... - mruknął Giordino. Przystawił dłonie do uszu i zaczął obracać głowę w lewo i w prawo: wyglądał jak mała antena radarowa. - Teraz głośniej... i chyba bliżej.

Chase wszedł do sterówki i wrócił z mapą drogową okolicy. Rozłożył mapę na pokładzie i zapalił latarkę.

- Niech pan popatrzy: główna linia przebiega dwadzieścia mil stąd. Ale lokalne odgałęzienia są bliżej.

- To znaczy?

- Dziesięć, dwanaście mil.

- To, co słyszymy, cokolwiek to jest, znajduje się najwyżej o milę od nas - stwierdził Giordino spokojnie.

Ciągle próbował ustalić kierunek, z którego dobiegał gwizd. Jasne światło księżyca pozwalało widzieć daleko i ostro: nawet w odległości dwu mil rozróżniał pojedyncze drzewa. Dźwięki wyraźnie zbliżały się do nich od pomocy, wzdłuż zachodniego brzegu rzeki: ale nie było tam widać żadnego ruchu i żadnych świateł z wyjątkiem paru odległych farm.

Usłyszeli kolejny gwizd, a wraz z nim nowe dźwięki: ciężki łoskot stalowych kół i gardłową zadyszkę parowozu. Giordino poczuł, jak włosy stają mu dęba. Nie ruszał się jednak, czekał, co będzie dalej.

- Skręca... skręca w naszą stronę - zachrypiał Chase, jakby wciąż jeszcze



nieprzekonany. - O Boże, jest już na wiadukcie!

Jak skamieniali patrzyli obaj w górę na nie istniejące przesłó, niezdolni pojąć, co się tam dzieje. Ogłuszający hałas niewidocznego wciąż pociągu był już niemal bezpośrednio nad nimi. Giordino instynktownie schylił głowę. Chase tkwił bez ruchu i tylko jego wielkie czarne oczy zdradzały przerażenie.

I nagle wszystko ucichło jak nożem uciął, zapanowała śmiertelna i złowieszczą cisza.

Giordino i Chase nadal nic nie» mówili, nie próbowali się nawet poruszyć. Stali sztywno na pokładzie, jak figury woskowe madame Tussaud. Wreszcie Giordino zdołał jakoś zebrać myśli. Wyjął latarkę z bezwładnej dłoni Chase'a i skierował snop światła na szczyt filaru.

Dostrzegł tam tylko mroczne szczeliny w starym, zżartym przez czas kamieniu.

## ROZDZIAŁ 42

„Ocean Yenturer” stał na kotwicy nad wrakiem „Empress of Ireland”. Nad ranem spadł niewielki deszcz, teraz, w promieniach wschodzącego słońca biały kadłub lśnił pomarańczowym blaskiem. Rybacy ze starego, odrapanego kutra, który leniwie ciągnął w pobliżu swoje sieci, patrzyli na amerykański statek badawczy jak na dzieło artysty obdarzonego dziwacznym poczuciem humoru.

Kadłub był elegancki i bardzo nowoczesny: od wdzięcznie zaokrąglonego dziobu pokład wznosił się długą, łagodną krzywizną aż do wysokiej rufy. W odróżnieniu od większości innych współczesnych statków nie było tu żadnego załamania linii, żadnej ostrej krawędzi. Nawet mostek miał kształt jaja, osadzonego na łukowatej podporze. Na tym jednak kończyła się elegancja. Na śródpokładzie sterczała, niczym monstrualny nos Cyrana de Bergerac, konstrukcja podobna do wieży wiertniczej.

Wieża nie była piękna, miała za to wiele zalet funkcjonalnych. Przez znajdujący się pod nią otwór można było spuszczać w głębinę różnorodny ekwipunek badawczy albo wyciągać z dna znalezione fragmenty wraków - nawet duże i ciężkie - bez ryzyka niebezpiecznego przechyłu. Dzięki temu „Ocean Yenturer” idealnie nadawał się :i do specyficznej misji, jakiej podjęli się teraz pracownicy NUMA.

Pitt stał na rufie, mocno przyciskając do głowy portugalską czapkę rybacką, by nie porwał jej podmuch śmigieł lądującego helikoptera. Maszyna zawisała przez moment nieruchomo: pilot sprawdzał siłę i kierunek wiatru, by precyzyjnie trafić na niewielkie lądowisko. Kiedy wreszcie płozy śmigłowca dotknęły pokładu, Pitt schylił się, dał nurka pod wirujące łopaty i otworzył drzwi kabiny. Heidi Milligan, w jaskrawoniebieskim kombinezonie malarza pokojowego, zeskoczyła na pokład. Pitt wziął walizkę, którą podał mu pilot.

- Cóż to, sam dyrektor programu musi występować w roli i bagażowego? - spytała Heidi.

- Widać nie darzą mnie tu należnym respektem - odparł ze śmiechem i odwrócił się do pilota. - Następnym kursem przywieź nam skrzynkę masła orzechowego.

- Da się zrobić - Pilot zaszalutował na pożegnanie i zatrzasnął drzwi. Śmigłowiec zwiększył obroty, uniósł się w górę i odleciał na południe.

Pitt zaprowadził Heidi do jej kabiny i poszedł do mesy. Pojawiła się tam już po paru minutach, ze sporą paczką papierów pod pachą i usiadła obok niego.

- Dawno tu jesteście? - spytała.

- Rzuciliśmy kotwicę wczoraj wieczorem, osiemnaście godzin wyprzedzenia w stosunku do planu.

- Od czego zaczynacie?

- Wyślemy na dno małą, zdalnie sterowaną łódź z kamerami, i Najpierw obejrzymy sobie tę „Empress” na monitorach telewizyjnych. Na razie wiemy tylko, że ma bardzo duży przechył na prawą burzę, czterdzieści pięć stopni.

Heidi zmarszczyła brwi.

- Parszywe szczęście.

- Dlaczego?

Zaczęła rozkładać na stole swoje papiery. Niektóre arkusze były bardzo duże, więc zabrało jej to trochę czasu.

- Zanim ci odpowiem, popatrz na listę pasażerów z ostatniego rejsu „Empress”. Na początku szukałam nazwiska „Shields” w pierwszej klasie, nie ma go tam. Już myślałam, że ślad się urwał, kiedy przyszło mi do głowy, że Harvey Shields dla uniknięcia rozgłosu mógł podróżować drugą klasą. Wtedy zresztą na większości transatlantyków zdarzały się komfortowe kajuty w drugiej klasie, dla bogatych, ale skąpych ekscentryków, albo dla dygnitarzy rządowych, którzy na oceanie woleli udawać zwykłych obywateli. I znalazłam go tam. Górny pokład D, kabina nr 46.

- Świetna robota. Można powiedzieć, że znalazłaś igłę w stogu siana. Teraz nie będziemy już musieli rozpruwać całego statku.

- To była dobra wiadomość - przypomniała stary dowcip. - Teraz pora na złą. „..

- No trudno, wal.

- „Storstad”, ten norweski węglowiec, który zatopił „Empress”, wbił się dziobem w prawą burzę, niemal dokładnie pośrodku, między kominami. Dziura ma ponad piętnaście stóp szerokości i tyle samo wysokości. Przebita jest ściana maszynowni, poniżej linii wodnej, a wyżej zniszczone kilka kabin drugiej klasy.

- Chcesz powiedzieć, że „Storstad” skasował kabinę Shieldsa?

- Musimy brać pod uwagę i taką możliwość. - Heidi wyciągnęła spod innych papierów plan pomieszczeń „Empress of Ireland” i wskazała zakreślone niewielkim kółkiem miejsce. - Kabina 46 była tutaj, przy prawej burcie. To znaczy: albo dokładnie w miejscu uderzenia, albo cholernie blisko.

- To mogłoby tłumaczyć, dlaczego nie znaleziono jego ciała.

- Możliwe, że został zmiażdżony w czasie snu.

- Dlaczego powiedziałaś „parszywe szczęście”, kiedy wspomniałem o tym przechyle?

- Czterdzieści pięć stopni na prawą burtę oznacza, że kabiny z tej strony znalazły się poniżej dna rzeki - wyjaśniła Heidi. - W środku musi być pełno szlamu.

- To i dobrze, i źle. W szlamie dokument mógł się lepiej przechować, ale też bardzo trudno będzie go znaleźć.

Zapadło milczenie. Pitt, bębniąc machinalnie palcami po stole, pogрузił się w myślach, jego umysł rejestrował i porządkował dane z dostarczonych przez Heidi dokumentów.

- O czym myślisz? - spytała, dotykając delikatnie jego dłoni.

- O tym statku - odparł cichym głosem. - O statku, który stał się grobem dla tysiąca ludzi, i o którym świat zapomniał. Bóg jeden wie, co możemy znaleźć w środku.

## ROZDZIAŁ 43

- Mam nadzieję, że nie za wcześnie pana odwiedzam? Sandecker powitał gościa grzecznie, ale bez fanfar.

- Zdążyliśmy wszystko przygotować - odparł.

Gość pozostawił tajniaków przy windzie i ruszył za admirałem. Długim korytarzem dotarli do szerokich, dwuskrzydłowych cedrowych drzwi. Sandecker otworzył je.

- Proszę wejść, panie prezydencie.

Pokój był okrągły, ściany pokryte fioletową tkaniną. Nie było okien ani mebli, tylko pośrodku stał wielki stół w kształcie nerki. Jego powierzchnię, pokrytą warstwą drobnoziarnistego piasku, oświetlały spod sufitu zielone i niebieskie reflektory. Prezydent zbliżył się i wbił wzrok w leżący na piasku długi na trzy stopy obiekt.

- A więc to tak wygląda... - stwierdził z podziwem.

- Tak, to jest „Empress of Ireland” - odparł Sandecker. - Nasz modelarz opierał się na tym, co przekazały kamery „Ocean Yenturer”.

- To ten statek ratowniczy? - spytał prezydent, wskazując na drugi, dużo mniejszy model, zawieszony na przezroczystej plastikowej płycie dwie stopy nad „Empress”.

- Tak. Zachowano ściśle proporcje wielkości modeli i odległości między nimi.

Prezydent z uwagą studiował model wraku. Potem pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Taki mały przedmiot na takim wielkim statku... W którym miejscu zaczniecie poszukiwania?

- Mieliśmy trochę szczęścia na początku. Nasza specjalistka od historii zlokalizowała kabinę Harveya Shieldsa. - Sandecker rozgrzebał palcem piasek przy prawej burcie. - To gdzieś tutaj. Niestety, istnieje duże prawdopodobieństwo, że ta kabina została zmiażdżona w momencie katastrofy.

- Jak chcecie do niej dotrzeć?

- Najpierw zbadamy wnętrze wraku zdalnie sterowaną sondą. Potem nasi ludzie wejdą przez najwyższy pokład i będą próbowali dotrzeć do celu od środka.

- Czy to nie za długa droga? Ja bym raczej próbował przebić się przez kadłub.

- Łatwo powiedzieć... Przepuszczamy, że kabina Shieldsa znalazła się poniżej poziomu dna. Trzeba byłoby najpierw wykopać głęboki dół przy kadłubie, usunąć wiele ton szlamu. A może mi pan wierzyć, panie prezydencie, to jest żmudna,

czasochłonna i bardzo niebezpieczna robota. Natomiast atakując od środka ludzie będą mieli przynajmniej twardy grunt pod nogami i, co jeszcze ważniejsze, dobrą orientację, gdzie się przebijać z pokładu na pokład: mamy dokładne plany statku.

- Na pewno zna się pan na tym lepiej niż ja - łatwo zgodził się prezydent.

- Mamy też parę rozwiązań technicznych, które ułatwią prace we wnętrzu wraku. Pierwsze to dźwig na pokładzie „Ocean Yenturer”: może podnieść, przez środek kadłuba, elementy o wadze do pięćdziesięciu ton. Drugie to mały batyskaf: dwuosobowa załoga może wykonywać różne skomplikowane prace za pomocą mechanicznych wysięgników.

- Domyślam się, że to ten drobiazg - powiedział prezydent, biorąc do ręki miniaturowy model łodzi podwodnej.

- Tak. Nazywa się „Sappho I”. Używaliśmy jej w zeszłym roku przy pracach na „Titanicu”.

- Przerwałem panu, przepraszam. Proszę mówić dalej.

- Kluczową rolę w całej akcji odegra trzecie urządzenie. - Sandecker sięgnął po jeszcze jeden model, przypominający dziecięcą zabawkę: misia w baniastym hełmie z dużymi wizjerami. - To jest JIM, skafander do głębokiego nurkowania. Konstrukcja z magnezu i włókien szklanych wytrzymuje bardzo duże ciśnienie zewnętrzne, chociaż w środku utrzymywane jest ciśnienie atmosferyczne. Dzięki temu nurek, kiedy go wyciągamy na powierzchnię, nie musi przechodzić przez długotrwałą dekompresję. Dwa takie kostiumy i sześciu nurków zapewnia nam praktycznie nieprzerwaną pracę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Wygląda ciężko i nieporęcznie - zauważył prezydent.

- Na powierzchni rzeczywiście waży dużo: tysiąc sto funtów. Ale pod wodą tylko sześćdziesiąt, a jest zadziwiająco elastyczny i operatywny. Można w nim chodzić po dnie morskim jak w szortach i tenisówkach po Saharze.

Prezydent wziął „misia” z otwartej dłoni Sandeckera i zaczął poruszać jego kończynami.

- A więc nie trzeba już płetwonurków?

- Niezupełnie - zaprzeczył admirał. - Nurek mogący się swobodnie poruszać we wszystkich kierunkach to w dalszym ciągu najważniejszy element wszystkich akcji podwodnych. Dlatego mam tu jeszcze czwarte urządzenie, komorę wysokociśnieniową. Wskazał walcowaty model, przypominający cysterne.

- Płetwonurkowie będą w tym mieszkać przez cały czas operacji. Atmosfera w

środku to mieszanka helu i tlenu pod wysokim ciśnieniem, chodzi o to, żeby uniknąć narkotycznego efektu, jaki wywołuje w organizmie sprężony azot. Płetwonurek wracający z takiej głębokości na powierzchnię musiałby przechodzić po drodze powolną, wielostopniową dekompresję, inaczej wyzwalamy się we krwi gazy mogą spowodować śmiertelny zator. Wracając do komory ciśnieniowej nurek może natychmiast zdjąć swój akwalung, nie potrzebuje dekompresji i nie traci cennego czasu.

Prezydent milczał. Nie czuł się zbyt pewnie w sprawach technicznych: z wykształcenia był prawnikiem, adwokatem. Więc choć nie bez trudu pojmował „wykład” Sandeckera, wolał nie kompromitować się jakimś głupim pytaniem. Odezwał się wreszcie, ostrożnie dobierając słowa.

- Użył pan określenia: „przebijać się z pokładu na pokład”. Alej chyba pańscy ludzie nie będą rozpruwać blach gołymi rękami?

- Oczywiście. Jest lepsza metoda.

- Materiał wybuchowy?

To zbyt ryzykowne - rzeczowo odpowiedział Sandecker. Stal na statku koroduje już siedemdziesiąt pięć lat. Stała się porowata, odporność na naprężenia jest bardzo słaba. Każdy za mocny albo? w złym miejscu zainstalowany ładunek może rozwalić cały wrak. Dlatego będziemy raczej ciąć.

- Palnikami acetylenowymi? - próbował się domyślić prezydent..

- Nie, piroksyną.

- Co to takiego?

- Materiał łatwopalny, przypominający z wyglądu plastelinę. Pali się nawet pod wodą, w temperaturze trzech tysięcy stopni Celsjusza, i w bardzo ściśle określonym czasie. Przykleja się piroksynę do powierzchni, która ma być rozcięta, potem zdalnie uruchamia się elektroniczny zapalnik. Zapewniani pana, że w tej temperaturze topi się wszystko, nawet skała.

- Niesamowite!

- Jeśli ma pan jeszcze jakieś pytania, chętnie... Prezydent przerwał niecierpliwym gestem.

- Nie, to mi wystarczy. Niech pan przyjmie wyrazy uznania: to jest świetna robota.

- Nawet jeśli nie znajdziemy tego traktatu, będzie pan miał pewność, że zrobiliśmy wszystko, co było technicznie możliwe.

- Widzę, że nie jest pan zbyt optymistą.

- Szczerze mówiąc, panie prezydencie, uważam, że nasze szanse są bliskie zera.

- Jest jeszcze drugi egzemplarz, w „Manhattan Limited”.

- Na ten temat nie będę się wypowiadał, dopóki nie znajdziemy pociągu. -

Twarz Sandeckera nagle spochmurniała. - Czy mogę pana o coś spytać, sir?

- Słucham.

- Chciałem, z całym należnym szacunkiem, zapytać: o co w tym wszystkim chodzi, do diabła?

Teraz z kolei spochmurniał prezydent.

- Niestety, admirale, mogę panu jedynie powiedzieć, że to szalony pomysł. - W jego oczach pojawił się złowróżbny błysk. - Najbardziej szalony pomysł, na jaki kiedykolwiek porwał się prezydent Stanów Zjednoczonych.



## ROZDZIAŁ 44

W ciszę ciemnozielonej otchłani Rzeki Świętego Wawrzyńca wdarł się dziwny, wibrujący dźwięk. W czarnym dnie stojącego na kotwicy statku otworzyła się wąska, świetlista szczelina, powoli rozszerzała się, osiągając wreszcie rozmiary dużego prostokąta. Zaciekawione ryby podpływały leniwie do otworu, najwyraźniej nie przejmując się widocznymi za nim rozmazanymi sylwetkami ludzi.

Nad studnią, otwierającą się w samym środku kadłuba „Ocean Yenturer”, grupa techników przygotowywała do drogi RSV: zdalnie sterowaną sondę badawczą. Niewielki okręcik wisiał już na linie dźwigu, ktoś regulował jeszcze ustawienie reflektorów współpracujących z kamerami, ktoś inny podłączał dodatkowe baterie.

RSV miał kształt wydłużonej kropli, tylko trzy stopy długości i dziesięć cali średnicy. Z gładkiej tytanowej skorupy wystawały na zewnątrz jedynie przepływowe dysze napędu.

Heidi stanęła nad krawędzią studni i przyglądała się płasającym w wodzie rybom.

- Dziwne uczucie - powiedziała. - Patrzę na tę dziurę w środku kadłuba i ciągle się dziwię, dlaczego jeszcze nie toniemy.

- Bo ściany studni są tak samo szczelne jak burty - wyjaśnił.

Rudi Gunn. - Woda utrzymuje się tu, tak samo jak na zewnątrz, i cztery stopy poniżej pokładu.

Jeden z techników podniósł rękę.

- Gotowe - powiedział.

- Nie ma kabla do zdalnego sterowania? - spytała Heidi.

- Dzidzius reaguje na sygnały ultradźwiękowe nawet na odległości trzech mil.

- Nazywacie to „Dzidziusiem”? - zdziwiła się.

- Tak, bo często się moczy - zachichotał Pitt. Pokręciła głową z dezaprobatą.

- Stare chłopy, a bawią się jak dzieci... Pitt pochylił się nad studnią.

- Nurek do wody! - rozkazał.

Człowiek w termicznym kombinezonie płetwonurka poprawił maskę na twarzy i zsunął się do wody, by zabezpieczyć sondę w momencie opuszczania jej w głąb stalowej studni.

- Idziemy do kabiny kontroli - zdecydował Pitt. - Sprawdźmy, co tam jest na dole.

Parę minut później obserwowali trzy duże, rozstawione panoramicznie ekrany.

W drugim końcu dużej kabiny paru techników czuwało nad instrumentami pomiarowymi. Komputery rozmieszczone pod długą ścianą rejestrowały wszystkie dane docierające z RSV.

- Poznajcie się: Doug Hoker, Heidi Milligan. Doug, można” powiedzieć, jest dla Dżidziusia mamką - wyjaśnił Pitt.

Sympatyczny grubas, rudy i piegowaty, błysnął w uśmiechu wielkimi zębami. Uniósł się z krzesła, by uścisnąć dłoń Heidi.

- Przyjemnie mieć taką piękną widownię. Heidi odwzajemniła komplement uśmiechem.

- Nie mogłam opuścić takiej premiery.

Hoker wrócił do konsoli i natychmiast pogрузił się w swojej pracy.

- Głębokość osiemdziesiąt stóp, nadal schodzimy - powiedział mechanicznie i pchnął dźwignię, przypominającą drążek sterowy.

- Zaczynaj od rufy - polecił Pitt.

Dopiero przy głębokości stu sześćdziesięciu pięciu stóp na kolorowych monitorach pojawiło się dno: bura płaszczyzna, z nielicznymi oznakami życia. Między rzadkimi wodorostami przemknął krab. Mimo silnych reflektorów sondy pole widzenia ograniczało się do dziesięciu stóp. Nagle w górnej części ekranu pojawił się ciemny kształt. Powoli rozrastał się, przybierając w końcu postać gigantycznej łopaty.

- Świetnie trafiłeś - pochwalił Hokera Pitt. - To chyba płetwa sterowa?

- Nie - odezwał się Gunn. - To wygląda raczej na śrubę.

W polu widzenia kamer RSV pojawiły się wszystkie cztery łopaty wielkiej mosiężnej śruby, która tyle razy pchała statek o wyporności czternastu tysięcy ton na trasie Liverpool-Quebec - Liverpool.

- Dwadzieścia stóp średnicy - ocenił Pitt. - Musi ważyć co najmniej trzydzieści ton.

- Ten statek miał dwie śruby - stwierdziła rzeczowo Heidi. - Prawą wydobyto na powierzchnię w 1968.

- Podnieś Dżidziusia o jakieś pięćdziesiąt stóp, do pokładu ratunkowego, a potem prowadź wzdłuż prawej burty - powiedział Pitt do Hokera.

Gdzieś głęboko pod nimi maleńka łódź podwodna posłusznie ruszyła w górę, wkrótce znalazła się nad relingiem i niemal otarła się o stalowy drąg, na którym łopotała kiedyś bandera.

- Tylne maszty leży - zauważył Pitt, wpatrując się w pogieęte żelastwo. - Nic

dziwnego, rdza już dawno zżarła wszystkie wanty.

Wreszcie łódź znalazła się na poziomie pokładu ratunkowego i ruszyła wzdłuż rzędu stalowych wysięgników: na niektórych wisiały jeszcze łodzie ratunkowe, na wieczność uwiecznione w blokach. Zagięte fajki wentylatorów tkwiły wciąż na swoich miejscach, ale oba kominy zniknęły: prawdopodobnie złamały się pod własnym ciężarem i opadły na błotniste dno rzeki.

Przez parę minut nikt się nie odzywał. Oczyma wyobraźni widzieli scenę z odległej przeszłości: setki mężczyzn, kobiet i dzieci biegających w panice i śmiertelnym przerażeniu po pokładach tonącego statku. Heidi poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Widok był makabryczny: wodorosty, oblepiające zardzewiały kadłub, dotąd nieruchome, nagle zafalowały jak widma. Splotła ciasno dłonie, by opanować drżenie palców.

Wreszcie Pitt przerwał ciszę.

- Spróbuj wejść do środka.

Hoker wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł spocony kark.

- Dwa górne pokłady załamały się - powiedział cicho, niemal szeptem, jakby był w kościele. - Tędy nie wejdziemy.

Pitt rozłożył na stole duży plan wnętrza statku i wskazał palcem jeden z rysunków.

- Zejdz na dolny pokład spacerowy: drzwi korytarza pierwszej klasy mogą być otwarte.

- Naprawdę chcecie wprowadzić Dzidziusia do wnętrza wraku? - spytała Heidi.

- A niby dlaczego nie? - odparł Pitt. - Przecież po to go zbudowano.

- Myślę o tych wszystkich ludziach w środku, czuje się tak, jakbyśmy popełniali świętokradztwo.

- Inni robią to już ponad pół wieku. - Łagodnie, jak dziecku tłumaczył Gunn. - Muzeum w Rimouski jest pełne przedmiotów wydobytych z wraku „Empress”. A poza tym musimy zobaczyć, jak to wszystko wygląda, zanim zaczniemy się przebijać...

- Jest wejście - przerwał Hoker.

- Tylko powoli i ostrożnie - ostrzegł Pitt. - Tam były drewnianej stropy, szczątki mogą blokować drogę.

Przez następne parę sekund na ekranach widać było tylko mętną wodę: hol, w którym znalazł się Dzidzius, musiał być obszerny. Wreszcie reflektor wydobył z mroku szerokie spiralne schody: istniał jeszcze fragmenty rzeźbionej balustrady. Był to

zapewne hol reprezentacyjny, z perskimi dywanami i drogimi sprzętami. Ale wszystko to dawno zgniło i rozsypało się.

Hoker skierował łódź w lewo, w korytarz biegnący w stronę rufy. Podłoga pełna była różnych rupieci, ale płynący wyżej RSV napotykał na żadne przeszkody: otwory drzwiowe kolejnych kabin przesuwaly się przed kamerami widmowym szpalerem. Zajrzeli do jednej z kabin: tutaj także nic nie zostało z luksusu, z którego słyną statek. Opisywane w starych kronikach szerokie łóżka i stylowe meble dawno rozpadły się pod działaniem bezlitosnej wody.

RSV poruszał się bardzo wolno. Minęły prawie dwie godziny zanim dotarł wreszcie do następnego dużego holu.

- Gdzie jesteśmy? - spytał Gunn. Pitt ponownie spojrział na plany statku.

- Chyba blisko głównej mesy.

- Tak! - potwierdziła Heidi pełnym przejęcia głosem. - To duże drzwi w prawej części ekranu.

- Warto tam zajrzeć - zdecydował Pitt. - Z planów wynika że kabina Shieldsa była gdzieś tutaj, tylko jeden pokład niżej.

Światła sondy zatańczyły po wielkiej sali restauracyjnej, oświetlają kolumny wspierające resztki rzeźbionych baldachimów nad „gabinetami”. Tylko duże owalne lustro na ścianach, pokryte szczelną warstwą osadów, świadczyły o przepychu, jaki towarzyszył tu kiedyś posiłkom pasażerów.

Nagle na granicy światła i mroku coś się poruszyło.

- Ki diabeł? - wypalił Gunn.

W pole widzenia środkowej kamery wpłynął jakiś białawy, rozmazany kształt ludzki. Krawędzie widma były dziwnie wiotkie i półprzezroczyste. Zbliżył się do RSV i sięgnął upiorną łapą w stronę obiektywu. Heidi zamarła, krew zastygła w jej żyłach. Hoker siedział przy konsolce jak skamieniały, z wyrazem bezgranicznego zdumienia na twarzy. Tylko Gunn, przechyliwszy głowę na bok, studiował dziwne zjawisko, jak lekarz oglądający zdjęcie rentgenowskie.

- Nigdy w życiu nie spodziewałem się, że zobaczę ducha - powiedział szorstkim, nieswoim głosem, zdradzającym, że mimo pozorów on też jest w szoku.

- Wycofaj Dzidziusia - powiedział cicho Pitt do Hokera.

Przewycięzając irracjonalny lęk, jakiego nigdy dotąd nie doświadczał, Hoker dotknął palcami klawiatury i włączył wsteczny ciąg. Falujący kształt zaczął się oddalać, po chwili jednak znów zbliżył się do kamery.

- O Boże, to nas goni - szepnęła Heidi, utożsamiając się, jak przedtem Pitt i Hoker, z małym okręcikiem badawczym. Szybko przebiegła wzrokiem po twarzach pozostałych obserwatorów. Wszyscy wyglądali jak porażeni, sparaliżowani. Ich oczy utkwione były w środkowym monitorze. Milczeli, jakby nagle stracili dar mowy. Śmiertelną ciszę przerwał ostry głos Pitta.

- Obróć Dzidziusia o 180, stopni i wyprowadź go stamtąd, szybko!

Hoker zmusił się do oderwania wzroku od niesamowitej zjawy i przesunął dźwignie sterujące na pełną moc. Ale Dzidzius nie był torpedą. Jego przepływowe silniki pozwalały rozwinąć prędkość nie większą niż trzy węzły. Powoli zaczął zawracać. Umieszczone w dziobie kamery odwróciły się od widmowej postaci i wędrowały po otwartych na oścież bulajach, po owalnych lustrach, których ciemne powierzchnie nie odbijały już żadnego obrazu. Upłynęła chyba wieczność, zanim na monitorach pojawiły się drzwi do holu.

Ale było już za późno.

Inne białawe widmo dryfowało nad progiem, blokując przejście szeroko rozpostartymi ramionami.

## ROZDZIAŁ 45

- Niech to cholera! - zaklął Pitt. - Jeszcze jeden!

- Co mam robić? - Głos Hokera brzmiał błagalnie i bezradnie. Ale i wszyscy inni patrzyli już teraz wyłącznie na Pitta. Podziwiali jego chłód, spokój, zdolność skupienia. Nareszcie zrozumieli, dlaczego admirał Sandecker darzy go tak szczególnym zaufaniem i estymą. Nawet w tak niezwyklej sytuacji - walcząc z pokładu statku ratowniczego z podwodnymi duchami - Dirk Pitt był niewątpliwie właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

Widzieli, jak na jego twarzy wyraz skupionego namysłu ustąpił miejsca grymasowi wściekłości. Ale nie mogli, oczywiście, odgadnąć toku i jego myśli. A Pitt rozumował tak: jeśli metoda „atakuj - i niech to diabli” okazała się skuteczna w przypadku widmowego pociągu nad Hudsonem, to dlaczego nie miałyby być skuteczna tutaj? Skinął na Hokera.

- Bykiem go!

Knajackie wyrażenie cudownie odmieniło atmosferę. Wszystkim obecnym udzieliły się siła i pewność Pitta. Irracjonalny lęk przed duchami, zamieszkującymi wrak starego liniowca, ustąpił równie irracjonalnej determinacji, by podjąć z nimi walkę.

RSV uderzył z maksymalną szybkością w eteryczną przeszkodę. Przez chwilę wydawało się, że nie natrafił na żaden opór. Rozmazany kształt zniknął z pola widzenia, ale zaraz wypłynął tuż przed obiektywami kamer i oblepił sondę. Obraz na monitorach zmętniał: niczego i już nie można było rozpoznać.

- Okazuje się, że nasi gospodarze są jednak materialni - powiedział Pitt żartobliwym tonem.

- Dzidzius nie reaguje na sygnały! - wykrzyknął Hoker. Wskazania czujników bardzo dziwne, zupełnie jakby był zanurzony w ciepłej owsiance.

- Spróbuj odwrócić dysze.

- Nic z tego. Unieruchomili napęd.

- Ale sonda nadal zmienia położenie.

- Tak, chyba próbują ją ciągnąć. Pitt zacisnął dłoń na ramieniu Hokera.

- Wyłącz wszystkie systemy, z wyjątkiem kamer.

- Reflektory też wyłączyć?

- Tak. Te duchy mają ciężką rękę. Niech im się zdaje, że popsują już wszystko, co chciały popsuć.

Monitory zgasły: były całkiem ciemne, czasem tylko błyskało na nich coś nieokreślonego. Gdyby teraz do kabiny kontroli wszedł ktoś obcy, uznałby pewnie wszystkich obecnych za chorych psychicznie: wpatrywali się, jak zaczarowani, w martwe ekrany. Tkwili tak bez ruchu dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści minut. Wreszcie powoli - tak wolno, że zrazu nikt tego nie zauważył - ekrany zaczęły się rozjaśniać.

- Co to może znaczyć? - Pitt spojrzał na Hokera.

- Nie potrafię powiedzieć, przecież wyłączyłem wszystkie urządzenia.

- To je włącz, ale tylko na tyle, ile trzeba do zarejestrowania danych w komputerach.

- Wystarczy parę mikrosekund...

Operacja włączania i wyłączania, pod zręcznymi palcami Hokera, trwała nie więcej niż sekundę. Niezbędne sygnały dotarły do RSV i natychmiast nadeszła stamtąd odpowiedź. Na ekranach komputerów i wskaźnikach cyfrowych pojawiły się nowe dane.

- Odległość czterysta metrów, kierunek zero-dwa-siedem, głębokość trzynaście metrów.

- Wynurza się? - spytał Gunn.

- Tak - potwierdził Hoker. - Prawdopodobnie wyjdzie na powierzchnię jakieś-ćwierć mili na północ od naszej rufy.

- Kolor się zmienia - zauważyła Heidi.

Rzeczywiście, ciemna zieleń ekranów przeszła teraz w błękit: najpierw głęboki, potem coraz jaśniejszy. Obraz nadal był mętny. Nagle w prawym ekranie zamigotał pomarańczowy blask. Na jego tle rysowały się niewyraźnie ciemne sylwetki ludzi.

- To słońce - wyjaśnił Hoker. - Dzidzius jest na powierzchni.

Pitt bez słowa wybiegł z kabiny kontroli. Po chwili był już na mostku. Chwytał lornetkę wiszącą przy stanowisku sternika i przycisnął ją do oczu.

Niebo było bezchmurne. Poranne słońce migotliwie odbijało się w rzece: bryza wiejąca od oceanu lekko marszczyła powierzchnię. Ruch na wodzie był niewielki. Tylko .z zachodu, od strony Quebecu, zbliżał się jakiś tankowiec, a na pomocnym wschodzie pracowała rozproszona flotylla kutrów rybackich.

- Widzisz coś? - spytał Gunn, który przybiegł tu w ślad za Pittem.

- Nie, spóźniliśmy się. Dzidzius przepadł.

- Przepadł?

- Tak, albo raczej: ukradli go. Prawdopodobnie jest już na którymś z tych kutrów. - Podał Gunnowi lornetkę. - Myślę, że albo na tym niebieskim, albo na czerwonym z żółtą sterówką. Na obydwu rozwieszono są sieci i nie widać, co się dzieje po drugiej stronie pokładu.

Gunn przez dłuższą chwilę w milczeniu obserwował odległe kutry. Wreszcie odjął lornetkę od oczu.

- Rany boskie! - powiedział ze złością. - Dzidzius jest wart dwieście tysięcy dolarów. Róbmy coś!

- Obawiam się, że Kanadyjczycy nie byliby zachwyceni, gdyby obca jednostka użyła siły na ich wodach wewnętrznych. A poza tym musimy prowadzić naszą operację jak najciszej. Prezydentowi na pewno nie zależy na hałaśliwej awanturze z powodu jednego urzędnika, za które i tak zapłacą podatnicy.

- To nie jest uczciwe - mruknął Gunn.

- Niestety, musimy na razie zapomnieć, co jest uczciwe, a co nie. Teraz ważniejsze jest, kto to zrobił i po co. Czy to tylko szabrownicy, czy ludzie bardziej związani z tą sprawą?

- To mogą nam powiedzieć kamery.

- Rzeczywiście. - Pitt uśmiechnął się blade. - Jeśli ci kidnaperzy jeszcze nie uśmiercili Dzidziusia.

Kiedy wrócili do kabiny kontroli, od razu wyczuli, że atmosfera jest napięta, niemal wybuchowa. Heidi aż dygotała z wściekłości: jej twarz była trupio blada, spojrzenie nieobecne. Młody technik z obsługi komputerów podał jej kieliszek brandy. Wypiła, ale nadal wyglądała, jakby zobaczyła ducha - trzeciego już w tym dniu.

Hoker i trzech jego współpracownicy, pochyleni nad konsolą, manipulowali dźwigniami i przyciskami, usiłując odzyskać kontakt z sondą, Pitt miał pewność, że nic już z tego nie będzie.

- Mam tu dla ciebie coś ciekawego - odezwał się Hoker. Pitt jakby tego nie dosłyszał.

- Co jej się stało? - spytał, wskazując na Heidi.

- Zobaczyła diabła.

- Na monitorach?

- Tak, tuż przed przerwaniem emisji. Właśnie to chciałem ci pokazać. Rejestrowaliśmy obraz.

Włączył video.



Pitt i Gunn spojrzeli na ekrany. Ponownie obserwowali moment wynurzenia się RSV na powierzchnię. Ekrany kilkakrotnie rozjaśniały się i przygasały.

- Mieli kłopoty z wyciągnięciem go z wody? - domyślił się Pitt.

- Tak. Ale uważaj na następną scenę.

Ekrany zamigotały, pojawiły się na nich zygzakowate linie zakłóceń, a potem nagle jeden, lewy, zgasł.

- Głupie małpy - mruknął Hoker. - Nie przyszło im do głowy, że to delikatny instrument. Rzucili Dwidziusia na lewy bok i potłukli obiektyw.

W tym momencie na dwóch pozostałych ekranach obraz stał się ostry: ktoś zdjął z obiektywów matową oponkę. Teraz mogli ją wreszcie zobaczyć wyraźnie.

- To plastik! - zawołał Gunn. - Zwykła biała folia!

- A ty uwierzyłeś, że to protoplazma - zakpił Pitt. - Alę oto i nasze upiory.

Tuż przed obiektywami dwaj ludzie w gumowych kostiumach płetwonurków przykłękli, najwyraźniej po to, by dokładniej przyjrzeć się swojej zdobyczy.

- Szkoda, że nie zdjęli masek. Chętnie zobaczyłbym ich twarze - powiedział Gunn.

- Zaraz zobaczysz jedną - obiecał Hoker. - Poczekaj chwilę.

W polu widzenia kamery pojawiła się para nóg w dżinsach i kaloszach. Ich właściciel schylił się nad klęczącymi nurkami i spojrzał prosto w obiektyw. Miał na sobie gruby sweter komandosów brytyjskich, ze skórzanymi łatami na ramionach i łokciach. Na głowie tkwiła niedbale naciągnięta wełniana czapka. Wystające spod niej długie szpakowate włosy były pretensjonalnie zaczesane za uszy. Mężczyzna mógł mieć pięćdziesiąt pięć lat, ale równie dobrze o dziesięć więcej. Pitt często miewał do czynienia z facetami, którzy byli starsi, niż na to wyglądali.

W twarzy było coś okrutnego i bezczelnego, jak u ludzi oswojonych z wielkim ryzykiem. Nagle mężczyzna poruszył bezdźwięcznie wargami i szybko wycofał się z zasięgu kamery.

- Nie jestem specem od czytania z ust - powiedział Pitt - ale to wyglądało jak: „cholerni durnie”.

Widzieli jeszcze, jak duża płachta, chyba brezentowa, opada na obiektywy. RSV oślepl - tym razem ostatecznie.

- Koniec zapisu - stwierdził Hoker. - Minutę później straciliśmy wszelki kontakt: wyłączyli zasilanie.

Heidi wstała z krzesła i jak w transie ruszyła przed siebie. Uniosła dłoń w

oskarżycielskim geście w stronę martwych już monitorów.

- Znam go - powiedziała ledwie słyszalnym głosem. - Tego człowieka na filmie...  
Wiem, kto to jest.

## ROZDZIAŁ 46

Doktor Otis Coli wcisnął mu mauriera w połączoną firkę i umieścił ją między zębami sztucznej szczęki. Zapalił papierosa i wrócił do swego poprzedniego zajęcia: przez otwór kontrolny w kadłubie studiował zawłości elektronicznego serca RSV.

- Spryციule, ci Amerykanie - mruknął, najwyraźniej pod wrażeniem tego, co zobaczył w środku. - Czytałem już coś o tym, ale jeszcze nigdy nie widziałem.

Coli, dyrektor Quebeckiego Instytutu Inżynierii Morskiej, zaangażowany do tej roboty przez Yillona, miał wygląd goryla: szerokie bary, nienaturalnie długie ręce i okrągłą twarz z krzaczastymi brwiami. Siwe włosy opadały poniżej kołnierzyka, wąsy pod wąskim, garbatym nosem wyglądały jak ucięte nożycami do strzyżenia owiec.

Brian Shaw stał nad doktorem Coli, jego twarz zdradzała żywe zainteresowanie.

- I co pan o tym myśli?

- Prawdziwy majstersztyk - odezwał się Coli tonem uczniaka, kontemplującego rozkładówkę „Playboya”. - Obraz z kamer jest przetwarzany na sygnał ultradźwiękowy, w tej postaci przesyłany do statku-bazy, tam dekodowany przez komputery i rejestrowany na video. Mogą widzieć wszystko z niezwykłą dokładnością.

- No i co z tego? - mruknął Foss Gly. Znużony siedział na zardzewiałej wyciągarce, zainstalowanej na dziobie kutra. Shaw z trudem zapanował nad nerwami.

- A to, łaskawy panie, że te kamery przekazały im śliczne, kolorowe obrazki z naszego pokładu. Teraz ludzie z NUMA nie tylko wiedzą, że są śledzeni, ale w dodatku mają nasze twarze na taśmie video.

- No i co z tego? - powtórzył Gly.

- Pewnie już wezwali helikopter. Przed zmrokiem te taśmy będą w Waszyngtonie, a tam nas zidentyfikują.

- Może pana. - Gly skrzywił się lekceważąco. - My mieliśmy maski na twarzach, zapomniał pan?

- Wszystko jedno, na dobre nam to nie wyjdzie. Amerykanie wiedzą już, że nie jesteśmy lokalnymi szabrownikami, a jak się zorientują, kim jesteśmy naprawdę, to zabezpieczą się na wszystkie możliwe sposoby.

Gly wzruszył ramionami i rozpiął kombinezon.

- Gdyby ta mechaniczna ryba nie zabrała nam czasu, ładunki byłyby już rozmieszczone. Rozwalilibyśmy cały kadłub, a potem mogliby sobie szukać, do usranej śmierci.

- Tu rzeczywiście nie mieliśmy szczęścia - przyznał Shaw. - Ile udało wam się zrobić?

- Mało. Ledwie zabraliśmy się do roboty, zobaczyliśmy światło nad rufą.

- Gdzie są ładunki?

- Nadal na pokładzie, dziobowym.

- Ile tego jest?

Gly zastanawiał się przez chwilę.

- Zrobiliśmy z Harrisem sześć kursów, każdy z czterema stufuntowymi pojemnikami.

- Dwa tysiące czterysta funtów - podsumował Shaw. Odwrócił się do doktora Coli. - Jaki byłby skutek detonacji?

- W tej chwili?

- Tak.

- Trisynol ma trzykrotnie większą siłę wybuchu niż TNT. Gdyby cały ten ładunek wybuchł tam, gdzie jest teraz... - popatrzył w stronę „Ocean Yenturer” - fala uderzeniowa złamie statek NUMA jak zapalkę.

- A wrak?

- Wybuch zniszczy dziób i przednią część pokładów pasażerskich. Dalej ściany i stropy, nawet jeśli popękają, to wytłumią całą energię.

- A środkowa część wraku zostanie nietknięta?

- Dokładnie tak - potwierdził Coli. - Wszystko, co osiągniemy, to masowy mord niewinnych ludzi na statku NUMA.

- Czyli nie tędy droga... - powiedział Shaw z namysłem.

- Ja w każdym razie nie chcę w tym brać udziału.

- Co w takim razie robimy? - spytał Gly, wyraźnie zirytowany.

- Na razie przyglądamy się, bez ingerencji - odparł Shaw. - Na początek niech pan nam wykombinuje inny kuter, Amerykanie na pewno już nas namierzili.

Na twarzy Gly'a pojawił się lekceważący uśmiech.

- I nie ma pan zamiaru nic więcej robić?

- To mi na razie wystarczy. Chyba, że pan ma lepsze pomysły.

- Posłałbym tych gnojków do wszystkich diabłów. Jeśli się boisz, staruszk, mogę to załatwić sam.

- Dość tego! - huknął Shaw, wbijając wzrok w Gly'a. - Nie tocymy z Amerykanami żadnej wojny, a w moich instrukcjach nie ma niczego, co

usprawiedliwiłoby morderstwo. Tylko zbrodniecy mordują dla przyjemności. A co do pana, inspektorze Gly: żadnych dyskusji. Ma pan wykonywać polecenia.

Gly nie odpowiedział, wzruszył tylko ramionami. Nie zależało mu na dyskusjach. Wiedział coś, czego nie wiedział ani Shaw, ani nikt inny: w jednym z pojemników z trisynolem był już zdalnie sterowany zapalnik. Gly zdążył go zainstalować przed rozpoczęciem akcji. Teraz może spowodować wybuch, kiedy tylko będzie chciał. Wystarczy nacisnąć guzik nadajnika.

## ROZDZIAŁ 47

Tym razem Mercier jadł obiad u prezydenta, w jego prywatnym apartamencie w Białym Domu. Na szczęście obecny pryncypał, w odróżnieniu od wielu innych dygnitarzy, częstował swoich gości koktajlami nawet w godzinach pracy. Drugi Rób Roy smakował Mercierowi jeszcze bardziej niż pierwszy - choć może nie najlepiej pasował do pieczeni rzymskiej.

- Według najnowszych danych wywiadu Rosjanie przesunęli kolejną dywizję w stronę granic. Indii. To już w sumie dziesięć, kompletna siła inwazyjna.

Prezydent pospiesznie przełknął kartofel.

- Chłopcy z Kremla poparzyli sobie łapy na Afganistanie i Pakistanie. Teraz islamskie rozruchy zaczynają się rozszerzać na Matuszkę-Ruś. Dobrze, niech atakują Indie, nic lepszego nie moglibyśmy sobie wymarzyć.

- Nic lepszego? - zdziwił się Mercier. - Musielibyśmy przecież jakoś zaangażować się militarnie.

- Och, potrząśniemy trochę szabelką, wygłosimy w ONZ parę żarliwych przemówień o kolejnym akcie komunistycznej agresji, wyślemy kilka lotniskowców na Ocean Indyjski, uruchomimy jakieś sankcje gospodarcze.

Mercier zajął się swoją sałatą.

- A więc ta sama reakcja, co zawsze: stoimy z boku i przyglądamy się...

- ...jak Sowieci sami sobie kopią grób - przerwał prezydent. - Podbić kraj zaludniony przez siedemset milionów nędzarzy, to tak jakby General Motors wykupiła całe nasze ministerstwo pomocy społecznej. Możesz mi wierzyć, Rosjanie przejadą się na tym podboju.

Mercier przyznawał w duchu rację prezydentowi, ale nie powiedział tego głośno. Zmienił temat i zajął się czymś znacznie bliższym ojczystych granic.

- Za tydzień będzie referendum w sprawie niepodległości Quebecu. Dwa razy im się nie udało - w osiemdziesiątym i osiemdziesiątym szóstym - ale podobno do trzech razy sztuka.

Prezydent wydawał się całkowicie pochłonięty łowieniem groszku na widelec.

- Jeśli ci Francuzi myślą, że pełna suwerenność oznacza krainę szczęścia, to czeka ich okrutne rozczarowanie.

- Moglibyśmy ich przystopować jakimś pokazem siły - zaryzykował Mercier.

- Widzę, Alan, że nie możesz spokojnie usiedzieć.

- Bo pański miesiąc miodowy już się skończył, panie prezydencie. Lada chwila

opozycja w Kongresie i prasa zaczną przyklejać panu łatkę „niezdecydowanego”. Czyli zupełne zaprzeczenie tego, co pan obiecywał podczas kampanii.

- Tylko dlatego, że nie chcę uczestniczyć w wojnie w Azji albo wysłać żołnierzy do Kanady?

- Są jeszcze inne sposoby okazywania stanowczości, mniej drastyczne.

- Ale nie ma powodu, by choć jeden Amerykanin tracił życie za pola naftowe na pustyni, które i tak się kurczą. A w Kanadzie wszystko powinno ułożyć się samo.

Mercier postanowił uderzyć od frontu.

- Panie prezydencie, dlaczego zależy panu na podziale Kanady? Najwyższy funkcjonariusz państwa popatrzył na niego chłodnym wzrokiem.

- To tak mnie zrozumiałeś? Naprawdę sądzisz, że zależy mi na rozdarciu i chaosie w sąsiednim kraju?

- A jak inaczej mógłbym to rozumieć?

- Zaufaj mi, Alan. - W głosie prezydenta pojawił się cieplejszy ton. - Uwierz mi, że wiem, co robię.

- Jak mogę uwierzyć - spytał niepewnie Mercier - skoro właściwie nie wiem, co pan robi.

- To proste - odparł prezydent z wyrazem troski na twarzy. - Prowadzę desperacką grę, żeby wyrwać Stany Zjednoczone ze śmiertelnego kryzysu.

To musiała być zła wiadomość: prezydent odczytał to bezbłędnie z kwaśnej miny Harrisona Moona, zanim ten otworzył usta. Prezydent odłożył tekst przemówienia, nad którym właśnie pracował, i rozparł się wygodnie w fotelu.

- Zdaje się, że masz jakieś problemy, Harrison? Moon położył na biurku skoroszyt.

- Obawiam się, że Brytyjczycy wyczuli naszą grę. Prezydent odwrócił okładkę i zderzył się oko w oko z dużą fotografią nieznanego mężczyzny.

- Właśnie przysłali to z „Ocean Yenturer” - wyjaśnił Moon. - Dwaj obcy nurkowie porwali sondę, która badała wnętrze wraku. Ta twarz pojawiła się na monitorach tuż przed przerwaniem łączności z sondą.

- Wiadomo, kto to jest?

- Tak. Przez ostatnie dwadzieścia pięć lat używał nazwiska Brian Shaw. Z raportu wynika, że przedtem był tajnym agentem brytyjskim. Warto przeczytać ten raport, panie prezydencie. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ten agent był bardzo aktywny i zdobył szczególną sławę, w końcu nie mógł już nawet bezpiecznie

wyjść na ulicę, bo za każdym rogiem czekali agenci SMIERSZ, żeby go wykończyć. Dlatego został wycofany z operacji, był spalony, jak mówią w wywiadzie. Musiał przejść na emeryturę. Ogłosili publicznie, że „zginął przy pełnieniu obowiązków służbowych” gdzieś w Indiach Zachodnich, i sfabrykowali mu nową tożsamość.

- Jak wam się udało tak szybko go rozszyfrować?

- Na pokładzie „Ocean Yenturer” jest komandor Milligan, to ona rozpoznała go na monitorach. A CIA łatwo już odnalazła resztę w swoich aktach.

- Komandor Milligan zna Shawa? - spytał prezydent podejrzliwie.

- Tak. Poznała go miesiąc temu, na jakimś przyjęciu w Los Angeles.

- Miesiąc temu? O ile wiem, była wtedy w rejsie.

- Błąd w sztuce: nikt nie zwrócił uwagi na to, że jej okręt musiał przed rejssem zawinąć na trzy dni do Long Beach, dla jakichś modyfikacji. No i nikt nie pomyślał, żeby zabronić jej wizyt na lądzie.

- Mówisz, że się spotkali? Czy to mogło być zaplanowane?

- Na to wygląda. FBI namierzyło Shawa, jak tylko przyleciał z Anglii. Zawsze przyglądają się zagranicznym gościom witany przez pracowników ambasady, w tym przypadku też tak było: odprowadzili go do samolotu lecącego do Los Angeles. A gospodarzem tego przyjęcia w Kalifornii był niejaki Graham Humberly, znany biznesmen, który jest na liście płac wywiadu brytyjskiego.

- A więc to komandor Milligan wypuściła wiadomość o traktacie?

Moon wzruszył ramionami.

- Prawdę mówiąc, nie dostała instrukcji, żeby trzymać to w tajemnicy.

- Ale skąd w ogóle wiedzieli, że interesujemy się traktatem?

- Tego nie wiemy - przyznał Moon. Prezydent przeglądał raport dotyczący Shawa.

- To trochę dziwne, że Brytyjczycy powierzyli tak ważne zadanie agentowi dobiegającemu siedemdziesiątce.

- Rzeczywiście, na pierwszy rzut oka wygląda to tak, jakby.

MI6 nie traktowało całej sprawy zbyt poważnie. Ale z drugiej strony właśnie taki Shaw miał największe szansę działania incognito. Gdyby nie komandor Milligan, nigdy nie skojarzylibyśmy go sobie z tą sprawą.

- Upłynęło sporo lat, odkąd Shaw był aktywnym agentem. Może teraz nie jest już taki dobry?

- Nie liczyłbym na to - odparł Moon. - Ten facet nie jest ślepy, przy każdej



okazji bezbłędnie rozpoznawał naszych ludzi. Prezydent przez chwilę siedział w milczeniu.

- Wygląda na to, że zorientowali się w naszych planach.

- Tak, sir - zgodził się Moon. - Za parę dni, może nawet za parę godzin „Ocean Yenturer” może dostać oficjalne polecenie opuszczenia wód wewnętrznych Kanady. Brytyjczycy nie będą się beczynn timer przyglądać, jak szukamy traktatu, to dla nich za duże ryzyko.

- Czyli możemy uznać „Empress of Ireland” za przegraną sprawę?

- Tak... chyba że... - Moon mówił wolno, jakby głośno myślał. - Chyba że Dirk Pitt znajdzie traktat w tym piekielnie krótkim czasie, jaki mu jeszcze pozostał.

## ROZDZIAŁ 48

Pitt obserwował ekrany, na których widać było ludzi pracujących na górnym pokładzie zatopionego statku. Dwaj nurkowie w skafandrach JIM, poruszający się w zwolnionym tempie, jak pierwsi astronauty na Księżycu, starannie przyklejali piroksynę do blach kadłuba. Pracowali bez wysiłku: we wnętrzu ich skorup utrzymywało się zwykle ciśnienie atmosferyczne, pomagający im płetwonurkowie w elastycznych kostiumach na pewno przykro odczuwali ciśnienie wody, dochodzące na tej głębokości do siedmiu kilogramów na centymetr kwadratowy. Pitt odwrócił się do Douga Hokera, który dostrajał obraz na jednym z monitorów.

- Gdzie jest batyskaf?

Hoker popatrzył uważnie na szeroką taśmę odwijającą się z bębna rejestratora sonaru.

- „Sappho I” krąży w pobliżu dziobu „Empress”. Dopóki nie będziemy gotowi do wyciągnięcia szczątków, kazałem załodze trzymać się blisko wraku, nie dalej niż ćwierć mili.

- Prawidłowo - pochwalił Pitt. - Nie widać żadnych intruzów?

- Nie.

- Mam nadzieję, że tym razem już nas nie zaskoczą. Hoker zrobił gest powątpiewania.

- Nasz system kontroli nie jest doskonały. Na tej głębokości kamery nie mają wielkiego zasięgu.

- A sonar panoramiczny?

- Owszem, obejmuje pełny krąg o promieniu trzystu metrów, ale też bez stuprocentowej gwarancji. Człowiek to dla sonaru strasznie mały obiekt.

- Są w pobliżu jakieś statki?

- Duży tankowiec minął nas parę minut temu - stwierdził Hoker. - A teraz od zachodu zbliża się holownik z barką, chyba z jakimiś śmieciami.

- Pewnie chce to wywalić gdzieś dalej, w zatoce - domyślał się głośno Pitt. - Ale nie zaszkodzi mieć go na oku.

- Gotowi do odpalenia - zameldował Rudi Gunn, który przez cały czas nie spuszczał wzroku z monitorów. Na głowie miał słuchawki z mikrofonem, dzięki temu utrzymywał stały kontakt z pracującą na dole ekipą.

- Dobrze, wycofaj nurków na bezpieczną odległość.

Do kabiny kontroli weszła Heidi, ubrana w brązowe ogrodniczki ze sztruku,

ostrożnie niosąc tacę pełną kubków z parującą aromatycznie kawą. Obeszła całą ekipę, ostatni kubek przypadł Pittowi.

- Nie straciłam czegoś ważnego? - spytała.

- Nie, wróciłaś w samą porę. Przystępujemy do pierwszego odpalenia. Mam nadzieję, że umieściliśmy właściwą ilość piroksyny we właściwym miejscu.

- A co będzie, jeśli się pomyliliście?

- Jeśli daliśmy za mało piroksyny, to w ogóle niczego nie osiągniemy. Jeśli za dużo i nie tam, gdzie trzeba, zapadnie się od razu połowa statku, a usuwanie szczątków będzie trwało o wiele dłużej, nie możemy sobie na to pozwolić.

- Cała ekipa poza strefą zagrożenia, zapalnik podłączony, zaczynam odliczanie - meldował mechanicznie Gunn. - Dziesięć sekund, dziewięć...

Teraz już wszyscy obecni w kabinie patrzyli na monitory, niecierpliwie czekając na koniec odliczania.

- Zapłon - padło wreszcie długo oczekiwane słowo.

Jaskrawy blask rozświetlił prawą stronę górnego pokładu: dwie oślepiająco białe wstęgi wybiegły z jednego punktu, by zatoczywszy szerokie łuki połączyć się w ognisty okrąg o średnicy dwudziestu stóp. Wielki wrzący słup pary uniósł się ku powierzchni. Po chwili pokład wewnątrz kręgu ognia zaczął się załamywać. Minęła jednak jeszcze cała minuta, zanim piroksyna stopiła najbardziej odporne fragmenty blach. Wreszcie wszystko zapadło się w wypalony otwór. Jego krawędzie, początkowo rozpalone do białości, szybko szzerwieniały i zszarzały pod działaniem lodowatej wody.

- Wygląda nieźle! - zawołał Gunn w podnieceniu.

Hoker podrzucił w górę tabliczkę, na której notował, i wydał nieartykułowany okrzyk radości. Wtedy wszyscy zaczęli śmiać się i klaskać. Pierwsza, najważniejsza próba zakończyła się sukcesem.

- Spuścić chwytak! - rozkazał Pitt ostro. - Trzeba natychmiast wyciągnąć stamtąd te rupiecie.

- Jest jakiś nowy sygnał! - odezwał się nagle głos spod ściany. Siedzący tam kudłaty technik nie patrzył już na telewizyjne monitory: z wielką uwagą analizował wydruk panoramicznego sonaru. Pitt podbiegł do niego natychmiast.

- Możesz to zidentyfikować?

- Nie, sir. Jest za daleko, żeby rozpoznać szczegóły. Wygląda tak, jakby z tej barki coś spadło za burzę.

- Opadało na dno ukośnie?

- Nie, sir, całkiem pionowo.

- Więc chyba nie pływonurek - próbował odgadnąć Pitt. - Pewnie załoga wywaliła jakiś pojemnik ze śmieciami do rzeki.

- Mam zatrzymać sonar na tym obiekcie?

- Tak, obserwuj, czy się nie rusza. Pitt odwrócił się w stronę Gunna.

- Kto jest w batyskafie?

Gunn zastanawiał się przez chwilę, zanim odpowiedział:

- Sid Klinger i Marv Powers.

- Mamy dziwny sygnał na sonarze. Niech popłyną w tamtą stronę i obejrzą to z bliska.

Gunn spojrzał na niego niespokojnie.

- Sądysz, że nasi goście wrócili?

- Trudno powiedzieć, zapis jest niewyraźny. - Pitt wzruszył ramionami. - Ale nie można tego wykluczyć.

Zsunąwszy się za burtę barki, Foss Gly popłynął pionowo, prosto na dno. Miał dodatkowy balast: zapasowe butle ze sprężonym powietrzem. Wiedział, że nie będzie łatwo ciągnąć je po dnie, ale były niezbędne: musiał mieć dużo powietrza na drogę powrotną, kiedy po wykonaniu zadania będzie się powoli wynurzał, przechodząc przez kolejne fazy dekompresji. Ciągnął więc dodatkowe butle za sobą, przebierając płetwami bez pośpiechu, by się nie zmęczyć. Miał przed sobą daleką drogę i dużo do zrobienia.

Przebył zaledwie pięćdziesiąt metrów, kiedy Usłyszał jednostajną wibrację, dochodzącą gdzieś z czarnej pustki. Zastygł i nasłuchiwał. Woda tłumiała i rozpraszała dźwięk: trudno było precyzyjnie ustalić, z jakiego kierunku dochodzi. Nagle zobaczył słabą, żółtawą poświatę: źródło światła szybko zbliżało się do niego. Gly nie miał już żadnych wątpliwości. Musiała to być łódź podwodna, wysłana z „Ocean Yenturer” specjalnie w jego kierunku.

Nie było gdzie się schować: dno rzeki było płaskie i nagie, żadnych skał, żadnych większych zgrupowań wodorostów. Kiedy potężny snop światła z batyskafu dotrze do niego, będzie równie widoczny jak zbieg złapany na tle muru przez więzienne reflektory.

Wypuścił z ręki zapasowe butle i zaczął wciskać się w pokrywający dno muł. W wyobraźni widział twarze ludzi, obsługujących batyskaf - twarze przyciśnięte do

iluminatorów, oczy penetrujące ciemność w poszukiwaniu intruza. Wstrzymał oddech, aby biegnące w górę pęcherzyki powietrza nie zdradziły jego obecności.

Łódź przesunęła się nad nim i płynęła dalej, nie zmieniając kierunku. Gly odetchnął z ulgą, ale wiedział, że zagrożenie jeszcze nie minęło: batyskaf za chwilę zawróci i jeszcze mogą go dostrzec. Dlaczego .nie dostrzegli za pierwszym razem? - zastanawiał się, i nagle zrozumiał. Muł, poruszony jego rękami i nogami, uniósł się i zamącił wodę. Gly uderzył silnie płetwami w muliste dno: z ulgą obserwował, jak podnosząca się czarna chmura zasłania światło batyskafu. Nabrał pełne garści szlamu i wyrzucił je w górę, powtórzył tę czynność kilka razy. Już po chwili ogarnęła go kompletna ciemność. Jeśli on nie widzi batyskafu, to i oni nie mogą widzieć jego.

- Zapalił latarkę, ale całe jej światło zatrzymywało się na wirujących cząsteczkach szlamu. Po omacku zaczął grzebać wokół siebie, wreszcie jego dłonie natrafiły na zapasowe butle. Spojrzał na przypięty na przegubie kompas z fluorescencyjną tarczą i ruszył w kierunku wraku „Empress”.

- Zgłasza się Klinger z „Sappho” - zameldował Gunn. Pitt odszedł od monitorów.

- Chcę z nim porozmawiać.

Gunn zsunął z głowy słuchawki z mikrofonem i podał Pittowi.

- Klinger? Mówi Pitt. Co znalazłeś?

- W jednym miejscu dno jest silnie zmaczone - zabrzmiał w słuchawkach głos Klingerera.

- Potrafisz określić przyczynę?

- Nie bardzo. Pewne jest tylko to, że coś dużego spadło na dno i poruszyło szlam.

Pitt spojrział w stronę operatora sonaru.

- Jest coś nowego?

- Nic, z wyjątkiem jakiegoś rozmazanego cienia koło batyskafu.

- Może lepiej wrócimy i pomożemy przy robocie na wraku? - odezwał się ponownie Klinger.

Pitt milczał przez chwilę. Nie był pewien, co odpowiedzieć. Podświadomie czuł, że „rozmazany cień” kryje coś ważnego, coś, czego nie wolno przeoczyć. Chłodna logika nakazywała jednak wierzyć bardziej elektronicznym instrumentom niż spostrzeżeniom i interpretacjom ludzi. Jeśli instrumenty niczego nie wykrywały - to zapewne nie było niczego do wykrycia. Dlatego w końcu, na przekór swoim

wątpliwościom, przyjął propozycję Klingera.

- Klinger?

- Tak, słucham?

- Wracajcie, ale powoli i zygzakiem.

- Rozumiem, uważać na wszystko. Wyłączam się. Pitt oddał słuchawki z powrotem Gunnowi.

- Jak idzie robota?

- Pięknie. Zresztą sam zobacz.

Oczyszczanie holu, do którego zapadł się wycięty fragment pokładu, przebiegało w tempie, które w tych warunkach - w mętnej, kleistej wodzie i pod wysokim ciśnieniem - można było określić jako „szalone”. Ludzie-żaby odcinali kawałki blach palnikami i nożycami hydraulicznymi. Instalowali też aluminiowe podpory, aby zapobiec dalszemu załamywaniu się górnego pokładu. Dwaj nurkowie w twardej skafandrach JIM obsługiwali wielki pająkowaty chwytak, zwisający na linie z dźwigu statku ratowniczego. Jeden przesunął linę, naprowadzając potężne szpony na pogięte kawały blachy, drugi, operując zdalnie sterowanymi „palcami” manipulatorów, przyciskał guziki kasetki sterowniczej chwytaka. Kiedy mieli już pewność, że szpony trzymają mocno, dawali sygnał operatorowi dźwigu na powierzchni: dźwig powoli i ostrożnie wyciągał kolejne kawały żelastwa z otworu, który wszyscy już nazywali pieszczotliwie dziurką.

- W tym tempie - powiedział Gunn - mamy szansę dojść do kabiny Shieldsa za cztery dni.

- Cztery dni... - powtórzył Pitt w zamyśleniu, wpatrując się w ekrany. - Bóg jeden wie, czy za cztery dni jeszcze tu będziemy... Nagle podskoczył jak oparzony.

- Coś nie w porządku? - spytał Gunn.

- Ilu płetwonurków wyszło z komory ciśnieniowej na tę zmianę?

- Czterech, jak zwykle - odparł Gunn. - Dlaczego pytasz?

- Bo doliczyłem się pięciu.

## ROZDZIAŁ 49

Gly przeklinał chwilę, w której zdecydował się na tak kretyńskie ryzyko - musiał jednak brnąć dalej: z miejsca pod łodzią ratunkową, gdzie się ukrył, zupełnie nie widział, co robią amerykańscy nurkowie w wielkiej dziurze wyciętej w pokładzie. I wtedy przyszedł mu do i głowy pomysł dziecinnie prosty, choć niebezpieczny: wmieszać się między nich.

Już wcześniej spostrzegł, że ich termiczne kostiumy tylko nieznacznie różnią się od tego, który on miał na sobie. Jego akwalungi był nieco innej, starszej konstrukcji, ale tego samego koloru. Szansa, że któryś z Amerykanów zauważy te drobne różnice, wydawała mu się znikomo mała.

Wydostał się ze swojej kryjówki i powoli opadał na pokład. Wreszcie płetwy dotknęły czegoś twardego. Była to duża stalowa pokrywa, wyciągnięta przed chwilą z otworu w pokładzie. Zanim Gly zdecydował się, co robić dalej, z otworu wychynął płetwonurek i wskazał mu pokrywę. Gly pokiwał głową, trochę przesadnie, na znak, że zrozumiał: razem zaciągnęli ciężką klapę w stronę relingu i przerzucili ją za burtę.

A więc pomysł nie był aż tak niebezpieczny - wystarczyło uważać i mieć oczy otwarte. Gly włączył się w pracę płetwonurków NUMA, zupełnie jakby uczestniczył w niej od początku. Był to dla niego jeszcze jeden dowód, że najtrafniejsze jest z reguły to, co najmniej oczywiste.

Amerykanie posunęli się z robotą znacznie dalej, niż mógł przypuszczać. Pracowali jak doświadczeni górnicy, którzy dobrze wiedzą, gdzie jest główna żyła, i zgodnie kopią w tym kierunku. Przepląnął w tę, i z powrotem nad wyciętym otworem, próbując dokładniej ocenić jego średnicę. Ważne były też dwa inne pytania: jak głęboko już doszli i ile czasu jeszcze potrzebują, aby dotrzeć do celu?

Nagle poczuł, że coś jest nie w porządku. Wyczuł to całkiem intuicyjnie, bez określonych przyczyn. Nic się nie zmieniło w zachowaniu pracujących nurków: wykonywali swoją robotę, nie zwracając na niego szczególnej uwagi. A jednak...

Gly odpłynął na bok, w ciemniejsze miejsce. Wstrzymał na chwilę oddech: wsłuchiwał się w odgłosy podwodnej pracy. Nadal nie dostrzegał niczego szczególnego, ale jakiś szósty zmysł podpowiadał mu, że pora zniknąć.

Za późno.

Coś, co jeszcze przed chwilą było tylko przecuciem, teraz stało się oczywistością: kręcący się wokół nurkowie, na pozór bardzo zajęci, w istocie nie wykonywali już żadnej konkretnej pracy. Zawieszony na linie chwytnak dźwigu po

wyciągnięciu kolejnego kawałka złomu nie powrócił na dół. Ludzie-żaby przewracali leniwie jakieś rupiecie, ale nawet nie wyrzucali ich za burtę.

Powoli, jakby kierowani wspólną myślą, uformowali wokół Gly'a zamknięty krąg. Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że jego obecność wykryła obsługa statku-bazy. Dopiero teraz zorientował się, że przy reflektorach oświetlających miejsce akcji zainstalowane są kamery telewizyjne. Dopiero teraz domyślił się, że wszyscy nurkowie mają w swoich kaskach odbiorniki radiowe, przez które otrzymują informacje z ośrodka dowodzeni .

Cofnął się gwałtownie, opierając się plecami o jakąś ścianę. Dwaj ludzie w JIM-ach ustawili się na wprost niego, tworząc zaporę nie do przebycia. Czterej płetwonurkowie osłonili flanki. Wszyscy patrzyli na niego chłodno, bez emocji.

Gly wyciągnął na wierzch ośmiocalowy nóż. Trzymał go do góry ostrzem, sposobem ulicznych zabijaków. Skulił się, jak gdyby szykując się do skoku. Wszystko to były czynności odruchowe i natychmiast zdał sobie sprawę z ich bezsensu. Wszyscy ludzie-żaby też mieli przy sobie długie stalowe noże, a hydrauliczne manipulatory na końcach „ramion” skafandrów niskociśnieniowych na pewno były dużo twardsze i silniejsze od ludzkich palców i mogły dotkliwiej ranić.

Nadal tkwili wokół niego bez ruchu, jak kamienne posągi na cmentarzu. W końcu jeden z płetwonurków sięgnął po zatknietą przy pasie plastikową tabliczkę i tłustą żółtą kredką szybko coś na niej napisał. Kiedy skończył, podniósł tabliczkę tak, aby Gly mógł ją dobrze widzieć. Było na niej tylko jedno słowo: SPIEPRZAJ.

Gly na moment osłupiał: absolutnie nie tego się spodziewał. Ale nie czekał na dalsze zachęty. Ugiął jeszcze bardziej kolana i mocno odbił się od pokładu. Szybko przepłynął nad głowami ludzi z NUMA. Nie zrobili najmniejszego gestu, aby go zatrzymać: spokojnie obserwowali, jak znika w ciemności.

- Pozwolisz mu uciec? - spytał beznamiętnie Gunn.

- Pozwolę.

- Myślisz, że to rozsądne?

Pitt nie od razu odpowiedział. Jego twarz zastygła, niesamowite zielone oczy przymrużyły się: było to coś pośredniego między uśmiechem Giocondy a miną lwa czającego się w buszu na nadchodzący, niczego jeszcze nieświadomy pokarm.

- Widziałeś ten nóż? - odezwał się w końcu.

- E, tam. Gdyby go użył, nasi chłopcy przerobili go na karmę dla ryb, zanim by zdążył zmówić modlitwę.



- Nie o to chodzi, ten człowiek to morderca - sucho stwierdził Pitt. Tylko tyle, nic więcej.

- Możemy go jeszcze capnąć, jak się wynurzy. Będzie całkiem bezbronny.

- Nie trzeba.

- Masz jakiś inny pomysł? - zainteresował się Gunn.

- Banalny. Wypuścimy płotkę, żeby złapać grubą rybę.

- Ach, tak? - Gunn najwyraźniej nie był przekonany.

- Poczekamy, aż zawiadomi swoich kumpli, ściągnie tutaj całą bandę, a wtedy spokojnie weźmiemy ich za kark i oddamy w ręce władz.

- Bieda w tym, że to oni są władzą. - Gunn był coraz bardziej sceptyczny.

- Na co w takim razie liczymy?

- To mógł być tylko rekonesans. Za drugim razem pewnie będzie ich więcej i rzeczywiście może być krucho. Ale chcę zyskać na czasie. Dlatego nie robię nic, co by ich prowokowało do pośpiechu.

Gunn kpiąco wykrzywił wargi.

- Może to i chytne, ale niewiele zyskasz. Przecież ten drab zaraz będzie na powierzchni i dotrze do swoich pierwszym lepszym statkiem czy łodzią.

- Nie tak szybko - odparł Pitt spokojnie. - Najpierw przez co najmniej pół godziny będzie przechodził dekompresję. Prawdopodobnie zostawił sobie w tym celu gdzieś na dnie dodatkowe zbiorniki z powietrzem.

Gunn nagle coś sobie przypomniał.

- Powiedziałeś, że to morderca. Dlaczego tak sądzisz?

- Za szybko wyciągnął nóż, za bardzo się spieszył, żeby go użyć. Taki brak wahań oznacza rozwinięty instynkt morderczy.

- A więc mamy do czynienia z dyplomowanymi zabójcami. - Gunn zrobił niewyraźną minę. - To przestaje być zabawne.

## ROZDZIAŁ 50

W basenie portowym w Rimouski, wciśniętym między dwa puste doki i długi, odrapany magazyn, panowała cisza, atmosfera martwoty i opuszczenia, którą potęgował brak wiatru, była szczególnie dotkliwa teraz, w porze przedświt. Było jeszcze za wcześnie na gwar robotników portowych, na jazgot mew, na zgrzyty i sapanie dieslowskich lokomotyw przetaczających wagony.

W kącie basenu zacumowany był holownik: ten sam, który parę godzin temu ciągnął barkę w pobliżu „Ocean Yenturer”. Rdzawe smugi gęsto znaczyły jego burty, pogniecione blachy kadłuba dobrze świadczyły o sumiennej, trzydziestoletniej już pracy. W czarnej wodzie basenu portowego odbijało się, tylko jedno słabe światelko - ze znajdującej się tuż pod budką sterową kajuty szypra.

Shaw spojrział na zegarek i sięgnął po czarny przedmiot, który wyglądał jak kieszonkowy kalkulator. Przesunął dźwignię wyłącznika, przymknął na chwilę oczy, jakby coś sobie przypominał, po czym zaczął szybko naciskać guziki. To już zupełnie inna epoka, pomyślał. Dawniej agent musiał chować się na jakimś strychu z wielkim, nieporęcznym nadajnikiem i mamrotać cicho - żeby nikt nie usłyszał - słowa do mikrofonu. Dzisiaj cyfrowe sygnały z miniaturowego urządzenia trafiały niezawodnie przez satelitę do londyńskiego komputera, tam dekodowano je i kierowano światłowodami do właściwego adresata.

Skończył, odłożył nadajnik, wstał i przeciągnął się. Mięśnie miał całkiem zeszywniałe, bolał go kręgosłup. Zmora starości, pomyślał. Sięgnął do swojej walizki i wyciągnął butelkę Canadian Club, którą kupił na lotnisku natychmiast po przybyciu do Rimouski. Kanadyjczycy mówili na to „whisky” - ale, na jego brytyjski gust, ciecz niewiele różniła się od amerykańskiego burbona. Picie tego na ciepło graniczyło oczywiście z prostactwem - tylko Szkoci to lubią - ale na starych, zdezelowanych holownikach trudno raczej o taki luksus jak przyzwoita zamrażarka.

Stłumiony brzęczyk leżącego na stole aparatu przerwał te relaksowe rozważania. Po chwili z urządzenia zaczął się wysuwać pasek papieru o szerokości najwyżej ćwierci cala. To był prawdziwy cud techniki: Shaw wciąż nie mógł się temu nadziwić. Włożył okulary do czytania - jeszcze jedna zmora starości - i zaczął czytać wydrukowane • drobniutką czcionką słowa. Tekst był długi: na wąskim pasku papieru całość zajęła dobre pół jarda. Shaw skończył wreszcie odczytywanie komunikatu, zdjął okulary i schował aparat do kieszeni, kiedy usłyszał spokojny głos:

- Najnowsze wiadomości ze starej, kochanej Anglii, co?

Podniósł wzrok: w drzwiach stał Foss Gly. Stał nieruchomo, jakby nie miał zamiaru wchodzić do środka. Patrzył tylko spode łba, a wyraz jego oczu przypominał minę szakala poszukującego łupu.

- To tylko potwierdzenie odbioru mojego meldunku o tym, co pan zaobserwował - skłamał bez trudu. Powoli, jakby machinalnie, zaczął nawijać wąski pasek papieru na palec wskazujący.

Gly zdążył się już przebrać w drelichowe spodnie i gruby sweter z golfem.

- Odrobinę mnie jeszcze trzęsie - powiedział. - Mogę sobie nalać trochę pańskiej gorzały?

- Proszę bardzo. Gly dwoma łykami opróżnił pół szklanki Canadian Club. Shaw przypomniał sobie nagle tresowanego niedźwiedzia, którego kiedyś widział w cyrku: zwierzę wypilo w ciągu paru minut wiadro piwa. Jakby potwierdzając to skojarzenie, Gly westchnął głęboko i powiedział:

- No, teraz czuję się znowu prawie jak człowiek.

- O ile ja się na tym znam - podjął konwersację Shaw - to pańska dekompresja trwała o pięć minut za krótko. Nie odczuwa pan jakichś sensacji?

Gly ponownie wyciągnął rękę w stronę stojącej na stole obok Shawa butelki. \_.

- Trochę mi dzwoni w uszach, ale nic poza tym. Jego dłoń minęła butelkę z szybkością błyskawicy i stalowym uściskiem wpiła się w przegub Anglika.

- Ta wiadomość nie była przypadkiem na mój temat? No, ojczulku, gadaj!

Ból nadgarstka, wywołany ostrymi paznokciami Gly'a, uruchomił w starym agencie odruchową reakcję obronną. Shaw oparł mocno stopy na podłodze, by móc wystrzelić całym ciałem jak sprężyna, ale Gly uprzedził te zamiary.

- Żadnych numerów, ojczulku, bo ci kości połamię. Shaw nie przeląkł się pogroźki, ale był wściekły na siebie: jak mógł dać się tak zaskoczyć?

- Przecenia pan siebie, inspektorze Gly. Dlaczegoż to wywiad brytyjski miałby interesować się pańską osobą?

- Bardzo mi przykro - Gly wykrzywił się w fałszywym uśmiechu, nie rozluźniając chwytu - ale jestem trochę podejrzliwy. I nie lubię kłamczuchów.

- Prostackie oskarżenie, sfabrykowane przez prostacki umysł - powiedział Shaw, odzyskując pewność siebie. - Ale czego innego mogłem się po panu spodziewać?

- Chytrze gadasz, superszpiegu. Myślisz, że nie wiem, że normalny raport do Londynu nadałeś już dwie godziny temu i od razu dostałeś potwierdzenie.

- Chyba coś się panu pomyliło.

- Nic mi się -nie „pomyliło”. Rozmawiałem już z doktorem Coli. Masz sklerozę, ojczulku, zapomniałeś, że Coli pomagał ci układać ten raport i był przy nadawaniu. A potem, jak wyszedł, złapałeś jeszcze raz ten gadżet i nadałeś dodatkowe zamówienie: sprawdzić Fossa Gly'a. Wiem o tym, a ty wiesz, że ja wiem. I właśnie dostałeś z Londynu odpowiedź.

Shaw zrozumiał, że wpadł w pułapkę. Jak mógł aż tak się odkryć? Nie miał wątpliwości, że ten obrzydliwy typ gotów jest go zabić przy pierwszej nadarzającej się okazji. Nie pozostawało nic innego, jak zwodzić, oszukiwać, kręcić. Spróbował dalekosiężnego blefu.

- Pan Yillon wspominał, że nie zawsze umie pan nad sobą panować. Szkoda, że nie wziąłem tego poważnie.

Wściekły błysk w oczach Gly'a upewnił Shawa, że trafił celnie. Postanowił przykręcić śrubę.

- O ile pamiętam, użył nawet słowa: „psychiczny”.

Reakcja była całkiem odmienna od tej, jakiej Shaw się spodziewał. Zamiast pogrążyć się w bezsilnej wściekłości, Gly nagle zrobił minę, jakby doznał olśnienia. Puścił przegub Anglika.

- A to skurwiel, fałszywiec, chciał mi wbić nóż w plecy - mruknął. Popatrzył na Shawa przenikliwie. - Teraz już rozumiem, dlaczego ciągle mnie wysyłasz do tej parszywej roboty na dno. Szukaliście dobrej okazji, żeby upozorować nieszczęśliwy wypadek.

Shaw był kompletnie zdezorientowany. Sprawy potoczyły się w całkiem innym kierunku, niż przewidywał. W dodatku zupełnie nie rozumiał, o czym Gly mówi. Ale nie miał wyboru, musiał ciągnąć dalej w tę stronę. Ostrożnie odwinął z palca zadrukowany pasek papieru i położył go na stole przed Gly'em - przez cały czas obserwując jego oczy. Doczekał się: wzrok Gly'a przeniósł się na stół, zaledwie na sekundę, ale to wystarczyło.

- Zastanawia mnie, dlaczego ryzykuje pan życie dla ludzi, którzy chcą pana zabić.

- Może lubię ich towarzystwo.

- Widzę, że nie traci pan poczucia humoru, fałszywy inspektorze Gly.

- Yillon dużo o mnie mówił?

- Nie rozwodził się specjalnie - odparł Shaw i zdusił niedopałek papierosa w

popielniczce, zauważył, że Gly śledzi każdy jego ruch. - Sugerował tylko, że dobrze bym się przysłużył Kanadzie, gdybym jakoś pana usunął. Szczerze mówiąc, nie bardzo się nadawałem na kata, zwłaszcza że nie wiedziałem, czym pan sobie zasłużył na ten wyrok.

- A teraz już wiesz? Od kogo?

- Od pana. - Shaw dostrzegł w oczach Gly'a silne zainteresowanie, ale nadal nie wiedział, do czego to wszystko prowadzi. - Obserwowałem pana, zwłaszcza to, jak pan mówi. Kanadyjską francuszczyznę opanował pan bez zarzutu. Ale z angielskim już gorzej. Nie chodzi nawet o akcent, ale o wyrażenia, których pan używa. „Booze”, „gizmo”, „whafs the scam?” - toż to jankeski slang, w Ottawie nikt tak nie mówi. Z czystej ciekawości poprosiłem Londyn, żeby pana sprawdzili. Odpowiedź leży na stole: tak, zasługuje pan na to, żeby umrzeć, panie Gly. Być może bardziej niż ktokolwiek inny.

Twarz Gly'a stała się groźna, zęby błysnęły żółto w grymasie wściekłości.

- I myślisz, ojczulku, że wykonasz ten wyrok?

Shaw zacisnął dłonie na krawędzi stołu. Zastanawiał się, w jaki sposób Gly zamierza go zabić. Musiałby użyć noża, a jeśli pistoletu, to z tłumikiem, inaczej odgłos strzału ściągnąłby tu natychmiast doktora Cola i resztę załogi. Na razie jednak Gly siedział nieruchomo naprzeciw niego. Skrzyżował ramiona na piersi i wyglądał spokojnie - zbyt spokojnie.

- Nie będę musiał. Pan Yillon zmienił zamiary: postanowił przekazać pana w ręce policji.

Natychmiast zauważył, że popełnił błąd. Mógł to wyczytać ze zmienionego wyrazu twarzy Gly'a.

- Nieźle zmyślasz, staruszku, ale tu się rypnąłeś, Yillon nigdy by mnie nie oddał żywego. Za dużo o nim wiem, gdybym to powiedział, gnąłby za kratkami aż do następnej epoki lodowcowej.

- Rzeczywiście, blefowałem, chciałem pana po prostu wy badać - pozornie ustąpił Shaw. - Ta wiadomość z Londynu też nie dotyczy pana, tylko Yillona. Może pan sam sprawdzić.

Ruchem głowy wskazał na leżącą na stole papierową wstążkę. Wzrok Gly'a pobiegł w tamtym kierunku. Shaw szarpnął blat stołu, wkładając w to całą swoją siłę: ostry narożnik blatu trafił w sweter zbira, nieco powyżej pasa.

Jedynym efektem ciosu, który każdego innego powaliłby na ziemię, było głośnie

sieknięcie. Gly potężną łapą chwycił nogę stołu i uniósł ciężki dębowy mebel pod sufit. Shaw osłupiał: stół musiał ważyć ze sto pięćdziesiąt funtów.

Gly powoli opuścił stół na podłogę - delikatnie, jak dziecko układające do snu swoją ulubioną lalkę. Shaw porwał stojące za nim krzesło i przerzucił je błyskawicznym łukiem na głowę fałszywego policjanta, ale Gly chwycił krzesło w powietrzu, wyrwał z ręki Anglika i ustawił, znów starannie i delikatnie, pod stołem. Zbliżył się do Shawa na niespełna jard: patrzył na niego bez złości, bez wściekłych błysków w oczach.

- Mam broń - ostrzegł Shaw, starając się panować nad głosem.

- A wiem, wiem... - Gly uśmiechnął się diabelsko. - Oryginalna stara beretta, kaliber dwadzieścia pięć. Trzymasz ją w bucie pod własną koją. Jest tam, nie martw się: sprawdziłem, zanim tu przyszedłem.

I wtedy Shaw zrozumiał, że nie zginie ani od kuli, ani od noża: Gly mógł i najwyraźniej miał zamiar zrobić to gołymi rękami. Na samą myśl o tym stary szpieg poczuł mdłości. Spróbował jeszcze perfidnego kopniaka, wyuczonego kiedyś na lekcjach dzudo, ale Gly obrócił się błyskawicznie i przyjął cios na biodro. Ruszył przed siebie, nie dbając nawet o obronę. Miał spokojną, pewną siebie minę rzeźnika, podchodzącego do upatrzonej sztuki.

Shaw cofnął się, ale jego plecy niemal natychmiast natrafiły na ścianę. Rozpaczliwie rozglądał się za jakąś bronią: lampą, twardą książką, czymkolwiek, co mógłby rzucić, by choć na chwilę powstrzymać sunące w jego kierunku dwieście funtów mięśni. Ale kajuty na holownikach wyposażone są raczej ascetycznie: z wyjątkiem obrazka, przykręconego śrubami do ściany, w zasięgu rąk Anglika nie było już nic.

Złożył płasko dłonie i uderzył nimi, jak toporem, w szyję Gly'a. Miał przerażającą pewność, że to już ostatni akt jego oporu. Rezultat był taki sam, jakby uderzył w beton. Shaw zawył z bólu: miał wrażenie, że pogruchotał sobie kości obu dłoni. Tymczasem Gly, który wyszedł z tej próby bez szwanku, jedną ręką objął Anglika w pasie i przyciągnął do siebie, drugą natomiast wparł w jego klatkę piersiową. Powoli, pedantycznie zwiększał nacisk przeciwstawnych sił, coraz bardziej przeginając do tyłu kręgosłup ofiary.

- No to żegnaj, Angolu...

Shaw zacisnął zęby: ból kręgosłupa stawał się nieznośny, pięść napastnika wyciskała z płuc resztki powietrza, w głowie coraz głośniejszy walił parowy młot pulsu.

Ściany i sufit kabiny zaczęły wirować i tańczyć. Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że mógłby krzykiem wezwać kogoś na pomoc, ale było już za późno: z jego krtani wydobył się jedynie słaby charkot. Już tylko śmierć mogła go uwolnić od nieznośnego cierpienia. Z rezygnacją czekał na ostatni odgłos: trzask pękającego kręgosłupa.

Usłyszał trzask: głośny, ale dziwnie odległy. A więc jestem już daleko, pomyślał poetycko. Przestał odczuwać nieznośny ucisk na piersi, zelżał też wyraźnie ból kręgosłupa. Shaw osunął się bezwładnie na podłogę. Zastanawiał się, co będzie dalej: długa droga przez ciemny tunel, w którym wreszcie pojawi się oślepiające światło? Był trochę rozzarowany, że nie słyszy żadnej niebiańskiej muzyki.

Odrzucił rojenia i spróbował uporządkować rzeczywiste doznania. Dziwne było przede wszystkim to, że wciąż odczuwał ból: cała górna część korpusu wydawała się płonąć żywym ogniem. Ostrożnie, lękliwie otworzył oczy. Minęło parę chwil, zanim zaczął widzieć ostro.

Pierwszą rzeczą, jaką rozpoznał, była para kowbojskich butów. Mrugnął parę razy w niedowierzaniu, ale buty wciąż tkwiły na swoim miejscu: z jasnej cielejcej skóry, z ozdobnymi szwami na cholewach, wysokimi obcasami i spiczastymi nosami. Obrócił z trudem głowę i spojrzał wyżej. Zobaczył twarz o ostrych rysach, chyba lekko uśmiechniętą.

- Kim pan jest? - zabelkotał.

- Pitt. Dirk Pitt.

- Dziwne, nie wygląda pan na diabła. - Najwyraźniej Shaw nie miał żadnych wątpliwości, dokąd prowadzi jego czarny tunel. Teraz zjawia uśmiechnęła się już szeroko.

- Niektórzy mają na ten temat inną opinię. - Przyklęknął i wziął Anglika pod ramiona. - Pozwolisz, ojczulku, że ci pomogę?

- Cholera jasna! - mruknął Shaw, zirytowany. - Przestańcie mnie wreszcie nazywać ojczulkiem!

## ROZDZIAŁ 51

Gly leżał jak martwy, z szeroko rozrzuconymi ramionami i nienaturalnie przygiętymi nogami. Wyglądał jak gumowy balon, z którego uszło powietrze.

- Jak pan tego dokonał? - spytał Shaw z podziwem. Pitt podniósł w górę duży klucz nasadowy.

- Dobre narzędzie: do przykręcania śrub i do szczerbienia czaszek.

- Czy on jest martwy?

- Wątpię. Takiego jak on mogłaby załatwić tylko armata. Shaw odetchnął parę razy głęboko i zaczął masować obolałe krawędzie dłoni.

- Dziękuję za pomoc, pojawił się pan w samą porę, panie...

- Nazywam się Pitt, panie Shaw. I skończmy tę ciuciubabkę. Wiemy o sobie nawzajem wszystko.

Shaw zdołał wreszcie przełączyć swój zamrożony umysł na drugi bieg. Co za pech: prosto z łap jednego wroga dostał się w łapy innego.

- Ryzykuje pan, panie Pitt. W każdej chwili może się tu pojawić moja załoga.

- Jeśli w ogóle ktoś tu się pojawi, to będzie to moja załoga. Kiedy pan tutaj tańczył walca z tą górą mięśni, zamknąłem pańskich ludzi w maszynowni - dla ich własnego bezpieczeństwa, rozumie się.

- Gratuluję - powiedział Shaw. - I załatwił pan to tak samo jak tutaj: postraszył ich pan tym wielkim kluczem?

Pitt schował mordercze narzędzie do kieszeni kurtki i usiadł.

- Skądże. Okazali wielką wolę współpracy. To się zdarza ludziom stojącym przed lufą pistoletu maszynowego.

Fala przeraźliwego bólu przebiegła po plecach Shawa. Jego twarz pobladła, wargi zacisnęły się kurczowo. Próbował rozruszać obolałe miejsca, zrobił skłon, ale to jeszcze pogorszyło sprawę. Pitt ze współczuciem obserwował jego usiłowania.

- Jak tylko zawiadomi pan MI6 o ostatnich wydarzeniach, powinien pan od razu pójść do kręgarza.

- Dziękuję za życzliwe rady - mruknął Shaw. - Skąd pan tyle wie o mnie?

- O, jest pan sławny, odkąd był pan łaskaw wystąpić przed kamerami naszej sondy. Zidentyfikowała pana Heidi Milligan, a CIA wygrzebała z archiwów całą resztę.

Shaw przymrużył oczy.

- Komandor Milligan jest tu z wami?

- Tak, mówiła mi, że jesteście starymi przyjaciółmi. Śliczna dziewczyna, a w



dotatku mądrała. Robi dla nas analizy historyczne.

- Rozumiem. To ona wskazuje kierunki prac poszukiwawczych?

- Jeśli chodzi panu o to, kto zlokalizowałabinę Shieldsa, to tak: właśnie ona.

Starego brytyjskiego agenta zawsze dziwiła szczerosc Amerykanów, Pitta natomiast zawsze irytowała brytyjska sklonnosc do otaczania wszystkiego tajemnica.

- Po co pan tu przyszedl?

- Zeby pana ostrzec: niech pan nas zostawi w spokoju.

- W spokoju?

- Och, oczywiscie, zadne prawo nie zabrania panu siedziec na widowni i gapić się, ale niech pan trzyma swoich chlopców z daleka od wraku. Ostatnio jeden próbował być niegrzeczny.

- To pewnie ten. - Shaw wskazał na nieruchome ciało. - Nazywa się Gly.

- Tak też myślałem.

- W swoim czasie - zauwazył nostalgicznie Shaw - dawałem sobie radę z lepszymi od niego. Pitt uśmiechnął się ciepło.

- Chciałbym być w takiej formie jak pan, kiedy skończę sześćdziesiąt sześć lat.

- Świetnie pan trafił.

- Nie trafiłem, panie Shaw, mam kopię pańskiego dossier. Waga sto siedemdziesiąt funtów, wzrost sześć stóp i jeden cal, praworęczny, liczne blizny. Miał pan ciekawe życie.

- Być może, ale nie miałem takich osiągnięć jak pan. - Shaw po raz pierwszy uśmiechnął się. - Widzi pan, ja też mam pańskie dossier. Pitt spojrzal na zegarek.

- Muszę wracać na „Ocean Yenturer”. Miło było pana poznać.

- Odprowadzę pana do szalupy. Przynajmniej tyle mogę zrobić dla człowieka, który uratował mi życie.

Wyszli na pokład. Stali tam na straży dwaj mężczyźni o posturze niedźwiedzi polarnych. Jeden odezwał się głosem dobywającym się jakby z dna studni.

- Są jakieś problemy, sir? Pitt zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, nie ma żadnych. Wszyscy gotowi do powrotu?

- Tak, wszyscy oprócz nas są już w łodzi.

- No to pakujcie się. Zejdę za wami.

Dwaj wartownicy rzucili Anglikowi spojrzenie, mówiące: „niepróbuj-żadnych-sztuczek” i zsunęli się za burtę do oczekującej tam szalupy.

Pitt odwrócił się.

- Proszę przekazać wyrazy uszanowania generałowi Simmsowi. Shaw patrzył na niego z coraz większym respektem.

- Czy jest coś, czego by pan nie wiedział?

- Och, mnóstwa rzeczy nie wiem. - Twarz Pitta przybrała czarci wyraz. - Nie wiem na przykład, jak się gra w triktraka.

- Chętnie pana nauczę, przy okazji.

- Z przyjemnością skorzystam. - Pitt wyciągnął rękę na pożegnanie.

Chyba po raz pierwszy, odkąd wykonywał ponury zawód szpiega, Shaw ścisnął dłoń bezpośredniego, aktualnego przeciwnika. Nieco dłużej patrzył w oczy Pitta.

- Wybacz pan, że nie życzę panu powodzenia, ale nie byłoby to szczere. Nie mogę pozwolić, żebyście znaleźli ten traktat. Wy macie wszystko do wygrania - my wszystko do stracenia. Musi pan to zrozumieć.

- Przecież obaj wiemy, jaki będzie wynik.

- Byłoby mi bardzo przykro, gdybym musiał pana zabić.

- I nawzajem. - Pitt przekroczył reling. - Życzę połamania nóg, panie Shaw.

Zniknął za burtą. Shaw stał jeszcze parę minut na pokładzie, patrząc jak mała szalupa znika w ciemności. Potem zszedł do maszynowni, by uwolnić doktora Coli i załogę holownika.

Kiedy wrócił do swojej kajuty, nikogo już w niej nie zastał. Foss Gly zniknął.

## ROZDZIAŁ 52

Ponad tysiąc osób zebrało się przed rezydencją premiera, by oklaskami, okrzykami radości, proporcami i dwujęzycznymi transparentami witać Charlesa Sarveux powracającego do domu ze szpitala. Lekarze nalegali, aby powrót odbył się szpitalnym ambulansem, ale premier zignorował te troskliwe rady i zajechał przed dom zwykłą urzędową limuzyną, nienagannie ubrany w świeżo kupiony garnitur. Pokaleczone dłonie ukrył w miękkich, o kilka numerów za dużych rękawiczkach. Pewien doradca z jego partii sugerował wprawdzie, że widok odsłoniętych bandaży mógłby wzbudzić współczucie i sympatię wyborców, ale Sarveux nie lubił takiego kuglarstwa politycznego. To nie było w jego stylu.

Nadal dotkliwie odczuwał ból rozbitego biodra. Siedział w samochodzie sztywno, starał się nie poruszać rękami: przy najmniejszym ruchu świeża tkanka blizn reagowała eksplozją bólu. Na szczęście witający go tłum i reporterzy stali zbyt daleko, by widzieć pot perlący się na jego twarzy: widzieli tylko oficjalny uśmiech i dłoń w rękawiczce uniesioną w geście powitalnym.

Samochód przemknął przez bramę i zatrzymał się przed schodami frontowymi. Danielle podbiegła do drzwi pojazdu i otworzyła je na oścież.

- Witaj w domu, Charles...

Słowa uwięzły jej w gardle, kiedy zobaczyła zszarzałą z bólu, napiętowaną cierpieniem twarz.

- Pomóż mi wejść do domu - szepnął.

- Poproszę policjanta...

- Nie! - zaprotestował. - Nie chcę wyglądać jak inwalida.

Obrócił się z trudem i wysunął stopy na ziemię, górna połowa ciała pozostawała wciąż we wnętrzu samochodu. Po chwili zdołał zapanować nad kolejną potężną falą bólu. Objął jedną ręką Danielle i podciągnął się do pozycji stojącej. Niewiele brakowało, a upadłaby pod niespodziewanym ciężarem: musiała użyć całej swojej siły, aby się wyprostować. Kiedy wspinali się po schodach, niemal fizycznie odczuwała jego cierpienie. W drzwiach odwrócił się jednak i posłał stojącym w bramie fotoreporterom sławny w świecie uśmiech Charlesa Sarveux.

Zaledwie drzwi zamknęły się za nimi, cała energia sztucznie ożywiająca rekonwalescenta ulotniła się. Mimo wysiłków Danielle, Sarveux zaczął osuwać się bezwładnie na dywan. Jeden z pilnujących premiera mouties szybko chwycił go pod ramiona. Pojawił się też lekarz i dwie pielęgniarki. Wspólnym wysiłkiem zataszczyli

go do sypialni, starając się to robić jak najdelikatniej, by nie sprawiać mu więcej bólu.

- To szaleństwo, tak udawać bohatera - wymyślał lekarz, kiedy pacjent był już w łóżku. - Złamania jeszcze się dobrze nie zrosły. Wszystko mogło się rozlecieć i musiałby pan wracać do szpitala.

Sarveux uśmiechnął się blado.

- Warto było zaryzykować, żeby przekonać ludzi, że ich premier jeszcze nadaje się do życia.

Weszła Danielle i usiadła na krawędzi łóżka.

- Osiągnęłaś swoje, Charles. Wystarczy tej gimnastyki.

Pocałował ją w rękę.

- Dziękuję ci za wyrozumiałość, Danielle.

- Wyrozumiałość?

- Tak. - Mówił cicho, aby nie słyszeli go inni, wciąż obecni w pokoju. - Nie doceniałem cię. Zawsze widziałem w tobie tylko rozkapryszone dziecko, zajęte wyłącznie swoją urodą i rozkoszami wielkiego świata. Okazało się, że nie mam racji.

- Nie bardzo rozumiem... - powiedziała z wahaniem.

- Podczas mojej nieobecności wielokrotnie mnie zastąpiłaś, z wielką godnością i rozważą. - Jego słowa, choć pompatyczne, brzmiały szczerze. - Naprawdę dowiodłaś, że Danielle Sarveux jest pierwszą damą tego kraju.

Nieoczekiwanie zrobiło jej się go żal. Ten wybitnie inteligentny i bystry człowiek potrafił jednocześnie być tak naiwny. To, że dopiero teraz dostrzegł jej zdolności polityczne, było tylko skromną częścią tego obrazu. Przez lata nie dostrzegał jej aspiracji i pragnień, zadowalał się iluzją, zewnętrznymi pozorami, i nawet nie podejrzewał, do jakiej zdolna jest zdrady. Kiedy wreszcie naprawdę ją pozna - pomyślała - będzie już za późno.

Parę godzin później Sarveux siedział w szlafroku na sofie i oglądał telewizję, kiedy do pokoju wszedł Yillon.

- Cieszę się, że przyszedłeś, Henri - powitał go premier. Yillon popatrzył na ekran. Komentator telewizyjny stał na jednej z głównych ulic miasta Quebec, pośród wiwatującego tłumu.

- Stało się - powiedział cicho. - Wygraliśmy referendum: Quebec jest niepodległym państwem.

- I zacznie się chaos - skomentował Sarveux. Nacisnął guzik OFF na pudełku pilota: ekran zgasł. Potem obrócił się w stronę Yillona i wskazał mu krzesło. - A ty, co

o tym sądzisz?

- Jestem pewien, że wszystko potoczy się gładko.

- To przesadny optymizm. Dopóki nie odbędą się wybory i nie powstanie nowy rząd, w parlamencie quebeckim będzie panować wielkie zamieszanie. Doskonała okazja dla AQL, żeby wyjść z podziemia i okazać siłę. - Sarveux smutno pokiwał głową. - Śmierć Julesa Guerriera nie mogła nastąpić w gorszym momencie. Razem moglibyśmy coś zdziałać, przynajmniej dla uspokojenia nastrojów. Bez niego... nie wiem... chyba nie dam rady.

- Masz chyba świadomość, że Jules nie był niezastąpiony?

- A kto go zastąpi? Może ty?

W oczach Yillona pojawił się twardy błysk.

- A czy ktoś nadaje się do tego lepiej? To przecież moja praca doprowadziła do pomyślnego wyniku referendum. Otrzymałem poparcie z różnych stron: i od związków zawodowych, i od finansjery. Jestem szanowanym liderem partyjnym, a co najważniejsze, Francuzem cieszącym się uznaniem w całej Kanadzie, także angielskiej. Quebec potrzebuje mnie, Charles. Dlatego wystartuję w wyborach prezydenckich - i wygram.

- A więc to Henri Yillon wyprowadzi naród quebecki z pustyni - zakpił Sarveux.

- Z pustyni? Francuska kultura Quebecu jest dziś bogatsza i żywsza niż kiedykolwiek przedtem. A rozwijanie jej jest moim świętym obowiązkiem.

- Przestań wymachiwać tą lilijką, Henri. Zupełnie to do ciebie nie pasuje.

- Moje uczucia wobec ojczyzny są głębokie i szczerze - zachnął się Yillon.

- Głębokie i szczerze są tylko twoje uczucia wobec Henriego Yillona.

- Tak nisko mnie cenisz?

Sarveux spojrzał mu głęboko w oczy.

- Kiedyś miałem o tobie dobrą opinię. Ale widziałem, jak z biegiem czasu chorobliwa ambicja przemienia cię z żarliwego idealisty w faryzeusza i intryganta.

- To ciężkie oskarżenie. Może zechcesz je jakoś uzasadnić?

- Dobrze... Po pierwsze: co cię opętało, żeby wyłączyć prąd dla jednej trzeciej Stanów?

Twarz Yillona pozostawała spokojna.

- Uznałem to za niezbędne ostrzeżenie: Amerykanie muszą wiedzieć, że nie mogą się bezkarnie mieszać w sprawy Quebecu.

- Ale kto podsunął ci taki szalony pomysł? Yillon popatrzył na niego z

rozbawieniem.

- Oczywiście ty sam.

Sarveux zrobił zdziwioną minę. Rozbawiło to Yillona jeszcze bardziej, zaczął się śmiać.

- Naprawdę nie pamiętasz, naprawdę?

- Co mam pamiętać - spytał Sarveux drewnianym głosem.

- W szpitalu, zaraz po przebudzeniu z narkozy, mówiłeś coś niejasno - nic dziwnego, w tym stanie - o wielkim niebezpieczeństwie, jakie grozi Kanadzie, jeżeli źli ludzie odkryją słabe punkty systemu kontroli w James Bay. Nie wyjaśniłeś dokładnie, o co chodzi. Ale przekazałeś mi przez Danielle polecenie, żebym skonsultował się z niejakim Maxem Roubaix, tym specem od garoty, powieszonym sto lat temu.

Sarveux siedział w milczeniu, jego twarz była nieprzenikniona.

- Cholernie chytry rebus, jak na kogoś w stanie szoku - ciągnął Yillon. - Musiałem dość długo kombinować, zanim skojarzyłem sobie ulubione narzędzie tego zbira z wyłączaniem prądu. Dziękuję ci, Charles. Przypadkowo pokazałeś, jak można jednym pstryknięciem wyłącznika zmusić Amerykanów do posłuchu.

Sarveux milczał jeszcze przez chwilę, potem podniósł wzrok na Yillona i powiedział:

- To nie było przypadkowe. Yillon nie zrozumiał.

- Przepraszam, co...?

- To, co słyszała Danielle, to nie były rojenia nieprzytomnego. Wszystko mnie bolało, to prawda, ale umysł miałem jasny. I całkiem świadomie wysłałem cię po rady do Maxa Roubaix.

- Takie sztubackie dowcipy, co? - próbował zakpić Yillon, ale Sarveux to zignorował.

- Pewien stary, dobry przyjaciel ostrzegł mnie, że szykujesz zdradę: wobec mnie i wobec państwa. Nie chciałem w to wierzyć, Henri, ale musiałem sprawdzić. I dlatego przekazałem ci tę instrukcję. A ty połknąłeś haczyk: wyłączyłeś prąd i sterroryzowałeś Stany Zjednoczone. To ciężki błąd polityczny, psuć sobie stosunki z tak potężnym sąsiadem.

Yillon zacisnął wargi w brzydkim grymasie.

- A więc tobie się wydaje, że wiesz wszystko najlepiej? Otóż nie wiesz. Do diabła z tobą i do diabła ze Stanami, choćby były nie wiem jaką potęgą. Dopóki Quebec kontroluje Rzekę Świętego Wawrzyńca i system energetyczny James Bay - to MY

dyktujemy kierunek przemian w całej Kanadzie i w całych Stanach. Amerykanie skompromitowali się w oczach świata: są zdolni tylko do kazań, do prawienia morałów. Ta sławna potęga USA to już tylko mit. Niedługo inflacja do reszty zniszczy ich system gospodarczy. A jeśli spróbują zrobić coś przeciwko Quebecowi - wyłączymy im prąd i wykończymy ich.

- Odważnie powiedziane - zakpił Sarveux. - Ale przekonasz się, tak jak wielu innych już się przekonało, że Amerykanów nigdy nie można lekceważyć. Przyparciu do ściany mają dziwną zdolność regeneracji sił i potrafią skutecznie walczyć.

- Nie tym razem, wyprztykali się już ze wszystkiego.

- Jesteś głupcem, Yillon. Zdemaskuję cię i zniszczę - dla dobra Kanady.

- Nie uda ci się. Nie masz przeciwko mnie ani jednego solidnego dowodu. Te angielskie gnojki prędzej wywalą z urzędu ciebie niż mnie. A ja już postaram się o to, żebyś nie miał dobrej opinii w Quebecu. Zobaczysz, Charles, już niedługo będziesz człowiekiem bez ojczyzny. - Yillon wstał, wyciągnął z kieszeni zaklejoną kopertę i rzucił ją na kolana Sarveux. - To moja rezygnacja.

- Przyjmuję - rzekł Sarveux z ponurą stanowczością.

Ale Yillon nie potrafił rozstać się z nim bez jeszcze jednej zniewagi.

- Jesteś żalną kreaturą Charles. Jeszcze tego nie widzisz, ale nic ci już nie zostało, nic, nawet twoja kochana Danielle - powiedział, odwracając się w prog. Spodziewał się zobaczyć człowieka złamanego, pogrążonego w rozpacz, człowieka, który nagle zdał sobie sprawę z ruiny wszystkich swoich nadziei i planów.

Zamiast tego zobaczył człowieka spokojnego i pewnego siebie, na twarzy premiera błąkał się tajemniczy uśmiech.

Yillon pojechał prosto do biura w budynku parlamentu i zaczął porządkować swoje rzeczy. Nie miał ochoty czekać z tym do rana i celebrować pożegnania z całą gromadą współpracowników, których nie lubił i nie cenił. Rozległo się stukanie do drzwi, wszedł szef gabinetu ministra spraw wewnętrznych.

- Jest kilka depech do pana... Yillon przerwał mu ruchem ręki.

- Nie interesuje mnie to. Od godziny nie jestem już ministrem.

- Ale... jedna jest od pana Briana Shawa, to chyba pilne. Także generał Simms chciał się z panem porozumieć osobiście.

- Ach, tak... ten Traktat Północnoamerykański... Chcą pewnie dostać więcej ludzi i sprzętu.

- Ściśle mówiąc, to jest prośba, aby wyrzucić ten amerykański statek badawczy

z naszych wód wewnętrznych, pod eskortą.

- Niech pan wypisze odpowiedni rozkaz i przystawi moją sygnaturę. A potem niech pan to przekaże dyżurnemu oficerowi floty w rejonie Rimouski.

Szef gabinetu odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

- Chwileczkę - Yillon poczuł nagle przypływ uczuć patriotycznych. - Jeszcze jedno. Proszę oficjalnie powiadomić pana Shawa i generała Simmsa, że suwerenne państwo quebeckie nie życzy sobie na swoim terytorium żadnych brytyjskich działań wywiadowczych. A potem skontaktuje się pan z naszym niezastąpionym przyjacielem, panem Gly'em. Proszę mu powiedzieć, że dostanie solidną premię za zorganizowanie wesołego bankietu pożegnalnego dla naszych gości z NUMA. On będzie wiedział, o co chodzi.



## ROZDZIAŁ 53

Przy płynęli następnego dnia, późnym rankiem. Proporczyki powiewały na wietrze, a połowa załogi wyległa na pokład, by podziwiać niezwykłą sylwetkę „Ocean Yenturer”. Smugi piany spod dziobu rozchodziły się daleko długą, łagodną falą. Wreszcie maszyny zwolniły bieg: kanadyjski niszczyciel zatrzymał się równoległe do amerykańskiego statku badawczego, niespełna dwieście jardów na południe.

Pitt i Heidi stali na galerii mostku kapitańskiego, kiedy pojawił się radiooperator z meldunkiem.

- Od dowódcy niszczyciela H.M.C.S. „Huron”. Prosi o pozwolenie wejścia na pokład.

- Ładnie z jego strony, że przynajmniej o to pyta - mruknął Pitt.

- Jak sądzisz, o co mu chodzi? - spytała Heidi.

- Ja wiem, o co mu chodzi. - Pitt odwrócił się do radiooperatora. - Przekaż dowódcy „Hurona” moje pozdrowienia. Oczywiście, zapraszamy na pokład, ale tylko pod warunkiem, że zje z nami lunch.

- Ciekawa jestem, jak wygląda?

- Typowo kobiece pytanie - roześmiał się Pitt. - Prawdopodobnie jest przyzyczny i wypucowany, zimny jak ryba, pedantyczny i bardzo, bardzo urzędowy: mówi wyłącznie alfabetem Morse'a...

- Jesteś okropny. - Heidi uśmiechnęła się.

- Czekaj, to nie wszystko. Założę się, że wchodząc na pokład będzie gwizdał swój hymn narodowy.

Ale komandor-porucznik Raymond Weeks bynajmniej nie gwizdał. Był to pogodny mężczyzna o wesołych, szaroniebieskich oczach i okrągłej, stale uśmiechniętej twarzy. Niewysoki, z wyraźnie zarysowanym brzuszkiem, odznaczał się przyjemnym, wdzięcznym głosem. Odpowiednio ubrany mógł idealnie grać rolę Świętego Mikołaja w najlepszym domu towarowym. Przeskoczył lekko przez reling i bez wahania pomaszerował w stronę Pitta, który odsunął się nieco od reszty „komitetu powitalnego”.

- Panie Pitt, jestem Ray Weeks. To wielki zaszczyt dla mnie...

Pasjonowałem się pańską pracą przy podnoszeniu „Titanica”. Można nawet powiedzieć, że jestem pańskim fanem.

Zupełnie rozbrojony tymi pochlebstwami, Pitt zdołał jedynie wymamrotać: „Dzień dobry”. Heidi trąciła go łokciem w żebro.

- Przylizany i wypucowany, co?

- Przepraszam...? - spytał Weeks, który na szczęście tego nie dosłyszał.

- Och, nic takiego, to nasze prywatne porachunki - wyjaśniła przytomnie Heidi.

Tymczasem Pitt odzyskał rezon i zaczął przedstawiać swoją załogę - choć od razu zrozumiał, że jest to całkiem zbyteczna formalność. Weeks najwyraźniej był bardzo dobrze poinformowany. Wydawało się, że wie wszystko i o wszystkich. W pewnym momencie wspomniał o jakichś dawno zakończonych podmorskich pracach archeologicznych, o których nie pamiętał nawet Rudi Gunn, choć był ich kierownikiem. Szczególnie dużo uwagi jednak Weeks poświęcił osobie Heidi.

- Gdyby wszyscy moi oficerowie wyglądali tak jak pani, komandorze Milligan, pewnie nigdy w życiu nie zszedłbym na ląd.

- No, za taki komplement należy się nagroda - rzekł Pitt. - Może uda mi się namówić Heidi, żeby oprowadziła pana po statku.

- Och, byłbym zachwycony - powiedział Weeks, ale jego twarz nagle spoważniała. - Być może nie będziecie aż tak gościnni, kiedy dowiecie się, jaki jest główny cel mojej wizyty.

- Przybywa pan, aby oznajmić, że dalszą część pikniku odwołano z powodu deszczu... politycznego.

- Pańska metafora jest, niestety, całkiem trafna... - Weeks wzruszył ramionami w zakłopotaniu. - Bardzo mi przykro, ale takie mam rozkazy.

- Ile czasu może mi pan dać na zabranie ludzi i sprzętu?

- A ile pan potrzebuje?

- Dwadzieścia cztery godziny.

Weeks nie był durniem. Wystarczająco znał się na pracach podwodnych, by wiedzieć, że Pitt przesadza.

- Mogę panu dać osiem.

- Ależ samo wyciągnięcie kesonu wymaga dwunastu godzin.

- Widzę, że umie pan się targować jak handlarz z tureckiego bazaru. - Weeks znowu się uśmiechnął. - Dobrze, dziesięć.

- Zgoda, ale pod warunkiem, że odliczanie zacznie pan po obiedzie.

Weeks podniósł ręce w górę. - O Boże, ależ pan nieustępliwy. Niech będzie: dziesięć godzin, po obiedzie.

- No, skoro się dogadaliście - odezwała się Heidi - proszę ze mną, komandorze Weeks. Zaprezentuję panu naszą akcję.

Weeks, w towarzystwie dwóch swoich oficerów ruszył za Heidi. Poprowadziła ich na dół, na platformę roboczą zainstalowaną w wielkiej studni pośrodku pokładu. Pitt i Gunn obserwowali ich przez chwilę, potem przeszli do kabiny kontroli.

- Traktujesz tego typu jak Bardzo Ważną Osobę, a to po prostu stróż nocny, który wyrzuca nas kopniakiem z parku - rzekł Gunn poirytowanym głosem.

- Ale kupiłem za to dziesięć godzin - odparł Pitt spokojnie. -I mam zamiar tak samo kupować każdą dodatkową minutę, byle ci chłopcy, tam na dnie, mogli dłużej pracować.

Gunn zatrzymał się, zaintrygowany.

- Chcesz kontynuować prace?

- Do diabła, to chyba jasne?

- Zwariowałaś. Potrzebujemy jeszcze co najmniej czterdziestu ośmiu godzin, żeby przebić się do kabiny Shieldsa. Tyle nie wyzebrzesz, nawet na kolanach.

Pitt uśmiechnął się chytrze.

- Może i nie wyzebrzę. Ale będę próbował.

Chociaż szarpiąca go dłoń była silna i stanowcza, Moon nie od razu wyzwolił się z ciężkich okowów snu. Odkąd „Ocean Yenturer” zawisnął nad wrakiem „Empress of Ireland”, Moon nie opuszczał swego biura. Musiał zrezygnować z naturalnego rytmu snu i czuwania: zadowalał się krótkimi drzemkami w najzupełniej przypadkowych porach. Kiedy wreszcie otworzył oczy, zobaczył przed sobą ponurą twarz szefa łączności Białego Domu. Ziewnął szeroko i usiadł.

- Co tam nowego?

Intruz podał mu kartkę papieru.

- Czytaj i płacz.

Moon z trudem wczytywał się w tekst.

- Gdzie jest prezydent? - spytał wreszcie.

- W ogrodzie różanym. Przemawia do grupy latynoskich liderów związkowych.

Moon wciągnął buty i pobiegł korytarzem, zarzucając po drodze płaszcz na ramiona i poprawiając krawat. Prezydent właśnie kończył długą rundę pożegnalnych uścisków dłoni.

- Znowu złe wieści? - spytał, widząc zbliżającego się Moona. Ten skinął tylko głową i podał prezydentowi depezę.

- To najnowsza wiadomość od Pitta.

- Przeczytasz mi to po drodze, wracam do gabinetu.

- „Marynarka kanadyjska - czytał Moon - kazała mi opuścić St. Lawrence. Dostałem dziesięć godzin na spakowanie walizek. Pilnuje nas niszczyciel...”

- To wszystko?

- Nie, panie prezydencie, jest coś jeszcze.

- No to czytaj.

- „Zamierzam zignorować nakaz eksmisji. Kontynuujemy prace. Przydałby się rozkaz: ODEPRZEĆ PIRATÓW”. Podpisane: Pitt. Prezydent zatrzymał się w pół kroku.

- Co takiego?

Moon spojrzał na niego, zdziwiony.

- Ostatnie zdanie, przeczytaj jeszcze raz.

- „Przydałby się rozkaz: ODEPRZEĆ PIRATÓW”. Prezydent pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Dobry Boże, tego rozkazu nie wydawaliśmy już chyba ze sto lat.

- Jeśli ja się znam na ludziach, ten Pitt raczej wie, co mówi. Prezydent zamyślił się głęboko.

- A więc Brytyjczycy i Kanadyjczycy zatraskują drzwi...

- Obawiam się, że tak - potwierdził Moon. - Czy mam połączyć się z Pittem i zarządzić koniec operacji? Wszelkie dalsze działania mogą sprowokować interwencję siłową.

- Tańczymy na linie, ale taka staroświecka fantazja zasługuje na jakąś nagrodę.

Moon zdołał ukryć przerażenie.

- Chyba nie pójdzie pan na to?

- Pójdę - odparł prezydent. - Najwyższy czas, żebym i ja okazał trochę fantazji.

## ROZDZIAŁ 54

Stali przy burcie, przytuleni, jakby to była ich pierwsza randka, obserwowali wschodzący księżyc i statki płynące w dół rzeki. Nad nimi na maszcie płonęły dwie czerwone lampy, sygnalizujące statek zakotwiczony nad wrakiem, dawały dostatecznie dużo światła, by mogli widzieć swoje twarze.

- Nigdy nie myślałam, że do tego dojdzie - powiedziała cicho Heidi.

- Uruchomiłaś po prostu falę - odparł Pitt - a teraz ona zatacza coraz szersze kręgi.

- To niesamowite, że znalezienie jednego zmurszałego listu w starych archiwach mogło tak wpłynąć na losy tylu ludzi. Gdybym to wtedy zostawiła w spokoju...

Pitt objął ją ramieniem i lekko przycisnął do siebie.

- Nie ma co „gdybać”. To nic nie daje.

Spojrzenie Heidi pobiegło nad czarną wodą ku kanadyjskiemu niszczycielowi. Jego pokład i kanciasta nadbudówka były jasno oświetlone, słychać było jednostajny pomruk generatorów. Wilgotna smuga mgły nadciągnęła z drugiej strony rzeki. Heidi zadrżała z zimna.

- Co będzie, jeśli przekroczymy termin komandora Weeksa? Pitt podniósł zegarek do oczu: w słabym świetle czerwonych lamp z masztu ledwie widział tarczę.

- Dowiemy się za dwadzieścia minut.

- Strasznie mi wstyd... Pitt spojrzał na nią pytająco.

- Cóż to, godzina wyznań?

- Nie byłoby tego terminu, tego okrętu i całej sprawy, gdybym nie wygadała się przed Brianem Shawem.

- Powiedziałem ci przecież: nie warto się zastanawiać, co by było, gdyby.

- Ale w dodatku spałam z nim. To jeszcze pogarsza sprawę. Bo jeśli będą ofiary... to ja...

Brakowało jej słów. Zamilkła i mocniej przytuliła się do Pitta.

Stali tak kilka minut, zamyśleni. Do rzeczywistości przywróciło ich grzeczne pokasływanie, dochodzące gdzieś z tyłu. Pitt odwrócił się: nad nimi, na galerii mostku, stał Rudi Gunn.

- Przyjdź może tutaj, Dirk. Weeks staje się natarczywy. Mówi, że nie widzi żadnych przygotowań do odjazdu. Nie mam już pomysłów, jak się tłumaczyć.

- Powiedz mu, że na statku jest bunt i zaraza morowa.

- Nie ma czasu na żarty, Dirk. - Głos Gunna brzmiał poważnie. - Aha, mamy jakiś nowy sygnał na radarze. Duża jednostka płynie w naszym kierunku głównym torem wodnym. Obawiam się, że nasz poranny gość wezwał posiłki.

Weeks obserwował przez okna mostku nadpływającą mgłę. W ręku trzymał kubek z kawą: dawno już ostygła. Irytująca obojętność ludzi NUMA na jego ponaglenia zupełnie wytrąciła go ze zwykłej pogody ducha. Zwrócił się do pierwszego oficera, pochylonego nad ekranem radaru.

- Jak to interpretujesz?

- Duży statek, nic więcej nie potrafię powiedzieć. Pewnie tankowiec przybrzeżny albo kontenerowiec. Widział pan jego światła?

- Tylko na początku, kiedy wyszedł zza horyzontu. Teraz mgła zakryła wszystko.

- To prawdziwe przekleństwo tej rzeki - mruknął oficer. - Nigdy nie wiadomo, skąd i kiedy się pojawi.

Weeks spojrział przez lornetkę w kierunku „Ocean Yenturer”. Niewiele już było widać: mgła przyćmiewała światła pozycyjne i zamazywała kontury amerykańskiego statku badawczego. Za parę minut i już w ogóle nie będzie ich widać.

Pierwszy wyprostował się i przetaił zmęczone oczy.

- Wiem oczywiście, że to bez sensu, ale mam wrażenie, że obiekt jest na kursie kolizyjnym. Weeks chwycił mikrofon.

- Radiooperator! - mówi dowódca. Włącz mnie na częstotliwość alarmową!

- Obiekt zmniejsza prędkość - zameldował pierwszy oficer. W głośniku na mostku pojawił się szum fali nośnej nadajnika. Weeks podjął próbę kontaktu.

- Do statku płynącego w górę rzeki, pozycja jeden-zero-siedem względem Pointe-au-Pere. Tu H.M.C.S. „Huron”. Zgłoś się, odbiór.

Jedyną odpowiedzią był cichy szum głośnika. Weeks nadał swój apel jeszcze dwa razy, ale odzewu wciąż nie było.

- Już tylko trzy węzły, ale ciągle się zbliża. Odległość tysiąc dwieście jardów.

Weeks rozkazał wachtowemu dać sygnał dźwiękowy oznaczający okręt na kotwicy. Syrena „Hurona” zadudniła cztery razy: krótko, dwa razy długo i znów krótko. W odpowiedzi mgłę przeszył długi, przeraźliwy gwizd.

Weeks stanął w otwartych drzwiach, wpatrując się w noc, ale zbliżający się intruz pozostawał wciąż niewidoczny.

- On chyba chce wejść między nas i „Ocean Yenturer” - meldował znad ekranu radaru pierwszy oficer.

- Ale dlaczego, do cholery, nie odpowiada? I dlaczego ci durnie nie trzymają dystansu?

- Może by ich trochę postraszyć?

Złośliwy błysk pojawił się w oczach Weeksa.

- Tak, to mogłoby poskutkować. - Jeszcze raz nacisnął guzik nadawania przy mikrofonie. - Tutaj niszczyciel H.M.C.S. „Huron”. Wzywam statek zbliżający się do mnie od strony rufy. Jeśli natychmiast nie podasz swoich danych, jestem gotów otworzyć ogień.

Minęło jakieś pięć sekund. Głośnik na mostku zaskrzeczał, potem wydobył się z niego nosowy, zaciągający po teksasku głos.

- Tu krążownik U.S.S. „Phoenix”. Jak jesteś gotów, kolego - to wal!

## ROZDZIAŁ 55

Miejscowi farmerzy błogosławili zapewne ulewny deszcz, który spadł na dolinę Hudsonu, ale dla załogi „De Soto” była to kolejna złośliwość losu. Niczego dotychczas nie znaleźli - z wyjątkiem pogiętych, zardzewiałych szczątków mostu Deauville, rozrzuconych na dnie rzeki jak kości wielkiego dinozaura.

Mijała godzina za godziną i dzień za dniem, załoga ślęczała przy instrumentach, sternik już po raz piąty czy szósty prowadził łódź przez te same miejsca, w nadziei, że wreszcie zauważą coś, co przedtem przeoczyli. Sondy ciągnięte na linach za rufą trzykrotnie więzły w jakichś podwodnych przeszkodach: trzeba było wysłać płetwonurków, aby je uwolnili, a to zabierało następne cenne godziny.

Al Giordino, analizujący mapy dna, na których naniesione były wyniki najnowszych pomiarów, miał coraz bardziej ponurą minę. Wreszcie odezwał się do Glena Chase'a.

- Jeżeli nawet nie wiemy, gdzie jest ten cholerny pociąg, to na pewno wiemy, gdzie go nie ma. Może nurkowie będą mieli więcej szczęścia. - Spojrzał na duży, mosiężny chronograf przy kole sterowym. - Już niedługo powinni wrócić na powierzchnię.

Chase bez pośpiechu przerzucał raport, przysłany przez Heidi Milligan z Kanady. Była to historia poszukiwań wraku „Manhattan Limited”. Zatrzymał się na dwu ostatnich stronach: przestudiował je uważnie.

- Może wydobyli ten pociąg po wielu latach, kiedy nikogo to już nie obchodziło, więc i w prasie nie było żadnych wzmianek?

- Nie sądzę - odparł Giordino. - Ta katastrofa była zbyt wielkim wydarzeniem, zwłaszcza dla ludzi z tych stron, żeby nie zainteresowali się akcją wydobywczą, nawet po wielu latach, i żeby nikt nie napisał o tym w lokalnej prasie.

- A co sądzisz o tych rewelacjach różnych prywatnych poszukiwaczy: że widzieli pociąg na dnie?

- Żadna nie została potwierdzona. Ktoś tam przysięgał nawet, że i był w kabinie parowozu i uruchomił dzwon. Inny twierdził, że przepłynął przez pulmana pełnego szkieletów. Przy każdej takiej nie wyjaśnionej sprawie znajdzie się od razu dziesięciu „naocznych” świadków, którzy wszystko dokładnie widzieli i znają odpowiedzi na wszystkie pytania - tylko każdy mówi co innego.

W drzwiach budki sterowej pojawiła się nagle postać w kostiumie płetwonurka, ociekająca wodą. Nicholas Riley, szef zespołu podwodnego, osunął się na podłogę,



oparty mocno plecami o ścianę, oddychał ciężko.

- Ten cholerny prąd, trzy węzły... to morderstwo... - odezwał się wreszcie.

- Znalazłeś coś? - spytał niecierpliwie Giordino.

- To prawdziwa składnica złomu. Kawalki mostu rozrzucone po całym dnie.

Aha, niektóre elementy są poszarpane na krawędziach jak od wybuchu.

- To jest tutaj wyjaśnione. - Chase podniósł teczkę z raportem. - W tysiąc dziewięćset siedemnastym saperzy wysadzili w powietrze wiszące resztki konstrukcji, bo zagrażały bezpieczeństwu żeglugi.

- Trafiłeś na jakiś ślad pociągu? - nalegał Giordino.

- Nie. - Riley hałaśliwie wysiąknął wodę z nosa. - Ale na dnie jest piasek, bardzo miękki i grząski. To i owo mogło w nim zatonać.

- Jak głęboko jest skała?

- Według naszych pomiarów laserowych - odparł Chase - warstwa piasku ma trzydzieści siedem stóp.

- Jeśli pociąg osunął się na samo dno, to nad nim może być jeszcze dwadzieścia stóp piasku - skomentował Riley.

- Niech mnie diabli! - wykrzyknął nagle Giordino. - Jeśli geniusz mierzyć różami, a głupotę skunksami, to śmierdę jak dziesięć skunksów.

- No, może tylko jak siedem - pocieszył go Chase. - Ale skąd ta samokrytyka?

- Bo jak mogłem być taki ślepy, żeby od razu na to nie wpaść. Pomyślcie: dlaczego magnetometr protonowy nie dawał dokładnych odczytów? I dlaczego sonar nie pokazuje niczego, co przypominałoby pociąg?

- Możesz nas oświecić? - spytał Riley.

- Wszyscy zakładaliśmy, że nadwerężony most załamał się pod ciężarem pociągu i wszystko razem - wagony i dźwigary - spadło jednocześnie do rzeki. Ale jeśli najpierw spadł pociąg, przez dziurę w środkowym przęśle, a reszta mostu załamała się później i spadła na wagony, i przykryła je?..

Riley popatrzył na Chase'a.

- On może mieć rację. Ciężar tego całego żelastwa mógł rzeczywiście wepchnąć pociąg głęboko w piasek.

- To by także tłumaczyło, dlaczego nasze detektory zawodzą - zgodził się Chase.

- Stalowe szczątki mostu ekranują wszystko, co znajduje się głębiej.

Giordino wbił wzrok w Rileya.

- Jest jakaś szansa wkopania się w dno?

- Nie ma mowy. To są prawie ruchome piaski. A zresztą, przy tak silnym prądzie moi nurkowie niewiele mogą zrobić.

- Rzeczywiście - przyznał Giordino. - A więc będziemy potrzebowali barki z dźwigiem, żeby przynajmniej odciągnąć to żelastwo z wierzchu. Inaczej nie dobierzemy się do pociągu.

Riley podniósł się z wysiłkiem: wciąż jeszcze nie doszedł do siebie.

- Dobrze. Każę moim chłopcom zrobić trochę zdjęć pod wodą, żebyśmy od razu wiedzieli, gdzie ustawić ten dźwig.

Giordino ściągnął z głowy czapkę i otarł rękawem czoło.

- Śmieszne, wszystko wyszło na odwrót. Myślałem, że będziemy tu mieli łatwą robotę, a tymczasem okazuje się, że Pitt robi swoją część szybciej.

- Skąd możesz wiedzieć, jakie oni mają problemy tam, na St. Lawrence? - powiedział Chase. - Mimo wszystko nie zamieniłbym się z nimi.

- Ee, tam. Jeśli tylko Pitt działał zgodnie z planem, to pewnie już opala się na pokładzie w towarzystwie jakiejś ślicznotki i popija koktajle.

## ROZDZIAŁ 56

Dziwna wirująca mgła przesłaniała oczy Pitta grubą różową kurtyną. Rozpaczliwie próbował przebić się przez nią - raz, drugi i trzeci - wysuwając do przodu ręce jak ślepiec. Szok, jakiego przed chwilą doznał, był jak grom z jasnego nieba: nie było czasu, by cokolwiek przewidzieć, przemyśleć, zrozumieć. Odruchowo otarł z oczu czerwoną substancję: przy okazji wyczuł na czole rozcięcie, długie na cztery cale, na szczęście kość była chyba cała. Z trudem wstał i rozejrzał się. Widok był niewiarygodny: rozrzucone w nieładzie nieruchome ciała. Rudi Gunn obrócił głowę w jego stronę: blada jak papier twarz pozbawiona była wszelkiej ekspresji, tylko oczy wyrażały bezgraniczne zdumienie. Usiłował wstać, ale pozostał na klęczkach, chwiając się bezradnie.

- O Boże! O Boże! - powtarzał. - Co to było?

- Nie wiem - odparł Pitt zdławionym głosem, który jemu samemu wydawał się obcy. - Nie wiem.

Na brzegu Shaw stał jak sparaliżowany, zagryzając wargi w niemej wściekłości. Miał straszliwe poczucie winy.

Parę godzin temu zignorował polecenie Yillona, by opuścić Kanadę, i założył obóz na wschodnim cyplu Pointe-au-Pere, dwie i pół mili od miejsca akcji wydobywczej. Miał ze sobą lunetę S-66, jaką posługuje się armia brytyjska, mógł przez nią czytać nagłówki gazet z odległości pięciu mil. Wytrwale i systematycznie obserwował jednostki zakotwiczone nad wrakiem „Empress of Ireland”.

Między dwoma okrętami wojennymi, z regularnością rejsowych promów krążyły małe szalupy. Shaw bawił się myślami o nerwowych negocjacjach, jakie toczyli wciąż ze sobą amerykańscy i kanadyjscy oficerowie. Natomiast „Ocean Yenturer” wyglądał jak wymarły. Nikt nie pojawiał się na pokładzie. Jediną oznaką życia był pracujący dźwig: właśnie wyciągnął z dna wielki kawał oblepionej, szlamem blachy i ostrożnie przenosił ją na pokład.

Shaw odsunął na chwilę twarz od lunety, by dać odpocząć oczom. Zjadł dwa tandetne batoniki: to musiało mu wystarczyć za śniadanie. Miał już wrócić do swoich żmudnych obserwacji, kiedy usłyszał ostry dźwięk silnika motorówki. Od zachodu, z biegiem rzeki, zbliżał się z wielką szybkością - dziewięćdziesięciu, stu węzłów - duży ślizgacz. Kadłub podskakiwał na krótkiej fali, potężny silnik pozostawiał za rufą wysoki na dziesięć stóp grzebień piany. Powodowany instynktowną ciekawością, Shaw skierował na niego lunetę.

Kadłub pomalowany był na złoto, przez całą długość biegła ciemnoczerwona linia, rozszczępiona na rufie, co nadawało łodzi wygląd strzały. Shaw wyostrzył obraz i skupił się na sylwetce kierowcy. Twarz, którą widział za przednią szybą, była osłonięta goglami, ale Shaw natychmiast rozpoznał rozkwaszony nos, kontrastujący z twardą, ostro zarysowaną szczęką. To był Foss Gly.

Anglik patrzył jak zaczarowany na ślizgacz, który nie zmniejszając obrotów zatoczył ciasny hak wokół trzech zakotwiczonych okrętów. Chwilami cały kadłub łodzi unosił się nad powierzchnią, po czym spadał na kolejną falę z dudnieniem, które wyraźnie dochodziło aż do odległego brzegu. Nie było łatwo utrzymać w polu widzenia tańczącą na falach łódź, dopiero kiedy zawróciła, Shaw mógł lepiej widzieć, co robi kierowca.

Gly prowadził ślizgacz prawą ręką. W lewej trzymał niewielkie pudełko, z którego wystawało coś błyszczącego. Dopiero po chwili Shaw zorientował się, że to antena, i zrozumiał zamiary Gly'a.

- Nie! Do diabła, nie! - krzyknął, jakby mógł w ten sposób zapobiec straszniemu faktowi. Ale słyszał go tylko wiatr.

Nagle pogodną atmosferę poranka rozdarł ogłuszający grzmot, a rzeka wokół „Ocean Yenturer” zmieniła się w ogromny gejzer. Shaw nie miał żadnych wątpliwości: eksplodowały materiały wybuchowe zgromadzone na dziobie „Empress of Ireland”. Statek badawczy unosił się na grzbiecie wielkiej podwodnej fali, zawisł na chwilę w powietrzu, wreszcie runął na prawą burtę i zniknął między gigantycznymi kolumnami wody.

Nawet na odległym brzegu efekt wybuchu był oszałamiający. Shaw chwycił mocno statyw lunety i patrzył na niezwykle widowisko, oniemiały z wrażenia. Wyrzucona w powietrze masa wody rozsypała się w migotliwą chmurę, która przez dłuższą chwilę unosiła się nad rzeką, jakby przecząc prawom grawitacji, zanim opadła ulewnym deszczem na pokłady „Hurona” i „Phoenixa”, na leżących na nich pokotem ludzi. Bo nawet ciężkimi okrętami wojennymi wybuch wstrząsnął tak gwałtownie, że nikt nie zdołał utrzymać się na nogach.

Kiedy wreszcie Shaw przypomniał sobie o sprawcy tego kataklizmu, ślizgacz Gly'a był już daleko: mknął z powrotem w kierunku Quebecu. Anglik, z kamienną twarzą, ale z wewnętrznym uczuciem bezsilnego gniewu, mógł jedynie przyglądać się, jak Foss Gly jeszcze raz mu się wymyka.

Z powrotem skierował lunetę w stronę „Ocean Yenturer”. Statek utrzymywał

się na powierzchni, ale wyglądał, jakby miał lada chwila zatonać. Rufa głęboko pogrążyła się w wodzie, kadłub był niebezpiecznie przechylony na prawą burtę. Nagle wieża dźwigu z przerażającą powolnością przełamała się i runęła za burtę, pozostawiając na pokładzie chaos rozbitych konstrukcji i porwanych lin. Bóg jeden wie, pomyślał, ilu ludzi przy tym zginęło lub odniosło rany.

Nie mógł na to dłużej patrzeć. Zdjął lunetę ze statywu i ciężko poczłapał do samochodu. W uszach dudnił mu wciąż przeraźliwy huk eksplozji.

## ROZDZIAŁ 57

Z jakichś niewytłumaczalnych powodów „Ocean Yenturer” nadal nie chciał się poddać. Być może sprawił to mocny, podwójny kadłub, specjalnie zaprojektowany do przebijania się przez kry lodowe na morzach podbiegunowych. Fala uderzeniowa pogmiotła wiele zewnętrznych blach, rozdarła spawy, zgięła kil. Szkody były więc rozległej i poważne, ale statek wciąż utrzymywał się na powierzchni.

Trzymając się kurczowo framugi drzwi, Pitt patrzył w osłupieniu jak wieża dźwigu łamie się i spada za burtę. Rozluźnił chwyt i natychmiast stoczył się po podłodze aż pod konsolę Hokera. Dopiero teraz zrozumiał: przyczynę upadku dźwigu: pokład był pochylony pod kątem trzydziestu stopni. W pierwszym, panicznym odruchu pomyślał, że siła wybuchu, zniszczyła poszycie prawej burty. W ślad za tym przyszła przerażająca refleksja: jeśli tak, to co musiało się stać z nurkami pracującymi na dole? Otrząsnął się jednak z oszołomienia i bólu i zepchnął w podświadomość czarne myśli. Teraz trzeba było działać - i to szybko.

Chwycił słuchawkę telefonu i zadzwonił do maszynowni. Prawie, minutę czekał, zanim po drugiej stronie odezwał się dziwnie zdeformowany, bezbarwny głos głównego mechanika.

- Maszynownia, słucham...

- To ty, Metz?

- Głośniej, nic nie słyszę!

Pitt zdał sobie sprawę, że odgłos eksplozji mógł ogłuszyć ludzi na dolnych pokładach, a zwłaszcza w położonej blisko dna maszynowni. Krzyknął do mikrofonu najgłośniej jak potrafił.

- Metz! Mówi Pitt!

- No, teraz lepiej. - Głos Metza nadal był jednostajny i mechaniczny. - Co to za cholera?

- Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to eksplozja na wraku.

- O rany, a już myślałem, że Kanadyjcy wpakowali nam torpedę.

- Jakie masz szkody?

- Wygląda tak, jakby ktoś odkręcił w ścianach sto kranów. Sikaj jak diabli. Wątpię, czy nasze pompy dadzą sobie z tym radę. Więcej na razie nie mogę powiedzieć, muszę obejrzeć kadłub.

- A ludzie? Są ranni?

- Lataliśmy tu jak pijani akrobaci. Jackson ma rozbite kolano, a Gilmore dziurę

w czasce. Poza tym paru ludziom chyba popękały bębniaki w uszach. No i jest cała masa drobnych potłuczeń.

- Łącz się ze mną co pięć minut - polecił Pitt. - I rób, co chcesz, ale generatory muszą się kręcić.

- Tego nie trzeba mi przypominać. Jak generatory wysiądą, to i my zdechniemy.

- Widzę, że kojarzysz normalnie - ucieszył się Pitt.

Zawiesił słuchawkę i z niepokojem spojrzął na Heidi. Leżała nieruchomo pod stolikiem z mapami. Klęczał już przy niej Gunn, podtrzymując jej głowę i próbując doprowadzić do przytomności. Ocknęła się wreszcie i długo patrzyła nieobecnym spojrzeniem na swoją lewą nogę, zgiętą pod nienaturalnym kątem.

- Dziwne - szepnęła w końcu. - To ani trochę nie boli.

Wcale nie takie dziwne, pomyślał Pitt. Na pewno była jeszcze w szoku: świadczyła o tym papierowo blada twarz. Ale szok minie i wtedy zacznie się ból. Dotknął jej dłoni.

- Nie ruszaj się, dopóki nie sprowadzimy tu noszy. Chciał powiedzieć coś więcej, by ją pocieszyć, ale nie pozwolił mu na to nagły, pełen rozpaczy okrzyk:

- Konsoleta nie działa.

Hoker, który dopiero teraz wrócił do przytomności, podniósł przewrócone krzesło, usiadł na nim i z rozpaczą wpatrywał się w martwe monitory.

- No to zrób coś, żeby działała! - huknął na niego Pitt. - Musimy wiedzieć, co się stało z naszymi na dole.

Włożył na głowę słuchawki interkomu i łączył się kolejno ze wszystkimi pomieszczeniami statku. Wszędzie członkowie załogi, badacze i technicy zdołali się już jakoś pozbierać po przeżytych szoku i gorączkowo próbowali ratować statek. Poważniej rannych przenoszono do okrętowego szpitala, ale nie był on w stanie przyjąć tylu pacjentów naraz. Szybko więc zabrakło miejsc, rannych układano na podłodze w sąsiednim korytarzu.

Wszystkich, którzy nie mieli w tym momencie specjalnych zadań, Pitt skierował do uprzątnięcia resztek konstrukcji dźwigu lub do łatania szczelin w kadłubie. Na najniższym pokładzie woda sięgała już do pasa. Pospiesznie kompletowano zespół pletwonurków do prac na dnie. Do Pitta docierały wciąż nowe meldunki. Nagle odezwał się milczący dotąd radiowiec.

- Zgłosił się dowódca „Phoenixa”. Pyta, czy nie potrzebujemy pomocy.

- Cholera, jasne, że potrzebujemy! - wykrzyknął Pitt. - Niech ruszy tę swoją krypę i podejdzie do nas. Potrzebujemy wszystkich jego pomp i całej ekipy remontowej, jaką ma. Przerwał i czekał na odpowiedź, przykładając sobie wilgotny ręcznik do czoła.

- Jest odpowiedź: „Trzymajcie fort. Podejdę do was z prawej” - rzekł radiooperator głosem, w którym wyczuwało się podniecenie. Po chwili znów się odezwał:

- Komandor Weeks z „Hurona” pyta, czy opuszczamy statek?

- Chciałby - mruknął Pitt. - To by rozwiązało wszystkie jego problemy. Powiedz mu, że opuścimy statek, jak już będziemy na dnie.: I powtórz prośbę o pompy i ludzi, taką samą jak do „Phoenixa”.

- Pitt? - W słuchawkach odezwał się głos Metza.

- Tak, słucham.

- Wygląda na to, że całe uderzenie poszło na rufę. Dziób i śródkręcie są szczelne. Ale dalej są setki przecieków. Obawiam się, że już po nas.

- Jak długo możesz utrzymać nas na powierzchni?

- Jeśli woda będzie się podnosić w tym tempie co teraz, to żal dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut dojdzie do generatorów i zatrzyma je. A jak staną pompy, to nie dają już więcej niż dziesięć minut.

- Wezwałem już pomoc. Zaraz będą tu ekipy naprawcze z okrętów z pompami. Otwórz dla nich boczne luki ładunkowe. :

- Niech się pospieszą, bo jeszcze trochę, a będzie po balu. Pitt zauważył niecierpliwie gesty radiowca i wspiał się do niego po i pochyłej podłodze.

- Odzyskałem kontakt z „Sappho I” - powiedział tamten, podając Pittowi słuchawki. Zabrzmiał w nich głos Klingera.

- Tu „Sappho I” albo raczej to, co z nas zostało.

- A co zostało?

- Leżymy jakieś sto pięćdziesiąt metrów na południowy wschód od wraku, z dziobem wbitym w muł. Kadłub wytrzymał, chociaż rąbnęło, jakbyśmy siedzieli w środku wielkiego dzwonu. Ale jeden z iluminatorów jest pęknięty.

- Aparatura tlenowa działa dobrze?

- Bez zarzutu. Powietrza starczy jeszcze na co najmniej piętnaście godzin. Tyle że dużo wcześniej się potopimy.

- Jesteście w stanie wyjść z batyskafu i wrócić na górę o własnych siłach?



- Ja tak - odparł Klinger. - Straciłem w tym łomocie tylko jeden ząb. Ale Marv Powers jest w dużo gorszej formie. Ma złamane obie ręce i paskudną ranę na głowie. Nie ma szans dotrzeć na powierzchnię.

Pitt zamknął na moment oczy. Nie bawiła go rola Boga, decydującego o życiu lub śmierci ludzi - bo taki mógł być sens decyzji, kogo ratować najpierw. Minęła dłuższa chwila, zanim znowu się odezwał.

- Klinger? Musicie tam jeszcze trochę wytrzymać. Wyślemy wam pomoc, jak tylko będziemy mogli. Na razie łącz się ze mną co dziesięć minut.

Poszedł na mostek, aby lepiej się rozejrzeć. Po drodze zauważył czterech płetwonurków, schodzących właśnie za burtę. Kiedy wrócił do kabiny kontroli, już od progu usłyszał radosny okrzyk.

- Mam obraz! - wołał Hoker, pokazując jeden z monitorów. Na ekranie było widać wielką czarną dziurę w górnym pokładzie. Była znacznie większa niż przedtem: prawdopodobnie załamały się aluminiowe podpory, podtrzymujące krawędzie wyciętego otworu. Nigdzie nie było widać płetwonurków ani pękających skafandrów JIM-ów.

Wielki czarny krater, otoczony żelaznym rumowiskiem, kojarzył się Pittowi już tylko z jednym: z otwartym grobem.

- Niechaj Bóg ma ich w opiece - szepnął Hooker.

## ROZDZIAŁ 58

Siedemdziesiąt mil dalej kapitan Toshio Yubari, masywny czterdziestolatek o twarzy wysmaganej wiatrem, siedział na swoim stołku na mostku, uważnie obserwując ruch żaglówek na kursie. Była to pora odpływu: mocno obciążony kontenerowiec „Honjo Maru”, długości sześciuset sześćdziesięciu pięciu stóp, włókł się z bezpieczną prędkością piętnastu węzłów. Yubari postanowił, że dopiero na pełnym morzu, po minięciu Cape Breton Island przyspieszy do dwudziestu. Jego statek przywiózł z Kobe do Kanady czterysta elektrycznych minisa-mochodów, a wracał do Japonii z ładunkiem papieru drukarskiego z wielkich papierni w Quebecu. Ogromne bele upchnięte w kontenerach ważyły oczywiście dużo więcej niż samochody, toteż kadłub zanurzył się głęboko: woda sięgała trzy cale powyżej linii wodnej.

Pierwszy oficer, Shigaharu Sakai, wszedł na mostek i zbliżył się do kapitana. Z trudem stłumił ziewnięcie, przetarł dłonią zaczerwienione oczy.

- Wesoła noc w porcie, co? - spytał z uśmiechem Yubari. Sakai mruknął coś niewyraźnie i zmienił temat.

- Dobrze, że to nie niedziela - powiedział, wskazując na długi sznur żaglówek przecinających główny tor wodny zaledwie milę przed dziobem „Honjo Maru”.

- O, tak! Podobno w czasie weekendu jest tu tak gęsto od łódek, że można przejść po pokładach z jednego brzegu na drugi.

- Może przejmę mostek? Mógłby pan coś zjeść, już południe.

- Dziękuję - odparł Yubari, nie spuszczać wzroku z toru wodnego - ale wolę tu zostać, dopóki nie wyjdziemy na zatokę. Może jednak powie pan stewardowi, żeby mi przyniósł talerz makaronu z kaczką, i piwo.

Sakai ruszył, aby spełnić życzenie kapitana, ale nagle zatrzymał się i popatrzył z powrotem w dół rzeki.

- To chyba jakiś wielki odważniak albo wielki głupek. Yubari, który też już zauważył zbliżający się ślizgacz, obserwowali go z wielkim zainteresowaniem.

- Robi chyba dziewięćdziesiąt węzłów...

- Jak trafi w którąś z tych łódek, to tylko drzazgi zostaną. Yubari wstał.

- Ależ ten dureń leci prosto na nich. Ślizgacz zaatakował flotyllę żaglówek jak kojot rzucający się na stado kurcząt. Sternicy rozpaczliwie próbowali uciec z jego kursu, niektórzy jednak tracili przy tym wiatr, żagle wpadały w łopot, łódki zatrzymywały się bezradnie. W końcu nastąpiło to, co musiało nastąpić. Ślizgacz otarł się o dziób jednej z żaglówek, urwał jej bukszpryt, sam tracąc przy tym szybę

osłaniającą kierowcę. Pomknął dalej, zostawiając za sobą rozproszoną flotyllę: łódki podskakiwały bezwładnie na wysokiej fali, jaką wzbudził.

Yubari i Sakai patrzyli jak zaczarowani na szalony lot ślizgacza. Zatoczył długi łuk, po czym ustalił swój kurs - prosto na „Honjo, Mani”. Pędząca strzała była już tak blisko, że mogli gołym okiem widzieć postać skuloną za kierownicą. I dopiero teraz przyszło im do głowy, że bukszpryt żaglówki, który skasował szybę, musiał też co najmniej zranić kierowcę.

Za późno już było na jakiegokolwiek manewry, albo na ostrzegawcze okrzyki przez megafon. Yubari i Sakai mogli już tylko stać i patrzeć, jak przechodnie obserwujący wypadek na skrzyżowaniu ulic: skamieniali, niezdolni niczemu zapobiec. Instynktownie pochylili się obaj, kiedy ślizgacz trzasnął w lewą burtę „Honjo Mam” i eksplodował jaskrawym benzynowym płomieniem. Silnik, wyrwany ze swoich zamocowań, wyleciał wysoko w górę i koziolkując w powietrzu spadł na pokład kontenerowca. Płonące szczątki rozsypały się po pokładzie jak odłamki granatu. Pękło kilka szyb na mostku. Jeszcze przez parę sekund z nieba spadały na statek i na i wodę wokół niego drobne fragmenty roztrzaskanego kadłuba ślizgacza.

Jakimś cudem nikt z załogi nie odniósł obrażeń. Yubari wydał, rozkaz: „maszyny stop”. Spuszczono szalupę, by obejrzeć lewą burtę w miejscu uderzenia: pojawiła się tam podejrzanie duża plama oleju. Załoga szalupy nie stwierdziła jednak poważniejszych uszkodzeń statku. Nie znalazła też, wśród szczątków pływających po powierzchni, żadnych śladów kierowcy ślizgacza - oprócz nadpalonej skórzanej kurtki i potłuczonych plastikowych gogli.

## ROZDZIAŁ 59

Po południu w nastrojach załogi „Ocean Yenturer” zaczęła się pojawiać nuta optymizmu. Nieustający strumień ludzi, sprzętu i materiałów naprawczych płynął z pokładów „Phoenixa” i „Hurona”. Ich pompy szybko powstrzymały przybór wody na dolnych pokładach. A kiedy odcięto i wyrzucono za burtę ciężkie elementy podstawy dźwigu, przechył zmniejszył się do dziewiętnastu stopni.

Heidi, wraz z innymi ciężiej rannymi, została przeniesiona do większego, bardziej pojemnego lazaretu „Phoenixa”. Pitt zauważył ją, kiedy wędrowała na noszach przez pokład.

- Nie bardzo ci się udał ten rejs - powiedział, odgarniając z jej oczu kosmyki płowych włosów.

- Ani trochę nie żałuję, że popłynęłam - odparła, uśmiechając się dzielnie.

Pochylił się i pocałował ją.

- Odwiedzę cię, jak tylko będę miał wolną chwilę. Wrócił do kabiny kontroli. W progu zderzył się z zaferowanym Rudim Gunnem.

- Znaleziono jednego JIMa. Pływał sobie po wodzie w dole rzeki. Szalupa z „Hurona” zaraz go tu przyholuje.

- Są jakieś wiadomości od płetwonurków?

- Szef zespołu ratowniczego, Art Dunning, zgłosił się właśnie przed chwilą. Jeszcze nie znaleźli kessonu, ale dokładnie obejrzelik wrak. Twierdzą, że cały efekt wybuchu skoncentrował się na dziobie „Empress”: przednia część statku rozleciała się w proch. Ciekawe, skąd ten ładunek tam się wziął?

- Umieścili go pewnie przed naszym przybyciem - próbował się domyślić Pitt.

- Albo później...

- To niemożliwe, żeby taki wielki ładunek przeszmyglowali przez nasz pierścień ochronny.

- Ta małpa, Shaw, dużo potrafi.

- No dobrze, to się mogło udać raz. Ale, sądząc z siły wybuchu i tam musiało być wiele ciężkich pojemników. Musieli poświęcić sporo czasu, żeby to ściągnąć pod wodę. A zgromadzili wszystko na dziobie, bo jeszcze nie wiedzieli, gdzie porozkładać ładunki, żeby najskuteczniej zniszczyć wrak.

- Wrak... i kopię traktatu - podsumował Gunn.

- Oczywiście. Ale pojawiliśmy się na horyzoncie wcześniej, niż się spodziewali. Dlatego ukradli naszą sondę: bali się, że wykryje ładunki zmagazynowane na dziobie.

- Sądysz, że ten Shaw zdecydowałby się na masowy mord dla osiągnięcia celu?

- No właśnie, ja też mam co do tego wątpliwości. Nie wyglądał mi na rzeźnika.

Pitt odwrócił głowę, bo w drzwiach pojawił się Metz, główny mechanik. Wyglądał jak człowiek, który za chwilę straci przytomność. Wycieńczony, z zapadniętymi oczami, przemoczony od stóp do głowy, podszedł do nich słaniając się na nogach. Cuchnął olejem napędowym.

- No i co? - Uśmiechnął się z triumfem. - Wygląda na to, że staruszka nie tylko nie zatone, ale jeszcze dowiezie nas do domu. Nic lepszego nie mógł Pitt w tym momencie usłyszeć.

- Zatrzymaliście wodę? Metz skinął głową.

- Mamy osiem cali mniej niż godzinę temu. Jak tylko będziesz mógł zwolnić paru nurków, zakleimy większe dziury od zewnątrz.

- „Huron”... - przypomniał sobie Pitt i zasepił się. - Czy, możemy już zrezygnować z potop „Hurona”?

- Myślę, że tak - odparł Metz. - Nasze własne, razem z tymi z „Phoenixa”, powinny wystarczyć.

Pitt nie lubił tracić czasu. Nieoczekiwanie, pomijając zwykły rytuał radiowców, ryknął do mikrofonu:

- Klinger? Przez dłuższą chwilę nie było odpowiedzi, a kiedy wreszcie przyszła, głos Klingera był dziwnie rozwleczone.

- Cześć, tu kapitan Nemo na pokładzie „Nautilusa”.

- Co takiego? Kto?

- No, ten facet z Dwudziestu miliardów mil podmorskiej podróży. Przecież wiesz, to był fajny film. Widziałem go, jak byłem jeszcze dzieciakiem, w Seattle. Najlepsza była scena z tą ogromną dziesięciornicą.

Pittowi coś tu się nie zgadzało. Po chwili wiedział już, co.

- Klinger! - krzyknął ponownie. Wszystkie głowy obróciły się w jego stronę. - Masz za dużo dwutlenku węgla w powietrzu! Zrozumiałeś? Sprawdź natychmiast regulację składu.

- Co ty mówisz, stary? - W głosie Klingera nadal pobrzmiwała pijacka nuta. - Zegar pokazuje jak trzeba, dziesięć procent CO<sub>2</sub>.

- Do cholery, Klinger, słuchaj. Zredukuj natychmiast do pół procenta. Masz objawy anoksji.

- W porządku, przykręcam śrubę. Ale jak na to wpadłeś? Pitt odetchnął z ulgą.

- Nieważne. Teraz słuchaj: wytrzymaj tam jeszcze trochę. Włącz sygnał awaryjny, żeby „Huron” mógł cię znaleźć, wyciągnie was dźwigiem na górę.

- Jak szanowny pan każe - odpowiedział Klinger znów tonem rozbawionego uczestnika bankietu.

- Co z tym waszym przeciekiem?

- Za dwie, trzy godziny woda zaleje baterie.

- Dobra, zdążymy. Ale koniecznie dodaj sobie tlenu, słyszałeś? Dodaj tlenu - powtórzył Pitt na wszelki wypadek. - Zobaczymy się przy obiedzie.

Obrócił się w stronę Gunna, ale tamten uprzedził jego intencje: był już w połowie drogi do drzwi.

- Idę na pokład „Hurona”, osobiście pokieruję wydobywaniem „Sappho”.

Wyszedł. Pitt spojrzął za okno: w samą porę, by zobaczyć, jak mały dźwig przy burcie „Phoenixa” podnosi z wody JIM-a. Gdy tylko śmieszny, pękaty, człekokształtny przedmiot znalazł się na pokładzie, trzech marynarze odkręcili banie głowy, wyciągnęli ze środka bezwładne ciało i ułożyli je na noszach. Pochylili się nad leżącym człowiekiem. Po chwili jeden wyrzucił w górę pięści z podniesionymi kciukami.

- Żyje! - usłyszał Pitt radosny okrzyk.

Zrobił małe podsumowanie: ocaleli dwaj ludzie z batyskafu i operator JIM-a, statek wciąż trzyma się na powierzchni. Gdybyż tylko ta dobra passa trwała nadal...

Dunning i jego ludzie-żaby znaleźli walcowaty keson prawie dwieście jardów od miejsca, gdzie pierwotnie spoczywał. Zewnętrzna kłapa śluzy mocno się zakleszczyła, aż czterech nurków musiało jednocześnie przyłożyć się do długich stalowych łomów, żeby ją podważyć. Potem wszyscy popatrzyli przez szyby masek na Dunninga: nikt nie miał ochoty wejść tam pierwszy.

Dunning przepłynął przez śluzę i przez otwartą wewnętrzną kłapę wsunął głowę do komory głównej, wypełnionej sprężonym powietrzem. Panowała tu kompletna ciemność: kable dostarczające prąd ze statku-bazy urwały się. Włączył latarkę i omiół jej światłem ciasne wnętrze.

Wszyscy znajdujący się w komorze ludzie byli martwi. Leżeli jeden na drugim jak kłody drewna. Skóra przybrała odcień sinofioletowy, a krew z licznych otwartych ran zlała się na podłodze w wielką kałużę, pod wpływem panującego w komorze chłodu już skrzepła. Strużki sączące się ze wszystkich uszu, ust i nosów dowodziły, że śmierć musiała nastąpić natychmiast, na skutek straszliwego ciśnienia fali uderzeniowej wywołanej wybuchem. Potężna siła, która potoczyła ciężki keson po

dnie rzeki, masakrowała martwe już ciała.

Dunning usiadł na podłodze, przerażający widok i odór śmierci w zgęszczonym powietrzu przyprawiały go o mdłości. Minęło dobre pięć minut, nim poczuł się zdolny do złożenia meldunku. Wezwał ośrodek kontroli na „Ocean Yenturer”. Pitt, ze słuchawkami na uszach, wysłuchał meldunku. Potem zamknął oczy, oparł łokcie na konsolcie i ukrył twarz w dłoniach. Nie, doświadczał gniewu, tylko głęboki, bezgraniczny żal. Hoker patrzył na niego, odczytując z jego zachowania cały dramat.

- Ludzie-żaby?.. - spytał niepewnie.

- Tak. To Dunning. - Pitt podniósł głowę i popatrzył na Hokera niewidzącym wzrokiem. - Znalazł keson i wszedł do środka. Nikt nie przeżył. Dwóch brakuje, ale jeśli byli na zewnątrz w chwili wybuchu, to nie mieli żadnych szans... Powiedział jeszcze, że wyciągnie na górę zwłoki.

Hoker milczał - cóż zresztą mógł powiedzieć? Był załamany: wyglądał, jakby w jednej chwili przybyło mu sto lat. Wrócił do swojej pracy przy aparaturze video: powoli i systematycznie, jak automat, wykonywał rutynowe czynności.

Pitt poczuł nagle straszne wyczerpanie i pustkę. To wszystko nie ma sensu, wszystko na darmo, cały ten projekt jest żalosną katastrofą. Wszystko, co osiągnęli, to śmierć dziesięciu wspinających ludzi.

Nie od razu zwrócił uwagę na dziwny dźwięk, błędzący w słuchawkach. Dopiero po dłuższej chwili słaby, odległy głos przebił się do jego świadomości.

- Tu Pitt. Kto mówi?

Odpowiedź była niewyraźna i zniekształcona, nic nie rozumiał.

- Mów głośniej. Albo podkręć potencjometr.

- Teraz lepiej? - huknął głos w słuchawkach.

- Tak, teraz cię słyszę. Kto mówi?

- Collins... - Parę następnych słów znów się zgubiło. - ...próbuję się połączyć, odkąd tu wpadłem. Nie wiem, co się stało. Nagle zrobiło się tu piekło. Dobrze, że w końcu mam kontakt, bo już myślałem... :

Nazwisko Collins nic Pittowi nie mówiło. W ciągu paru dni pobytu na „Ocean Yenturer” miał zbyt wiele zajęć, by poznać około setki nazwisk i skojarzyć je z twarzami ludzi.

- O co chodzi? - spytał niecierpliwie, chciał jak najszybciej wrócić do przerwanych spraw. Nastąpiła dłuższa przerwa.

- Najprościej mówiąc, chyba o to, że wpadłem tu jak śliwka w kompot. - Głos

Collinsa brzmiał sarkastycznie. - I jeśli nie masz nic ważniejszego na głowie, to pomóż mi wyleźć z tej dziury.

Pitt dotknął ramienia Hokera. Zasłonił dłonią mikrofon.

- Kto to jest Collins i czym się zajmuje?

- Nie wiesz?

- Gdybym wiedział, to bym nie pytał! - ryknął Pitt. - On mówi, że wpadł w jakąś dziurę i potrzebuje pomocy. Hoker wciąż patrzył na Pitta z niedowierzaniem.

- Przecież Collins to operator drugiego JIM-a. W momencie eksplozji pracował w dziurce.

- O Chryste! - mruknął Pitt. - Wyszedłem na kompletnego idiotę. Odsłonił mikrofon.

- Collins! - ryknął. - Mów natychmiast, gdzie jesteś i w jakim stanie?

- Skorupa jest nietknięta. Straciłem kilka zębów, to chyba wszystko. Powietrza starczy mi jeszcze na całą dobę, pod warunkiem, że nie będę tu uprawiał aerobiku. - Pitt uśmiechnął się bezwiednie, podziwiając dobry humor Collinsa, zaczynał żałować, że nie poznał tego człowieka wcześniej. - A gdzie jestem? Niech mnie diabli, jeśli to wiem. Skafander tkwi po pas w szlamie, dookoła kupa rupieci. Ledwie mogę poruszyć wysięgnikami.

Spojrzenie Pitta znów powędrowało w stronę Hokera.

- Może mógłby odczepić balast i wypłynąć na powierzchnię, tak jak ten pierwszy?

- Nic z tego. Tkwi po pas w szlamie, gdzieś w środku wraku.

- Powiedziałeś: w szlamie? Pitt potwierdził ruchem głowy.

- A więc musiał spać na pokład drugiej klasy. Pitt już wcześniej pomyślał o tym, ale nie miał odwagi powiedzieć głośno.

- Spytam go - powiedział cicho. - Collins?

- Jestem tu, nigdzie nie wychodziłem.

- Czy przypadkiem to miejsce, w które wpadłeś, to nie jest nas punkt docelowy?

- O rany! - W głosie Collinsa pojawiła się nowa nuta emocji. -l Ja właściwie nie widzę od momentu tego wielkiego „bum”. Tu siej wszystko paskudnie zbełtało. Dopiero teraz zaczyna się trochę przecierać.

- Rozejrzyj się. I mów, co widzisz.

Pitt czekał na odpowiedź, stukając niecierpliwie knykciami w obudowę komputera. Przeniósł wzrok za okno, na „Hurona”. Kanadyjski okręt przesunął się na



pozycję nad „Sappho I”. Pitt obserwował, jak ramię dźwigu na rufie niszczyciela przesuwa się za burtę. Nagle w jego słuchawkach znowu zabrzmiał głos Collinsa.

- Pitt?

- Tak, słucham. Cały dobry humor Collinsa gdzieś się zagubił. Jego głos był skupiony i poważny.

- Jestem chyba w miejscu, w które uderzył dziób tego węglowca. Tak myślę, bo tu są stare uszkodzenia, całe pokryte rdzą i glonami. - Przerwał, nie kończąc opisu. Po chwili odezwał się, ale znowu innym, zdrętwiałym i zduszonym głosem. - Są też kości... Widzę dwa... nie, trzy szkielety, zaplątane w to żelastwo. O Boże, czuję się jak w katakumbach.

Pitt próbował wyobrazić sobie wszystko to, o czym Collins mówił, próbował wczuć się w jego położenie.

- Mów dalej.

- Ci nieszczęśnicy są tuż koło mnie, mógłbym prawie pogłaskać ich po głowach.

- Chciałeś powiedzieć: po czaszkach?

- Jasne... Jedna jest mniejsza, to chyba dziecko... A z tych większych - ton Collinsa znów stał się kpiarski - jedną chętniej wziąłbym sobie do domu.

Pitt pomyślał nagle, że Collins, tak samo jak przedtem Klinger, i bredzi pod wpływem anoksji.

- Po co? Masz zamiar grać Hamleta?

- Nie, do diabła! Ale złoto w tych szczękach jest warte co najmniej cztery tysiące dolców!

Gdzieś głęboko w głowie Pitta odezwał się dzwonek alarmowy. Przed oczyma wyobraźni zamajaczyła stara fotografia.

- Collins, posłuchaj mnie uważnie. W górnej szczęce dwa zdrowe, wielkie siekacze, jak u królika, a cała reszta to złote koronki?

Collins przez dłuższą chwilę milczał, doprowadzając Pitta niemal do szału. Ale Pitt nie zdawał sobie sprawy, jak wielkie Wrażenie zrobiło na nurku jego pytanie.

- Niesamowite... absolutnie niesamowite - wymamrotał wreszcie Collins. - Opisałeś tego faceta, jakbyś go widział.

Odpowiedź spadła na Pitta jak grom z jasnego nieba. To wydawało się niewiarygodne - a jednak było prawdziwe. Znaleźli wreszcie podwodny grób Harveya Shieldsa. Sarveux czekał, aż drzwi zamkną się za sekretarką, nim zaczął mówić.

- Przeczytałem pański raport i przyznaję, że jest bardzo niepokojący.

Shaw nie odpowiedział - bo i nie trzeba było żadnej odpowiedzi. Przyglądał się siedzącemu po drugiej stronie biurka premierowi. Wyglądał starzej niż w telewizji, uderzał zwłaszcza wyraz bólu w oczach. Groteskowo też wyglądały rękawiczki na dłoniach. Shaw wiedział o obrażeniach, jakich doznał Sarveux, ale mimo to widok człowieka pracującego za urzędowym biurkiem w rękawiczkach był szokujący.

- Wytoczył pan bardzo ciężkie oskarżenia pod adresem pana Yillona. Żadne z nich nie jest poparte solidnym dowodem.

- Nie szukałem dowodów, panie premierze. Przedstawiłem tylko fakty, które znam.

- Dlaczego przyszedł pan z tym do mnie?

- Sądziłem, że powinien pan to wiedzieć. Generał Simms podziela tę opinię.

- Ach, tak? - Sarveux milczał przez moment. - Jest pan pewien, że ten Foss Gly pracował dla Yillona?

- Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Sarveux zanurzył się głębiej w fotelu.

- Byłbym panu bardzo zobowiązany, gdyby pan o tym wszystkim zapomniał.

Na twarzy Shawa pojawił się wyraz zdziwienia.

- Nie rozumiem...

- Henri Yillon nie jest już członkiem mojego gabinetu. A ten łobuz, jak sam pan twierdzi, zginął. Shaw zwlekał przez chwilę z odpowiedzią i Sarveux wykorzystał to, by ciągnąć swoją myśl.

- Pańska teoria wynajętego mordercy jest, delikatnie mówiąc, chwiejna i niejasna. Opiera się tylko na rozmowach. To nie jest wystarczająca poszlaka, by wdrożyć choćby wstępne śledztwo.

Shaw posłał premierowi miazdzące spojrzenie.

- Zdaniem generała Simmsa wystarczy trochę głębiej pokopać, a okaże się, że sławetny pan Gly był sprawcą katastrofy pańskiego samolotu, a także niedawnej śmierci premiera Guerriera.

- Tak, taki człowiek na pewno byłby zdolny... - Sarveux przerwał w pół zdania. Jego oczy rozszerzyły się, twarz zdradzała silne wzburzenie. Pochylił się ku Anglikowi nad blatem biurka.

- Co? Co pan powiedział? Co pan właściwie chce sugerować? Głos premiera był ostry, niemal inkwizytorski.

- Henri Yillon miał powody, by życzyć śmierci i panu, i panuj Guerrierowi.

Jednocześnie wiem, sprawdziłem to z czysto prywatnej ciekawości, że wynajął człowieka, uważanego za zawodowego mordercę. Przyznaję, że dwa i dwa nie zawsze musi równać się cztery, ale w tym przypadku nawet wynik „trzy” zasługuje na uwagę.

- Insynuacje generała Simmsa są obrzydliwe - oświadczyli Sarveux z wyraźnym oburzeniem. - Ministrowie Kanady nie mają zwyczaju mordować się nawzajem, by zdobyć wyższe stanowisko.

Shaw zrozumiał, że dalsza dyskusja na ten, temat nie ma sensu.

- Bardzo mi przykro - powiedział - ale nie mogę dostarczyć panu dokładniejszych informacji.

- Mnie również jest przykro. - Sarveux szybko wrócił do chłodnego, oficjalnego tonu. - Bo nie mam pewności, czy jatka, jaką urządzono Amerykanom na St. Lawrence, nie była skutkiem zwykłego błędu pańskich ludzi, a pan próbuje teraz zwalić winę na kogoś innego, f.

Shaw poczuł, że wszystko się w nim gotuje, ale zachował kamienną twarz.

- Zapewniam pana, panie premierze, że to nieprawda. Sarveux wbił wzrok w rozmówcę.

- Państwami nie rządzi się na podstawie przypuszczeń i domniemań, panie Shaw. Proszę podziękować generałowi Simmsowi, ale niech uważa tę sprawę za zamkniętą. A skoro już o tym mówimy, niech pan poinformuje go także, że nie widzę żadnego powodu, by kontynuować śledztwo w sprawie Traktatu Północnoamerykańskiego.

Shaw zastygł w osłupieniu.

- Ależ, sir, jeśli Amerykanie znajdą traktat, mogą...

- Nie zrobią tego - uciał Sarveux. - Żegnam pana, panie Shaw.

Z zaciśniętymi aż do bólu pięściami Shaw wstał i bez słowa opuścił gabinet premiera. Zaledwie zatrzasnęły się za nim drzwi, Sarveux podniósł słuchawkę swojego osobistego telefonu.

Czterdzieści minut później do gabinetu wszedł komisarz Harold Finn z Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej.

Był to niepozorny człowiek w wymiętym ubraniu, z typu tych, którzy niczym nie wyróżniają się spośród tłumu na ulicy, a na przyjęciu towarzyskim mogliby uchodzić za mebel. Czarne jak węgiel włosy z przedziałkiem pośrodku osobliwie kontrastowały z gęstymi siwymi brwiami.

- Przepraszam, że ściągnąłem pana tutaj tak nagle - powiedział Sarveux.

- Nic nie szkodzi - mruknął Finn. Przysunął sobie krzesło do biurka, usiadł i zaczął grzebać w swojej aktówce. Sarveux nie tracił czasu.

- Co pan znalazł?

Finn wyciągnął z futerału okulary do czytania, umieścił je na nosie i pochylił się nad dwoma skoroszytami, które przedtem rozłożył na biurku.

- Mam tu raport z sekcji zwłok i zeznania Jeana Bouchera.

- Tego, który znalazł ciało Guerriera?

- Tak. Był szoferem i ochroniarzem premiera. Znalazł zwłoki rano, kiedy przyszedł go obudzić. Raport kronera stwierdza, że Guerrier zmarł poprzedniego wieczora, między dziewiątą a dziesiątą. Obdukcja nie wykazała jakiejś szczególnej przyczyny śmierci.

- Ale mają chyba jakieś sugestie?

- Tak, całą masę, ale nic pewnego. Jules Guerrier stał nad grobem. Lekarz sądowy, który robił sekcję, stwierdził rozednięte płuca, kamienie żółciowe, arteriosklerozę - to zapewne było główną przyczyną - artretyzm na tle reumatycznym i raka prostaty. To właściwie cud, że ten człowiek jeszcze żył.

- A więc Jules zmarł śmiercią naturalną?

- Miał po temu wszelkie powody.

- A co z tym... Boucherem?

Finn ponownie pochylił się nad raportami.

- Pochodzi z przyzwoitej rodziny, nieźle wykształcony. Nie notowany w rejestrach sądowych i policyjnych, brak powiązań i. ruchami ekstremistycznymi. Ma żonę i dwie córki: obie wyszły za uczciwych płatników podatków. Boucher pracował dla Guerriera od maja sześćdziesiątego drugiego. Z tego co wiemy, był absolutnie lojalnym pracownikiem.

- Nie podejrzewa pan jakiejś mokrej roboty?

- Nie mam powodu - odparł Finn. - Ale śmierć takiej ważnej osoby zawsze wymaga skrupulatnego zbadania wszystkich szczegółów, żeby potem nie było już żadnych wątpliwości. I to byłby taki właśnie rutynowy przypadek, gdyby nie zeznanie Bouchera. To on podłożył nam świnie.

- Co pan ma na myśli?

- On przysięga, że tamtego wieczora był u Guerriera Henri Yillon i że to Yillon ostatni widział premiera żywego.

- To przecież niemożliwe. Yillon wygłaszał w tym czasie oficjalne przemówienie

w mieście odległym o czterysta kilometrów. Otwierał ośrodek sztuki dramatycznej. Doskonale pamiętam, widziałem to.

- Miliony ludzi widziały - potwierdził Finn. - Uroczystość była transmitowana na żywo przez ogólnokrajową sieć telewizyjną.

- A może to Boucher zamordował Julesa, a teraz opowiada tę bajkę jako alibi?

- Nie sądzę. Nie mamy przecież żadnego powodu do podejrzeń, że Guerrier został zamordowany. Obdukcja niczego nie wykazała. Boucher nie jest o nic podejrzewany, nie potrzebuje alibi.

- Więc dlaczego twierdzi, że Yillon był tego wieczora w Quebecu? Po co mu to?

- Nie mam pojęcia, ale mówi o tym z pełnym przekonaniem.

- W takim razie musiał mieć halucynacje - zasugerował Sarveux. Finn przysunął się bliżej biurka.

- To nie jest wariat, panie Sarveux. I na tym polega cały problem. Boucher zajął prób prawdomówności: pod hipnozą i na wykrywaczu kłamstw. - Finn odetchnął głęboko, zanim przeszedł do puenty. - Wyniki dowodzą ponad wszelką wątpliwość, że nie kłamie, a więc widział Yillona.

Sarveux patrzył na komisarza oniemiały.

- Bardzo bym chciał móc powiedzieć, że my, policja, znamy odpowiedzi na wszystkie pytania - ciągnął Finn. - Ale, niestety, niej znamy. Nasi technicy zbadali dokładnie cały dom. Wszystkie znalezionej odciski palców, z jednym tylko wyjątkiem, należą do Guerriera, Bouchera, służącej i kucharza. Ślady na kłamec sypialni są rozmazane, nieczytelne.

- Wspomniał pan o jednym wyjątku.

- Znaleźliśmy obcy odcisk palca wskazującego prawej dłoni na frontowym dzwonku. Pracujemy nad jego identyfikacją.

- To niczego jeszcze nie dowodzi - rzekł Sarveux. - To mógł być jakiś handlarz, listonosz czy nawet któryś z waszych ludzi, który nieostroźnie nacisnął guzik już w czasie śledztwa.

Finn uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Gdyby istotnie tak było, komputer naszej sekcji identyfikacji rozpoznałby odcisk w dwie sekundy. Nie, to ktoś, kogo nie ma w naszych rejestrach. - Przerwał, szukając właściwej strony w raporcie. - Przez przypadek potrafimy bardzo dokładnie określić porę, w której ta nieznajoma osoba nacisnęła dzwonek. O wpół do dziewiątej pani Molly Saban, sekretarka Guerriera, przyniosła termos ze świeżym rosołem:

domowe lekarstwo na grypę. Nacisnęła dzwonek, nawet parę razy, podała termos Boucherowi i poszła. Otóż przez cały czas miała na dłoniach rękawiczki: przypadkowo starła więc wszystkie poprzednie ślady, dzięki czemu następny ślad na przycisku jest taki wyraźny.

- Domowy rosół - rozmarzył się Sarveux. - Nieśmiertelne lekarstwo na wszystkie dolegliwości... Ale, jeśli to miałyby być Yillon, to jakim cudem mógłby się znaleźć w dwu różnych miejscach jednocześnie?

- Tego nie potrafię wyjaśnić.

- Śledztwo jest już oficjalnie zamknięte? Finn przytaknął.

- Nie warto było go ciągnąć, szansę, że coś jeszcze wykryjemy, były znikome.

- Chcę, aby pan je wznowił.

Jedyną reakcją Finna było nieznaczne uniesienie brwi.

- Tak?

- W tym zeznaniu Bouchera może jednak coś być - powiedział Sarveux i pchnął w stronę komisarza raport Shawa. - Dostałem to właśnie od agenta wywiadu brytyjskiego. On sugeruje, że Henri Yillon ma powiązania z pewnym sławnym mordercą. Niech pan sprawdzi, czy są podstawy do takich podejrzeń. Aha, niech pańscy ludzie zrobią jeszcze jedną obdukcję zwłok Julesa Guerriera.

Brew Finna znowu nieznacznie drgnęła.

- Mogą być poważne trudności z uzyskaniem zgody na ekshumację.

- Nie będziemy o to występować - stwierdził sucho Sarveux, komisarz zrozumiał go natychmiast.

- W porządku, panie premierze. Załatwimy to z pełną dyskrecją. Osobiście dopilnuję wszystkich szczegółów.

Schował wszystkie raporty do swojej teczki i wstał, by się pożegnać.

- Jeszcze jedno - zatrzymał go Sarveux.

- Słucham, panie premierze?

- Jak dawno wie pan o romansie mojej żony z Yillonem? Na nieprzeniknionej zazwyczaj twarzy Finna pojawił się tym razem bolesny grymas.

- Eee... właściwie... zwróciłem na to uwagę jakieś dwa lata temu.:

- I nie przyszedł pan z tym do mnie?

- Mamy w RCMP żelazną zasadę, by nie wtrącać się w prywatne życie obywateli Kanady, dopóki nie są zagrożone interesy kraju. -Zamilkł, potem dodał: - To, oczywiście, dotyczy także premiera i członków parlamentu.

- Mądra zasada - rzekł Sarveux dobitnie. - Dziękuję panu, komisarzu. To już wszystko... na razie.

## ROZDZIAŁ 61

Czarny cień żałoby zawisł nad Rzeką Świętego Wawrzyńca.

W nocy zmarli dwaj spośród najciężej rannych: żniwo śmierci powiększyło się do dwunastu. Zwłoki jednego z zaginionych płetwonurków wypłynęły na powierzchnię przy południowym brzegu, sześć mil od miejsca akcji. Drugiego nigdy nie odnaleziono.

Zdętwiali z wyczerpania i rozpaczki ludzie z załogi "Ocean Yenturer" stali w milczeniu przy relingach, kiedy ich zmarłych przenoszono uroczyście na pokład „Phoenixa” - przed ostatnim rejssem. Dla niektórych był to tylko koniec koszmarnego snu, dla innych tragedia, która na zawsze pozostanie w żywej pamięci.

Collinsa, zamkniętego w skorupie JIM-a, wyciągnięto dopiero nad ranem, zaledwie trzy godziny przed wyczerpaniem jego zapasowi powietrza. Zaraz po tym Pitt odwołał wszelkie dalsze prace przy wraku. Od Metza dostał meldunek, że maszynownia jest już prawie sucha, a statek trzyma się nieźle: rzeczywiście, jego przechył niej przekraczał już dziesięciu stopni. Ekipy ratunkowe z „Phoenixa” i „Hurona” powróciły na swoje okręty, odłączono długie węże pomp. Metz orzekł, że statek badawczy NUMA będzie mógł wrócić do macierzystego portu o własnych siłach, chociaż tylko na jednym silniku: oś drugiej śruby w wyniku eksplozji była zgięta.

Pitt zszedł do pomieszczenia roboczego sąsiadującego ze studnią na środku pokładu i przebrał się w termiczny kostium płetwonurka. Zapinał pas balastowy i dopasowywał do swoich wymiarów uprzęż akwalungu, kiedy w drzwiach pojawił się Rudi Gunn.

- Schodzisz na dół - stwierdził sucho.

- Po tym wszystkim, co się stało, byłoby zbrodnią odpłynąć i nawet nie sprawdzić, co tam jest na dnie.

- Czy to rozsądne, robić to w pojedynkę? Dlaczego nie weźmiesz ze sobą Dunninga i jego ludzi?

- Są w kiepskiej formie. Przekroczyli wszelkie limity czasu bezpiecznego nurkowania: mają za dużo azotu we krwi.

Gunn wiedział, że łatwiej byłoby poruszyć Matterhorn, niż przełamać upór Pitta. Wzruszył więc tylko ramionami i zrobił ponurą minę.

- To przecież twój pogrzeb. Pitt uśmiechnął się.

- Dziękuję za pogodne pożegnanie.



- Będę to obserwował na monitorach - powiedział Gunn. - A jak będziesz niegrzeczny i przekroczysz godzinę policyjną, mogę nawet osobiście wybrać się tam na patrol, z zapasowymi butlami, rzecz jasna.

Pitt mrugnął porozumiewawczo, jakby przyjmował to za dobry żart. Ale wiedział, że obietnica Gunna jest poważna i że można na niego liczyć. Gunn zawsze był czymś w rodzaju polisy ubezpieczeniowej: spokojny i cierpliwy, niezawodnie panował nad wszystkimi szczegółami, które inni mogliby przeoczyć. Podstawą było precyzyjne, przewidujące wszystkie trudności planowanie: potem wystarczyło po prostu wykonać plan.

Pitt opuścił na twarz maskę, zwyczajowo zsalutował i zsunął się w zimną studnię. Na głębokości dwudziestu stóp odwrócił się i popatrzył w górę: „Ocean Yenturer” wisiał nad nim jak wielki czarny sterowiec. Ale kiedy powtórzył ten manewr dwadzieścia stóp niżej, niczego już nie potrafił rozróżnić. Otaczała go gęsta zieleń wody, lekko tylko od góry rozjaśniona.

Świat błękitnego nieba i białych obłoków wydawał się oddalony o całe lata świetlne.

Opadał coraz niżej, w coraz ciemniejszą zieleń. Przykro odczuwał rosnące z każdą chwilą ciśnienie. Nagle miał ochotę wrócić, wyciągnąć się gdzieś na słońcu, zasnąć na Bóg wie jak długo i zapomnieć o tym wszystkim. Ale szybko odegnał pokusę. Kiedy woda wokół niego stała się jednolicie czarna, włączył zamocowaną na czole latarkę. W silnym halogenowym świetle zamajaczył kadłub „Empress of Ireland” - ogromne, trójwymiarowe widmo. W niesamowitej ciszy podwodnego świata wielki transatlantyk kontynuował swoją podróż donikąd.

Pitt przepłynął nad mocno pochylonym pokładem łodziowym, minął szybko rząd iluminatorów, za którymi kryły się pełne tajemnic wnętrza kabin. Wreszcie dotarł do krawędzi wyciętego otworu. Zatrzymał się na chwilę, jakby wahając się przed podjęciem ostatecznej decyzji. Patrzył na pęcherzyki powietrza, mknące gęstym łańcuchem z jego ust ku powierzchni, w świetle latarki łańcuch srebrzył się, jakby był zrobiony ze szlachetnego kruszcu.

Zsunął się w czarną czeluść. Opadał długo i powoli, jak jesienny liść. Dopiero pięćdziesiąt stóp niżej dotknął płetwami mulistego podłoża. Rozejrzał się: stał w środku pogruchotanej kabiny. Był w grobowcu Harveya Shieldsa.

Poczuł na plecach zimny dreszcz: nie z powodu lodowatej wody - termiczny kostium całkiem dobrze go od niej izolował - ale pod wrażeniem upiornego widoku:

natychmiast zobaczył szkielety opisane przez Collinsa. To było coś całkiem innego niż sterylne białe eksponaty ze szkolnych gablot: po tylu latach w wodzie przybrały odcień brunatny i rozsypały się.

Dwie czaszki, większa i mniejsza, leżały na stercie rupieci po dużym, nieregularnym otworem w ścianie. Podpłynął bliżej i zanurzył ręce w pokrytym mułem stosie, próbując zbadać jego zawartość. Pierwszy przedmiot, jaki wymacał, był zaokrąglony i miękki. Wyciągnął go, wzniecając chmurę brudnych cząsteczek. Musiał przybliżyć przedmiot do szyby swojej maski: był to staroświecki pa ratunkowy.

Zabrał się do systematycznego przekopywania stosu. Robił niemal po omacku. Latarka nie na wiele się przydawała: wirując cząstki szlamu zatrzymywały całe jej światło. Wygrzebał zardzewiałą brzytwę i miseczkę do golenia. Potem całkiem dobrze zachowany but - fason chyba oksfordzki - i buteleczkę z lekarstwem. Byli zalakowana: ani kropla wody nie przedostała się do środka.

Z cierpliwością archeologa odsłaniającego powoli kolejne warstwy czasu, Pitt rozkopywał gnijące rumowisko. Nie czuł strużek zimna przenikających pod ciepły kostium, rozcięty już w paru miejscach o ostre metalowe krawędzie. Nie zwracał też uwagi na czerwonawe obłoczki, unoszące się wokół pokaleczonych dłoni. Serce zamarło mu na chwilę, gdy zobaczył coś, co wydawało się celem jego poszukiwani pałakowaty uchwyt teczki. Zacisnął na nim dłoń i delikatnie pociągnął. Skorodowane nity puściły prawie natychmiast, ale Pitt zdążył zauważyć, że to raczej duży i ciężki bagaż. Ten trop okazał się fałsz a optymizm przedwczesny.

Szukał dalej. Kiedy usunął dwie dalsze stopy szlamu, natrafił na drugi, podobny, ale mniejszy uchwyt. Spojrzał na zegarek: powietrza miał już tylko na pięć minut. Gunn na pewno jest już w drodze, pomyślał i wrócił do przerwanej pracy. Powoli, najostrożniej jak umiał, pociągnął za uchwyt.

Udało się. Miał przed sobą niedużą teczkę. Skórzane boki i dno, choć mocno zbutwiałe, jeszcze się trzymały. Nie pozwalając sobie na zbyt dużą nadzieję, podważył zardzewiałe zamki: nadspodziewanie łatwo oderwały się od zgniłej skóry.

W środku znajdował się oblepiony szlamem pakiet. Pitt już wiedział - instynkt podpowiadał mu to bez żadnych wątpliwości - że ma przed sobą egzemplarz Traktatu Północnoamerykańskiego.

## ROZDZIAŁ 62

Doktor Abner McGovern siedział przy biurku i z namysłem spoglądał na zwłoki leżące na dużym stole z nierdzewnej stali, mechanicznie żuł kanapkę z jajkiem na twardo.

Był w kłopotcie. Ponowne badanie zwłok Julesa Guerriera niczego, jak dotąd, nie wyjaśniło, choć niektóre testy powtarzał już cztery, pięć razy. Razem z grupą asystentów godzinami studiował wszystkie wyniki, wciąż na nowo porównując je z raportem koronera z Quebecu. I wciąż nie znał rzeczywistej przyczyny zgonu. Ale McGovern był jednym z tych upartych facetów, którzy potrafią nie zmrużyć oka przez całą noc, kiedy kończą powieść albo układają ostatnie fragmenty puzzla. Tym razem też nie chciał się poddać. Miał swoje powody.

Guerrier chorował, co prawda, na wiele chorób, ale słynął z niebywalej odporności i woli życia. To nie mogło tak nagle zgasnąć - jak wyłączona lampa. Musiał być jakiś dodatkowy, zewnętrzny powód nagłego ustania wszystkich funkcji organizmu.

Testy nie wykazały obecności jakichkolwiek trucizn. Nie znaleziono też nigdzie śladów ukłucia, choć szukano wszędzie: pod włosami i pod paznokciami, między palcami stóp, we wszystkich otworach ciała. W grę wchodziło już tylko zaduszenie. McGovern wiedział, że tę przyczynę zgonu trudno jest jednoznacznie skonstatować. W ciągu czterdziestu lat pracy w medycynie sądowej stwierdził niezłomie tylko parę przypadków śmierci przez zaduszenie.

Naciągnął na dłonie świeżą parę gumowych rękawiczek i podszedł znowu do „sztywnego”, jak zwykł był mawiać o obiektach swoich badań. Po raz trzeci tego wieczora zbadał dokładnie jamę ustną. Ale wszystko było w normie. Żadnych szczególnych zsinień, żadnego odbarwienia błony śluzowej. Jeszcze jedna porażka.

Wrócił do biurka i ciężko opadł na krzesło. Splótł dłonie kolanach i, pogrążony w myślach, zaczął kręcić kciukami młynka. Kątem oka zauważył, że jeden jest czymś zabrudzony. Odruchowe sięgnął po papierową serwetkę i starł plamę z rękawiczki. Na serwet została tłusta różowa smuga.

Wrócił natychmiast do Guerriera. Ostrożnie przetarł czystą serwetką przestrzeń między wargą i dziąsłem. Potem długo oglądał te miejsce przez lupę.

- Pomysłowe - mamrotał pochylony nad trupem, jak gdyby z nim rozmawiał. - Naprawdę pomysłowe...

Sarveux był już okropnie zmęczony. Jego decyzja, by nie interweniować w

sprawie niepodległości Quebecu, wywołała burzę krytyki w jego własnej partii i wśród anglofilów z Zachodu. Najgłośniejszym protestem tego dnia w parlamencie posłowie z prowincji atlantyckich: zarzucali mu wręcz rozbicie kraju. Można się było tego spodziewać: nowy, niepodległy Quebec odizolował ich terytorialnie pozostałych części Kanady.

Siedział w gabinecie, próbując mocnym koktajlem splukać z siebie troski minionego dnia, kiedy zadzwonił telefon. Sekretarka oznajmiła że to komisarz Finn z głównej komendy Mounties. Potem rozległ się trzask przełącznika.

- Pan Sarveux?

- Tak, słucham.

- To było zabójstwo - stwierdził Finn bez wstępów.

- Jest pan pewien?

- Nie mam żadnych wątpliwości.

Sarveux ścisnął mocniej słuchawkę. Boże, pomyślał, kiedy to się wreszcie skończy?

- Jak zginął?

- Został zaduszony poduszką. Morderca był cholernie sprytny Zamalował wszelkie możliwe odczyny szminką teatralną. Ale jak już wiedzieliśmy, czego szukać, to bez trudu znaleźliśmy ślady zębów ofiary na poszewce poduszki.

- Wróci pan do zeznań Bouchera? - spytał Sarveux.

- Nie ma potrzeby. Ten raport wywiadu brytyjskiego, który mam od pana, załatwił całą sprawę. Odcisk na dzwonku to niewątpliwie palec Fossa Gly'a.

Sarveux zamknął oczy. Spokojnie, powiedział do siebie, tylko spokojnie.

- Jak Boucher mógł pomylić Gly'a z Yillonem?

- Nie wiem, chociaż... sądząc ze zdjęć w naszych rejestrach, jest pewne podobieństwo. Kluczem może być użycie szminki po zabójstwie Guerriera. Jeśli Gly zdołał wprowadzić w błąd naszego patologa, to może potrafi też sam tak się ucharakteryzować, że wygląda jak Yillon.

- Potrafi? Mówi pan, jakby Gly wciąż jeszcze żył.

- Mam taki zwyczaj - dopóki nie zobaczę trupa na własne oczy... Czy mam kontynuować śledztwo?

- Tak, ale nadal z pełną dyskrecją - odparł Sarveux. - Czy może pan całkowicie polegać na swoich ludziach?

- Absolutnie.

- Niech kontrolują wszystkie kroki Yillona. I jeszcze jedno, komisarzy.

- Tak, słucham.

- Od tej chwili proszę składać mi meldunki wyłącznie osobiście. Rozmowy telefoniczne nie są bezpieczne.

- Rozumiem. Zgłoszę się do pana wkrótce. Do widzenia, panie premierze.

Finn wyłączył się, ale Sarveux jeszcze przez dłuższą chwilę ścisnął w dłoni słuchawkę. Czyżby Henri Yillon i nieuchwytny szef AQL - to jedna i ta sama osoba? A Foss Gly? Dlaczego ucharakteryzował się na Yillona?

Tylko godzinę czekał na odpowiedź. A kiedy ją uzyskał - całkiem zapomniał o swoim zmęczeniu.

## ROZDZIAŁ 63

Zgrabny „dyrektorski” odrzutowiec, z akwamarynowymi znakami NUMA na kadłubie, z piskiem opon dotknął betonu lotniska, wytracił prędkość i dokołował niemal dokładnie do miejsca, gdzie czekali Sandecker i Moon. Drzwi kabiny pasażerskiej otworzyły się, stał w nich Dirk Pitt, oburącz trzymając przed sobą dużą aluminiową skrzynkę. Ruszył w ich stronę.

Sandecker z niepokojem patrzył na jego wymizerowaną twarz, na niepewne kroki, zdradzające człowieka skrajnie wyczerpanego. Zbliżył się i chwycił go pod ramię, Moon wziął z rąk Pitta skrzynkę.

- Wyglądasz okropnie - rzekł Sandecker. - Kiedy ostatnio spałeś?

Pitt popatrzył na niego nieprzytomnym, szklanym wzrokiem.

- A co dziś mamy? Straciłem rachubę.

- Piątek.

- No to chyba... w nocy z poniedziałku na wtorek.

- Wielki Boże, to już cztery doby bez snu!

Podjechał samochód. Moon załadował skrzynkę do bagażnika, potem wszyscy trzej usiedli na tylnym siedzeniu. Pitt natychmiast zasnął. Już po chwili - tak mu się przynajmniej wydawało - Sandecker zaczął szarpać go za rękaw. Otworzył oczy. Stali przed budynkiem laboratorium Szkoły Archeologii w Arlington.

Naprzeciw nim wyszedł jakiś człowiek w białym fartuchu w towarzystwie dwu umundurowanych strażników. Miał chyba około sześćdziesięciu lat, siedł ku nim lekko przygarbiony, z miną doktora Jekylla po przemianie w pana Hyde'a.

- Doktor Melvin Galasso - przedstawił się, nie podając ręki. - Przywieźliście ten przedmiot?

Pitt pokazał aluminiową skrzynkę, którą Moon wyciągał właśnie z kufra samochodu.

- Jest tam.

- Mam nadzieję, że nie dopuścił pan do wysuszenia. To bardzo ważne: opakowanie musi zachować plastyczność.

- Teczka i ceratowy pakiet kąpią się nadal w wodzie z Rzeki Świętego Wawrzyńca.

- W jakim środowisku to leżało?

- Zakopane w mule.

Galasso pokiwał głową z zadowoleniem. Potem wskazał drzwi laboratorium.

- A więc, moi panowie, obejrzyjmy, co to jest.

Doktorowi Galasso brakowało może dobrych manier, nie brakowało i mu jednak cnoty cierpliwości. Samo wyjęcie ceratowego pakietu z teczki zajęło mu dwie godziny, głośno przy tym i szczegółowo omawiał wszystkie wykonywane czynności, jakby to był wykład dla grupy studentów.

- To błoto na dnie było zbawienne - wyjaśniał. - Skóra, jak widzicie, jest w dobrym stanie: jeszcze całkiem miękka.

Z zegarmistrzowską precyzją wyciął duży prostokątny otwór w boku teczki. Posługiwał się przy tym chirurgicznym skalpelem i bardzo dbał o to, by nie uszkodzić zawartości. Następnie przyciął arkusz plastikowej folii, nieco większy niż widoczny już w środku pakiet, i wsunął brzeg arkusza głęboko do otworu.

- To rozsądne z pana strony, panie Pitt, że nie dotykał pan jej pakietu - perorował monotonicznie. - Gdyby próbował pan wyjąć go z teczki, cerata mogłaby się rozsypać.

- Cerata nie jest wodoodporna? - zdziwił się Moon.

Galasso przerwał pracę i wbił w niego karcące, belferskie spojrzenie.

- Woda jest rozpuszczalnikiem. Może rozpuścić wszystko, nawet okręt wojenny, jeśli tylko ma na to dostatecznie dużo czasu. Cerata to zwykłe płótno, wzmocnione chemicznie, ale przeważnie tylko z jednej strony. Dlatego też nie jest wieczna.

Galasso dał spokój Moonowi i wrócił do pracy. Upewniwszy się, że folia jest dobrze wsunięta pod pakiet, zaczął go wysuwać milimetr po milimetrze - aż wreszcie cały znalazł się na tej części arkusza, która spoczywała na stole. Niekształtny, ociekający wodą przedmiot po raz pierwszy od siedemdziesięciu pięciu lat był dostępny dla oczu ludzkich.

Stali nad nim w kompletnym milczeniu. Nawet Galasso doznał jakiejś irracjonalnej trwogi: żadne słowa nie przychodziły mu do głowy. Moon poczuł nieprzyjemny dreszcz, oparł się mocno o stół, by się uspokoić. Sandecker nerwowo szarpał brodę. Tylko Pitt spokojnie sączył kawę - czwartą już, odkąd tu wszedł.

Nadal nie mówiąc ani słowa Galasso zabrał się do ceratowego opakowania. Najpierw osuszył je starannie papierowymi serwetkami. Potem przyjrzał się pakietowi z różnych stron, jak szlifierz diamentów przymierzający się do pracy nad pięćdziesięciokaratowym okazem. W końcu zaczął zdejmować kolejne warstwy ceraty. Robił to nieznośnie wolno, ale też praca nie była łatwa: cerata w niektórych miejscach

łamała się, w innych była niebezpiecznie posklejana. Wreszcie - wydawało się, że trwało to całą wieczność - dotarł do ostatniej warstwy. Przerwał na chwilę, by. otrzeć pot z czoła i rozluźnić zdrętwiałe palce.

- Nadszedł moment prawdy - oświadczył pompatycznie.

Moon podszedł do telefonu i połączył się z gabinetem prezydenta. Sandecker przysunął się do Galasso, aby lepiej widzieć. Twarz Pitta była chłodna, pozbawiona wyrazu, dziwnie nieobecna.

Galasso podważył skalpelem cienką, wiotką materię i odciągnął ją do góry.

Patrzyli na coś, co osiągnęli kosztem tak niewiarygodnego trudu i ofiar - a w ich oczach było tylko bezgraniczne rozczarowanie i gorycz.

Bezlitosna rzeka przeżarła wszystkie warstwy ceraty i przemieniła brytyjską kopię traktatu w szarą, kleistą papkę.



**CZEŚĆ V**

**MANHATTAN LIMITED**

## ROZDZIAŁ 64

Quebec, maj 1989.

Szum silników osłabł, kiedy boeing 757, oderwawszy się od płyty lotniska w Quebecu, osiągnął bezpieczną wysokość. Zgasły światelka zakazujące palenia. Heidi odpięła pas bezpieczeństwa, wygodniej ulokowała nogę, opakowaną od stopy aż po udo w gipsowy pancerz, i wyjrzała przez okno. Długa wstęga St. Lawrence, połyskująca w słońcu, zostawała coraz bardziej z tyłu, samolot łagodnym łukiem skierował się na południe, w stronę Nowego Jorku.

Jak w kalejdoskopie przesuwały się w jej myślach wspomnienia ostatnich dni. Szok bólu po podwodnej eksplozji. Troskliwość chirurga i marynarzy z załogi „Phoenixa” - na jej gipsie było więcej inskrypcji, niż w księdze pamiątkowej wielkiego muzeum. Lekarze i pielęgniarki ze szpitala w Rimouski, którzy leczyli jej wywichnięty bark i serdecznie cieszyli się z jej nieudolnych prób mówienia po francusku. Wszystko to wydawało się już tylko odległym snem, ale zawsze żałowała, że być może już nigdy więcej tych wspaniałych ludzi nie spotka.

Pogrążona w myślach nie zwróciła uwagi na mężczyznę, który usiadł na sąsiednim fotelu. Dotknął jej ramienia.

- Cześć, Heidi.

Odwróciła się i zobaczyła twarz Briana Shawa. Była zbyt wstrząśnięta, by cokolwiek powiedzieć.

- Wiem, co myślisz - rzekł cicho - ale właśnie dlatego muszę z tobą porozmawiać.

Ośłupienie minęło i Heidi zdobyła się na szydercze powitanie.

- A ty z jakiej dziury wylazłeś?

Dostrzegł na jej twarzy rumieniec wściekłości.

- No, cóż, nie mogę zaprzeczyć, że moje zaloty były skalkulowane na zimno. Przepraszam.

- Rozumiem, wszystko dla dobra służby: zaciągnąć kobietę do łóżka, żeby wydobyć z niej informacje. Ale zamordować podstępnie dwunastu niewinnych ludzi - to już świństwo, panie Shaw, ohydne cuchnące świństwo.

Przez chwilę milczał. Amerykanki, pomyślał, mają całkiem odmienny sposób wyrażania swoich uczuć niż Angielki, choć niby mówią tym samym językiem.

- To straszna i całkiem bezsensowna tragedia - powiedział wreszcie. - Ale chcę, żebyście wiedzieli, zwłaszcza Dirk Pitt, że to nic ja jestem za to odpowiedzialny.

- Od początku łyśesz jak pies. Dlaczego teraz miałabym ci uwierzyć?
  - Pitt uwierzy, jeśli się dowie, że to Foss Gly podłożył ładunki.
  - .Foss Gly?
  - Pitt zna to nazwisko. Patrzyła na niego nieufnie.
  - Tyle mogłeś powiedzieć równie dobrze przez telefon. Po co mnie szukałeś? Żeby wydusić ze mnie jeszcze trochę informacji? Żeby dowiedzieć się, czy znaleźliśmy tę kopię traktatu na „Empress 01 Ireland”?
  - Nie znaleźliście - stwierdził z pewnością siebie.
  - Skąd możesz to wiedzieć?
  - Wiem, że poszukiwania w Hudsonie są kontynuowane. To wystarczający dowód.
  - No to nadal nie wiem, po co tu jesteś.
- Popatrzył na nią z uwagą.
- Chcę, żebyś przekazała prezydentowi parę słów od mojego rządu.
  - Chyba zwariowałaś?
  - Niezupełnie. Oficjalnie rząd Jej Królewskiej Mości jeszcze nic • nie wie o całej sprawie, dlatego za wcześnie na kontakty dyplomatyczne. Ale sprawa jest ważna i delikatna i trzeba się porozumieć już teraz, dlatego wybrano drogę okrężną. To dzisiaj nic niezwykłego: zwłaszcza Rosjanie specjalizują się w takich praktykach i nieźle im idzie.
  - Ale przecież ja nie mogę ot tak, po prostu, zadzwonić prezydenta. -.
  - Wcale nie musisz. Wystarczy, że przekażesz wiadomość Alanowi Mercierowi.
  - Doradcy do spraw bezpieczeństwa?
  - Temu samemu - przytaknął Shaw. Heidi wyglądała na, zdezorientowaną.
  - A co mam mu powiedzieć?
  - Powiesz po prostu, że Wielka Brytania nie odda jednego z krajów Wspólnoty tylko z powodu jakiegoś świstka papieru. I że jesteśmy gotowi podjąć skuteczne przeciwdziałanie zbrojne przeciw każdej próbie obcej ingerencji.
  - Chcecie wejść w otwarty konflikt z Ameryką?
  - Oczywiście wygracie... Ale to będzie koniec sojuszu atlantyckiego i NATO. Nasz premier sądzi, że nie zechcecie zapłacić aż takiej ceny za panowanie nad Kanadą.
  - Panowanie nad Kanadą? - powtórzyła. - To śmieszne.
  - Naprawdę? To po co angażujecie tyle sił w próby odnalezienia tego traktatu?
  - Na pewno są inne powody.

- Może... - dotknął niepewnie jej dłoni. - Ale jakoś nie chce mi się w to wierzyć.

## ROZDZIAŁ 65

- A więc pociąg leży pod zwalonymi przęsłami mostu? - spytał Pitt.

- Wszystko na to wskazuje - stwierdził Glen Chase.

- To jedyna możliwość - dodał Giordino.

Pitt wychylił się za barierkę pomostu roboczego, wiszącego za burtą barki. Obserwował, jak długie ramię dźwigu przenosi do ładowni ociekający wodą, zardzewiały dźwigar, po czym wraca nad głębinę, by znowu zapuścić w nią potężny chwytak.

- W tym tempie najwcześniej za tydzień dobierzemy się do dna - powiedział.

- Ale nie ma mowy o kopaniu, dopóki nie usuniemy tego złomu - odparł Giordino.

Pitt zwrócił się do Chase'a.

- Niech któryś z twoich ludzi wytnie palnikiem parę kawałków z tych połamanych krawędzi. Chcę to zabrać do laboratorium.

- Po co? - spytał Chase.

- Może dowiem się przynajmniej, dlaczego ten most się zawalił.

Na pokładzie barki pojawił się człowiek w kasku, z przenośnym megafonem w rękę. Wzmocniony głos przebił się przez hałas silnika dźwigu.

- Telefon do pana Pitta!

Pitt pobiegł do kabiny sterowej. W słuchawce odezwał się głos Moona.

- Jest coś nowego?

- Nic, zupełnie nic - odparł Pitt. Przez chwile trwało milczenie.

- Prezydent musi mieć kopię traktatu do poniedziałku. Pitt osłupiał.

- To tylko pięć dni.

- Jeśli nie pan nie znajdzie do poniedziałku, do pierwszej południu, kończymy wszelkie prace poszukiwawcze.

- Na litość boską, Moon! To nie jest dziedzina, w której można sobie wyznaczać ścisłe terminy.

- Przykro mi, ale takie mam instrukcje.

- Ale dlaczego tak szybko?

- Mogę tylko powiedzieć, że sprawa stała się bardzo pilna. Palce Pitta, zaciśnięte na słuchawce, przybrały kolor kości słoniowe. Nie był w stanie nic powiedzieć.

- Jest pan tam jeszcze? - spytał Moon.

- Jestem, jestem.

- Prezydentowi bardzo zależy na postępach.

- Jakich znowu „postępach”?

- Musi pan się lepiej starać - zezłościł się Moon.

- Słuchaj pan: najpierw musimy znaleźć ten cholerny pociąg i wagon, w którym był Essex.

- A kiedy macie szansę to znaleźć?

- Jest takie powiedzenie wśród archeologów: niczego nie znajdziesz, dopóki samo się nie znajdzie.

- Myślę, że prezydent gustuje w bardziej optymistycznych przysłowiach. On chce wiedzieć, jakie są szansę uzyskania kopii poniedziałku. Więc co mam mu przekazać?

- Niech pan powie prezydentowi - odparł chłodno Pitt - że jestem jasnowidzem.

Pitt dotarł do laboratorium Fundacji Heisera na Brookli. o północy. Podjechał furgonetką pod rampę i wyłączył silnik. Czekał tu na niego naczelny chemik Fundacji, doktor Walter McComb, wrą z dwoma asystentami.

- To ładnie, że czekaliście tak długo - powiedział Pitt. McComb, piętnaście lat starszy i dobre siedemdziesiąt funtów, cięższy od Pitta, dźwignął bez trudu pierwszy z brzegu kawał żelastwa.

- Pierwszy raz w życiu dostałem zamówienie prosto z Białego Domu. Jak mogłem nie czekać?

We czwórkę zataszczyli cały złom do niedużego magazynu. Tutaj pracownicy laboratorium, posługując się elektrycznymi piłami z hartowanej stali, odcięli sporo małych próbek i zabrali je do swoich specjalistycznych pracowni.

O czwartej nad ranem McComb obudził Pitta, drzemiącego na kanapie w klubie pracowniczym.

- Chyba mamy dla pana coś ciekawego - powiedział, robiąc tajemniczą minę.

Pitt ziewnął szeroko, ale nadstawił ucha.

- Rozwiązaliśmy zagadkę katastrofy mostu Deauville. McComb poprowadził go do sali, zapchanej egzotycznie wyglądającą aparaturą chemiczną. Podał Pittowi dużą lupę.

- Niech pan spojrzy na to. - Pokazał dwa kawałki metalu leżące na stole. Pitt obejrzał je pod lupą, ale nadal nie wiedział, o co chodzi.

- Metal, który łamie się wskutek zmęczenia, ma w okolicach załamania drobne,

ale widoczne pod lupą rysy, szczeliny. Może pan je dostrzec na tej lewej próbce.

Pitt przyjrzał się lewemu kawałkowi metalu jeszcze raz.

- Okay, widzę.

- A teraz niech pan zwróci uwagę, że na prawej próbce takich rys nie ma: a to właśnie jest metal z pańskiego mostu, z krawędzi pęknięcia. Zdziwiło nas to więc obejrzeliliśmy sobie próbki z mostu pod mikroskopem elektronowym. I znaleźliśmy liczne ślady siarczku żelaza.

- Co z tego wynika?

- Wynika to, panie Pitt, że most Deauville został fachowo i sumiennie podminowany i wysadzony w powietrze.

## ROZDZIAŁ 66

- Potworna historia - powiedział Preston Beatty z jakąś szczególną nutą zachwytu. - Co innego poćwiartować człowieka, co innego podać go na kolację.

- Może jeszcze jedno piwo? - zaproponował Pitt.

- Z przyjemnością. - Beatty wychylił resztę złotego płynu z dna kufla. - Swoją drogą, Hattie i Nathan Pilcherowie to postaci fascynujące. Można by powiedzieć nawet, że byli genialni: wymyślili doskonały sposób pozbycia się trupa.

Przebiegł wzrokiem po barze, pełnym wieczornych gości.

- Ta tawerna stoi na fundamentach starej karczmy Pilcherów.

Ludzie z Poughkeepsie spalili oryginalny budynek w 1823, kiedy dowiedzieli się o potwornościach, jakie się w nim dokonały. Pitt skinął na kelnerkę.

- Więc mówi pan, że Pilcherowie mordowali co bogatszych gości swojego zajazdu, a potem robili z nich potrawy?

- Tak, właśnie tak. - Było widać, że Beatty jest w swoim żywiole. Z wielkim ożywieniem opowiadał o starych zdarzeniach. Oczywiście nikt nie mógł dokładnie policzyć ofiar: wykopano zaledwie trochę przypadkowych kości. Ale można śmiało szacować, że Pilcherowie, w ciągu pięciu lat prowadzenia zajazdu, ugotowali co najmniej piętnastu-dwudziestu podróżnych.

Profesor Beatty uważany był za czołowego znawcę historii tajemniczych zbrodni. Jego książki rozchodziły się w dużych nakładach w Kanadzie i w Stanach, czasem nawet trafiały na listę bestsellerów. Pitt przyglądał mu się z ciekawością. Profesor dobiegał pięćdziesiątki, miał jasne, błękitnozielone oczy, ostre, kanciaste rysy, szpakowate włosy i gęstą czarną brodę, też lekko przyprószoną siwizną. Wygląda raczej na pirata, niż na pisarza.

- Jeszcze bardziej nieprawdopodobne - ciągnął Beatty - jest to, jak ich zdemaskowano.

- Jakiś recenzent kulinarny wystawił im złą notę - zażartował Pitt.

- Jest pan bliższy prawdy, niż się panu zdaje - roześmiał się pisarz. - Pewnego wieczoru zajechał tutaj na noc emerytowany kapitan, ze służącym Melanezyjczykiem, którego zwerbował kiedyś na wyspach Salomona. Na nieszczęście dla Pilcherów ten Melanezyjczyk pochodził z plemienia ludożerców: jego brodawki smakowe natychmiast bezbłędnie rozpoznały rodzaj mięsa w gulaszu.

- Nie brzmi to zbyt apetycznie - rzekł Pitt. - I co się stało z tymi Pilcherami? Stracono ich?



- Nie. Uciekli w trakcie przygotowań do procesu i nikt już nigdy ich nie widział...

Kelnerka przyniosła piwo. Beatty przerwał, czekając aż Pitt podpisze rachunek, potem mówił dalej.

- Przekopałem się nawet przez stare kroniki policyjne z całej Ameryki, próbując znaleźć kogoś, kto działał ich metodą, ale bezskutecznie. Świat zresztą zapomniał o Pilcherach, kiedy pojawili się nowi geniusze zbrodni, tacy jak Kuba Rozpruwacz.

- I jak Massey - dodał Pitt, kierując rozmów na interesujący go temat.

- Oczywiście, Clement Massey, alias Dapper Doyle. - Beatty wymawiał te nazwiska, jak gdyby z dumą wspominał starych, dobrych znajomych. - Bandyta, który o całe dziesięciolecia wyprzedził swoją epokę. Mógł być nauczycielem najlepszych.

- Aż taki był dobry?

- Massey miał wielki styl i był niewiarygodnie sprytny. Wszystkie akcje planował tak, że wyglądały na robotę konkurencyjnych gangów. O ile pamiętani, obrobił co najmniej sześć banków i trzy pociągi w taki sposób, że poszło to na konto innych.

- Co to był za człowiek?

- Pochodził z dobrej rodziny bostońskiej. Skończył Harvard z najwyższą notą, potem prowadził świetnie prosperujące biuro adwokackie, które obsługiwało wyższe sfery miasta Providence. Ożenił się z kobietą z tamtejszej socjety i miał z nią pięcioro dzieci. Dwa razy wybrano go do senatu stanu Massachusetts.

- Dlaczego więc napadał na banki?

- Wyłącznie dla przyjemności - odparł Beatty. - Jak się potem okazało, wszystko, co w ten sposób zdobył, przekazał na dobroczynność.

- Jak to się stało, że gazety, zwłaszcza brukowe, nie rozreklamowały takiej sensacji?

- Udział Massey'a w tych napadach wyszedł na jaw wiele lat po jego zniknięciu. Jakiś zdolny, młody dziennikarz wykrył, że Clement Massey i Dapper Doyle to ta sama osoba. Rzecz jasna starsi koledzy tego dziennikarza, powiązani ze sferami politycznymi, postarali się, żeby rzecz nie nabrała rozgłosu. Nikt nie chciał skandalu, a zresztą dowody były za słabe, żeby stawiać sprawę na wokandzie.

- Trudno uwierzyć, że nikt nigdy nie rozpoznał Massey'a podczas tych napadów.

- Bo rzadko uczestniczył w nich osobiście - wyjaśnił Beatty, i roześmiał się głośno. - Zwykle był jak generał prowadzący bitwę: dowodził armią ze stanowiska na

tyłach. Wszystkie napady organizował poza granicami własnego stanu, w miejscach, gdzie nikt go nie znał. Nawet ludzie z jego bandy nie wiedzieli, kim jest naprawdę. Tylko jeden raz, kiedy bezpośrednio kierował napadem, jeden ze świadków rozpoznał go. Ale oczywiście prowadzący śledztwo wyśmiał świadka, a jego zeznanie wyrzucił do kosza. No bo kto by uwierzył, że powszechnie szanowany senator jest bandytą?

- Podobno Doyle nigdy nie używał maski. To dziwne.

- Psychologowie mają na to wytłumaczenie. Massey prawdopodobnie odczuwał tym większą satysfakcję, im bardziej ryzykował, może nawet podświadomie chciał w końcu być rozpoznany, chciał pochwalić się swoim mistrzostwem w prowadzeniu podwójnego życia. Jak mąż zdradzający żonę, który rozmyślnie wrzuca chusteczkę śladami szminki do domowego kosza z brudną bielizną.

- Jak pan jednak wytłumaczy ten napad w Wacketshire? Dla Massey zaryzykował wszystko dla marnych osiemnastu dolców?

- Niejedną noc strawiłem bezsennie, próbując rozwikłać zagadkę. - Beatty spuścił wzrok na stół, odruchowo obracał stojąc przed nim kufel. - Rzeczywiście, z wyjątkiem tego jednego, jedyne przypadku Massey nigdy nie brał się do roboty tam, gdzie nie było przynajmniej dwudziestu pięciu balonów do wzięcia.

- I zaraz po tym napadzie zniknął bez wieści?

- Ja też bym zniknął po spowodowaniu śmierci stu osób. Beatty pociągnął spory łyk piwa. - Przecież zignorował błagania zawiadowcy, nie pozwolił mu zatrzymać pociągu, a w rezultacie zatonąła masa ludzi, w tym kobiety i dzieci. Chciał przejść do historii jako nowoczesny Robin Hood, a stanąłby przed sądem jako okrutny ludobójca.

- Więc jak pan interpretuje ten napad?

- Massey chciał obrabować pociąg - odparł Beatty rzeczowo. - Ale coś mu przeszkodziło. Tamtej nocy była wielka burza pociąg miał spóźnienie. Może to wszystko pokrzyżowało jego plany.

- Pociąg? A co takiego miałby zrabować z pociągu?

- Dwa miliony w złocie.

Pitt spojrzał na profesora z niedowierzaniem.

- Nigdzie nie pisano o ładunku złota w „Manhattan Limited”.

- To były złote dwudziestodolarówki, tak zwane St. Gaudens wybite w 1914 roku w mennicy w Filadelfii dla kilku banków nowojorskich. Dyrekcja kolei, chcąc przechytrzyć ewentualnych rabusiów, wysłała transport okreśną drogą, przez pół

kraju. Ostatni odcinek, z Albany do Nowego Jorku, wagon ze złotem miał przejechać w składzie „Manhattan Limited”. I Massey w jakiś sposób się o tym dowiedział. Oczywiście potem, po katastrofie, nikt nie pisał na temat tych pieniędzy ani słowa. Grube ryby z banków uznały, i słusznie, że wiadomość o takiej stracie zaszkodziłaby ich interesom.

- Hm... to by tłumaczyło, dlaczego linia kolejowa wydała taki majątek na próby wydobywania pociągu.

- Może... - powiedział Beatty i zamilkł na dobrą minutę. Jego myśli błądziły gdzieś w przeszłości.

- A jednak - odezwał się w końcu - ze wszystkich zbrodni, i jakie badałem w różnych stronach świata, ten groszowy rabunek Massey w Wacketshire wydaje mi się najbardziej tajemniczy.

- Tu jest jeszcze jedna mętna sprawa - powiedział Pitt.

- Co mianowicie?

- Dziś rano w laboratorium wykryto ślady siarczku żelaza w złomie pochodzącym z mostu Deauville. Beatty przymrużył oczy.

- Siarczek żelaza? Ależ to składnik prochu strzelniczego.

- Zgadza się. Wygląda na to, że to Massey rozwalił most.

- Po co? Dlaczego miałby to robić?

- Dowiemy się - odparł Pitt - dopiero wtedy, kiedy znajdziemy „Manhattan Limited”.

Wracając z Poughkeepsie na „De Soto” Pitt prowadził samochód całkiem podświadomie. Jego umysł zaprzętała pewna myśl, której dotąd nie brał pod uwagę. Początkowo wydawała mu się bezsensowna, ale nie mógł się od niej uwolnić. I nagle wszystko zaczęło mu się składać w spójną całość.

Zatrzymał się na parkingu jakiegoś supermarketu, przy budce telefonicznej, i zadzwonił do Waszyngtonu. W słuchawce odezwał się burkliwy głos.

- Sandecker, słucham.

Pitt nie tracił czasu na przedstawianie się.

- Można cię prosić o przysługę?

- Wal.

- Potrzebny mi dźwig powietrzny.

- Powtórz.

Pitt niemal widział, jak zęby Sandeckera wycinają kolejny karb na

zakleszczonym w kąciku ust grubym cygarze.

- Dźwig powietrzny. Jutro.

- Na jaką cholere?!

Pitt zanim odpowiedział, wziął głęboki oddech.

## ROZDZIAŁ 67

Yillon położył samolot lekko na skrzydło, omijając kolejny cumulus, majestatycznie puszający się w popołudniowym słońcu. Przez okno po stronie drugiego pilota Danielle patrzyła na zielony sosnowy dywan, przesuwany się w dole.

- Jakie to wszystko piękne - powiedziała z zachwytem.

- Nie widzi się tego z samolotów rejsowych - odparł Yillon. Latają za wysoko.

Dopiero teraz zauważył, jak starannie dobrała strój na te wycieczkę. Była ubrana w obcisły błękitny sweter i dżersejową spódnice w tym samym kolorze. Danielle zawsze miała w sobie coś z sawantki, ale nigdy nie tłumilo to kobiecego uroku i ciepła.

- Twój nowy samolot też jest piękny - dodała.

- To prezent od moich dobrze sytuowanych zwolenników. Dokumenty nie są oczywiście na moje nazwisko, ale samolot jest wyłącznie do mojego użytku.

Przez dłuższą chwilę milczeli. Yillon pewną ręką prowadził odrzutowiec nad wielkim parkiem krajobrazowym Laurentides. Błękitne jeziora połyskiwały wśród lasów jak diamenty rozrzucone na zielonym suknie gabloty jubilera. Lecieli dostatecznie nisko, by bez trudu rozróżniać łódki wędkarzy, łowiących sławne w tej okolicy pstrągi. Danielle pierwsza przerwała milczenie.

- Cieszę się, że mnie zaprosiłeś. To już tyle czasu...

- Och, tylko parę tygodni - powiedział, nie patrząc na nią. - Byłem zajęty kampanią.

- Myślałam, że może... może nie chcesz się już ze mną widzieć. , - Skąd ci to przyszło do głowy?

- No wiesz, to ostatnie spotkanie w domku letnim...

- Tak? - spytał z niewinną miną.

- Nie byłeś zbyt serdeczny.

Próbował sobie przypomnieć, ale nic konkretnego nie przychodziło mu do głowy. W końcu zapisał wszystko na karb kobiecego przewrażliwienia.

- Przepraszani, widocznie miałem jakieś swoje zmartwienia. Ustawił stery odrzutowca w pozycji lekkiego skrętu i włączył autopilota.

- Nie przejmuj się - powiedział. - Zaraz to nadrobimy. Wstał z fotela, wziął ją za rękę i pociągnął za sobą. Przeszli do dużej, długiej na dwadzieścia stóp kabiny pasażerskiej: na grubym dywanie zainstalowane były cztery fotele, sofa, dobrze zaopatrzone barek i spory stół. Yillon otworzył drzwi w tylnej ścianie: przedział

sypialny mieścił bez trudu wielkie, miękkie łóżko.

- Idealne gniazdko dla zakochanych - powiedział z dumą. - Spokojnie, zacisznie i na pewno daleko od ciekawskich.

Słońce wpadało przez okienka i rozlewało się na rozrzuconej pościeli. Kiedy Yillon wrócił z saloniku z czymś do picia, Danielle usiadła.

- Czy to nie jest sprzeczne z prawem? - spytała.

- Co? Seks na wysokości mili?

- Nie - odparła, odrywając się od szklanki Bloody Mary. - Takie latanie w kółko przez dwie godziny.

- Chcesz złożyć na mnie donos? Prowokująco wyciągnęła się na łóżku.

- Jasne. Już widzę ten tytuł w gazecie:

NOWY PREZYDENT QUEBECU PRZYŁAPANY W LATAJĄCYM DOMU SCHA-  
DZEK.

- Nie jestem jeszcze prezydentem - przypomniał.

- Na pewno wygrasz te wybory.

- To jeszcze sześć miesięcy. W tym czasie wszystko może się zdarzyć.

- Sondaże wykazują, że masz to jak w banku.

- A co mówi Charles?

- W ogóle nie wspomina twojego nazwiska.

Yillon usiadł na łóżku i zaczął palcami gładzić jej brzuch.

- Prawdę mówiąc, teraz, kiedy parlament odmówił mu votum zaufania, Charles nie ma już żadnej władzy. Dlaczego go nie rzucisz? Wszystko byłoby prostsze.

- Zostanę z nim jeszcze jakiś czas. To nadal dobre źródło wiedzy o różnych rzeczach ważnych dla Quebecu.

- Skoro tak, to jest ostatnio coś, co mnie bardzo interesuje.

- Co takiego? - spytała niecierpliwie. Delikatna pieśczość zaczynała ją podniecać i dekoncentrować.

- Prezydent Stanów ma w przyszłym tygodniu przemawiać w parlamencie w Ottawie. Ciekaw jestem, co ma zamiar powiedzieć. Nie słyszałaś nic na ten temat?

Chwyciła jego dłoń i przesunęła ją niżej.

- Owszem, Charles mówił mi o tym wczoraj. Nie ma powodów do niepokoju. Prezydent ma zamiar apelować o prawidłowy, spokojny przebieg separacji Quebecu.

Yillon uśmiechnął się z przekąsem.

- Przeczuwałem to. Wiedziałem, że będą próbowali wpietrzyć się w nasze

sprawy.

Danielle objęła go: traciła już kontrolę nad sobą.

- Mam nadzieję, że nie zapomniałeś zatankować paliwa w Ottawie - szepnęła.

- Starczy jeszcze na trzy godziny lotu - powiedział i przykrył ją swoim potężnym ciałem.

- Nie ma możliwości pomyłki? - spytał Sarveux.

- Absolutnie żadnej - zahuczał w słuchawce telefonu głos komisarza Finna. - Mój człowiek widział, jak wsiadali do samolotu Yillona. Obserwujemy ich na wojskowym radarze: już od pierwszej krążą nad Lorantydami.

- Ten pański człowiek jest pewien, że to Yillon?

- Tak, sir, nie ma żadnych wątpliwości - upewnił go jeszcze raz Finn.

- Dziękuję, komisarzu.

- Nie ma za co, panie premierze. Jestem do pańskiej dyspozycji. Sarveux odłożył słuchawkę i przez chwilę siedział bez ruchu, by uspokoić nerwy. Potem włączył interkom.

- Proszę go wpuścić do mnie. W pierwszym, niekontrolowanym odruchu twarz Sarveux zastygła w osłupieniu. Miał wrażenie, że doznaje halucynacji. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa, nie miał siły wstać zza biurka. Tymczasem gość przeszedł przez całą długość gabinetu i stanął naprzeciw niego.

- Dziękuję, że znalazłeś dla mnie chwilę czasu, Charles.

Twarz przybysza miała tę samą, znaną ekspresję, głos też był znajomy. Sarveux zdołał zachować pozory spokoju, ale wewnątrz czuł się dziwnie słaby, wręcz załamany. Stojący przed nim człowiek który miał wszystkie cechy Henriego Yillona, łącznie z jego niezłomną, chłodną równowagą.

- Sądziłem... sądziłem... - Sarveux zaczął się jąkać - że jesteś... zajęty kampanią w Quebecu.

- Wyrwałem się do Ottawy, bo pomyślałem, że powinniśmy zawrzeć rozejm.

- Wydaje mi się, że różnice między naszymi poglądami są zbyt, duże - rzekł Sarveux. Powoli odzyskiwał pewność siebie.

- Może... - odparł Yillon. - Ale Kanada i Quebec nie mogą ciągle na siebie warczeć. To dotyczy także nas dwóch.

- Chętnie słucham głosu rozsądku. - Głos Sarveux zabrzmiał już pewniej. - Siadaj, Henri, i mów. Co proponujesz?

## ROZDZIAŁ 68

Alan Mercier przeczytał do końca zawartość teczek, opatrzonej klauzulą: W NAJWYŻSZYM STOPNIU TAJNE - i zaczął od nowa. Nie wierzył własnym oczom. Wielokrotnie powracał do przeczytanych już kartek, próbując spojrzeć na wszystko w inny sposób, ale nadal nie mieściło mu się to w głowie. Wyglądał jak człowiek, który trzyma w ręku tykającą bombę zegarową.

Prezydent siedział naprzeciw niego, pozornie rozluźniony i spokojny. W pokoju panowała głęboka cisza: przerywało ją tylko od czasu do czasu trzaskanie kłody żarzącej się na kominku. Na stoliku pomiędzy dwoma mężczyznami stały dwie pełne potraw tace. Mercier był jednak zbyt pochłonięty lekturą, żeby myśleć o jedzeniu. Za to prezydent łapczywie połykał spóźnioną kolację.

Wreszcie Mercier zamknął skoroszyt i zdjął okulary. Przez moment wahał się, potem podniósł wzrok na prezydenta.

- Muszę jednak zapytać: czy to wszystko jest realne?

- Aż do ostatniej kropki.

- Bardzo ciekawa koncepcja. Przyznaję.

- Ja też tak uważam.

- Jak się panu udało utrzymać to przez tyle lat w tajemnicy, bez żadnych przecieków.

- O, to nie było takie trudne, zważywszy że dotąd wiedziały o tym tylko dwie osoby.

- Ale Doug Oates już wie?

- Dowiedział się dopiero po objęciu Departamentu Stanu.

- A doradca do spraw bezpieczeństwa nie zasługiwał na tę wiedzę?

- To nie było przeciwko tobie, Alan. Po prostu rozszerzam krąg wtajemniczonych w miarę postępów sprawy.

- I teraz przyszła moja kolej?

- Tak. Chcę, żebyś razem ze swoim sztabem pozyskał w Kanadzie wpływowych ludzi, skłonnych myśleć tak jak ja. Mercier przetaił chusteczką spocone czoło.

- Dobry Boże! Jeśli to wszystko nie wypali, a ludzie dowiedzą się, że państwo zbankrutowało... - Powstrzymał się od wyciągania wniosków.

- Wypali, musi wypalić - rzekł prezydent poważnym głosem.

- Może jednak za wiele się pan spodziewa.

- Ale jeśli to zostanie przyjęte, choćby w głównych zarysach, to pomyśl, ile



zyskujemy.

- Pierwszą wskazówkę, co do szans, będzie pan miał już w poniedziałek, w parlamencie kanadyjskim.

- Tak, tam chcę to ujawnić.

Mercier położył skoroszyt na stole.

- No cóż, muszę się na to zgodzić, panie prezydencie. Kiedy zachowywał się pan biernie w sprawie niepodległości Quebecu, uważałem, że robi pan straszliwy błąd. Teraz zaczynam wierzyć, że w tym szaleństwie jest metoda.

Prezydent wpadł w ton poetycko-filozoficzny:

- Otwieramy dopiero pierwsze drzwi - stwierdził. - Przed nami jeszcze bardzo, bardzo długi korytarz.

- Czy jednak nie za bardzo liczy pan na znalezienie Traktatu?

- Może masz rację. - Prezydent spojrział za okno, na Waszyngton, ale oczyma duszy widział co innego.

- Jeśli jednak do poniedziałku zdarzy się tam, na Hudsonie, jakiś cud, to możemy już zamawiać projekt nowej flagi narodowej.

## ROZDZIAŁ 69

Dźwig powietrzny rzeczywiście zasługiwał na swoją nazwę. Był to wielki helikopter, zdolny przenosić ciężkie elementy budowlane i duże maszyny, przydatny zwłaszcza tam, gdzie zawodzą inne środki transportu: na bardzo wysokich budynkach, w górach, nad rzekami, i Smukły kadłub miał sto pięć stóp długości. Wysokie, pałkowate łapy i podwozia umożliwiały podczepienie pod kadłubem bardzo dużego ładunku. Ludziom, obserwującym niezgrabną maszynę z pokładu „De Soto”, wydawało się, że to jakaś monstrualna modliszka, która uciekła z japońskich filmów science fiction. Zafascynowani patrzyli, i jak sunie dwieście stóp nad Hudsonem: wiatr powodowany przez ogromne śmigła pieniał wodę na całej szerokości rzeki.

Jeszcze dziwniejszy od samego helikoptera był jego ładunek. Nikt z obecnych tu pracowników NUMA, z wyjątkiem Pitta i Giordino, nie wiedział, czym jest i do czego służy wielki metalowy klin, podwieszony, pod brzuchem śmigłowca.

Pitt kierował operacją wodowania przez radio. Poleciał pilotowi, aby opuścił swój ładunek przy burcie „De Soto”. Dźwig powietrzny powoli wytracił prędkość poziomą, zniżył się i na parę minut zawisł nieruchomo: pilot czekał, aż ustanie ruch wahadłowy zawieszonyj na linach „Róźdzki”. Potem liny zaczęły się powoli odwijać z bębnow, aż wreszcie podwodny statek badawczy dotknął powierzchni rzeki. Teraz do pracy przystąpił mały dźwig z „De Soto”. Jego ramię wysunęło się za burtę, a pływający wokół „Róźdzki” pletwonurkowie szybko zamocowali w pierścieniach uchwytów nowe liny i odczepili poprzednie, zwisające już luźno z helikoptera. Uwolniona od ciężaru potworna modliszka ruszyła do przodu, zatoczyła szerokie półkole i pomknęła z powrotem w dół rzeki.

Ludzie gapili się na „Róźdzkę” zdezorientowani, daremnie usiłując się domyślić, do czego „toto” służy. Nagle, ku ich jeszcze większemu zdziwieniu, w górnej części metalowego dziwołaga otworzyła się kłapa, ukazała się w niej głowa, a para przymrużonych oczu surowo zlustrowała widownię.

- Gdzie, do cholery, jest Pitt?! - krzyknął intruz.
- Tutaj! - odpowiedział donośnym wrzaskiem Pitt.
- Zgadnij, co znalazłem.
- Pewnie następną butelkę lekarstwa na żmije, pod kołdrą.
- Jak na to wpadłeś? - spytał Sam Quayle ze śmiechem, ale Pitt nie przedłużał zabawy.
- Lasky jest z tobą?

- Tak, na dole, przesuwa balasty do prac na płytkich wodach.
- Mieliście fart: przelecieliście się na gapę z Bostonu.
- Odpracowaliśmy to: wszystkie systemy elektroniczne już działają.
- Kiedy będziecie mogli zejść na dno?
- Daj nam jeszcze godzinę.

Obserwujący to wszystko w milczeniu Chase stracił w końcu cierpliwość.

- Toż to jakaś mechaniczna perwersja.
- Nie używałbyś takich brzydkich słów - odparł stojący obok Giordino - gdybyś wiedział, ile to kosztuje.

Trzy godziny później „Różdżka” wykonywała już swoją podwodną misję. Choć dolna część kadłuba ślizgała się po piaszczystym dnie, górne klapy znajdowały się zaledwie dziesięć stóp pod powierzchnią. Mimo to załoga łodzi pracowała w nieznośnym napięciu: co chwila kadłub niemal ocierał się o twarde, ostre kawały poszarpanego żelastwa. Pitt śledził uważnie monitory telewizyjne, Bili Lasky ostrożnie manewrował łodzią, walcząc z silnym prądem. Za ich plecami Quayle obsługiwał całą aparaturę badawczą, zwracając szczególną uwagę na czytniki detektorów metali.

- Masz coś? - spytał Pitt, chyba już czwarty raz.
- Ciągle nic - odparł Quayle. - Rozszerzyłem wiązkę: badamy dwudziestometrowy pas do głębokości stu metrów. Ale nadal piaskiem widzę tylko puste skaliste dno.
- Chyba szukamy za blisko mostu - zasugerował Pitt, wracając się do Lasky'ego.
- Spróbujmy przejść trochę niżej.

Jeszcze pięć razy „Różdżka” przemierzyła dno rzeki w tę i z powrotem. Dwukrotnie usłyszeli przeraźliwy zgrzyt: to kadłub łodzi otarł się o żelazne szczątki mostu. Za każdym razem Pitt miał niemłą, świadomość, że jeśli dojdzie do przebicia blachy, na niego spadnie cała odpowiedzialność za zniszczenie sprzętu, wartego sześćset milionów dolarów.

Tylko Quayle nie zwracał uwagi na te zagrożenia. Był wściekły, bo jego instrumenty wciąż milczały. Coraz bardziej był też przekonany że wina leży po jego stronie.

- To musi być jakiś defekt - mamrotał pod nosem. - Inaczej już dawno byśmy coś znaleźli.
- Jaki defekt? - spytał Pitt.
- Nie wiem, do cholery! - wybuchnął Quayle. - Niby wszystko działa normalnie,

ale może coś spieprzyłem przy wstępnym programowaniu komputerów.

Nadzieje na szybkie znalezienie pociągu zaczęły słabnąć. Byli coraz bardziej zdenerwowani. Kiedy po raz szósty przepływali rzekę, silny prąd zepchnął ich na mieliznę. Prawie godzinę walczył Lasky ze sterami i napędem, by uwolnić łódź z piaszczystej pułapki. Pitt chciał skierować „Róźdzkę” w kolejny kurs, kiedy z głośnika odezwał się Giordino.

- „De Soto” do „Dopdlebug”. Słyszycie mnie?

- Tak, mów - odparł Pitt niecierpliwie.

- Coś tam, chłopcy, cicho siedzicie.

- Bo nie ma o czym gadać.

- Chyba będziecie musieli zwinąć kramik. Zbliża się silny front burzowy. Chase wolałby zabezpieczyć to elektroniczne cudeńko, zanim zacznie się wiatr.

Pitt nie należał do ludzi, którzy łatwo się poddają, ale tym razem nie było się co upierać. Zwątpił w dalszy sens poszukiwań. Ich czas się praktycznie kończył: nawet jeśli znajdą pociąg w ciągu najbliższych paru godzin, to ekipy wydobywcze nie dokopią się do niego przed poniedziałkiem - przed wystąpieniem prezydenta w kanadyjskim parlamencie.

- Okay - powiedział. - Przygotujcie nam jakaś wygodny ką. Zwijamy manatki.

Giordino stał na mostku i patrzył na czarne chmury, gromadzące się nad kutrem.

- Jakaś klątwa ciąży chyba nad tym projektem - mruknął ponuro. - Teraz jeszcze ta pogoda, jakbyśmy mieli za mało innych problemów.

- Pewnie ten na górze nas nie lubi - powiedział Chase, wskazując palcem w niebo.

- Masz na myśli Pana Boga, ty poganinie? - zażartował dobrodusznie Giordino.

- Nie - odparł Chase całkiem poważnym tonem. - Mam na myśli tego upiora.

Pitt odwrócił się w ich stronę.

- Jakiego upiora?

- No, pojawia się tu taki jeden - wymamrotał Chase. - Tylko nikt się nie chce głośno przyznać, że go widział.

- Mów za siebie - zaprotestował Giordino. - Ja nic nie widziałem, słyszałem tylko.

- Przecież to świeciło jak wszyscy diabli, kiedy wjeżdżało na nasyp przed mostem. Reflektor był tak silny, że oświetlał kawał wschodniego brzegu. A on mówi,

że nie widział...

- Zaczekaj - przerwał mu Pitt. - Mówicie o pociągu widmie? Giordino spojrzał na niego zdumiony.

- To ty wiesz?

- A jest ktoś, kto nie wie? - odpowiedział pytaniem Pitt. - W tej okolicy wszyscy twierdzą, że to duch tamtego pociągu wciąż próbuje przedostać się przez most Deauville na drugą stronę.

- Chyba w to nie wierzysz? - spytał ostrożnie Chase.

- Wierzę w to, że nocami pojawia się na torowisku coś, co dudni, gwizdże i sapie jak parowóz. Prawdę mówiąc, niewiele brakowało, a byłby mnie przejechał.

- Kiedy?

- Dwa miesiące temu, kiedy przyjechałem obejrzeć to miejsce. Giordino pokiwał głową z rezygnacją.

- No, to przynajmniej nie sam pójde do czubków.

- Ile razy ten upiór was nawiedzał? - spytał Pitt. Giordino spojrzał niepewnie na Chase'a.

- Dwa..., nie, trzy razy.

- I mówicie, że czasem są tylko dźwięki, ale nic nie widać?

- Pierwsze dwa przypadki to był tylko gwizd i łoskot lokomotywy - wyjaśnił Chase. - Dopiero za trzecim razem mieliśmy pełny spektakl. Oprócz hałasu było to oślepiające światło.

- Ja też widziałem światło... - powiedział Pitt powoli, jakby się zastanawiał. - Jaka była pogoda w waszych przypadkach? Chase namyślał się przez chwilę.

- Jeśli dobrze pamiętam, ta noc, kiedy pojawiło się światło, była pogodna, ale wyjątkowo ciemna.

- A tamte dwie noce, kiedy był tylko hałas - dodał Giordino, były jasne, świecił księżyc.

- To już jest jakaś prawidłowość - rzekł Pitt. - Tamtej nocy, kiedy ja tu byłem, też nie było księżyca.

- Eee, całe to gadanie o duchach nie pomoże nam znaleźć prawdziwego pociągu - zniecierpliwiał się Giordino. - Spróbujmy wrócić do rzeczywistości i wykombinować jakiś sposób dostania się dół wraku w ciągu tych... - spojrzał na zegarek - siedemdziesięciu czterech godzin.

- A ja mam inny pomysł - rzekł Pitt.

- Jaki? - spytali chórem.

- Rzucić to wszystko w cholere.

Giordino roześmiał się, uznał to za niezły dowcip, ale twarz Pitta była najzupełniej poważna, zamyślona, nieobecna. Giordino przestał się śmiać.

- Jak to wytłumaczysz prezydentowi?

- Prezydentowi? - powtórzył w roztargnieniu Pitt. - Powiem mu, że łowiliśmy ryby na pustyni i że zmarnowaliśmy kupę czasu i pieniędzy na szukanie czegoś, co było tylko złudzeniem.

- O czym ty mówisz.

- O pociągu, o „Manhattan Limited”. Nie ma go na dnie Hudsonu. I nigdy nie było.

## ROZDZIAŁ 70

Zachodzące słońce zniknęło nagle. Niebo pociemniało, stało się groźne. Pitt, Giordino i Chase stali na starym torowisku, wsłuchując się w głuche odgłosy burzy: były coraz donośniejsze, coraz bliższe. Nagle błysnęło gdzieś całkiem blisko, grzmot potoczył się echem po okolicy, spadły pierwsze krople deszczu.

Wiatr smagał drzewa z demonicznym wyciem. Wilgotne powietrze było duszne, naładowane elektrycznością. W ciągu paru minut zrobiło się całkiem ciemno, czarne niebo przecinały oślepiające zygzyki błyskawic. Deszcz, coraz gęstszy, niesiony uderzeniami wiatru niemal poziomo, kłuł boleśnie twarze czekających na torowisku mężczyzn. Pitt zapiął ciasno kołnierz płaszcza, skulił się i przygarbił, ale wciąż z uwagą spoglądał w ciemność nocy.

- Skąd masz pewność, że właśnie dzisiaj się pojawi? - spytał Giordino.

- Jest taka sama pogoda jak tamtej nocy, kiedy most runął - odparł Pitt. - Założyłbym się, że ten duch ma melodramatyczne upodobanie do takich analogii.

- Daję mu na to jeszcze godzinę. - Po raz pierwszy od dłuższego czasu odezwał się zmaltretowany Chase. - A potem wracam na kuter i porozmawiam sobie z buteleczką.

- Chodźcie - powiedział Pitt. - Zrobimy sobie małą wycieczkę po torowisku.

Chase i Giordino niechętnie powlekli się za nim. Błyskawice następowały już jedna po drugiej. Zakotwiczony na rzece „De Soto” wyglądał w ich świetle „jak upiorne, szare widmo. Jediną oznaką życia była biała lampa na maszcie, świecąca na przekór ulewie.

Uszli jakieś pół mili. Nagle Pitt zatrzymał się i przechylił głowę, jakby nasłuchując.

- Wydaje mi się, że coś słyszałem.

Giordino przyłożył do uszu zwinięte w muszlę dłonie. Musiał odczekać, aż w powietrzu przebrzmi echo ostatniego grzmotu. Po chwili i on to usłyszał: żalobne zawodzenie odległego gwizdka parowozu.

- No, wywołałeś go - stwierdził Chase z uznaniem. - Jedzie zgodnie z rozkładem.

Przez kilka sekund nikt nic nie mówił. Gwizd powtarzał się, coraz silniejszy, potem dołączył do niego dźwięk dzwonu i świst wyrzucanej pary. Na chwilę wszystko zagłuszył kolejny wściekły grzmot, Chase przysięgał później, że fizycznie poczuł, jak w tym momencie czas się zatrzymał.

Chwilę później w oddali pojawiło się silne światło. Widocznie tor w tym miejscu lekko skręcał, bo snop światła z reflektora omiótł okoliczne drzewa i zatrzymał się na twarzach trzech zmoczonych ludzi, wywołując na nich żółtawe refleksy. Patrzyli przed siebie, nadal niedowierzający, ale już pewni, że to nie jest wytwór ich wyobraźni. Giordino odwrócił się, by coś powiedzieć do Pitta, i ze zdumieniem zobaczył, że tamten się śmieje: w upiornym blasku coraz bliższego reflektora Pitt szczyrzył się od ucha do ucha.

- Odwróćcie się - powiedział - zamknijcie oczy i zasłońcie rękami. Nie dajcie się oślepić. Odślonicie oczy dopiero na mój znak. Czekaście spokojnie, aż zawołam.

Instynkt samozachowawczy dyktował coś całkiem przeciwnego: uciekać stąd jak najszybciej, a przynajmniej położyć się płasko na ziemi. Odwagi dodawała im jedynie stanowcza, spokojna postawa Pitta. Ale nie były to łatwe chwile. Giordino czekał w napięciu na straszliwe uderzenie, które zmiażdży jego ciało i kości. Usiłował jakoś pogodzić się z myślą, że za chwilę umrze. Piekielny łoskot zbliżał się szybko, był już prawie przy nich. Czyżby znaleźli się w jakiejś pułapce czasoprzestrzeni, w miejscu, gdzie nie obowiązuje wiedza i logika dwudziestego wieku?

Niewiarygodne zjawisko przetoczyło się nad nimi i pomknęło w stronę ruin mostu.

- Teraz! - zawołał Pitt, z trudem przekrzykując hałas.

Opuścili dłonie i szeroko otworzyli oczy, nawykłe do ciemności. Światło, skierowane w stronę rzeki, rozprasało się w ulewnym deszczu w rozległy jasny krąg. Na jego tle wyraźnie widzieli, na wysokości około ośmiu stóp, czarny prostokąt: szybko oddalał się od nich. Wraz z nim oddalały się i słaby odgłosy pędzącego parowozu. Trzej mężczyźni patrzyli zafascynowani, jak dziwne zjawisko wspina się na nasyp przed mostem. Wreszcie poświata zniknęła, a dźwięki roztopiły się w odgłosach burzy.

- Co to za cholerstwo? - mruknął Chase.

- Staroświecki reflektor z parowozu i dobry nowoczesny wzmacniacz - odparł Pitt.

- Tak myślisz? - Giordino nie był przekonany. - A w jaki sposób to wędruje w powietrzu?

- Po słupach telegraficznych, na linie.

- Że też zawsze musi być jakieś logiczne wyjaśnienie - odezwał się Chase z wyraźnym rozczarowaniem. - Prawdę mówiąc, wcale nie lubię, jak demaskuje się



stare, dobre mity.

Pitt podniósł rękę w górę.

- Lepiej popatrz tam. Twój mit za chwilę będzie wracać.

Podeszli do najbliższego słupa telegraficznego. Minutę później na tle ciemnego nieba, od strony mostu, pojawił się duży, czarny kształt. Przemknął nad nimi prawie bezgłośnie i zniknął w ciemnościach.

- Ależ dałem się nabrać - przyznał samokrytycznie Giordino.

- Ciekawe, kto to zmajstrował i po co? - rzekł Chase. Pitt nie od razu odpowiedział. Kolejna błyskawica oświetliła jego twarz, na której malował się głęboki namysł.

- Wiecie, co myślę? - odezwał się w końcu.

- No, mów.

- Myślę, że pora na filiżankę kawy i kawałek gorącej szarlotki.

Kiedy Anselm Magee otworzył przed nimi drzwi, wyglądali jak utopione szczury. Sławny rzeźbiarz serdecznie zaprosił ich do środka i pomógł zdjąć ociekające wodą płaszcze. Ledwie Pitt przedstawił swoich kolegów, Annie Magee, zgodnie z jego oczekiwaniami, ruszyła do kuchni, by zakrzętnąć się wokół kawy i ciasta - tyle że tym razem miał to być placek z wiśniami.

- Co też panów sprowadza w taką straszną noc? - spytał Magee.

- Polowaliśmy na duchy - odparł Pitt z uśmiechem. Gospodarz chytrze przymrużył oczy.

- I co, udało się?

- Czy moglibyśmy porozmawiać o tym w biurze zawiadowcy? Magee przyjął propozycję z wyraźną przyjemnością.

- Oczywiście. Proszę, proszę.

Barwnie opowiedział gościom całą historię, jaka rozegrała się w tym pokoju w maju 1914 roku. Mówił, rozpalając jednocześnie ogień w starym, pękatym piecyku. Pitt siedział w milczeniu przy antycznym, zamykanym żaluzją biurku Sama Hardinga. Znał już tę historię, teraz jego myśli błądziły gdzie indziej.

Magee doszedł już do momentu, w którym kula z pistoletu roztrzaskała szachownicę telegrafisty Meechuma, kiedy w pokoju pojawiła się Annie, niosąca na tacy filiżanki, dzbanek z kawą i ciasto. Goście pochłonęli placek aż do ostatniego okruszka. Dopiero wtedy Magee powtórzył swoje pytanie.

- W końcu nie powiedział pan, czy udało się upolować jakiegoś ducha.

- Nie - stwierdził Pitt. - Ducha nie. Ale odkryliśmy pewne chytne urządzenie, które imituje pociąg.

Magee wzruszył bezradnie potężnymi barkami.

- Wiedziałem, że w końcu ktoś to odkryje. Miejscowi ludzie jakoś zaakceptowali widmo. Nie to, żeby wierzyli - niejeden na pewno podejrzewał jakieś oszustwo, ale nikt nawet nie przyszedł sprawdzić, są na swój sposób zadowoleni i dumni, że mają swojego lokalnego upiora, i chępią się nim przed turystami.

- Kiedy pan na to wpadł?

- Tamtej nocy, kiedy pierwszy raz zastukałem do waszych drzwi. Godzinę wcześniej widziałem ten „pociąg”. Stałem wtedy na końcu nasypu, nad rzeką, i dzięki temu widziałem, jak wszystko nagle zgasło i ucichło parę jardów przede mną.

- I zorientował się pan, jak to działa.

- Nie, byłem oślepiiony. Zanim moje oczy przyzwyczyły się do ciemności, ta maszyna musiała być już daleko. Początkowo byłem kompletnie zdezorientowany: zacząłem szukać na ziemi, pod śniegiem. Nie znalazłem ani szyn, ani nawet podkładów. Ale to mi dało do, myślenia. Jeśli stary tor rozebrano aż do ostatniej śrubki, to dlaczego pozostawiono słupy telegraficzne? Zarządy kolei są raczej oszczędne: nie zostawiają na opuszczonym terenie niczego, co mogłoby się jeszcze przydać. Więc poszedłem wzdłuż słupów, aż dotarłem do ostatniego. Stoi przy drzwiach szopy, w której kończy się wasza prywatna linia. A potem zauważyłem jeszcze, że parowóz w szopie nie ma latarni.

- Chyba należy się panu jakaś nagroda, panie Pitt - rzekła Annie. - Jest pan pierwszym, który rozwiązał zagadkę...

- Jak to działa? - spytał Giordino.

- Tak samo, jak narciarski wyciąg krzeselkowy - wyjaśnił Magee. - Latarnia i zestaw czterech głośników są zawieszane na linie, która przesuwa się po rolkach zainstalowanych na słupach. Kiedy urządzenie dochodzi do ostatniego słupa przed mostem, automat wyłącza światło i dźwięk. Potem wszystko objeżdża słup dookoła i jedzie z powrotem do szopy.

- A dlaczego w niektóre noce słyszeliśmy tylko dźwięki, ale nie widzieliśmy światła?

- Latarnia parowozu jest duża - wyjaśnił Magee - więc łatwo ją zauważyć. Dlatego w widne, księżycowe noce puszczamy w rejs tylko system dźwiękowy.

Giordino roześmiał się szeroko.

- Nie da się ukryć, że Chase i ja byliśmy już skłonni uwierzyć w życie pozagrobowe.

- Mam nadzieję, że nie sprawiłem wam tym jakichś szczególnych kłopotów?

- Nie... Mieliliśmy po prostu dodatkowy temat do konwersacji.

- Annie i ja bardzo interesujemy się waszą akcją: prawie codziennie chodzimy na brzeg i patrzymy, jak wam idzie. Wygląda na to, że macie jakieś problemy. Udało się znaleźć szczątki „Manhattan Limited”?

- Ani jednej śrubki - odparł Pitt. - Rezygnujemy.

- Co? Jak wam nie wstyd? - obruszył się szczerze Magee i wyjaśnił: - Bo ja już stałem się waszym fanatycznym kibicem. Ale rozumiem, że straciliście nadzieję na znalezienie pociągu?

- W każdym razie nie w rzece.

- Może jeszcze kawy? - Annie ruszyła w koło z dzbankiem.

- Powiedział pan... - zaczął Magee, ale Pitt wolał zmienić temat i wykorzystał chwilę wahania gospodarza.

- Ma pan może taki mały, motorowy wózek, jakiego używają kolejarze przy naprawie torów? - spytał.

- Mam autentyczną, osiemdziesięcioletnią drezynę, z ręcznym napędem. Trzeba mieć niezłe mięśnie, żeby ją ruszyć, ale potem już idzie łatwo.

- Czy moglibyśmy się nią przejechać, razem z całą tą imitacją pociągu?

- Proszę bardzo. Kiedy chcecie to zrobić?

- Teraz.

- W taką diabelską noc?

- Właśnie taka diabelska noc będzie najlepsza.

## ROZDZIAŁ 71

Giordino zajął pozycję na peronie, przy budynku stacji. Trzymał w ręku dużą latarkę. Narożnik budynku osłaniał go nieco przed zacinającym deszczem. Znacznie mniej szczęścia miał Chase. Kulił się z zimna na odkrytej dreźnie, stojącej na szynach ćwierć mili na północ od stacji. Chyba już dziesiąty raz suszył styki akumulatora i zaciski przewodów zasilających wielką latarnię parowozową i system audio. Oba urządzenia były przymocowane na słowo honoru z przodu drezyny.

W biurze zawiadowcy Pitt podszedł do otwartych drzwi i dał znak ręką. Giordino zeskoczył na torowisko i błysnął latarką w ciemność.

- Diabli nadali, w taką porę... - mruknął Chase, ale przesunął dźwignię wyłącznika i nacisnął całym ciężarem ciała „pompę” ręcznego napędu. Snop światła z latarni zatańczył na mokrych szynach, a przeraźliwy gwizd łatwo przebił się przez szum wiatru i deszczu. Pitt obserwował przez chwilę odległe światło. Potem, zadowolony z tempa, jakie rozwinęła dreżyna, wrócił do pokoju, z przyjemnością chłonął ciepło rozgrzanego piecyka.

- Jedziemy - stwierdził krótko.

- Po co właściwie odtwarza pan tamten napad? - spytał Magee.

- Jeszcze nie wiem, za parę minut będę wiedział lepiej - odparł Pitt wymijająco.

- A mnie to nawet bawi - oświadczyła Annie.

- Tak? Więc zagra pani telegrafistę, Hirama Meechuma, a ja zawiadowcę, Sama Hardinga. Pan, panie Magee, jest tu największym autorytetem: zagra pan Clementa Maseya i oczywiście będzie pan nas instruował, krok po kroku.

- Spróbuję - rzekł niepewnie. - Ale to przecież niemożliwe odtworzyć dokładnie sytuację i dialogi sprzed siedemdziesięciu pięciu lat.

- To nie musi być doskonałe przedstawienie. - Pitt uśmiechnął się. - Wystarczy zwykła próba sytuacyjna.

- Okay - zgodził się Magee. - No więc, Meechum siedzi przy swoim stole, nad szachownicą. Harding przed chwilą rozmawiał z dyspozytorem w Albany, więc chyba stoi jeszcze przy telefonie, pod, ścianą.

Podszedł do otwartych wciąż drzwi, w progu odwrócił się i wyciągnął przed siebie rękę, jakby mierząc z pistoletu. Odgłosy parowozu zbliżały się, tylko momentami zagłuszały je silne grzmoty. Magee nasłuchiwał przez chwilę, potem przypomniał sobie swoją rolę.

- To jest napad - powiedział.

Annie spojrzała na Pitta, niepewna, co powinna teraz zrobić.

- Po początkowym zaskoczeniu kolejarze podjęli chyba jakąś, próbę rozmowy?

- Tak. Sam Harding powiedział mi, że próbował przekonać Massey'a, że na stacji nie ma pieniędzy. Ale tamten nie chciał słuchać, zażądał otwarcia sejfu.

- Oni oczywiście protestowali... - domyślił się Pitt.

- Tylko na początku. Potem Harding zgodził się, ale chciał najpierw wynieść lampę i zatrzymać pociąg. Massey nie zgadzał się. I podejrzewał, że to jakiś podstęp. W końcu stracił cierpliwość i strzelił w szachownicę Meechuma.

Annie wahała się przez chwilę, ale w końcu zrzuciła antyczną szachownicę ze stołu: figury rozsypały się szeroko po podłodze.

- Harding błagał Massey'a, próbował mu uświadomić, że most jest zerwany - kontynuował Magee. - Ale Massey nic sobie z tego nie robił.

Na ramie okna pojawił się odbłask reflektora zainstalowanego na dreźnie. Dopiero teraz, w tym świetle, Pitt zauważył, jak bardzo przejęty jest Magee: jego oczy oglądały ożywioną nagle przeszłość.

- Co dalej?

- Meechum chwyta lampę i próbuje wyjść z nią na peron. Massey strzela do niego i trafia w biodro.

Pitt obrócił głowę.

- Annie, pani kolej.

Annie zrobiła kilka kroków w stronę drzwi, potem osunęła się na podłogę i zastygła w półleżącej pozycji.

Drezyna była już zaledwie sto jardów od nich. W świetle jej reflektora Pitt mógł odczytać drobny druk w wiszącym przy oknie kalendarzu.

- Drzwi - przypomniał sobie. - Były otwarte, czy zamknięte? Magee zastanawiał się.

- Szybciej, szybciej - nalegał Pitt.

- Massey zatrzasnął je kopniakiem - przypomniał sobie wreszcie rzeźbiarz.

Pitt zamknął szybko drzwi.

- Co dalej?

- Otwieraj ten cholerny sejf! - wrzasnął Magee i dodał: - To są dokładne słowa Massey'a, według tego, co mi mówił Harding.

Pitt ukląkł przed starym stalowym sejfem. Pięć sekund później drezyna, z Chase'em „pompującym” ile sił, przetoczyła się za oknem, basowe dudnienie

głośników zatrzęsło starym drewnianym budynkiem. Giordino, stojąc przed oknem, omiatał je światłem swojej latarki, regularnym, kolistym ruchem. Ludzie zamknięci w biurze zawiadowcy odnieśli wrażenie, jakby za oknem przelatywały światła kolejnych wagonów, brakowało tylko stukotu kół na złączeniach szyn.

Całe ciało Anselma Magee przeszły dziwny, niesamowity dreszcz. Miał wrażenie, jakby wreszcie dotknął przeszłości: przeszłości, która od dawna go fascynowała, ale której nigdy nie poznał naprawdę.

Zaniepokojona Annie wstała z podłogi i objęła go. Z troską wpatrywała się w jego twarz.

- To było tak rzeczywiste... tak niewiarygodnie rzeczywiste... - wyszeptał.

- To dlatego, że dokładnie odtworzyliśmy wszystko, co wydarzyło się tu w tysiąc dziewięćset czteremastym - powiedział Pitt. Magee spojrzał na niego trzeźwo.

- No, nie wszystko... Wtedy był tu prawdziwy „Manhattan Limited”.

Pitt pokręcił głową.

- Wtedy też go tu nie było - powiedział.

- Ależ... jak może pan tak mówić? Przecież Harding i Meechum widzieli pociąg.

- Widzieli to samo, co my: oszukańczą inscenizację.

- To niemożliwe... To byli doświadczeni kolejarze... Nie daliby się tak nabrać.

- Ale Meechum leżał na podłodze, ranny, drzwi były zamknięte, a Harding klęczał przy sejfie, tyłem do okna. Oczywiście obaj widzieli światła. Obaj słyszeli odgłos przejeżdżającego pociągu. Odgłos nagrany na płycie i odtworzony na gramofonie, stojącym za ścianą.

- Ale most... Przecież załamał się pod ciężarem pociągu. Tego nie można było sfalszować.

- Massey naszpikował most małymi ładunkami wybuchowymi. Małymi, bo wiedział, że jeden wielki wybuch natychmiast zaalarmowałby całą okolicę. Miał przy tym szczęście: odpalał te swoje ładunki już w czasie burzy. W końcu środkowe przęsło nie wytrzymało i zważyło się do rzeki.

Magee, wciąż oszołomiony, milczał.

- Cały ten napad na stację - ciągnął Pitt - to było tylko mydlenie oczu, zasłona dymna. Massey miał na widoku znacznie ciekawsze rzeczy niż nędzne osiemnaście dolarów w sejfie. Polował na dwa miliony w złocie, które wiozł „Manhattan Limited”.

- To po co by robił ten cały teatr? - spytał Magee, bynajmniej nie przekonany. - Mógł po prostu zatrzymać pociąg gdzieś w polu i sterroryzować obsługę i zabrać to

złoto.

- Takie proste to jest tylko w Hollywood - odparł Pitt. W rzeczywistości zawsze pojawiają się jakieś haki. To złoto to były dwudziestodolarowe monety zwane St. Gaudens. Każda ważyła prawie uncję. Policzmy: dwa miliony dolarów to sto tysięcy takich monet. Czyli sto tysięcy uncji, a więc ponad trzy tony. Nawet duża banda nie zdołałaby zabrać takiego ładunku po przybyciu policji, bo przecież jasne, że kolejarze szybko domyśliliby się przyczyny spóźnienia pociągu i wysłaliby tam całą armię ludzi.

- No dobrze - odezwał się Giordino, który tymczasem, wraz z Chase'em, dołączył do towarzystwa. - Ale muszę wreszcie zadać to zasadnicze pytanie. Jeśli pociąg nie przejeżdżał tędy i nie zatonał w Hudsonie - to gdzie jest?

- Myślę, że Missey opanował pociąg, skierował go na bocznice, i ukrył w jakimś nieznanym miejscu, gdzie stoi do dziś.

Reakcja słuchaczy nie byłaby zapewne bardziej sceptyczna, gdyby Pitt powiedział na przykład, że jest przybyszem z Wenus albo nowym wcieleniem Napoleona Bonaparte. Magee wbił w ziemię zażenowany wzrok. Tylko Annie podeszła do sprawy rzeczowo.

- Jest co najmniej jedna rzecz, która potwierdza teorię pana Pitta. Magee spojrział na nią jak na niegrzeczne dziecko, ale Annie, nie zrażona tym, mówiła dalej.

- No bo dlaczego nikt, kompletnie nikt z pasażerów ani z obsługi nie przeżył katastrofy? Dlaczego rzeka nie wyrzuciła ani jednych zwłok? Dlaczego nikt nigdy nie przyznał się do udziału w tym napadzie? To się przecież zdarza bandytom na łożu śmierci. I dlaczego przez wszystkie te lata nie znaleziono na dnie ani jednego fragmentu pociągu?

- Tak, to rzeczywiście wygląda na największe nie wyjaśnione zniknięcie w dziejach świata - przyznał Chase. Pitt już od dłuższego czasu nie słuchał rozmowy.

- Panie Magee - spytał nagle - jak daleko jest stąd do Albany?

- Około dwudziestu pięciu mil. A dlaczego pan pyta?

- Ostatni raz widziano naprawdę „Manhattan Limited” na dworcu w Albany.

- Pan rzeczywiście wierzy...

- Ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć - przerwał Pitt. - W mity, w duchy, w dogmaty religijne, w zjawiska nadprzyrodzone. A ja wierzę w to, że pewien realnie istniejący, fizyczny obiekt został po prostu uprowadzony w jakieś miejsce, gdzie przez następne trzy ćwierci wieku nikt nie zaglądał. Nikt przecież nawet nie szukał tego

pociągu gdzie indziej: wszyscy byli przekonani, że leży na dnie rzeki.

Magee westchnął głęboko.

- Jakże ma pan plany?

Pitt wyglądał na zaskoczonego tym pytaniem.

- Mam zamiar przeszukać całe porzucone torowisko, stąd aż do Albany - rzekł wreszcie z ponurą determinacją. - I nie spocznę, póki nie znajdę śladów jakiejś boczniczy, prowadzącej diabli wiedzą dokąd.



## ROZDZIAŁ 72

Telefon zadzwonił kwadrans po jedenastej. Sandecker, który czytał jeszcze książkę przed snem, odłożył ją na bok i sięgnął po słuchawkę.

- Sandecker.

- To znowu ja, Pitt.

Admirał podciągnął się do pozycji siedzącej.

- Skąd dzwonicz tym razem?

- Z Albany. Mam sprawę.

- Znowu jakieś problemy z akcją wydobywczą?

- Odwołałem ją.

Sandecker wziął głęboki oddech, zanim znowu się odezwał.

- Zechcesz mi wyjaśnić, dlaczego?

- Szukaliśmy w złym miejscu.

- Chryste Panie -jęknął admirał. - Tylko tego nam brakowało. Szlag by to trafił... Nie ma żadnych wątpliwości?

- Ja nie mam.

- Zaczekaj chwilę.

Sandecker otworzył hermetyczne pudełko, leżące na stoliku przy łóżku, wyjął cygaro i zapalił je. Nawet po zniesieniu w 1985 embarga na towary kubańskie, nadal palił cygara z Hondurasu, ze względu na ich delikatniejszy aromat i luźniejszą strukturę. Zawsze uważał, że cygaro pozwala lepiej zapanować nad myślami. Otoczył się wielką chmurą dymu i wrócił do przerwanej rozmowy.

- Dirk?

- Jeszcze tu jestem.

- A co ja powiem prezydentowi?

Po chwili milczenia Pitt odpowiedział spokojnie i dobitnie:

- Powiedz mu, że szansę wzrosły: z jednej milionowej do jednej tysięcznej...

- Znalazłeś coś?

- Tego nie powiedziałem.

- No więc, co właściwie masz?

- Co najwyżej silne przeczucie.

- A czego chcesz ode mnie?

- Skontaktuj się z Heidi Milligan. Zatrzymała się w hotelu Grammercy Park w Nowym Jorku. Poproś ją, żeby poszperała w starych archiwach kolejowych. Niech

obejrzy mapy linii New York & Quebec Northern z lat 1880-1914. I niech spisze wszystkie bocznice i odnogi między Albany i mostem Deauville.

- Okay, dopilnuję tego. Masz jej numer?

- Nie. Musisz spytać w informacji. Sandecker zaciągnął się głęboko.

- Są jakieś szanse na ten poniedziałek?

- Mizerne. Tu, niestety, nic nie da się przyspieszyć.

- Prezydent bardzo potrzebuje tej kopii.

- Po co?

- To ty nie wiesz?

- Jak pytałem Moona, to nabrał wody w usta.

- Prezydent ma wystąpić na wspólnym posiedzeniu obu izb parlamentu kanadyjskiego. Przedstawi tam propozycję unii państwowej Kanady i USA. Prowincje atlantyckie są raczej przychylne, zwłaszcza odkąd Quebec ogłosił niepodległość i odseparował je od reszty Kanady. Ale prezydent chciałby włączyć w ten plan także prowincje zachodnie. I tu właśnie przydałby mu się podpisany egzemplarz Traktatu Północno-amerykańskiego. Nie żeby do czegoś zmuszać czy szantażować, ale żeby usunąć różne biurokratyczne opory i zablokować ewentualne protesty ze strony Londynu. Prezydent ma szansę zapoczątkować zjednoczenie i Ameryki Pomocnej już za pięćdziesiąt osiem godzin. Teraz rozumiesz?

- Taaak... - wycedził Pitt. - Zaczynam rozumieć. Podziękuj przy okazji prezydentowi i jego koleżkom, że tak szybko mnie wtajemniczyli.

- A nawet gdybyś wiedział wcześniej: czy to by coś zmieniło?

- Nie sądzę, prawdę mówiąc...

- Gdzie ta Heidi ma cię szukać?

- Zostawiam „De Soto” na kotwicy przy ruinach mostu, jako centrum dowodzenia. Kieruj tam wszystkie wiadomości dla mnie.

Nie było o czym więcej mówić, Sandecker rzekł więc po prostu: „Powodzenia”, a Pitt odpowiedział: „Dziękuję” - i rozłączyli się.

Sandecker w ciągu niespełna minuty uzyskał telefon hotelu, w którym zatrzymała się Heidi. Wystukał go natychmiast. Dość długo czekał, zanim w słuchawce odezwał się zaspany kobiecy głos:

- Dobry wieczór, tu Grammercy Park Hotel.

- Proszę mnie połączyć z pokojem komandora Milligan. Znów musiał chwilę czekać.

- Tak, to będzie numer trzy-sześć-siedem... Łączę.

- Halo? - odezwał się jakiś mężczyzna.

- Czy to pokój komandora Milligan? - Sandecker tracił już cierpliwość.

- Nie, proszę pana, to recepcja, mówi zastępca kierownika. Pani komandor niestety wyszła.

- Nie wie pan, kiedy wróci?

- Nie, sir, wyszła szybko i nic nie mówiła.

- Ma pan fantastyczną pamięć - rzekł Sandecker, któremu coś tu się nie podobało.

- Dlaczego pan tak sądzi?

- Rozpoznaje pan każdego gościa przechodzącego przez hol?

- Jeśli ten gość to bardzo atrakcyjna pani, mająca sześć stóp wzrostu i nogę w gipsie - to rozpoznaję.

- Rozumiem.

- Czy mam jej coś przekazać? Sandecker zastanawiał się przez moment.

- Nie. Zadzwoń jeszcze raz, później.

- Chwileczkę, sir. Zdaje się, że właśnie wróciła, wsiadła do windy. Gdyby pan zechciał jeszcze chwilę poczekać, połączę pana z jej pokojem.

Brian Shaw odłożył słuchawkę na stolik i poszedł do łazienki. Heidi leżała w wannie, przykryta grubą warstwą piany. Noga w gipsowym pancerzu śmiesznie sterczała, oparta o krawędź wanny. Heidi sięgnęła leniwie po stojący na półce duży kieliszek. Był pusty.

- Wenus zrodzona z piany morskiej - zakpił Shaw. - Szkoda, że nie mam aparatu fotograficznego.

- Lepiej nalej mi szampana - powiedziała, wskazując dużą, butelkę Taittingera, stojącą na krawędzi umywalki. Sięgnął po nią i napełnił kieliszek. Resztę lodowatego trunku wylał na piersi Heidi.

Pisnęła głośno i próbowała ochlapać go wodą, ale w porę umknął za drzwi.

- Nie daruję ci tego! - krzyknęła.

- Zanim wypowiesz mi wojnę, odbierz telefon.

- A kto to? - spytała.

- Nie przedstawił się. Sądząc z głosu, jeszcze jeden śmieszny staruszek. - Zajrzał znowu do łazienki i pokazał palcem telefon wiszący na ścianie przy wannie. - Możesz odebrać tutaj. Odłożę tamtą słuchawkę.

Kiedy w słuchawce odezwał się głos Heidi, Shaw szybko nacisnął wyłącznik telefonu, ale jeszcze szybciej go puścił. Uważnie wysłuchał całej rozmowy. Kiedy Sandecker pożegnał się, Shaw czekał, aż Heidi powiesi słuchawkę. Nie zrobiła tego.

Sprytna dziewczynka, pomyślał. Nie ufa mu.

Dopiero po jakichś dziesięciu sekundach w jego słuchawce rozległ się charakterystyczny trzask. Nie zwlekając, Shaw połączył się z hotelową telefonistką.

- Czym mogę służyć? - spytała.

- Czy zechciałaby pani zadzwonić za jakąś minutę do pokoju trzy-sześć-siedem i poprosić Briana Shawa? Proszę nie mówić, kim pani jest.

- Coś jeszcze?

- Kiedy odezwie się pan Shaw, niech się pani po prostu rozłączy.

- Rozumiem.

Shaw zajrzał znowu do łazienki.

- To co, zawieszenie broni? Heidi uśmiechnęła się.

- No, nie wiem. Ciekawa jestem, jak byś się czuł, gdybym ja ci coś takiego zrobiła.

- Na pewno wrażenie byłoby nie to samo. Choćby dlatego, że jestem trochę inaczej zbudowany.

- Teraz cała cuchnę szampanem.

- To bardzo podniecające - powiedział, zbliżając się do wanny. W tym momencie zadzwonił telefon.

- Pewnie znowu do ciebie - powiedział obojętnym tonem. Sięgnęła po słuchawkę, potem podała mu ją.

- Do pana Briana Shawa - rzekła cicho. - Może wolisz rozmawiać z pokoju?

- Nie mam żadnych tajemnic. - Uśmiechnął się chytrze. Potem przez dłuższą chwilę monosylabami odpowiadał nie istniejącemu rozmówcy. Skończył i zrobił wściekłą minę.

- Niech to cholera! Konsulat. Mam się z kimś spotkać.

- Teraz, w nocy?

Pochylił się i pocałował palce jej stopy, ledwie wystające z gipsowego pancerza.

- To tylko zaliczka - powiedział. - Wrócę za dwie godziny.

Kustoszem Muzeum Kolei na Long Island był emerytowany księgowy, który przez całe życie darzył potajemną miłością stalowe rumaki. Szedł między gablotami pełnymi eksponatów, ziewając i głośno zlorzeczając: wyrwali go ze snu w środku nocy,

aby wpuścił do archiwum jakiegoś agenta Federalnego Biura Śledczego.

Doszedł do staroświeckich drzwi. Na kryształowej szybie wytrawiony był obraz: łoś w górskim krajobrazie, patrzący na lokomotywę, która pokonuje ostrą krzywiznę toru, zostawiając za sobą długi pióropusz dymu. Długo przebierał w kluczach zawieszonych na wielkim drucianym kółku, zanim znalazł ten właściwy. Otworzył drzwi i zapalił światło.

- Na pewno jest pan z FBI? - spytał, blokując wejście wyciągniętą ręką.

Zaszokowany głupim pytaniem, Shaw westchnął tylko i pokazał - już trzeci raz tej nocy - pospiesznie sfabrykowaną legitymację. Czekał cierpliwie, aż kustosz przeczyta drobny druk.

- Zapewniam pana, panie Rheinhold...

- Rheingold, tak jak piwo.

- Przepraszam. Zapewniam pana, że Biuro nie zavracałoby panu głowy o tej porze, gdyby sprawa nie była bardzo pilna. Rheingold popatrzył na niego ciekawie.

- A może mi pan powiedzieć, o co chodzi?

- Niestety, nie.

- Afera w „Amtraku”. Założę się, że to znowu jakaś afera w „Amtraku”.

- Nie mogę, Niestety, nic powiedzieć.

- A może napad na pociąg? Ale to musiałyby być coś całkiem nowego. Oglądałem wiadomości o szóstej, nie było żadnej wzmianki.

- Może dajmy już temu spokój - zniecierpliwiał się Shaw. - Trochę się spieszę.

- Okay, chciałem tylko zapytać - rzekł Rheingold, wyraźnie rozczarowany.

Poprowadził gościa przez długą, wąską salę, obstawioną półkami. Gęsto stłoczone książki, przeważnie starej daty, dotyczyły bez wyjątku spraw kolejnictwa. Rheingold zatrzymał się przy półce, gdzie stały duże, grube, tekturowe teczki. Uniósł i przekrzywił głowę, aby móc, przeczytać drobne napisy na grzbietach przez dolne soczewki dwuogniskowych okularów.

- Tak... mapy linii New York & Hartford, Lakę Shore & Michigan Southern, Boston & Albany... no, jest: New York & Quebec Northern. - Wyciągnął teczkę, położył na stojącym obok stoliku i rozwiązał oplatający ją sznurek. - O, to była w swoim czasie sławna kolej. Mieli ponad dwa tysiące mil torów. Prowadzili luksusowy ekspres, nazywał się „Manhattan Limited”... Który odcinek pana interesuje?

- Dziękuję bardzo, poszukam sobie sam - odparł Shaw.

- Może ma pan ochotę na filiżankę kawy? Mogę zaparzyć u siebie na górze.

Przyniosę za parę minut.

- O, to bardzo uprzejmie z pana strony, panie Rheingold. Tak, kawa to jest to.

Kustosz pokiwał głową i powędrował z powrotem przez długą salę biblioteki. W drzwiach obejrzał się: gość siedział przy stoliku, przeglądając zawartość teczek: stare, pożółkłe mapy.

Kiedy wrócił z kawą, teczka, starannie zawiązana, stała w swojej przegródce na półce. Rozejrzał się w lewo i w prawo.

- Proszę pana? - zawołał niepewnie.

Nie było odpowiedzi. Sala biblioteki była pusta.

## ROZDZIAŁ 73

Pitt odczuwał nowy przyływ energii, a nawet rodzaj radosnego podniecenia. Przyczyną była niewątpliwie świadomość, że trafił na coś, co przeoczyło tyle już pokoleń poszukiwaczy. Z optymizmem, jakiego dawno już nie doświadczał, przyglądał się dwusilnikowemu odrzutowcowi, który najwyraźniej szykował się do lądowania na niewielkim pastwisku, na którym czekał Pitt.

Na pierwszy rzut oka wyglądało to na jakieś straszne nieporozumienie, pastwisko bowiem było upstrzone pniakami po starych drzewach, poprzecinane wszere i wzdłuż wyschniętymi rowami, a największa względnie płaska powierzchnia miała nie więcej niż pięćdziesiąt stóp długości i kończyła się na kamiennym murze porośniętym mchem. Wydawało się więc, że albo pilot pomylił się, biorąc na tę wyprawę samolot zamiast helikoptera, albo ma samobójcze zamiary.

Pitt obserwował z ciekawością, jak po kolejnym nawrocie w stronę pastwiska skrzydła samolotu zaczynają się obracać do pozycji pionowej, powodując gwałtowną utratę prędkości. Po chwili maszyna zawisa nieruchomo nad pastwiskiem i zaczęła powoli opadać. Zaledwie koła miękko dotknęły trawy, Pitt podbiegł do kabiny pilota. Z otwartego okienka patrzyła na niego chłopcę, piegowata twarz z rudą czupryną.

- Cześć. Jesteś Pitt?

- Zgadza się.

- To wskazuj. - Pilot otworzył znajdujące się tuż za nim drzwiczki.

- To się nazywa VTOL, prawda?

- Tak, to skrót od: „start i lądowanie pionowe”. To włoska maszyna, Scinletti 440. Przyjemna zabawka, chociaż trochę narowista, ale gdy jej śpiewam Verdiego, to chodzi jak na sznurku.

- Nie używacie do tej roboty helikoptera?

- Za silna wibracja. Zresztą, zdjęcia z powietrza lepiej robić szybkim samolotem. Aha - przypomniał sobie - nazywam się Jack Westler.

Wyciągnął rękę w stronę Pitta, ale nie na powitanie: zdecydowanym ruchem pchnął do przodu manetki gazu, aż do oporu. Scinletti oderwał się od ziemi. Na wysokości dwudziestu pięciu stóp maszyna zaczęła posuwać się do przodu. Pitt spojrzął do tyłu: zobaczył, jak skrzydło wraz z gondolą silnika obraca się powoli, by powrócić do płaszczyzny poziomej. Po chwili mknęli już z szybkością właściwą odrzutowcom.

- Jaki teren chcesz fotografować?

- Stare torowisko wzdłuż zachodniego brzegu rzeki, aż do Albany.

- Aż? To przecież bardzo blisko.

- Znasz te okolice?

- Całe życie przeżyłem w dolinie Hudsonu. Opowiedzieć ci o tym pociągu-widmie?

- Oszczędź mi tego. - Pitt rzeczywiście miał już dosyć tej historii.

- Okay, nie ma sprawy... - Westler zmienił temat. - Gdzie chcesz zacząć kręcić?

- Od Wacketshire, od domu Magge'ego.

Odwrócił głowę i zajrzał do tylnej kabiny: nie było w niej żadnego sprzętu.

- A gdzie operator, gdzie kamera? :

- Kamery, liczba mnoga. Używamy jednocześnie dwu, możemy w ten sposób uzyskać efekt stereoskopowy. Są zainstalowane na stałe w cyckach pod kadłubem. A operatorem jestem ja, obsługuje je stąd, zdalnie.

Samolot wciąż szedł w górę.

- Z jakiej wysokości robisz zdjęcia?

- Różnie, to ustala komputer w zależności od warunków i użytych obiektywów.

Dla nas wyliczył teraz dziesięć tysięcy stóp.

Na razie byli na pięciu tysiącach. Widok doliny Hudsonu z tej wysokości robił duże wrażenie. Nad szorstkim dywanem zieleni, ciągnącym się po horyzont, majestatycznie unosiły się białe cumulusy. Pod nimi rzeka wiała się między wzgórzami jak ogromny pyton. Nieliczne wysepki wyglądały jak kamienie wrzucone w strumień, by można było po nich przejść suchą nogą. Wśród wielkich winnic i sadów sporadycznie tylko pojawiały się jakieś zabudowania.

Wskazówka wysokościomierza doszła do dziesięciu tysięcy stóp. Westler położył maszynę na skrzydło i zawrócił na północ. Po chwili Pitt wypatrzył daleko przed sobą, przy brzegu rzeki, łupinę „De Soto”. Duży kuter wyglądał stąd jak miniaturowy model-zabawka.

- Już kręcimy - zameldował Westler.

- Cały czas mówisz tak, jakby to był ruchomy film.

- Bo prawie jest. Każde nowe zdjęcie pokrywa się w sześćdziesięciu procentach z poprzednim. W ten sposób każdy obiekt fotografujemy dwa razy, ale pod innym kątem, z innym oświetleniem. Można w ten sposób wypatrzyć ślady działań człowieka sprzed setek, a nawet sprzed tysięcy lat.

Pitt widział teraz bardzo wyraźnie bliźnę starego torowiska. Nagle jednak



urwała się i zniknęła w polu lucerny.

- Zdaje się, że tutaj wszystkie ślady są zatarte. Westler spojrzał w dół.

- Nie - powiedział. - To właśnie jest przypadek, o jakim mówiłem. Jeśli teren po jakichś starych sztucznych obiektach zajmuje uprawa, to rośliny w tym miejscu mają nieco inną barwę. To wynika z obecności w glebie obcych składników. Człowiek może nie dostrzec tej różnicy, ale nowoczesne materiały światłoczułe reagują na nią bardzo wyraźnie.

Nie minęła nawet chwila - tak się przynajmniej Pittowi zdawało - a już byli nad południowymi przedmieściami stolicy stanu Nowy Jork. Widział duże, oceaniczne frachtowce, zacumowane w porcie Albany. Tory kolejowe, rozbiegające się na wszystkie strony, do wielkich magazynów i doków, przypominały gigantyczną sieć pajęczą. Stare torowisko zgubiło się całkowicie w gąszczu nowych zabudowań.

- Zróbmy jeszcze jedną turę - poprosił Pitt.

- Ile chcesz - łatwo zgodził się Westler.

Jeszcze pięć razy przelatywali w tę i z powrotem nad resztkami torowiska New York & Quebec Northern, ale nigdzie nie dostrzegli żadnego rozgałęzienia, bocznicy czy odnogi.

Jeśli również kamery niczego takiego nie zauważą, pomyślał Pitt, jedyną nadzieją pozostanie Heidi Milligan.

Wszystkie mapy z interesującej ją teczki w Muzeum Kolei zniknęły i Heidi nie miała żadnych wątpliwości, kto je ukradł.

Shaw wrócił do hotelu znacznie później, niż obiecywał. Potem kochali się - długo, czule i delikatnie. Nad ranem zasnęła, a kiedy obudziła się, już go nie było. Zbyt późno zdała sobie sprawę, że podsłuchiwał jej rozmowę z admirałem Sandeckerem.

Kochając się tej nocy z Shawem wielokrotnie przypominała sobie Pitta. To było coś całkiem innego. Pitt był dziki i zaborczy, co prowokowało ją do takiej samej reakcji. Czas spędzony wspólnie w łóżku przypominał zawody sportowe, a bardziej jeszcze średniowieczny turniej rycerski, turniej, z którego nigdy nie wychodziła zwycięsko. Pitt pozostawiał ją zawsze pokonaną i wyczerpaną. Głęboko raniło to jej miłość własną, jej umysł nie chciał się pogodzić z taką dominacją mężczyzny, ale ciało w przedziwny sposób łaknęło tych grzesznych, upokarzających doświadczeń.

Miłość z Shawem była aktem pełnym czułości, nieomal szacunku, a Heidi przez cały czas w pełni panowała nad swymi reakcjami. Tu nie było nic z walki gladiatorów, podstępnie krążących wokół siebie, by zniszczyć się nawzajem. Co prawda także w

stosunkach z Shawem czuła się wykorzystywana, ale, rzecz szczególna, nie miało to dla niej znaczenia. Lubiła powroty do niego, tak jak lubi się powrót do domu z trudnej, burzliwej podróży.

Nadal siedziała w sali bibliotecznej. Zamknęła oczy, żeby lepiej się skupić. Shaw sądzi zapewne, że kradnąc mapy i notatki z muzeum pozbawił ją wszelkich szans. Ale są przecież inne źródła wiedzy o historii kolei: inne archiwa, zbiory prywatne, towarzystwa historyczne. Shaw wie oczywiście, że ona nie ma już czasu na szperanie w tych wszystkich źródłach, ale myli się, jeśli sądzi, że znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Wyjście jest - trzeba tylko z niego skorzystać.

Podeszła do kustosza, który wściekły krążył po korytarzu, wciąż i jeszcze mamrocząc pod nosem przekleństwa pod adresem niekulturalnych agentów FBI.

- Czy ma pan w tych zbiorach dzienniki służbowe zawiadowców i listy przewozowe z tamtej epoki?

Twarz starego kustosza rozjaśniła się.

- Tak, mamy całą masę takich dokumentów. Oczywiście to wszystko nie leży tutaj, nie starczyłoby miejsca. Ale skatalogowaliśmy cały materiał. Wystarczy, że mi pani powie, o co chodzi, a na pewno szybko znajdę.

Heidi powiedziała mu, o co chodzi. Jeszcze przed przerwą obiadową dostała to, czego szukała.

## ROZDZIAŁ 74

O czwartej po południu Heidi wysiadła z samolotu na lotnisku w Albany. Czekał tu na nią Al Giordino. Nie skorzystała z wózka inwalidzkiego, który dla niej przytaszczył: powiedziała, że jakoś dokuśtyka o kulach do parkingu.

- Jak idzie? - spytała, kiedy Giordino wyplątał się z lotniskowego węzła i ruszył szosą na południe.

- Niewesoło. Pitt ślęczy teraz nad zdjęciami lotniczymi, ale nie znalazł dotąd ani śladu jakiegokolwiek bocznicy.

- A ja chyba miałam więcej szczęścia.

- Świetnie - mruknął Giordino bez przekonania. - Odrobina szczęścia bardzo by się nam przydała.

- To nie zabrzmiało zbyt optymistycznie - zauważyła.

- Bo chyba straciłem już wiarę w to wszystko.

- To aż tak źle?

- Zrozum! - wybuchnął. - Prezydent stanie przed parlamentem kanadyjskim jutro po południu, a my ciągle nic nie mamy. Nie przywieziemy mu na czas żadnej kopii traktatu... W ogóle wątpię, czy jeszcze jakaś istnieje.

- Co myślisz o tym pomysle Pitta, że pociąg jest gdzie indziej, nie w rzece?

- On jest przekonany, że „Manhattan Limited” w ogóle nie dojechał do mostu.

- Ale ja pytam, co TY o tym sądzisz?

Giordino przez chwilę patrzył bezmyślnie na szosę przed sobą, potem uśmiechnął się.

- Wiesz, z Pittem trudno dyskutować.

- Dlatego, że taki uparty?

- Nie... Dlatego, że przeważnie ma rację.

Już od wielu godzin Pitt wpatrywał się, przez specjalne stereoskopowe okulary, w powiększone odbitki. Zygzakowate płoty rozdzielające łąki i ogrody, samochody na drogach i budynki, wielki czerwono-żółty balon, tworzący niespodziewaną kolorową plamę na tle zielonego krajobrazu - wszystko to było widać z zadziwiającą ostrością. Pitt rozpoznał nawet pojedynczy podkład kolejowy, pozostawiony zapewne przez zapomnienie na starym, zarośniętym zielskim torowisku. Nie wiadomo który już raz przemierzał wzrokiem linię, która między przemysłowym przedmieściem Albany a stacją Wacketshire biegła prosto jak strzała. Jego oczy pozostawały w ciągłym napięciu, by nie pominąć żadnego, najdrobniejszego nawet śladu dawnej bocznicy

kolejowej.

Tajemnica pozostawała tajemnicą.

Wciąż jeszcze tkwił nad zdjęciami, kiedy do kabiny nawigacyjnej „De Soto” weszli Giordino i Heidi. Pitt wstał i pocałował ją na powitanie.

- Jak twoja noga? - spytał.

- W porządku, poprawia się.

Pomogli jej usiąść na krześle. Giordino zabrał kule i postawił w kącie. Potem spojrzął z nadzieją na teczkę, którą przywiozła ze sobą.

- Chyba nie bardzo wam idzie? - zaczęła ostrożnie.

- Na to wygląda - przyznał Pitt.

- A ja mam dla was jeszcze jedną złą wiadomość... Tamci czekali spokojnie, nie mówiąc.

- Brian Shaw wie o wszystkim - dokończyła. Pitt zauważył w jej oczach dziwne zakłopotanie.

- O wszystkim? - spytał. - „Wszystko” to raczej duży zakres. Potrząsnęła głową, wciąż wściekła na siebie.

- Ukradł z muzeum mapy tej linii, zanim zdążyłam je obejrzeć.

- Niewiele będzie miał z nich pożytku, jeśli nie wie, do czego nam były potrzebne.

- Obawiam się, że już wie - powiedziała, odwracając wzrok.

Pitt ani przez chwilę nie miał zamiaru bawić się w inkwizytora. Trudno, szkoda już się stała i nie było ważne, w jaki sposób Shaw dostał do ręki klucz do ich tajemnicy. Ale, rzecz szczególna, poczuł jednak drobne ukłucie zazdrości. I nie mógł powstrzymać się od powtórzenia w duchu pytania, które już przedtem przychodziło mu do głowy: co ona widzi w tym staruszku?

- A więc pewnie już tu jest... - powiedział.

- Na pewno węszy już w tej okolicy - dodał Giordino. Pitt spojrzął na Heidi.

- Możliwe, że niewiele wyczyta z tych map. Na zdjęciach lotniczych nie ma niczego, co przypominałoby bocznice kolejową.

- A jednak tu „była” bocznica - powiedziała stanowczym głosem Heidi i otworzyła swoją aktówkę. - Odchodziła od głównej linii w miejscu zwanym Mondragon Hook Junction.

Atmosfera w kabinie nagle zgęstniała.

- Gdzie to jest? - spytał Pitt.

- Bez mapy nie powiem ci dokładnie. Giordino szybko przejrzał sztabowe mapy doliny Hudsonu, w które zaopatrzyli się przed rozpoczęciem akcji.

- Tu nic takiego nie ma - stwierdził - ale najstarsza z tych map jest z sześćdziesiątego piątego roku.

- Jak znalazłaś to... Mondragon Hook? - spytał Pitt.

- Próbowałam wyciągnąć wnioski z twojej teorii. Zadałam sobie pytanie: gdzie ukryłabym parowóz i osiem wagonów tak, żeby nikt nigdy tego nie znalazł. I doszłam do wniosku, że jest tylko jeden sposób: pod ziemią. Zaczęłam więc od drugiego końca: sprawdziłam listy przewozowe tej Unii sprzed roku 1914. I znalazłam osiem pociągów towarowych załadowanych wapniem.

- Wapniem?

- Tak. Ładunki były przeznaczone dla jakiejś cementowni w New Jersey, a przewóz opłacony od stacji Mondragon Hook.

- Kiedy to było?

- W latach dziewięćdziesiątych. Giordino miał wątpliwości.

- Linia była długa - powiedział. - To Mondragon Hook Junction mogło być setki mil stąd.

- Musiało być gdzieś tutaj, poniżej Albany.

- Skąd ta pewność?

- W rejestrach stacyjnych z Albany z tego okresu nie ma ani jednego pociągu z ładunkiem wapnia. Natrafiłam natomiast na wzmianki o takich ładunkach w dzienniku zawiadowcy w Germantown.

- Germantown?... To piętnaście mil w dół rzeki - stwierdził Pitt.

- No właśnie... Następnie zabrałam się do studiowania map gospodarczych z tamtego okresu. - Heidi wyciągnęła z teczki mapę i rozłożyła ją na stole.

- Jedyna kopalnia wapnia między Albany i Germantown znajdowała się tutaj. - Zaznaczyła miejsce ołówkiem. - Około pięciu mil na północ i trzy czwarte mili na zachód od mostu Deauville.

Pitt znów włożył na nos stereoskopowe okulary i pochylił się nad jednym ze swoich zdjęć.

- Tutaj, dokładnie na wschód od tej kopalni, jest na torowisku jakaś farma. Ale jeśli tu nawet rzeczywiście był rozjazd, to jest dokładnie przykryty betonem podwórka.

- Tak! - wykrzyknęła Heidi. - Ale w tym samym miejscu zaczyna się szosa na

zachód, do nowojorskiej autostrady tranzytowej.

- No, to nic dziwnego, że nie zauważyłeś żadnego śladu torów - wtrącił się Giordino. - Wszystko po prostu równo zalane asfaltem.

- Popatrzcie. - Pitt zwietrzył już nowy trop. - Sto jardów na zachód odchodzi od szosy w lewo nasyp kolejowy, kończy się u stóp tego stromego wzgórza, miejscowi nazywają je nawet „górami”.

Heidi wzięła od niego okulary i obejrzała zdjęcie.

- Zdumiewające - rzekła - jak łatwo jest wszystko znaleźć, kiedy już wiadomo, czego się szuka.

- Udało ci się czegoś dowiedzieć o tej kopalni? - spytał Giordino.

- To akurat było najłatwiejsze. Prawo eksploatacji góry i drogi, na której były tory, miała spółka Forbes Excavation. Wydobywali tu wapień od 1882 do 1910. Potem zaczęła im to zalewać woda. Zaprzeszali więc wydobycia i wynieśli się, a cały teren sprzedali okolicznym farmerom.

- Nie chcę ci psuć zabawy - odezwał się Giordino - ale skoro to był wapień, to kopalnia mogła być odkrywkowa. Heidi popatrzyła na niego z namysłem.

- Wiem, do czego zmierzasz - powiedziała. - Jeśli nie ryli tuneli, to nie byłoby gdzie ukryć pociągu...

Jeszcze raz starannie obejrzała fotografię lotniczą.

- Pewności mieć nie można, za bardzo to wszystko zarośnięte, ale odkrywka to musiałby być straszny dół, a niczego takiego tu nie widać.

- Myślę, że trzeba zrobić zwiad - powiedział Pitt, wstając.

- Słusznie - zgodził się Giordino. - Pojadę z tobą.

- Nie, pojadę sam. Ty tymczasem zrób parę innych rzeczy. Skontaktuj się z Moonem: niech nam przyśle ludzi do ochrony, najlepiej pluton marines, na wypadek, gdyby Shaw buszował tu z jakimiś pomocnikami. I powiedz mu, że potrzebny nam inżynier górnik, i to dobry. A potem pokręć się po okolicy i poszukaj ludzi, którzy mogą pamiętać jakieś stare a dziwne historie, związane z tą kopalnią. A ty, Heidi, jeśli masz na to dość sił, dowiedz się, co po katastrofie mostu Deauville pisała lokalna prasa, ale na dalszych stronach. Może jest tam coś o tej kopalni. Muszę ją koniecznie zaraz obejrzeć, dopiero wtedy będę wiedział, na czym stoimy.

- Nie mamy zbyt wiele czasu - stwierdził smętnie Giordino. - Za dziesięćnaście godzin prezydent zaczyna swoje przemówienie.

- Nie musisz mi tego przypominać. - Pitt sięgnął po płaszcz. Ale zostało nam już

tylko jedno: dostać się do wnętrza góry.

## ROZDZIAŁ 75

Słońce zaszło, na niebie pojawił się wąski sierp księżyca. Powietrze było ostre, rześkie. Shaw stał na zboczu góry, nieco powyżej miejsca, w którym wbijał się w nią stary nasyp kolejowy. Widział stąd rzadko i rozrzucone światła farm, odległych o wiele mil. Piękny, malowniczy kraj, pomyślał przelotnie.

W nocną wiejską ciszę wdarł się warkot silników lotniczych. Shaw przebiegł wzrokiem po niebie, ale niczego nie dostrzegł: samolot leciał bez świateł pozycyjnych. Dźwięk przybliżył się, potem zaczął krążyć nad wzgórzem. Shaw ocenił wysokość lotu na co najwyżej pięćset stóp. Nagle zauważył, że tu i ówdzie gwiazdy znikają na chwilę. Nie dziwiło go to. Wiedział, że przyczyną są opadające spadochrony.

Kwadrans później z zarośli wynurzyły się dwa cienie. Jednym okazał się Burton-Angus. Drugi, masywnie zbudowany, mógł w ciemności uchodzić za wielki, toczący się odłam skalny. Był to Eric Caldweiler, kiedyś naczelny inżynier kopalni węgla w Walii.

- Jak tam, trafili? - spytał Shaw.

- Idealnie - odparł Burton-Angus. - Lądowali na czubku mojej latarki. Dowodzi nimi porucznik Macklin.

Shaw zlekceważył kardynalną zasadę tajnych operacji nocnych i zapalił papierosa. Amerykanie i tak się wkrótce dowiedzą o ich obecności.

- Znalazł pan wjazd do kopalni? - spytał Caldweilera.

- Nie ma na to najmniejszej nadziei - odrzekł tamten. - W swoim czasie osunął się tu wielki kawał zbocza.

- I wjazd jest zasypany?

- Tak, znacznie głębiej, niż Szkot chowa swoją whisky. Nie przypuszczałem, że to może być aż tak gruba warstwa.

- Mamy jakąś szansę przekopać się?

Caldweiler pokręcił głową.

- Nawet z największą koparką trwałoby to dwa - trzy dni.

- To kiepsko. Amerykanie mogą tu być lada chwila.

- Możemy spróbować wejść przez szyb - rzekł Caldweiler, nabijając pięknie wygiętą wrzoścową fajkę. - Oczywiście, jeśli go w tych ciemnościach znajdziemy.

Shaw nie zrozumiał.

- Jaki szyb? - spytał.

- Każda kopalnia działająca na skalę przemysłową musi mieć dwa dodatkowe



szyby: ratunkowy, na wypadek, gdyby zawaliła się główna sztolnia, i szyb wentylacyjny.

- Gdzie ich szukać? - rzucił Shaw niecierpliwie, ale Caldweiler wołał rozważyć wszystko po kolei.

- Zastanówmy się - powiedział. - Moim zdaniem jest to kopalnia pokładowa: główną sztolnię wydrążono w tej części zbocza, gdzie pokład wapnia przebija się na powierzchnię, sztolnia idzie w głąb góry poziomo wzdłuż pokładu. Dlatego myślę, że wyjście ratunkowe też jest gdzieś nisko, przy podstawie góry. Natomiast wylot szybu wentylacyjnego musi być wyżej, na północnym zboczu.

- Dlaczego właśnie na północnym?

- Ze względu na najczęstszy kierunek wiatru. W czasach kiedy nie było jeszcze elektrycznych dmuchaw, gwarantowało to dobrą wentylację, przynajmniej w wietrzne dni.

- W takim razie zaczniemy od szybu wentylacyjnego - zdecydował Shaw. - Jego wylot jest w zalesionej części zbocza, nie będziemy tam tak widoczni, zyskamy trochę czasu.

- Czyli znowu wspinaczka przez chaszczę - narzekał Burton-Angus.

- Dobrze panu zrobi - roześmiał się Shaw. - Te fantastyczne bankiety w ambasadach fatalnie tuczą.

Rzucił papierosa na ziemię i rozdeptał go obcasem.

- Pójdę pozbierać naszych obrońców - powiedział i ruszył przez gęste zarośla w dół zbocza, w stronę starego nasypu.

Był już tylko trzydzieści jardów od celu, kiedy potknął się o jakiś korzeń, przeokoziłkował i wylądował na plecach na dnie płytkiego, kamienistego rowu. Leżał, z trudem chwytając powietrze, kiedy na tle rozgwieżdżonego nieba pojawiła się nad nim jakaś nowa postać. Przybysz przystawił mu do czoła zimną lufę karabinu.

- Czy to nie pan, panie Shaw?

- Tak, jestem Shaw - zdołał wykrztusić.

- Bardzo mi przyjemnie. - Lufa odsunęła się sprzed jego oczu. - Pozwoli pan, że pomogę wstać.

- Porucznik Macklin?

- Nie, sir. Sierżant Bentley.

Sierżant miał na sobie szaro-czarną panterkę do akcji nocnych. Spodnie wpuszczone były w buty, jakich używają żołnierze oddziałów , desantowych. Czarny

beret na głowie, zasmarowane na czarno dłonie i twarz i przewieszony przez łokieć stalowy hełm z siatką maskującą dopełniały groźnego obrazu.

Z ciemności wyłonił się jeszcze jeden mężczyzna.

- Jakież kłopoty, sierżancie?

- Pan Shaw wywinął kozła.

- Pan jest Macklin? - spytał szybko Shaw, który wreszcie odzyskał zdolność normalnego oddychania. W ciemności zalśniły wspaniałe zęby.

- Nie poznał mnie pan?

- Pod tym murzyńskim makijażem wszyscy wyglądacie tak samo.

- Bardzo mi przykro.

- Policzył pan swoich ludzi?

- Jest cała czternastka, wszyscy cali i zdrowi. To niezły wyczyn w nocnych skokach.

- Będziecie mi zaraz potrzebni: musimy znaleźć wylot szybu. Powinna być jakaś dziura albo przynajmniej zagłębienie terenu. Zaczniecie na północnym zboczu, od dołu.

Macklin obrócił się do Bentleya.

- Weźcie ludzi, sierżancie, i rozstawcie ich w tyralierę, odstępów dziesięć stóp.

- Tak jest, sir. - Bentley zrobił parę kroków i zniknął w zaroślach.

- Zastanawiam się... - rzekł Macklin niepewnie.

- Nad czym?

- Ci Amerykanie... Jak zareagują, kiedy zobaczą Royal Marines buszujących w środku stanu Nowy Jork?

- Trudno powiedzieć. Ale Amerykanie mają na ogół niezłe poczucie humoru.

- Jeśli zaczniemy do nich strzelać, to pewnie nie będą się śmiać.

- Kiedy to się ostatnio zdarzyło? - mruknął Shaw, właściwie do siebie. Ale Macklin podchwycił myśl.

- Chodzi panu o zbrojną interwencję Brytyjczyków w Stanach?

- Powiedzmy.

- Chyba w tysiąc osiemset czternastym, kiedy Sir Edward Parkenham uderzył na Nowy Orlean.

- Przegraliśmy wtedy...

- Ale Jankesi byli wściekli, bo spaliliśmy im Waszyngton.

Nagle obaj zastygli. Gdzieś niedaleko ryknął silnik samochodu, jakby po

gwałtownym przejściu na niski bieg. Po chwili na drodze biegnącej starym torowiskiem pojawiły się reflektory. Shaw i Macklin przygarbili się: przez wysoką trawę, porastającą krawędzie rowu, obserwowali samochód.

Podskakiwał na nierównej nawierzchni, ale uparcie zbliżał się do nich. Zatrzymał się dopiero w miejscu, gdzie torowisko ginęło w stromym zboczu góry. Silnik ucichł. Z samochodu wysiadł jakiś mężczyzna i stanął przed zapalonymi wciąż reflektorami.

Shaw już wcześniej zastanawiał się, co zrobi, jeśli znowu spotka Pitta. Czy powinien go zabić? Teraz wystarczyłby cichy rozkaz, wydany Macklinowi, może nawet tylko gest, a Pitt zostanie zakłuty nożami przez ludzi aż nazbyt dobrze wyćwiczonych w sztuce bezgłośnego mordowania.

Pitt przez dobrą minutę stał bez ruchu naprzeciw góry, jak gdyby rzucał jej wyzwanie. Nagle schylił się, podniósł kamień i cisnął nim w ciemne zbocze. Potem wrócił do samochodu i zatrzaskał drzwiczki. Silnik zawarczał głośno, samochód odjechał. Dopiero kiedy czerwone światła pozycyjne zniknęły w oddali, Shaw i Macklin podnieśli się z rowu.

- Przez moment miałem wrażenie, że zaraz każe mi pan zdmuchnąć tego włóczęgę.

- Rzeczywiście, myślałem o tym - przyznał Shaw. - Ale nie ma sensu drażnić szerszeni przedwcześnie. I tak jutro od rana będzie tu gorąco.

- Jak pan sądzi, kto to był?

- To właśnie był nieprzyjaciel - odparł Shaw bez pośpiechu.

## ROZDZIAŁ 76

Rozkoszował się tą chwilą, którą mogli spędzić razem. Danielle wyglądała olśniewająco w wieczorowej sukni z zielonego szyfonu, odsłaniającej ramiona i plecy. Jej włosy, rozdzielone na środku głowy i ciasno spięte z tyłu, zdobił na skroni efektowny połączony kwiat. Szyję otaczała spiralna złota kryza. Płomienie świec odbijały się w jej oczach, gdy spoglądała na niego znad stołu.

Służąca wyniosła ostatnie talerze. Sarveux pochylił się nad stołem i pocałował dłoń Danielle.

- Naprawdę musisz tam jechać?

- Niestety tak - odparła, nalewając mu koniaku. - Moja kolekcja na jesień jest już gotowa, na jutro rano umówiłam się na ostatnią przymiarkę.

- Dlaczego w ogóle załatwiasz to w Quebecu? Nie ma krawców w Ottawie?

Danielle roześmiała się.

- Może po prostu wolę projektantów mody z Quebecu od krawców z Ottawy.

- Nigdy już nie masz dla mnie czasu...

- O, przepraszam, to ty jesteś ciągle zajęty i wciąż jeździsz po całym kraju.

- To prawda, nie mogę zaprzeczyć. Ale ilekroć wyrywam się na chwilę z tego kołowrotu, ty masz właśnie jakieś swoje sprawy.

- Jestem żoną premiera. - Uśmiechnęła się. - Nie mogę lekceważyć obowiązków, które na mnie z tego powodu ciążyą.

- Nie jedź - poprosił bezbarwnym tonem. Zrobiła nadąsaną minę.

- Chyba zależy ci choć trochę, żebyśmy wyglądała elegancko, kiedy pokazujemy się razem?

- Gdzie się zatrzymasz?

- Tam gdzie zawsze, ilekroć jestem w Quebecu... W mieszkaniu Nanci Soult.

- Szkoda, że nie będziesz dziś wieczór w domu.

- Och, to nic takiego, Charles... tylko jeden wieczór. - Wstała, pochyliła się i pocałowała go w policzek. - Będę z powrotem jutro po południu. Jeszcze się nagadamy.

- Kocham cię, Danielle - powiedział cicho, wpatrując się w stół. - I chciałbym dożyć przy tobie starości. Chcę, żebyś to wiedziała.

Jedyną odpowiedzią było ciche trzaśnięcie drzwi.

Mieszkanie w Quebecu istotnie było zapisane na nazwisko Nanci Soult, ale sama Nanci nie miała o tym najmniejszego pojęcia. Poczytna powieściopisarka

kanadyjska mieszkała na stałe w Irlandii, aby uniknąć rosnących wciąż podatków. Rzadko odwiedzała rodzinę i przyjaciół w Vancouver, a w Quebecu jej stopa nie postąpiła już chyba od dwudziestu lat.

Rytuał był zawsze ten sam. Rządowy samochód przywoził Danielle pod budynek, w którym znajdowało się „mieszkanie Nanci Sault”. Policjant stawał na posterunku przed bramą, a ona szybko wbiegała na górę, zapalała światło, trzaskała wewnętrznymi drzwiami, spuszczała wodę w ubikacji i nastawiała radio na jakąś muzyczną stację. Potem otwierała szafę, odsuwała wiszące sukienki i przez drzwi w tylnej ścianie wychodziła na rzadko używane schody awaryjne sąsiedniego budynku.

Szybko, jak zawsze, zbiegła do podziemnego garażu, mieszczącego tylko jeden samochód. Yillon czekał już za kierownicą mercedesa. Kiedy usiadła obok, objął ją mocno i pocałował. Ale na tym czułości się skończyły. Odsunął się, a jego twarz przybrała urzędowy wyraz.

- Mam nadzieję, że to rzeczywiście ważne - powiedział. - Wiesz, coraz trudniej mi się wyrwać.

- I to mówi ten sam człowiek, który tak szaleńczo kochał się ze mną w rezydencji premiera Kanady?

- Nie walczyłem wtedy o fotel prezydenta Quebecu.

Odsunęła się od niego jak najdalej i westchnęła głęboko. Czuła, że z ich potajemnego związku ulotniła się już cała namiętność i fascynacja. Nie była specjalnie rozczarowana. Nigdy nie pozwalała sobie na marzenie, że ten związek będzie trwać wiecznie.

- Gdzie chcesz pojechać? - Jego głos wyrwał ją z zamyślenia.

- Wszystko jedno, pokręcmy się trochę po mieście.

Nacisnął guzik pilota otwierającego elektryczny mechanizm drzwi i wyjechał na boczną uliczkę. O tej porze ruch był niewielki, kiedy zjechali na nabrzeże, kolejka samochodów czekających na prom była bardzo krótka. Już od dłuższego czasu oboje milczeli. Dopiero kiedy Yillon zaparkował mercedesa na promie, blisko dziobu, i mogli, nie wysiadając z samochodu, podziwiać refleksy światła na rzece, Danielle zdecydowała się powiedzieć mu to, z czym przyjechała.

- Możemy mieć problemy... - zaczęła.

- Masz na myśli ciebie i mnie, czy Quebec?

- Wszystko.

- To brzmi poważnie - zakpił.

- Bo jest poważne - odparła. - Charles chce zrezygnować z funkcji premiera Kanady i ubiegać się o fotel prezydenta Quebecu. Gwałtownie obrócił głowę w jej stronę.

- Co powiedziałaś?

- Mój mąż ma zamiar zgłosić swoją kandydaturę na prezydenta Quebecu.

Yillon wyraźnie rozdrażniony potrząsnął głową.

- Nie mogę w to uwierzyć. To byłaby najgłupsza rzecz pod słońcem. Dlaczego i po co? To się przecież zupełnie nie trzyma kupy.

- Myślę, że to wynika z chęci odwetu.

- Aż tak bardzo mnie nienawidzi? Spuściła wzrok.

- Chyba podejrzewa, że między nami coś jest. A może nawet wie. I robi to wszystko z zemsty.

- Nie, to do niego niepodobne. Charles nigdy nie miał takich dziecinnych reakcji.

Danielle nie zwracała uwagi na jego słowa.

- Zawsze byłam taka ostrożna... Na pewno mnie śledził, no bo jak inaczej mógłby się dowiedzieć?

Yillon przechylił głowę i roześmiał się.

- Bo sam mu powiedziałem.

- Nieprawda! - krzyknęła. - Nie mogłeś tego zrobić!

- A... do cholery z tą złośliwą ropuchą! Niech się rozczula nad sobą, niech się tym sam zadławi. Ten zasmarkany gnojek i tak nigdy w życiu nie wygra wyborów. Nie ma prawie wcale przyjaciół w Parti Quebecois - a ja mam, i to wielu.

Prom był już zaledwie sto metrów od przystani na południowym brzegu, gdy z samochodu stojącego pięć miejsc za mercedesem Yillona wysiadł jakiś człowiek i wmieszał się w grupę pasażerów powracających z pokładu widokowego do swoich wozów. Przez tylną szybę mercedesa widział dwie osoby pochłonięte żywą rozmową. Podszedł bez pośpiechu, otworzył drzwi pewnym ruchem, jakby to był jego samochód, i wśliznął się na tylne siedzenie.

- Pani Sarveux, panie Yillon... dobry wieczór.

Ich pierwsze, naturalne zmieszanie przeszło w szok i paniczny lęk, kiedy w potężnej dłoni intruza dostrzegli rewolwer: lufa magnum czterdzieści cztery przesuwiała się wahadłowym ruchem od jednej głowy do drugiej.

Yillon miał dodatkowy powód do osłupienia. Widział twarz napastnika i miał

wrażenie, że patrzy w lustro. Człowiek na tylnym siedzeniu był jego dokładnym sobowtórem, jakby bliźniakiem.

Danielle wydała cichy jęk, który przeszedłby zapewne w krzyk, gdyby cios lufą rewolweru nie rozorał jej policzka. Krew trysnęła z rozcięcia i Danielle, w odruchu bólu, wstrzymała oddech.

- Rozumie pani już chyba, że nie widzę nic złego w biciu kobiet, więc proszę sobie oszczędzić popisów hysterii. Głos też był idealną imitacją głosu Yillona.

- Kim pan jest? - spytał Yillon. - I czego pan chce?

- Pochlebia mi, że oryginał nie może poznać kopii - Głos przybrał nową barwę i Yillon rozpoznał go w przerażającym olśnieniu, zanim tamten zdążył wyjaśnić:

- Jestem Foss Gly, i mam zamiar was wykończyć.

## ROZDZIAŁ 77

Zaczęło lekko mżyć. Yillon włączył wycieraczki. Od chwili opuszczenia promu ucisk lufy pistoletu na jego karku nie zelżał ani na chwilę.

Danielle siedziała obok, przyciskając do twarzy zakrwawioną chusteczkę. Co chwila bolesny kaszel wydobywał się z jej gardła. Wszystko wydawało się jakimś koszmarnym snem. Wszystkie ich pytania i prośby pozostawały bez odpowiedzi. Gly otwierał usta wyłącznie po to, by wskazywać kierunek drogi. Jechali przez typowo wiejską okolicę, pustą i ciemną, od czasu do czasu tylko rozjaśnioną światłami jakiejś farmy. Yillon robił, co mu kazano, nie widział na razie żadnego innego wyjścia. Mógł co najwyżej liczyć na to, że zwróci na nich uwagę jakiś przypadkowy kierowca albo, jak będą mieli szczęście, patrol policyjny.

- Zwolnij - rozkazał Gly. - Teraz w lewo, tą polną drogą.

Yillon zjechał z szosy, pełen najgorszych myśli. Na drodze leżała świeża warstwa żwiru, w której znaczyły się ślady jakichś dużych i ciężkich pojazdów.

- Myślałem, że nie żyjesz. - Yillon usiłował skłonić Gly'a do rozmowy. Na próżno.

- Brian Shaw mówił, że ślizgacz, który ukradłeś, rozbił się o burtę jakiegoś japońskiego statku.

- A nie powiedział przy okazji, że ciała kierowcy nie znaleziono? Gly wreszcie się odezwał. To już był jakiś sukces.

- Tak, ale podobno była tam wielka eksplozja...

- Pięć mil wcześniej zablokowałem ster i nastawiłem silnik na pełne obroty. Przy takim ruchu, jak na St. Lawrence, katastrofa była już tylko kwestią czasu.

- Po co chciałeś się do mnie upodobnić?

- Czy to nie oczywiste? Po twojej śmierci zajmę twoje miejsce. To ja - a nie ty - będę prezydentem Quebecu.

Dopiero po pięciu sekundach sens tych słów dotarł do Yillona.

- Na litość boską! Cóż za idiotyczny pomysł!

- Idiotyczny? Powiedziałbym raczej, że dosyć sprytny.

- Nie uda ci się to. Nigdy!

- Już mi się udało. - Gly mówił spokojnie a nawet uprzejmie. - Jak myślisz, w jaki sposób dostałem się do rezydencji Guerriera? Jak zdołałem wejść frontowymi drzwiami, zmylić goryla, przejść do sypialni i udusić starego? A to nie wszystko. Urzędowałem już za twoim biurkiem, rozmawiałem z twoimi przyjaciółmi,



dyskutowałem o polityce z Charlesem Sarveux, pokazałem się nawet w Izbie Gmin. i Spałem z twoją żoną i z twoją kochanką - tą tutaj...

- Nieprawda... kłamiesz... nie z moją żoną...

- Ależ prawda Henri, szczerą prawdą. Mogę ci opisać parę szczegółów anatomicznych, na przykład...

- Nie! - krzyknął Yillon i nacisnął gwałtownie hamulec. Nie miał jednak szczęścia, jego manewr się nie udał. Na mokrym, śliskim żwirze samochód, zamiast ostro zahamować, okręcił się tylko wokół własnej osi i miękko zsunął na trawę pobocza. Gly zachwiał się, utrzymał jednak równowagę. Nieznacznie opuścił lufę rewolweru: kula z magnum czterdzieści cztery strzaskała Yillonowi obojczyk i wyleciała przez przednią szybę.

Z ust Danielle wyrwał się krzyk, zdławiony paroksyzmem strachu. Mercedes znieruchomiał. Dłonie Yillona oderwały się od kierownicy, głowa opadła bezwładnie na zagłówek. Gly wysiadł i otworzył drzwi kierowcy. Brutalnie popchnął Yillona w stronę Danielle i usiadł za kierownicą.

- Sam poprowadzę - powiedział, wsuwając pod pachę lufę magnum, tak że mierzyła prosto w Yillona. - żadnych nowych numerów.

Danielle dopiero teraz zauważyła, że prawe ramię Yillona jest niemal kompletnie oderwane od tułowia. W nagłym odruchu odwróciła się i zwymiotowała na szybę.

Gly wycofał samochód na drogę i ruszył dalej. Nie ujechali nawet pół mili, kiedy w światłach reflektorów ukazała się ogromna żółta koparka. Stała obok długiego rowu, głębokiego na dziesięć i szerokiego na piętnaście stóp. Za rowem wznosiła się wielka hałda wykopanej ziemi. Z okna samochodu Danielle dostrzegła biegnącą po dnie rowu grubą rurę.

Minęli kilka zaparkowanych maszyn budowlanych i ciężarówek, a wreszcie dużą przyczepę, w której mieściło się zapewne biuro budowy. Ale nie było w niej żywego ducha, wszyscy pracujący tu ludzie wracali na noc do swoich domów.

Gly podjechał do rowu w miejscu, gdzie świeżo zsypana ziemia tworzyła łagodną pochylnię. Stanął na chwilę, oceniając głębokość wykopu, potem mocno nacisnął gaz. Mercedes, tańcząc na miękkiej ziemi, wsunął się między rurę i stromą ścianę. Zastygł mocno przechylony: jakaś nierówność na dnie sprawiła, że reflektory, wciąż zapalone, świeciły ukośnie w górę.

Gly wyjął z kieszeni dwie pary kajdanek. Przypiął lewą dłoń Yillona do

kierownicy, to samo zrobił z lewą ręką Danielle.

- Co robisz? - spytała chrapliwym szeptem.

Obrzucił ją przelotnym spojrzeniem. Kruczoczarne włosy były potargane, a piękna twarz mokra od łez i krwi. Oczy wyrażały paniczny lęk osaczonej sarny. Szyderczy uśmiech rozjaśnił twarz Gly'a.

- To dla waszego dobra. Dzięki mnie będziesz mogła spędzić ze swoim ukochanym całą wieczność.

- Dlaczego chcesz ją zabić? - Yillon czuł, że umiera, krwawił straszliwie, ale próbował jeszcze ratować Danielle. - Na miłość boską, puść ją wolno.

- Bardzo mi przykro - odparł rzeczowo Gly - ale ona też jest elementem umowy.

- Jakiej umowy?...

Nie było odpowiedzi.

Gly trzasnął drzwiczkami samochodu i zaczął się wspinać na krawędź wykopu. Po chwili zniknął w ciemności. Kilka minut upłynęło w kompletnej ciszy. I nagle Danielle usłyszała dudnienie potężnego silnika koparki. Po chwili dźwięk nasilił się, jak gdyby maszyna podnosiła jakiś duży ciężar. Nad krawędzią rowu pojawiła się gigantyczna srebrzysta łopata. Sekundę później trzy metry sześciennie ziemi zwały się na dach mercedesa.

Danielle zawyła żałośnie. Nareszcie zrozumiała.

- Matko Przenajświętsza, on chce nas żywcem zakopać... Boże, nie!

Gly spokojnie nabrał na łopatę następną porcję ziemi. Doskonale radził sobie z mechanizmem koparki: przez dwie ostatnie noce uczył się ją obsługiwać, zasypując kolejne metry ułożonej już rury, i doszedł do dużej wprawy, rano robotnicy nawet nie spostrzegali, że ktoś wykonał za nich kawałek roboty.

Danielle gwałtownie szarpała łańcuch kajdanek, ale bez skutku, choć na przegubie miała już krwawe rany.

- Henri! - Jej krzyk przerodził się w ciche zawodzenie. - Nie daj mi umrzeć... nie tak...

Yillon zdawał się nie słyszeć. Było mu wszystko jedno: wiedział, że już za parę chwil wykrwawi się na śmierć.

- Nie do wiary - szepnął. - Ostatnim człowiekiem ginącym za niepodległość Quebecu jestem ja... Kto mógł przewidzieć?..

Jego głos słabł, aż przestał być słyszalny. Zwały ziemi już niemal całkiem przykryły samochód. Widoczne były tylko górna część przedniej szyby z przestrzeliną,

trójramienna gwiazdka na masce i jeden reflektor.

Nagle na krawędzi wykopu pojawił się ktoś i zajrzał w dół. Twarz mężczyzny zastygła w smutku, po policzkach płynęły łzy. Danielle zdążyła jeszcze dostrzec go w świetle wystającego reflektora - i zmartwiała. To nie był Gly. Przycisnęła prawą dłoń do szyby w błagalnym geście. Po chwili jednak w jej oczach pojawił się błyski zrozumienia. Usta wyszeptały bezgłośnie: „Przebacz mi...”.

Następna wielka łopata ziemi spadła na samochód, przykrywając, go już całkowicie. Gly sprawnie zrównał świeżo zasypane miejsce z pierwotnym poziomem gruntu. W nocnej ciszy zamarł dudniący odgłos silnika wielkiej koparki.

Dopiero wtedy Charles Sarveux, pogrążony w smutku, odwrócił wzrok od wykopu i odszedł w ciemność.

## ROZDZIAŁ 78

Lotnisko przy Jeziorze Świętego Józefa, położone wśród wzgórz na pomocny wschód od stolicy Quebecu, dzieliło 103 wielu lotnisk Canadian Air Force, wyłączonych z użytku na skutek cięć budżetowych. Nie było tu żadnego stałego personelu. Dwumilowy pas startowy już tylko czasami służył do lądowań treningowych i awaryjnych.

Przed starym hangarem stał samolot Yillona, a obok niego duża cysterna z paliwem. Dwaj mężczyźni w płaszczach przeciwdeszczowych sprawdzali przed lotem ostatnie szczegóły. W biurze lotniska, w którym jedyne umeblowanie stanowił zardzewiały stół roboczy, Charles Sarveux i komisarz Finn w milczeniu wyglądali przez brudne szyby. Lekka mżawka przeszła w ulewny deszcz, woda przeciekała przez dziurawy w wielu miejscach dach.

Foss Gly wyciągnął się wygodnie na kocu, z rękami pod głową. Nie zwracał uwagi na kapiącą z sufitu wodę, na jego twarzy malowało się zadowolenie, nieomal radość. Nie musiał już udawać Yillona, mógł znowu być sobą.

Pilot zeskoczył ze skrzydła samolotu i, umykając przed deszczem, pobiegł w stronę hangaru, wetknął głowę w uchylone drzwi biura.

- Jesteśmy gotowi - powiedział. Gly wrócił do pozycji siedzącej.

- Znaleźliście coś?

- Nie. Sprawdziliśmy wszystkie układy, nawet jakość paliwa i oleju. Wszystko w porządku.

- Okay, włącz silniki.

Pilot skinął głową i dał nurka w deszcz.

- Panowie - rzekł Gly - myślę, że pora się pożegnać.

Sarveux w milczeniu dał znak Finnowi. Komisarz przeniósł na stół dwie duże walizy.

- Trzydzieści milionów dolarów kanadyjskich, w używanych banknotach - stwierdził Finn z kamienną twarzą. Gly wyciągnął z kieszeni jubilerski okular i zaczął oglądać przypadkowo wyciągnięte banknoty. Po blisko dziesięciu minutach schował lupę do kieszeni i zamknął walizki.

- Rzeczywiście używane. Większość tak zniszczona, że trudno odczytać nominał.

- Tak pan sobie życzył - rzucił Finn ostro. - To nie takie łatwe, zgromadzić szybko taką kupę używanego szmalu. Gly podszedł do Sarveux z wyciągniętą ręką.

- Przyjemnie robić z panem interesy, panie premierze. Sarveux zignorował jego gest.

- Całe szczęście, że w porę wykryliśmy pańskie przebieranki. Gly wzruszył ramionami i cofnął rękę.

- Kto to może wiedzieć: szczęście czy nieszczęście. Może byłbym lepszym prezydentem niż Yillon.

- Ja w każdym razie miałem szczęście - rzekł Sarveux. - Gdyby komisarz Finn nie znał dokładnego miejsca pobytu Yillona w momencie, kiedy bezczelnie przyszedł pan do mojego biura, być może nikt nigdy nie zorientowałby się w oszustwie. Szczerze mówiąc, chętnie widziałbym pana na szubienicy.

- Na wszelki wypadek zabezpieczyłem się - rzekł Gly spokojnie. - Dokładny dziennik mojej współpracy ze Stowarzyszeniem Wolnego Quebecu, taśmy z rozmów z Yillonem, film video, na którym pańska żona wykonuje z panem ministrem różne numery, można by z tego wykroić niezły skandal. Może lepiej dać mi pożyczkę.

- Kiedy to dostanę? - spytał Sarveux.

- Przyślę panu instrukcję, gdzie tego szukać, jak już będę w bezpiecznym miejscu, poza pańskim zasięgiem.

- A jaką mam gwarancję, że nie będzie mnie pan szantażował?

- Żadnej, oczywiście. - Gly uśmiechnął się szatańsko.

- Sukinsyn! - syknął wściekle Sarveux.

- A ty to co, lepszy? - odparował Gly. - Patrzyłeś spokojnie, jak wykańczam twojego politycznego konkurenta i twoją ukochaną małżonkę. I zapłaciłeś mi za to rządowymi pieniędzmi. Cuchniesz gorzej niż ja, Sarveux. Poza tym też zrobiłeś niezły interes. Kazania i wyzwiska możesz kierować do lustra.

Sarveux cały się trząsał, kipiła w nim wściekłość.

- Wynoś się stąd... Wynoś się z Kanady...

- Z najwyższą przyjemnością. Sarveux opanował się.

- Do widzenia, panie Gly, może spotkamy się w piekle.

- Już w nim jesteśmy...

Chwycił ciężkie walizki i ruszył do samolotu. Kiedy maszyna kołowała już na koniec pasa startowego, Gly odetchnął głęboko i wziął sobie drinka. Nieźle, pomyślał, trzydzieści milionów dolców plus samolot. To się nazywa odejść w wielkim stylu.

Zabrzączał telefon. Dzwonił pilot.

- Jesteśmy gotowi do startu. Możesz mi już podać kierunek lotu?

- Prosto na południe, do Stanów. Leć nisko, żeby uniknąć radaru. Sto mil za granicą wejdź na wysokość rejsową, ustaw kurs na Montserrat i włącz autopilota.

- Montserrat? Gdzie to jest?

- Jedna z wysp w Małych Antylach, na południowy wschód od Puerto Rico. Obudź mnie, jak dolecimy.

- Przyjemnych snów, szefie.

Gly zagłębił się w fotelu, nie zwracając sobie głowy pasami bezpieczeństwa. Przez chwilę czuł się nieśmiertelny. Uśmiechnął się do siebie, widząc przez szybę dwie postaci na tle świateł hangaru. Ten Sarveux to głupiec, pomyślał. Gdyby on, Gly, był na miejscu premiera, kazałby podłożyć bombę w samolocie, albo po prostu wydałby lotnictwu wojskowemu rozkaz zestrzelenia maszyny. To ostatnie wciąż jeszcze było możliwe, choć raczej mało prawdopodobne.

- Jak to ma działać? - spytał Sarveux, kiedy samolot Yillona zniknął w deszczu i ciemnościach.

- To taka sztuczka z autopilotem. Kiedy się go włączy, maszyna zaczyna powoli iść w górę, ale wysokościomierz tego nie wykazuje, nie włącza się więc system wyrównywania ciśnienia i w kabinie zaczyna brakować tlenu. Zanim pilot zorientuje się, że coś jest nie w porządku, będzie już za późno.

- A nie może wyłączyć autopilota? Finn potrząsnął głową.

- Autopilot jest zablokowany: od momentu włączenia wykonuje ustawiony wcześniej program i nie można tego zmienić. Pilot może oczywiście rozwalić całą aparaturę, ale nic mu to nie pomoże: nie odzyska już kontroli nad maszyną.

- A więc wszyscy trzej stracą przytomność z niedotlenienia?

- A jak paliwo się skończy, spadną do oceanu.

- Mogą spaść na ląd - zaniepokoił się Sarveux.

- To mało prawdopodobne - powiedział Finn. - Przy założeniu, że mają duży zapas paliwa i że Gly będzie chciał uciec jak najdalej, mamy szansę osiem do jednego, że wpadną w wodę, i to głęboką.

Sarveux zamyślił się przez chwilę.

- A informacje dla prasy?

- Już opracowane i gotowe do wysłania do agencji.

Komisarz Finn otworzył parasol i ruszyli, w stronę limuzyny premiera. Na pasie dojazdowym tworzyły się już spore kałuże. Jeden z ludzi Finna zgasił światła hangaru i pasa startowego. Przy samochodzie Sarveux zatrzymał się i spojrzał w

hebanowe niebo. Cichnący pomruk samolotu zmieszał się z szumem deszczu.

- Szkoda, że Gly nigdy się nie dowie, jak go wykołowaliśmy. On jeden potrafiłby to docenić.

Nazajutrz agencje prasowe otrzymały dramatyczny telex:

OTTAWA, 6/10 (wiadomość specjalna)

Dziś rano samolot Henriego Yillona, kandydata na prezydenta Quebecu, spadł do Oceanu Atlantyckiego ok. 200 mil na północny wschód od stolicy Guyany Francuskiej, Cayenne. Dwusilnikowy odrzutowiec typu Albatross pilotował osobiście pan Yillon, a jedynym pasażerem na pokładzie była pani Danielle Sarveux, żona premiera Kanady.

Pan Yillon i pani Sarveux odlecieli w nocy z Ottawy do Quebecu. Ponieważ nie wylądowali w przewidzianym terminie, a wszelkie próby nawiązania kontaktu radiowego nie dały rezultatu, zaalarmowano służby poszukiwawcze. Niestety, władze kanadyjskie nie od razu zorientowały się, że samolot znalazł się nad terytorium Stanów Zjednoczonych, wiele godzin stracono na bezowocne przeszukiwanie terenów między Ottawą a Quebeciem. Dopiero nad ranem concorde linii „Air France” zauważył na południe od Bermudów jakiś nie zidentyfikowany samolot. Został on rozpoznany przez myśliwce z lotniskowca USS „Kitty Hawk” jako maszyna typu Albatross. Samolot znajdował się na wysokości 55 000 stóp, czyli 8 000 stóp powyżej pułapu dozwolonego dla tego typu maszyn. Porucznik Arthur Hancock, który pierwszy zbliżył się do samolotu pana Yillona, twierdzi, że człowiek w kabinie pilota nie poruszał się i nie reagował na żadne sygnały. Amerykański lotnik widział następnie, jak Albatross wpadł w korkociąg i zleciał do oceanu. „Nie znamy jeszcze przyczyny wypadku - stwierdził Ian Stone, rzecznik Kanadyjskiej Kontroli Ruchu Powietrznego. - Można jedynie przypuszczać, że pani Sarveux i pan Yillon stracili przytomność z powodu dekompresji kabiny i niedostatku tlenu, po czym autopilot prowadził maszynę jeszcze przez 3000 mil ustalonym kursem. Po wyczerpaniu paliwa samolot spadł do oceanu”. Akcja poszukiwawcza trwa, ale nie znaleziono dotąd żadnych śladów.

Premier Charles Sarveux był nieobecny w czasie tych strasznych wydarzeń i odmawia wszelkich komentarzy.

## ROZDZIAŁ 79

Poranna mgła okryła dolinę Hudsonu, ograniczając widoczność do pięćdziesięciu jardów. Swój ośrodek dowodzenia, zorganizowany w dużym samochodzie kempingowym pożyczonym od miejscowego farmera, Pitt zlokalizował po zachodniej stronie wzgórza. Jak na ironię, ani on, ani Shaw nie znali nawzajem swoich pozycji, choć dzieliła ich tylko mila zalesionego zbocza.

Pitt ledwie trzymał się na nogach z powodu braku snu i nadmiaru kawy. Marzył o zdrowym łyku koniaku, który rozjaśniłby mu w głowie, ale czuł, że nie może sobie na to pozwolić. Mimo strasznej pokusy bał się reakcji przeciwnej - ośpienia intelektualnego - a to była ostatnia rzecz, jaka była mu teraz potrzebna.

Stał w drzwiach swego nowego biura i obserwował Nicholasa Rileya z ekipą nurków z „De Soto”, którzy wylądowywali swój sprzęt. Glen Chase i Al Giordino już od dłuższego czasu walczyli z grubą żelazną kratą, wbity w skalistą ścianę zbocza. Słychać było ostry szum palnika acetylenowego, niebieskie iskry rozsypywały się szeroko, kiedy płomień palnika atakował zardzewiałe pręty.

- Mógłbym się założyć, że za tą kratą jest szyb ratunkowy - rzekł Lubin - choć oczywiście nie mam stuprocentowej pewności.

Jeny Lubin, ekspert Federalnej Agencji Zasobów Naturalnych, przybył z Waszyngtonu w towarzystwie admirała Sandeckera parę godzin wcześniej. Był to mały, pogodnie usposobiony człowieczek, z haczykowatym nosem i bystrymi oczami ogara.

- A jednak znaleźliśmy otwór dokładnie tam, gdzie pan przewidywał - powiedział Pitt.

- Kwestia rutyny - odparł skromnie Lubin. - Gdybym sam projektował tę kopalnię, też bym to tak urządził.

- Ktoś się tu nieźle napracował, żeby utrudnić ludziom wejście - zauważył Sandecker.

- To farmer, który kiedyś kupił ten teren - odezwał się głos z piętrowego łóżka, okupowanego przez Heidi.

- Skąd pani to wie? - spytał Lubin.

- Pewna miła dziennikarka uciekła w środku nocy z łóżka swojego przyjaciela, żeby otworzyć dla mnie archiwum lokalnej gazety.

Wyczytałam tam, że trzydzieści lat temu utonęło w tym szybie trzech nurków. Dwóch ciał nigdy nie znaleziono. Farmer zamknął więc właz kratą, bo nie chciał mieć



więcej trupów na swoim terenie.

- Czy znalazłaś też coś na temat osunięcia się gruntu? - spytał Pitt.

- Nie. Wszystkie roczniki sprzed 1946 roku spaliły się, a tamto zbocze zawałowało się dużo wcześniej.

Sandecker nerwowo szarpał rudą brodę.

- Zastanawiam się, jak daleko ci nieszczęśnicy doszli, zanim utonęli.

- Może pchali się aż do głównej sztolni i nie starczyło im powietrza w drodze powrotnej - snuł domysły Pitt. Ale to Heidi powiedziała głośno to, co wszystkim przychodziło już do głowy.

- Jeżeli tak, to widzieli, co jest tam w środku. Sandecker spojrzał niespokojnie na Pitta.

- Nie chcę, żebyś popełnił ten sam błąd, co oni.

- Daj spokój, to pewnie byli jacyś amatorzy, nie wytrenowani i z kiepskim sprzętem.

- Mimo wszystko wolałbym jakąś łatwiejszą drogę.

- Lepszy byłby tylko szyb wentylacyjny.

- No właśnie - ucieszył się Sandecker i spojrzał na Lubina. - Przecież każda kopalnia ma system wentylacji.

- Nie mówiłem o tym - odparł Lubin - bo znalezienie tamtego szybu we mgle mogłoby nam zająć wieczność. Po zamknięciu kopalni ludzie z okolicy na pewno przykryli i zasypali tamten otwór: inaczej mógłby tam ktoś wpaść, zwłaszcza dziecko - i nieszczęście gotowe.

- Mam przeczucie, że tam właśnie znajdziemy naszego przyjaciela Briana Shawa - powiedział Pitt. Lubin spojrzał zdziwiony.

- Kto to jest?

- Konkurent. Chce dostać się do wnętrza tej góry tak samo namiętnie jak my.

Lubin wzruszył ramionami.

- Nie zazdroścę mu. Przepychać się przez prawie pionowy tunel szerokości ludzkich ramion - to zaskarona robota.

Brytyjczycy na pewno podzielali pogląd Lubina. Bardzo prędko znaleźli wylot szybu: jeden z ludzi Macklina potknął się i wpadł w płytką studnię. Dalej szyb był gruntownie zapchany wszelakim paskudztwem. O północy ekipa spadochroniarzy brytyjskich zaczęła katorżniczą pracę.

Teraz wszystkich bolały już plecy. W ciasnym wykopie mógł i pracować tylko

jeden człowiek, któremu w dodatku ciągle groziło wpadnięcie w czeluść. Wyciągali na linie kolejne pełne wiadra, ukradzione z sąsiedniego sadu. Opróżniali je na powierzchni i spuszczały z powrotem w dół. Kopali jak krety - tak szybko i tak intensywnie, jak tylko się dało. Kiedy jeden z żołnierzy mdlał z wyczerpania, natychmiast zastępował go inny. Nie robili żadnych przerw.

- Na jakiej jesteśmy głębokości? - spytał Shaw.

- Około czterdziestu stóp - odparł Caldweiler.

- A ile jeszcze zostało? Walijczyk uniósł brwi w zamyśleniu.

- Teoretycznie do głównej pieczary powinno być jeszcze jakieś sto dwadzieścia stóp. Ale trudno powiedzieć, do jakiej głębokości szyb jest zasypany. Możemy się przebić już za chwilę albo walczyć z tym świństwem do ostatniego cala.

- Ja bym wołał, żeby to trwało krótko - rzekł Macklin. - Ta mgła chyba nie będzie nas długo osłaniać.

- Czy są jakieś ślady Amerykanów? - spytał Shaw.

- Słysząc coś, jakby samochody, z tamtej strony wzgórza.

- Rzeczywiście. Powinienem być się wcześniej domyślić, że to oni. - Shaw zapalił papierosa, był to już ostatni z jego ulubionego gatunku, z kartonu, który przywiózł sobie z Anglii.

- Będą mieli miłe powitanie, jak się tu pokażą - rzekł Macklin z dziwnym uśmiechem.

- Słyszałem, że amerykańskie więzienia są przepełnione - mruknął Caldweiler. - Głupio byłoby spędzić w nich resztę życia. Shaw uśmiechnął się.

- Wykopie pan sobie tunel i zwieje pan. Dla kogoś z takim doświadczeniem zawodowym to bułka z masłem. Caldweiler wytrząsnął popiół z fajki.

- Wolne żarty... Jeśli mam być szczerzy, zastanawiam się chwilami, co ja tu właściwie robię.

- Jest pan tu dobrowolnie, jak każdy z nas - rzekł Macklin. Shaw zaciągnął się dymem.

- Jeśli przeżyje pan to i uda się panu wrócić do Anglii, premier osobiście przypnie panu medal.

- Za ten nędzny kawałek papieru?

- Ten kawałek papieru jest wart więcej, niż pan sądzi.

- Na pewno nie jest wart tego potu i krwi, które tutaj zostawimy.

Niewielki konwój transporterów opancerzonych zatrzymał się. Oficer w

panterce wyskoczył z pierwszego samochodu i wydał rozkazy: z pojazdów wysypali się komandosi marines, z automatami w rękach. Oficer miał widać jakiś szósty zmysł, rozpoznający władzę, bo bezbłędnie ruszył w stronę Sandeckera.

- Admirał Sandecker? - spytał.

- Do usług - odparł admirał uprzejmie.

- Porucznik Sanchez, Trzeci Pułk Zwiadu Piechoty Morskiej - przedstawił się tamten i zasalutował.

- Bardzo mi miło - mruknął Sandecker, odwzajemniając salut.

- Nie mam dokładnych instrukcji... - zaczął Sanchez, ale admirał przerwał mu.

- Ilu ma pan ludzi?

- Trzy drużyny. Czterdziestu, licząc ze mną.

- W porządku. Jedna drużyna zabezpieczy najbliższy teren, dwie pozostałe będą patrolować las wokół wzgórza.

- Tak jest, sir.

- Aha, poruczniku. Tu mogą być pewne niespodzianki. Niech pańscy ludzie zachowują się cicho.

Sandecker odwrócił się i poszedł w stronę wylotu szybu. Odcięto właśnie ostatni pręt kraty. Nurkowie byli gotowi zagłębić się w serce góry. Zapadła cisza, pełna zaciekawienia. Wszyscy patrzyli na czarny otwór jak na bramę do piekieł.

Pitt był już w kostiumie do głębokich nurkowań. Dopasował starannie szelki, mocujące butle z powietrzem. Kiedy już uznał, że wszystko jest w porządku, dał znak Rileyowi i jego nurkom.

- Okay. Idziemy na dno nocy. Sandecker spojrzał na niego ciekawie.

- Na dno nocy?

- To taki stary zwrot, z żargonu nurków, oznacza eksplorację głębokich podwodnych jaskiń. Sandecker miał ponurą minę.

- Połamcie ręce i nogi...

- Znajdę ten traktat, tylko trzymaj kciuki - powiedział Pitt. Zasalutował po łobuzersku i wszedł w kuszącą, czarną czeluść szybu.

## ROZDZIAŁ 80

Stara droga ewakuacyjna schodziła coraz niżej w trzewia góry. Ściany sztolni, wysokie na sześć stóp, nosiły ślady górniczych oskardów. Powietrze było przesiąknięte słabą, ale złowieszczą wonią grobowca. Już po dwudziestu jardach tunel skręcił lekko: dalej światło z powierzchni nie docierało. Pitt, Riley i trzej inni włączyli więc lampy i w ich świetle posuwali się naprzód.

Minęli pusty, zardzewiały wózek górniczy. W niszy obok stało kilka oskardów i szpadli - jakby czekały, aż znowu ujmą je ręce górników. Nieco dalej leżały inne przedmioty: potłuczona lampa, wielki młot i zniszczone, pozlepiane stronice starego katalogu reklamowego, otwarty był na ogłoszeniach o sprzedaży pianin.

Na dwadzieścia minut zatrzymało ich wysokie skalne osypisko. Usuwając kamienie, podejrzliwie przyglądali się nadgniłym stemplom, które uginały się pod ciężarem stropu. Pracowali w milczeniu: podświadomy lęk przed zasypaniem paraliżował ich zmysły. Oczyszczili wreszcie drogę i ruszyli dalej, ciągle w dół. Już wkrótce na dnie tunelu pojawiła się woda. Kiedy sięgała im do kolan, Pitt zatrzymał się.

- To chyba dobre miejsce dla grupy asekuracyjnej - powiedział.

- Masz rację - zgodził się Riley.

Trzej nurkowie, którzy mieli tu zostać, by ubezpieczać Pitta i Rileya, ułożyli pod ścianą zapasowe butle z powietrzem. Potem solidnie zamocowali koniec cienkiej, pomarańczowej, odblaskowej linki, nawiniętej na duży bęben. Światła ich latarek nerwowo tańczyły po ścianach sztolni. Głosy wydawały się dziwnie zniekształcone i obce.

Pitt i Riley zdjęli sportowe buty, w których tu przyszli, i zastąpili je gumowymi płetwami. Wzięli bęben z linką i ruszyli naprzód: nylonowa odblaskowa nić Ariadny odwijająca się powoli, znacząc ich drogę. Kiedy woda sięgała im już do pasa, zatrzymali się, by włożyć na twarze maski i zamocować w ustach regulatory powietrza. Potem zanurzyli się.

Pod wodą było zimno i ponuro, chociaż zadziwiła ich przejrzystość. Pitt poczuł się nieswojo, kiedy przed oczyma wyrosła mu nagle niewielka salamandra - jakby w tej grobowej pustce nie spodziewał się żadnych objawów życia. Szyb ewakuacyjny schodził wciąż niżej i niżej: wydawało się, że nie ma końca. Pitt odnosił dziwne wrażenie, że gdzieś dalej, poza granicą światła, w ponurej głębi czają się jakieś nienaturalne moce.

Po dziesięciu minutach zatrzymali się, żeby zrobić pomiary. Głębokościomierz wskazywał sto pięć stóp. Pitt spojrział pytająco na Rileyę, ten szybko sprawdził ciśnienie powietrza w butlach i dał znak, że wszystko jest w porządku.

Ruszyli dalej. Wkrótce szyb zaczął się rozszerzać, a jego ściany przybrały barwę brudnego złota: znaleźli się w pokładzie wapnia. Niespodziewanie chodnik poprowadził ich w górę. Po dalszych kilku minutach głębokościomierz wykazywał już tylko szesnaście stóp. Poruszali się przez cały czas tuż nad dnem sztolni, teraz Pitt skierował swoją latarkę w górę: światło odbiło się jak od lustra od jakiejś równej, gładkiej powierzchni. Odepchnął się mocno stopami od dna, już po chwili jego głowa znalazła się nad wodą, w niewielkiej niszy powietrznej, utworzonej pod sklepieniem sporej pieczary. Ostre igły stalaktytów dochodziły niemal do powierzchni. Dał nurka, żeby ostrzec o tym Rileyę. Za późno.

Wynurzający się szybko Riley uderzył maską w wiszący kamienny sopel i stłukł szybę. Jej odłamki dotkliwie poraniły mu nos, czoło i powieki. Dopiero później miał się dowiedzieć, że naruszone są również źrenice. Pitt podpłynął do niego i chwycił mocno pod ramię.

- Co się stało - spytał Riley niepewnym głosem. - Dlaczego jest tak ciemno?

- Uderzyłeś głową w stalaktyt i potłukłeś lampę, a ja zgubiłem swoją.

Riley nie dał się nabrać. Zdjął rękawice i dotknął twarzy.

- Jestem ślepy - stwierdził rzeczowo.

- Nic podobnego, to tylko chwilowy szok. - Pitt zdjął Rileyowi maskę i zaczął usuwać z jego twarzy odłamki szkła. Riley nie czuł bólu: jego skóra była sparaliżowana z zimna.

- Cholerny pech. Dlaczego, do diabła?

- Przestań kwękać. Założą ci parę szwów i twoja szpetna gęba będzie jak nowa.

- Strasznie mi przykro, że tak ci spieprzyłem robotę. Wracamy?

- Tak, ty wracasz.

- A ty nie?

- Nie, ciągnę dalej.

- Ile jeszcze masz powietrza? - spytał podejrzliwie Riley.

- Wystarczy - mruknął Pitt.

- Nie kręć, nie wykiwasz starego zawodowca. Starczy, i to z biedą, co najwyżej na powrót do bazy. Jeśli pójdiesz dalej, stracisz bilet powrotny na powierzchnię.

Pitt przywiązał linkę bezpieczeństwa do stalaktytu, po czym zacisnął na niej

dłoń Rileya.

- Tylko pilnuj się liny, a spokojnie wrócisz do domu.

- Jesteś kompletny wariat. Co ja powiem admirałowi?? Wykastruje mnie, jak się dowie, że cię tu zostawiłem samego.

- Powiedz mu - rzekł Pitt z uśmiechem - że ci uciekłem, bo spieszyłem się na pociąg.

Kapral Richard Willapa czuł się w wilgotnym lesie stanu Nowy Jork jak u siebie. Był w prostej linii potomkiem Indian Chinook, zamieszkujących północną część wybrzeża Pacyfiku. W dzieciństwie często przemierzał lasy rodzinnego stanu Washington, tropiąc zwierzynę. Potrafił podejść jelenia na dwadzieścia stóp.

Ta umiejętność przydawała mu się potem często, przydała się i tutaj. Obejrzał ślady w mokrej trawie i doszedł do wniosku, że niedawno przechodził tędy człowiek małego wzrostu, w wojskowych butach numer siedem, podobnych do jego własnych. Ślady były jeszcze dość wyraźne, mimo osiadającej na nich świeżej wilgoci, Willapa doszedł do wniosku, że musiały powstać nie dawniej niż pół godziny temu. Prowadziły pod drzewo, charakterystycznie rozwidlone na wysokości trzech-czterech jardów, potem wracały w gęste zarośla. Willapa aż się roześmiał, kiedy zobaczył opar, unoszący się z pnia drzewa: ten facet specjalnie się tu fatygował, żeby sobie ulżyć.

Rozejrzał się dokoła, ale nie zauważył żadnego ruchu. Wiedział, że nie ma tu nikogo z jego oddziału, sierżant, który znał jego zdolności, wysłał go na samotny zwiad. Bezszelastnie wspinał się na drzewo i usiadł w rozwidleniu. Bacznie przyglądał się zarośłom. Po chwili za rzednącą mgłą rozpoznał zarys głowy i ramion.

- W porządku! - krzyknął. - Widzę cię! Łapy w górę i wyłaź! Odpowiedzią była krótka seria z pistoletu maszynowego: kule ścięły gałąź, po której przed chwilą się wspinał.

- Jezu Chryste! - mruknął zdziwiony. Nikt go nie uprzedzał, że mogą tu do niego strzelać.

Podniósł broń i posłał w zarośla serię.

Coraz gęstsza strzelanina na wzgórzu odbijała się głośnym echem w całej dolinie. Porucznik Sanchez włączył radio.

- Sierżant Ryan? Słyszysz mnie?

- Tak, słucham - odpowiedział Ryan prawie natychmiast.

- Co, do diabła, dzieje się tam na górze?

- Natknęliśmy się na gniazdo szerszeni, straciłem trzech ludzi. , Sanchez nie

mógł w to uwierzyć.

- Jak to: straciłeś? Kto to zrobił?

- Na pewno nie chłopci z widłami. To jakiś elitarny oddział.

- Co powiedziałaś?

- To, co pan słyszał. Mają najnowsze pukawki i cholernie dobrze potrafią się nimi posługiwać.

- Ale wdepnęliśmy! - krzyknął Shaw, schylając jak najniżej głowę. Kolejna seria strząsnęła na nich burzę poszarpanych liści. - Chyba zachodzą nas od tyłu.

- Ci jankesi to też nie amatorzy! - odkrzyknął Macklin.

Shaw poczołgał się w stronę szybu, nad którym Caldweiler i trzech inni ludzie pracowali bez wytchnienia, nie bacząc na toczącą się wokół bitwę.

- Mamy szansę się przebić?

- Jak się przebijemy, to pan pierwszy się o tym dowie - burknął Walijczyk. Pot zalewał mu twarz. Nic dziwnego: w wiadrze, które właśnie wyciągnął na powierzchnię, tkwił ogromny głaz. - Jesteśmy na głębokości 70 stóp. Tylko tyle mogą na razie powiedzieć.

Jakaś zbląkana kula trafiła w głaz wyciągnięty z szybu, odbiła się rykoszetem i urwała obcas buta Shawa.

- Niech pan się lepiej schowa, zawołam pana, jak będzie po co - rzekł Caldweiler spokojnie, jakby rozmawiali o pogodzie.

Shaw uznał, że rada jest dobra. Zsunął się do płytkiego rowu obok Burton-Angusa, który z widocznym upodobaniem odpowiadał seriami na serie Amerykanów.

- Trafił pan już kogoś? - spytał Shaw.

- Te sukinsyny nie wychodzą ze swoich dziur - odparł Burton-Angus. - Nauczyli się tego w Wietnamie.

Uniósł się na klęczki i posłał serię nisko, w poszycie lasu. Odpowiedzią był grad kul rozpryskujących ziemię na krawędzi rowu. Burton-Angus nagle wyprężył się jak struna, po czym runął na plecy. Shaw nachylił się nad nim. Krew sączyła się z trzech ran na piersi. Burton-Angus popatrzył na Shawa szklistym wzrokiem, jego twarz stała się nagle bardzo blada.

- Cholerny głupek... - szepnął. - Żeby dać się zastrzelić w Ameryce... Kto by to pomyślał...

Oczy rannego utknęły martwo w jednym punkcie i zastygły na zawsze. Skulony obok sierżant Bentley patrzył na to z kamienną twarzą.

- Za dużo dobrych ludzi ginie - rzekł powoli, z determinacją. Zdażył zauważyć, że seria, która ścięła Burton-Angusa, przyszła z góry, z pobliskiego, charakterystycznie rozwidlonego drzewa. Przetawił mechanizm karabinka na ogień pojedynczy, starannie wycelował i strzelił szybko sześć razy. Z ponurą satysfakcją obserwował ciało spadające z drzewa na mokrą ziemię.

Kapral Richard Willapa już nigdy nie będzie tropił jeleni w swoich ojczystych lasach.



## ROZDZIAŁ 81

Ledwie zaczęła się strzelanina, Sandecker wezwał przez radio pomoc lekarską z miejscowego szpitala. Reakcja była błyskawiczna. Już po paru minutach usłyszeli syreny zbliżających się ambulansów. Ze wzgórza znoszono właśnie pierwszych rannych.

Heidi chodziła od jednego rannego do drugiego, udzielając pierwszej pomocy. Z trudem powstrzymywała łzy. Żaden z tych biednych chłopców nie miał jeszcze dwudziestki. Byli bladzi z przerażenia. Żaden z nich nie spodziewał się, że będzie w tej akcji ranny lub że spotka go śmierć na ojczystej ziemi. A najdziwniejsze było to, że walczyli z wrogiem, którego nawet nie widzieli.

Nagle zobaczyła, jak z otworu starego szybu ratunkowego wychodzi dwóch nurków prowadząc Riley'a z twarzą zalaną krwią. Serce podeszło jej pod gardło: nie było z nimi Pitta. O Boże, pomyślała, on zginął.

W tym samym momencie ludzi wychodzących z szybu zobaczyli Sandecker i Giordino.

- Gdzie Pitt?! - krzyknął natychmiast Sandecker.

- Jeszcze tam siedzi - wymamrotał Riley. - Nie chciał wracać. Robiłem, co mogłem, panie admirale. Słowo honoru, próbowałem go przekonać, ale nie chciał mnie słuchać.

- Można się było tego po nim spodziewać - rzekł Sandecker ponuro.

- Pitt ma twardą skórę. - Głos Giordino brzmiał rzeczowo. - Kazał mi przekazać wiadomość, admirale.

- Co takiego?

- Powiedział, że musi zdążyć na pociąg. i - Może rzeczywiście dopadł go w głównej sztolni - rzekł Giordino z nagłą nadzieją w głosie.

- Nie miał szans - rzekł Riley, gasząc wszelki optymizm. - Miał za mało powietrza. Musiał utonąć.

Nikt nie marzy o śmierci w styksowych ciemnościach jaskini. To myśl zbyt dziwna i zbyt straszna. Uwięzieni w podwodnych jaskiniach nurkowie często zdzierali sobie palce do kości, próbując w ostatniej chwili rękami drażyć drogę w skale. Tylko nieliczni poddawali się, jakby wierząc w przedśmiertnej malignie, że wrócili do łona matki.

Ale Pitt bynajmniej nie myślał o umieraniu. Nie mógł sobie pozwolić na panikę. Skoncentrował się na oszczędzaniu powietrza i na orientacji w przestrzeni: dla

nurków to rzecz podstawowa.

Wskazówka manometru powietrza zbliżała się do zera. Ile jeszcze zostało mu czasu? Minuta, dwie, trzy - zanim zbiornik do końca się wyczerpie?

Przypadkowo wzburzył płetwą szlam na dnie, natychmiast pogorszyła się widoczność. Wykonując minimalne ruchy podpłynął wyżej, w strefę czystej wody. Znalazł się tuż pod stropem. Czubkami palców lekko odpychał się od ścian sztolni: czuł się jak w stanie nieważkości. Z ciemności wyłoniło się nagle rozwidlenie dróg. Czas nie pozwalał mu jednak na luksus wahania. Rzucił się wlewy korytarz. Niespodziewanie promień światła wydobył z ciemności leżący w szlamie pognieciony, zbutwiały kostium płetwonurka. Ostrożnie podpłynął do niego. Na pierwszy rzut oka kostium wyglądał jak porzucony, ale kiedy snop światła latarki, przemknąwszy po nogawkach i torsie, dotarł do kaptura, spoza leżącej tu maski spojrzały na Pitta puste oczodoły kościotrupa.

Zdrętwiał. Były to niewątpliwie zwłoki jednego z nurków, którzy zaginęli tu trzydzieści lat temu. Przypuszczalnie korytarz jest ślepy. Powodowany bardziej instynktem samozachowawczym niż rozumowaniem, Pitt wrócił szybko na rozwidlenie dróg. Spojrzał na kompas, niepotrzebny gest - bo pozostała mu już tylko jedna droga. Z tymi resztkami powietrza, które kołatały się na dnie butli, nie mógł marzyć o powrocie.

Starł się oddychać oszczędnie, zatrzymywał oddech jak najdłużej, wiedział jednak, że ciśnienie powietrza szybko spada. Zostało mu już tylko parę oddechów.

Poczuł suchość w ustach i nagle zrobiło mu się bardzo zimno. Rozpoznał pierwsze symptomy hipotermii: zbyt długo już przebywał w lodowatej wodzie. Zarazem ogarnął go dziwny spokój. Już nie przerażał go tajemniczy mrok wznoszącego się lekko w górę korytarza.

Zaciągnął się głęboko ostatnim haustem powietrza - i wyrzucił bezużyteczną już butlę, powoli zanurzyła się w mule. Uderzył mocno kolanem o skałę, ale nawet tego nie poczuł. Została mu jedna minuta: tylko na tyle mogło starczyć mu powietrza w płucach. Ze wstrętem pomyślał, że skończy tak, jak nurek w tamtym ślepych korytarzu. Prześladowała go wizja czaszki z pustymi oczodołami.

Poczuł rosnący w płucach ból i ogień w głowie. Postanowił jednak płynąć dalej, aż mózg odmówi mu posłuszeństwa. Uszy wypełniało mu dudnienie serca i czuł, że jakaś straszna siła miażdży mu płuca. Coś błysnęło w świetle latarki nad jego głową - chyba bardzo, bardzo daleko. Nie mógł już tego sprawdzić: jego wzrok gasł, krew nie

dostarczała tlenu do mózgu. Choć latarka nadal świeciła silnym blaskiem, jej właściciel pogрузił się w nieprzeniknionym mroku. Dotarł na dno nocy.

## ROZDZIAŁ 82

Sieć zaciskała się wolno, ale nieubłaganie. Oddział Macklina topniał. Pomiedzy ciałami zabitych i rannych wałały się puste, zużyte magazynki.

Słońce przebiło się przez mgłę. Cele stały się teraz lepiej widoczne - niestety, także dla nieprzyjaciela. Nie odczuwali strachu. Od początku wiedzieli, że nie mają szans ucieczki. Zresztą walka z dala od brzegów ojczystej wyspy nie była dla nich, Brytyjczyków, niczym nowym.

Macklin dowlókl się do Shawa. Trzymał rękę na temblaku, zakrwawione bandaże ciasno obejmowały zranioną nogę.

- Myślę, staruszk, że już nic nie da się zrobić. Nie uda nam się ich powstrzymać.

- Zrobiliście wspaniałą robotę - rzekł Shaw. - O wiele więcej, niż mogłem oczekiwać.

- To dobrzy chłopcy, zrobili, co było w ich mocy - odparł Macklin zmęczonym głosem.

- Czy nie ma żadnych szans przepchnąć się przez tę cholerną dziurę?

- Jeśli spytam o to Caldweilera jeszcze raz, da mi łopatą po łbie. Przy tym hałasie mógłby tam równie dobrze wrzucić granat.

Shaw spojrział na niego w osłupieniu, olśniony trafnością tej myśli. Rzucił się w stronę wykopu. Człowiek wyciągający kolejne wiadra, cały spocony, padał z wyczerpania. Jego oddech był krótki i ciężki.

- Gdzie Caldweiler? - spytał Shaw niecierpliwie.

- Zszedł na dół. Twierdzi, że nikt nie umie kopać szybciej niż on.

Shaw pochylił się na szybem, ale nic nie widział. Walijczyk był za daleko. Shaw zawołał go. Minęło sporo czasu, zanim w zasięgu wzroku ukazała się bryła błota, kształtem tylko trochę przypominająca człowieka.

- Co tam, u licha?

- Nasz czas się kończy. Może spróbować środków wybuchowych.

- To bez sensu - odkrzyknął Caldweiler. - Ściany się zawalą.

- Musimy zaryzykować. Caldweiler zrezygnował.

- Dobrze. Dawajcie ładunki, spróbujemy - rzucił ochryple i znowu zniknął w czarnej czeluści.

Minutę później sierżant Bentley spuścił mu torbę z plastycznym materiałem wybuchowym. Caldweiler ostrożnie wypełnił plastikiem wąskie szczeliny w dnie

wykopu, zainstalował zapalniki i dał znak, żeby go wyciągnąć. Kiedy był już u wylotu dziury, Shaw pomógł mu się wydostać na zewnątrz.

Caldweiler zapalił lont i rozejrzał się zaciekawiony. Widok był przerażający. Z całego oddziału Macklina zostało już tylko czterech sprawnych ludzi. Wciąż jeszcze strzelali. Nagle ziemia pod nimi zadrżała, a z wykopu wystrzeliła chmura ziemi. Caldweiler spuścił się z powrotem na dół i niemal natychmiast zniknął w tumanie kurzu. Słyszeć było tylko jego kaszel.

- Ściany całe?! - zawołał Shaw. Nie było odpowiedzi. Nagle poczuł szarpnięcie liny, zaczął więc ciągnąć jak szalony. Miał wrażenie, że ramiona wylecą mu ze stawów, kiedy wreszcie ukazała się zabłocona i zakurzona głowa Caldweilera.

Przez chwilę coś niewyraźnie chrypiało, wreszcie wykrztusił z gardła resztę kurzu.

- Udało się - sapnął. - Przebiliśmy się. Szybko, człowieku, zanim cię tu nie zastrzelą.

Macklin podszedł i uścisnął rękę Shawa.

- Życzę szczęścia, i obyśmy się jeszcze spotkali żywi.

- Dziękuję i nawzajem. Sierżant Bentley podał mu latarkę.

- Na pewno będzie panu potrzebna, sir. Caldweiler połączył trzy liny i spuścił je do szybu.

- To powinno wystarczyć do poziomu głównej sztolni - rzekł. - Niech pan wreszcie schodzi.

Shaw wszedł do otworu i zaczął spuszczać się po linie. Po paru jardach zatrzymał się na chwilę i spojrzał w górę. Pył, poruszony wybuchem, nie osiadł jeszcze, i trudno było cokolwiek zobaczyć.

Ludzie porucznika Sancheza, ukryci za drzewami i głazami, ze wszystkich stron razili ogniem pokryty zaroślami jar. Od początku walki Sanchez stracił jednego człowieka, jeden był ciężko ranny. Sam Sanchez też był ranny: kula przeszła na wylot przez udo. Zabandażował je prowizorycznie własnym podkoszulkiem.

- Ich ogień osłabł - stwierdził sierżant Hooper.

- I tak cud, że jeszcze żyją - rzekł Sanchez.

- Tak potrafią walczyć tylko fanatyczni terroryści.

- Są dobrze wyćwiczeni, trzeba im to przyznać. - Na chwilę przerwał, nad słuchując. Przyglądał się czemuś spoza dwóch wielkich głazów, za którymi był ukryty. - Słuchajcie.

Hooper zmarszczył brwi.

- Co takiego?

- Przestali strzelać.

- To ich trik, żeby nas zmylić.

- Nie sądzę - rzekł Sanchez. - Każ wstrzymać ogień. W zmaltretowanym strzelaniną lasku zapadła dziwna cisza. Z zarośli wyszedł mężczyzna, trzymając broń nad głową.

- Sukinsyn! Nosi mundur wojskowy.

- Pewnie go kupił z demobilu.

- Nieźle wygląda, drań.

Sanchez wstał i obojętnie zapalił papierosa.

- Idę do niego. Przy najmniejszym podejrzanym ruchu rąbnijcie go.

- Tylko niech pan idzie bokiem, żeby i panu się nie dostało.

Sanchez skinął głową i ruszył naprzód. Zatrzymał się w odległości półtora jarda od sierżanta Bentleya i przyjrzał się jego uczernionej twarzy, hełmowi z siatką, w której tkwiły świeże gałązki, i dystynkcjom służbowym na panterce. Nie zobaczył lęku w oczach tamtego. Rzekłby nawet, że są uśmiechnięte.

- Dzień dobry, panie poruczniku - powitał go Bentley.

- Pan jest tu dowódcą? - spytał Sanchez.

- Nie. Jeśli pan pozwoli, zaprowadzę pana do niego.

- Poddajecie się?

- Tak jest, sir. Sanchez opuścił lufę karabinka.

- Okay. Niech pan prowadzi, sierżancie.

Przez krzaki, ogołocone z liści, zeszli w dół rozpadliny. Sanchez przebiegł wzrokiem po leżących wokół ciałach, po plamach krwi na ziemi. Jeden z rannych spojrział na niego obojętnym wzrokiem. Trzej żołnierze, którzy wyglądali na nietkniętych, stanęli na baczność.

- Równać, chłopcy - rzekł Bentley ostro.

Sanchez nic z tego nie rozumiał. Ci ludzie w żadnym razie nie wyglądali na terrorystów. Byli to umundurowani, zdyscyplinowani żołnierze, dobrze wyćwiczeni w walce. Bentley prowadził go do dwóch mężczyzn siedzących obok wielkiej dziury w ziemi. Jeden z nich wyglądał, jakby go umyślnie wytarzano w błocie po to, by następnie reklamować jakiś detergent. Nachylał się nad swoim towarzyszem, usiłując zdjąć mu but z silnie krwawiącej nogi. Ranny spojrział na Sancheza pogodnie i

zasalutował.

- Dzień dobry.

Beztroski facet, pomyślał Sanchez.

- Czy pan tu dowodzi?

- Tak, w istocie - odrzekł Macklin. - Z kim mam przyjemność?

- Porucznik Richard Sanchez, Piechota Morska Stanów Zjednoczonych.

- Trafiła kosa na kamień. Jestem porucznik Digby Macklin, Piechota Morska Jej Królewskiej Mości. Sanchez stał z otwartymi szeroko ustami.

- Niech to diabli - rzucił. Nic innego nie przychodziło mu do głowy.

Shaw spuszczał się coraz niżej w głąb przewodu wentylacyjnego. Ogarniał go intensywny zapach, stęchlizny. Po pewnym czasie szyb najwidoczniej się rozszerzył: Shaw nie mógł już dosięgnąć stopami jego ścian. Zapalił latarkę i skierował ją w dół.

Wisiał nad dużą pieczarą. Jej wysokość od podłogi do stropu mogła sięgać czterdziestu stóp. Była pusta, z wyjątkiem sterty pokruszonych kamieni w jednym kącie. Zsunął się do końca liny. Do ziemi brakowało jeszcze dwunastu stóp. Wsadził latarkę pod pachę, wziął głęboki oddech - i puścił linę.

Poczuł się jak kamień rzucony z góry w ciemność. Nie chciałby przeżyć czegoś takiego jeszcze raz. Upadek zatrzymał mu oddech w piersiach. Wyszedłby z tego cało, gdyby zdołał utrzymać pion w czasie skoku. Spadł jednak na bok. Ręka, którą się podparł, uderzyła w coś twardego, usłyszał chrzęst łamanego nadgarstka. Siedział kilka minut, ściskając zęby z bólu i przeklinając swoją niezręczność. Nagle uświadomił sobie, że w ślad za nim, już za chwilę mogą tu przyjść Amerykanie. Zapanował nad bólem, wstał i spróbował zapalić latarkę. Na szczęście nic jej się nie stało. Znajdował się w pobliżu wąskich torów, które biegły w stronę wykutego w skale tunelu. Niezdarnie, jedną ręką wyciągnął pasek ze spodni i zrobił sobie z niego temblak, po czym ruszył do tunelu.

Szedł środkiem toru, świecąc cały czas pod nogi, by nie potknąć się o podkłady. Tunel biegł prosto przez jakieś pięćdziesiąt jardów, potem lekko skręcił. Shaw zatrzymał się i skierował snop światła przed siebie. Patrzyła na niego para ogromnych, czerwonych oczu.

Ostrożnie ruszył naprzód. Nagle potknął się o coś, więc znowu spojrzął w dół i zobaczył drugą parę szyn, ich rozstaw był znacznie szerszy. Wyszedł z tunelu do następnej pieczary. Choć może określenie: „pieczara” nie było tu wystarczające. Miał przed sobą gigantyczną podziemną kryptę.

Czerwone oczy okazały się dwiema latarniami wiszącymi z tyłu pociągu. Nad nimi, na platformie wagonu, ujrzał dwa przedziwnie zmumifikowane ciała. Z poczerniałych czaszek patrzyły w wieczną ciemność puste oczodoły. Shaw poczuł, że włosy jeżą mu się na głowie. Zupełnie zapomniał o bólu nadgarstka. A więc Pitt miał rację. Tajemnica „Manhattan Limited” kryła się w starej, zasypanej kopalni.

Rozejrzał się dokoła, trochę licząc się z tym, że za chwilę zobaczy śmierć z kosą w ręku, spowitą w biały całun i przywołującą go kościanym palcem. Przeszedł wzdłuż wagonu i ze zdziwieniem stwierdził, że nie ma na nim śladu rdzy. Przy buforze, łączącym ten wagon z następnym, leżało jeszcze jedno ciało, z głową groteskowo opartą o wielkie stalowe koło. Powodowany dziwną, niezdrową ciekawością, Shaw przyjrzał się trupowi z bliska.

W świetle latarki skóra miała kolor brązowoczarny i wyglądała jak wygarbowana. Wraz z upływem miesięcy i lat ciało wyschło i stwardniało, ulegając naturalnej mumifikacji pod wpływem suchego powietrza kopalni. Na głowie trzymały się jeszcze resztki czapki z daszkiem, co wskazywało, że człowiek ten był konduktorem.

W pociągu i wokół niego były jeszcze dziesiątki takich mumii. Martwi ludzie leżeli lub siedzieli w różnych pozach, tam, gdzie dopadła ich śmierć. Ich ubrania były w doskonałym stanie, Shaw bez trudności odróżniał kobiety od mężczyzn.

Większą grupę martwych postaci zobaczył przy otwartych na oścież drzwiach wagonu bagażowego. Przed nimi leżała bezładna sterta drewnianych skrzynek. Kilka takich samych skrzynek leżało na stojącym obok wózku górniczym. Jedna z mumii przyciskała skrzynkę do piersi. Shaw przemógł wstręt i zajrzał do środka. Spod warstwy kurzu błysnął kolor złota.

Mój Boże, pomyślał, jeśli w tych wszystkich skrzynkach jest to samo, może to być dziś warte ponad trzysta milionów dolarów.

Przez chwilę zafascynowany kontemplował całe to bogactwo, ruszył jednak dalej. Pot spływał mu po plecach, choć w kopalni było bardzo zimno.

Maszynista zdecydował się umrzeć na lokomotywie. Wielki żelazny potwór przykryty był grubą warstwą kurzu, przez którą Shaw zauważył jednak złote, fantazyjne numery „88” i biegnącą z boku przez całą długość kotła czerwoną linię.

Trzydzieści stóp przed pługiem lokomotywy zaczynało się wielkie rumowisko skalne, sięgające niskiego już w tym miejscu sklepienia. Wiele trupów leżało właśnie tutaj. Niektórzy jeszcze trzymali w wyschniętych dłoniach kilofy i łopaty. Zapewne,



pomyślał, próbowali przekopać się przez zasypane wyjście. Udało im się nawet przerzucić kilka ton skalnego gruzu, była to jednak kropla w morzu. Nawet stu silnych, dobrze odżywionych mężczyzn potrzebowaloby co najmniej miesiąca, aby przeryć się przez taką górę kamieni.

Jak do tego doszło? Shaw zadrżał, uświadomiwszy sobie grozę całej tej historii. Wyobrażał sobie psychiczną torturę ludzi beznadziejnie uwięzionych w ciemnym i lodowatym podziemnym więzieniu. Co musieli przeżyć, zanim śmierć „położyła kres ich cierpieniom?”

W dalszym ciągu kręcił się wokół parowozu i węglarki, potem wszedł na schodek pierwszego wagonu pasażerskiego. W pierwszym przedziale, na koi, leżała kobieta z dwojgiem małych dzieci w ramionach. Shaw odwrócił się i poszedł dalej. Zaglądał do każdego bagażu, który wyglądał na to, że mógłby zawierać kopię Traktatu Północnoamerykańskiego. Szło mu to jednak strasznie wolno. Nagle ogarnęła go panika, latarka zaczęła przygasać, baterie mogły się lada chwila wyczerpać.

Siódmy i ostatni wagon pasażerski miał namalowany na drzwiach emblemat: amerykańskiego orła z rozpostartymi skrzydłami: był wściekły, że nie zauważył tego od razu. Nacisnął klamkę i wszedł do środka. Widok bogatego, wręcz luksusowego wnętrza salonki przez chwilę zatrzymał go w progu. Teraz nie ma już takich wagonów, pomyślał z nostalgią.

W czerwonym, aksamitnym, obrotowym fotelu siedział, wygodnie rozparty, człowiek w meloniku na głowie. Pożółkła gazeta zasłaniała jego twarz i pierś. Dwaj inni podróżni siedzieli oparci o mahoniowy stół, z głowami w ramionach. Jeden z nich miał na sobie żakiet angielskiego kroju, drugi - garnitur z samodziału. Właśnie ten człowiek przykuł wzrok Shawa. Jego wyschnięta ręka opierała się na uchwycie małej walizeczki. Ostrożnie, jakby bojąc się zbudzić właściciela, Shaw uwolnił uchwyt ze sztywnych palców.

Nagle zmartwiał. Kącikiem oka dostrzegł - tak mu się zdawało - jakiś nieznaczny ruch w wagonie. To oczywiście musiało być złudzenie. Przecież każdy ruch jego latarki ożywiał cienie na ścianach i nie było w tym nic dziwnego. A jednak z trudem opanował irracjonalną, paniczną chęć ucieczki.

I nagle jego serce zatrzymało się na chwilę. Każdy kardiolog powiedziałby oczywiście, że to niemożliwe, ale tak właśnie się stało. Shaw patrzył jak sparaliżowany.

Odchylony wygodnie w obrotowym fotelu trup w meloniku nagle się

wyprostował. Opuścił nieco gazetę, odsłaniając twarz - i uśmiechnął się szeroko.

## ROZDZIAŁ 83

- Nie znajdzie pan tam tego, czego pan szuka - odezwał się Dirk Pitt, ruchem głowy wskazując walizeczkę.

Shaw przez chwilę miał wrażenie, że stracił rozum. Upadł na fotel, czekając, aż serce wróci do normy. Dopiero teraz zauważył, że człowiek w meloniku ma pod starym płaszczem czarny kombinezon nurka. W końcu wziął się w garść.

- Ma pan dziwny sposób manifestowania swojej obecności - rzekł.

Pitt wspomógł zdychające światło latarki Shawa silnym blaskiem swojej lampy podwodnej. Beztrąsko wrócił do przeglądania starej gazety.

- Zawsze mówię, że przyszedłem na świat osiemdziesiąt lat za późno. Używany stultz bearcat speedster za jedne sześćset siedemdziesiąt pięć dolarów.

Shaw czuł się już tak wyczerpany nerwowo doświadczeniami ostatnich dwunastu godzin, że nie podjął lekkiego tonu Pitta.

- Jak pan się tu dostał? - spytał rzeczowo. Pitt w dalszym ciągu przeglądał ogłoszenia samochodowe. Wreszcie odrzekł:

- Przepląnąłem przez sztolnię ewakuacyjną. Zużyłem całe powietrze i o mało nie utonąłem. Prawie mi się to udało. Na szczęście trafiłem na kieszeń powietrzną pod zatopioną maszyną do kruszenia skał. Ten jeden dodatkowy oddech pozwolił mi dostać się do bocznego tunelu.

Shaw rozejrzał się po salonce.

- A co tu się zdarzyło?

Pitt wskazał dwu mężczyzn przy stole.

- Człowiek z neseserem to Richard Essex, podsekretarz stanu, tamten drugi to Clement Massey. Obok Masseya leży jego list do żony. Opisuje w nim całą tragedię.

Shaw rzucił okiem na wyblakły list.

- To właśnie Massey uprowadził pociąg?

- Tak, polował na złoto.

- Widziałem je. Można by za to kupić Bank Anglii.

- Plan Masseya był bardzo skomplikowany, jak na owe czasy. On i jego ludzie zatrzymali pociąg na opuszczonej stacji Mondragon Hook. Następnie sterroryzowali maszynistę i cofnęli „Manhattan Limited” przez starą bocznice do kopalni.

- Sądząc po tym, co tu widać, zgarnęli więcej, niż się spodziewali.

- Tak - zgodził się Pitt. - Bez trudu sterroryzowali straż kolejową, ta część planu

była dobrze opracowana. Ale natrafili na przykrą niespodziankę w postaci ochrony osobistej Essex. W wymianie ognia zginęli wszyscy goryle Essex, ale i Massey stracił trzech ludzi.

- Mimo to zrealizował swój plan.

- Tak. Najpierw pojechał na most Deauville i upozorował katastrofę. Potem wrócił do kopalni i odpalił ładunki wybuchowe, powodując zawalenie głównego wjazdu. Teraz miał dużo czasu na wyładowanie złota i ucieczkę szybem ewakuacyjnym.

- Jak mógł to tak zaplanować? Nie wiedział, że w szybie jest woda?

- Planował dobrze - rzekł Pitt. - Szyb ratunkowy schodzi na pewnym odcinku poniżej poziomu pieczary i właśnie ten odcinek czasami wypełnia się wodą. Ale w przeddzień porwania pociągu cały szyb był suchy, Massey sprawdził to. Jednakże eksplozja przy głównym wjeździe spowodowała nowe pęknięcia w skałach, woda zalała szyb ratunkowy, niweczając tym samym wszelkie szansę ucieczki. Ludzie w podziemiu zostali skazani na powolną, makabryczną śmierć.

- Nieszczęśnicy - rzekł Shaw. - Konali tu pewnie kilka tygodni z zimna i głodu.

- I tylko dziwne, dlaczego Massey i Essex postanowili w końcu umrzeć przy jednym stole - zastanawiał się głośno Pitt. - Ciekawe, co mieli ze sobą wspólnego?

Shaw skierował na niego słabe światło swojej latarki.

- Czy przyszedł pan tu sam, panie Pitt?

- Tak, nurek, który był ze mną, musiał wrócić.

- Sądzę w takim razie, że ma pan przy sobie traktat...

Pitt spojrzał na Shawa znad gazety. Jego zielone oczy były nieprzeniknione.

- Słusznie pan sądzi.

Shaw wyjął z kieszeni berettę, kaliber dwadzieścia pięć.

- Przykro mi... ale będzie mi go pan musiał oddać.

- Żeby go pan spalił?

Shaw skinął w milczeniu głową.

- Nic z tego - stwierdził Pitt spokojnie.

- Nie wiem, czy dokładnie rozumie pan sytuację.

- Owszem, widzę, że ma pan broń.

- A pan nie ma.

Pitt wzruszył ramionami.

- Przyznaje, że nie zaopatrzyłem się w nic takiego.

- Traktat, panie Pitt, bardzo proszę...

- A nie słyszał pan nigdy, że kto pierwszy, ten lepszy? Shaw westchnął głęboko.

- Zawdzięczam panu życie i naprawdę nie chcę pana zabić. Jednakże ten dokument jest dla mojego kraju, a więc i dla mnie, znacznie ważniejszy niż nasze wzajemne długi.

- Pan wybaczy, ale sami zniszczyliście swoją kopię, wraz z „Empress of Ireland”. Ta kopia należy do Stanów.

- Być może, ale Kanada należy do Wielkiej Brytanii. I nie mamy zamiaru z niej zrezygnować.

- Imperium nie może trwać wiecznie.

- To prawda: Indie, Egipt, Birma, by wspomnieć tylko parę krajów, nigdy nie były naprawdę nasze. Ale Kanadę stworzyli i zbudowali Brytyjczycy.

- Słabo zna pan historię, Shaw. Pierwsi byli Francuzi. Potem rzeczywiście Brytyjczycy. Ale zaraz po was przyszli imigranci: Niemcy, Polacy, Skandynawowie, a nawet Amerykanie, którzy zagospodarowywali prowincje zachodnie. Dzisiaj trzymacie jeszcze ster poprzez ludzi, którzy albo urodzili się w Anglii, albo tam się kształcili. Tak samo jest w całej Wspólnocie Brytyjskiej: władze lokalne, nawet wielkie korporacje są coraz częściej w rękach miejscowych ludzi, ale najważniejsze decyzje przychodzą z Londynu.

- Ten system sprawdził się w praktyce.

- Ale skompromituje go w końcu geografia - rzekł Pitt. - Nie można w nieskończoność z odległości tysięcy mil rządzić innymi krajami.

- Jeśli Kanada opuści Wspólnotę, w jej ślady pójdą Australia i Nowa Zelandia, a nawet Szkocja czy Walia. Trudno sobie wyobrazić coś gorszego.

- Któż to wie, jakie będą granice za tysiąc lat? I kogo to w ogóle obchodzi?

- Mnie obchodzi, panie Pitt. Proszę mi oddać traktat. Pitt nie odpowiadał, nadśluchując. W jednym z tuneli słychać było jakieś głosy.

- Pańscy przyjaciele przyszli tu za mną przez szyb wentylacyjny - wyjaśnił Shaw. - Nasz czas się skończył.

- Jeśli pan mnie zabije, oni zabiją pana.

- To już nie ma znaczenia. Niech mi pan wybaczy, panie Pitt. - Lufa pistoletu skierowała się dokładnie między oczy Amerykanina.

Głośny strzał rozdarł ciszę pieczary. Ale nie był to suchy trzask małokalibrowej beretty, lecz basowy huk broni większego kalibru. Głowa Shawa odskoczyła na bok,

jak od ciosu bokszerskiego, ciało bezwładnie pogrążyło się w fotelu. Pitt przez chwilę oglądał osmaloną dziurę w gazecie, po czym wstał, rzucił automatycznego mauzera 7,63 mm na stół i ułożył Shawa na podłodze.

Al Giordino, z pistoletem maszynowym w rękach, wpadł do salonki jak rozjuszony byk na arenę. Stał jak wryty, wpatrując się w melonik na głowie Pitta. Potem rzucił okiem na Shawa.

- Nie żyje?

- Kula drasnęła mu tylko czaszkę. To twardy facet, trochę go będzie łeb bolał, ale założą mu parę szwów i pewnie znowu zaczną polować na moją skórę.

- Skąd wzięłeś broń?

- Pożyczyłem sobie od tego tutaj. - Wskazał ruchem głowy Maseya.

- A traktat? - spytał Giordino niespokojnie. Pitt wysunął spomiędzy stron gazety duży arkusz papieru i trzymał go w świetle swojej lampy.

- Traktat Północnoamerykański w całej okazałości. W takim samym stanie, jak w dniu, w którym go podpisano - oznajmił uroczyście. - No, może z wyjątkiem jednej wypalanej dziury między paragrafami.

## ROZDZIAŁ 84

W saloniku recepcyjnym kanadyjskiego Senatu prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki nerwowo przemierzał dywan. Jego twarz zdradzała duże napięcie. Weszli Alan Mercier i Harrison Moon i stanęli w milczeniu.

- Jest coś nowego? - spytał prezydent. Mercier potrząsnął głową.

- Nic.

Moon wyglądał na załamanego.

- Admirał Sandecker mówi, że Pitt przypuszczalnie utopił się w tej kopalni.

Prezydent ścisnął ramię Merciera, jakby chciał zaczerpnąć od niego nieco siły.

- Nie miałem prawa domagać się rzeczy niemożliwych.

- Gra była warta świeczki - powiedział Mercier, ale prezydenta nie opuszczał grobowy nastrój.

- Nie ma dobrych usprawiedliwień dla zwyciężonych. W drzwiach pojawił się sekretarz stanu Oates.

- Premier i gubernator generalny przybyli właśnie do Senatu, panie prezydencie. Wszyscy ministrowie też już są. Czas na nas. Wzrok prezydenta wyrażał tylko bezsilność.

- Myślę, panowie, że nasz czas już minął. Tak samo jak czas Stanów Zjednoczonych.

Wysoka na dwieście dziewięćdziesiąt jeden stóp Wieża Pokoju, tworząca centralną część budynku parlamentu Kanady, rosła w oczach: odrzutowy VTOL „Scinletti” szybko zbliżał się do Ottawy.

- Jeśli nie opóźni nas tłok nad lotniskiem - rzekł Jack Westler - wylądujemy za pięć minut.

- Daj sobie spokój z lotniskiem - rzekł Pitt. - Ląduj na trawniku przed parlamentem. Westler otworzył szeroko oczy.

- Nie wolno mi tego zrobić. Stracę licencję pilota.

- Ułatwię ci decyzję. - Z walizeczki Richarda Essex, którą trzymał na kolanach, Pitt wyjął starego mauzera 7,63 mm i wcisnął lufę w ucho Westlera. - Ląduj, mówię.

- Zastrzel mnie... zastrzel... - wybełkotał pilot. - Potem i tak obaj się rozbijemy.

- Wcale nie jesteś mi tu potrzebny - blefował Pitt z kamienną twarzą. - Mam przelatane więcej godzin niż ty.

Westler, blady jak papier, przystąpił do lądowania.

Tłum turystów, fotografujących właśnie odświętnie przystrojonego konnego

policjanta, na dźwięk silników podniósł głowy do góry, po czym rozpiął się na wszystkie strony. Pitt rzucił rewolwer pod fotel, otworzył drzwi i wyskoczył, zanim jeszcze koła samolotu dotknęły trawnika.

Rzucił się w tłum gapiów, osłupiały policjant na koniu nawet nie drgnął. Drzwi Wieży Pokoju oblężone były przez turystów, pragnących przynajmniej z daleka rzucić okiem na amerykańskiego prezydenta. Pitt przebił się przez tłum, ignorując okrzyki strażników.

W holu budynku zgubił się przez chwilę, zobaczył jednak dwa tuziny kabli, leżących na podłodze, i postanowił pójść za nimi, zakładając, że prowadzą do kamer przekazujących wystąpienie prezydenta. Był już prawie przy drzwiach Izby Senatu, kiedy wyrósł przed nim policjant, wielki jak góra, ubrany w ceremonialną szkarłatną pelerynę.

- Stać! Dalej nie wolno!

- Muszę natychmiast rozmawiać z prezydentem! - krzyknął Pitt i dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak absurdalnie to brzmi.

Policjant patrzył ze zdziwieniem na cudaczny strój intruza. Przed wejściem do samolotu Pitt zdążył tylko zdjąć górę swego podwodnego kostiumu. Miał na sobie pożyczoną od Giordina o dwa numery za małą marynarkę i obcisłe gumowe rajtuzy pletwonurka. A w dodatku był bez butów.

Nadbiegli dwaj inni policjanci: chwycili go mocno pod pachy.

- Uważajcie, chłopcy - powiedział człowiek-góra. - On może mieć bombę w tej walizce.

- Tam jest tylko świstek papieru! - krzyczał Pitt, bliski szaleństwa. Wokół zaczęli zbierać się gapie, błyskały flesze aparatów fotograficznych.

- Lepiej weźmy go stąd - powiedział wysoki policjant, wrywając Pittowi walizeczkę. Pitt chyba jeszcze nigdy w życiu nie był tak zdesperowany.

- Na litość boską! - zaczął błagać. - Słuchajcie...

Nie siląc się na specjalną uprzejmość, powlekli go w stronę wyjściowego portalu. Byli już prawie na zewnątrz, kiedy nagle przepchnął się w ich stronę mężczyzna w niebieskim garniturze.

- Ma pan jakieś problemy, konstablu? - zwrócił się do policjanta, pokazując legitymację US Secret Service.

- Jakiś ekstremista chciał się wdrzeć do Izby Senackiej.

Pitt zdołał wyrwać się z rąk policjantów i wyskoczył do przodu.



- Jeśli naprawdę jest pan z Secret Service, niech mi pan pomoże!

- Spokojnie, przyjacielu - odparł niebieski garnitur, wyciągając jednocześnie pistolet pod pachą.

- Mam ważny dokument dla prezydenta. Nazywam się Pitt. Prezydent czeka na to, musi mnie pan do niego zaprowadzić.

Policjanci kanadyjscy znów go dopadli, tym razem mocno już zirytowani. Agent tajnej służby powstrzymał ich ruchem ręki.

- Nie tak szybko! - Spojrzał sceptycznie na Pitta. - Ja nie mogę zaprowadzić pana do prezydenta, nawet gdybym chciał.

- No to do Harrisona Moona! - krzyknął Pitt, zmęczony już tą absurdalną zabawą.

- Czy Moon zna pana?

- Człowieku, uwierz mi wreszcie! Dobrze na tym wyjdiesz.

Mercier, Oates i Moon czekali w saloniku recepcyjnym, oglądając wystąpienie prezydenta na monitorze. Nagle otworzyły się drzwi i do saloniku wpadł istny tłum ochroniarzy, policjantów, strażników parlamentu - a pośród nich Dirk Pitt, przytrzymywany przez pół tuzina rąk.

- Zabierzcie stąd te brytany! - krzyczał Pitt. - Mam to! Mercier skoczył na równe nogi, z otwartymi szeroko ustami. Jeszcze nic nie rozumiał.

- Kto to jest? - spytał Oates.

- O Boże, to przecież Pitt! - zdołał wreszcie wykrztusić Moon.

Nie mogąc ruszyć rękami - wciąż były uwięzione w żelaznym uścisku „opiekunów” - Pitt wskazał głową na stary neseser w rękach wielkiego policjanta.

- Kopia traktatu jest tam!

Mercier poręczył za Pitta, tajni i jawni agenci dwu państw wynieśli się z pokoju. Oates szybko studiował treść traktatu. Wreszcie spytał z wahaniem w głosie:

- Czy to autentyk? To znaczy - poprawił się, ale równie niefortunnie - czy nie było możliwości jakiegoś fałszerstwa?

Pitt opadł ciężko na najbliższe krzesło. Palcami ostrożnie dotknął wielkiej śliwki pod okiem, efekt szarpaniny z policjantami. Jego trudna misja skończyła się.

- Bez obawy, panie ministrze, dostał pan uczciwy towar.

Mercier szybko przebiegł wzrokiem kopię prezydenckiego przemówienia.

- Już tylko dwie minuty do końcowej deklaracji...

- Trzeba mu to szybko doręczyć - rzekł Moon. Mercier spojrział na skrajnie

wyczerpanego człowieka, siedzącego na krześle.

- Myślę, że ten zaszczyt należy się panu Pittowi. To on reprezentuje ludzi, którzy zginęli za ten dokument. Pitt gwałtownie podniósł głowę.

- Ja? Mam wyjść przed kamery i wobec milionów widzów przerwać przemówienie prezydenta? I to jeszcze ubrany jak na pijacką maskaradę?

- Nie to miałem na myśli - uśmiechnął się Mercier. - To ja przerwę prezydentowi i na chwilę go tu poproszę. Pan mu to wręczy tutaj.

W ciemnoczerwonej scenerii Izby Senatu przywódcy polityczni Kanady w osłupieniu słuchali prezydenta Stanów Zjednoczonych, który zachęcał ich do negocjacji w sprawie unii obu państw. Nigdy przedtem nie słyszeli o tym pomysle. Tylko Sarveux słuchał spokojnie, bez emocji. Jego twarz pozostawała nieprzenikniona.

Nagle w Izbie pojawił się doradca prezydenta USA do spraw bezpieczeństwa, Alan Mercier. Podeszedł szybko do mówcy i szepnął mu coś na ucho. Przez salę przebiegł szmer dezaprobaty. Przerwanie ważnej mowy prezydenckiej nie było tu w zwyczaju.

- Proszę mi wybaczyć - rzekł prezydent, po czym szybko wyszedł z sali. Atmosfera niezwykłości jeszcze się wzmogła.

Prezydent stanął w progu saloniku, natychmiast dostrzegł człowieka, który wyglądał, jakby cudem uciekł z piekła. Szybko podeszedł do Pitta i serdecznie go uścisnął.

- Panie Pitt, nie ma pan pojęcia, jaki jestem szczęśliwy, że pana widzę.

- Trochę się spóźniłem, przepraszam. - Pitt nie był zdolny powiedzieć nic więcej. Zmusił się do sztucznego uśmiechu i ostrożnie podał prezydentowi przestrzelony dokument z pięknie wykaligrafowanym nagłówkiem: TRAKTAT PÓŁNOCNOAMERYKAŃSKI.

Prezydent wziął papier do ręki i starannie, powoli przeczytał. Pitt ze zdziwieniem zauważył w jego oczach łzy. Prezydent skończył lekturę, rzucił zdawkowe: „Dziękuję” i wyszedł.

Mercier i Moon usiedli przed monitorem telewizyjnym, by obserwować dalszą część przemówienia.

- Przepraszam, że opuściłem salę, ale właśnie doręczono mi dokument o wielkiej, historycznej doniosłości. Jest to Traktat Północnoamerykański.

Dziesięć minut później kończył z namaszczeniem:

- Tak więc przez siedemdziesiąt pięć lat, choć wypełniły się warunki traktatu, Kanada i Stany Zjednoczone żyły obok siebie jako dwa państwa, podczas gdy w świetle prawa międzynarodowego powinny były już stanowić jedność...

Mercier głęboko odetchnął.

- Chwała Bogu przynajmniej, że nie nazwał Kanady naszą własnością.

- ...Przyszłe pokolenia źle nas ocenią - ciągnął prezydent - jeśli nie wykorzystamy w pełni tej wspaniałej potęgi, jaką zbudowali wielcy przywódcy obu naszych państw. Dlatego nie możemy w dalszym ciągu pracować oddzielnie, we wzajemnej izolacji. Nie możemy nadal uważać się za „Anglo-Amerykanów” albo „Franko-Kanadyjczyków”, albo „Meksyko-Amerykanów”. Musimy wreszcie wszyscy poczuć się tym samym. Ponieważ jesteśmy tym samym: jesteśmy obywatelami Ameryki Północnej.

Ministrowie i premierzy poszczególnych prowincji różnie reagowali na słowa prezydenta. Jedni byli głęboko oburzeni, inni zastanawiali się nad tym, co usłyszeli, jeszcze inni z aprobatą kiwali głowami. W każdym razie było pewne, że prezydent nie posługuje się traktatem jak maczugą: niczego nie żądał ani nie groził. Nikt nie miał jednak wątpliwości, jaką siłę daje Stanom Zjednoczonym odnaleziony kontrakt.

- ...mamy podobną historię, podobny styl życia i podobne aspiracje. Jedyne, co nas różni, to stosunek do tradycji. Jeśli prowincje kanadyjskie zdecydują się kroczyć każda inną drogą, będą to drogi trudne i muszą prowadzić do kolizji. Nie powinno tak być, dla dobra nas wszystkich. Wzywani was więc do wspólnej budowy najpotężniejszego kraju na Ziemi: ...Stanów Zjednoczonych Kanady.

Sala przyjęła przemówienie prezydenta z umiarkowanym aplauzem. Słuchacze siedzieli sztywno, nie wiedząc, jak przyjąć propozycję stworzenia jednego państwa. Coś, co jeszcze wczoraj było nie do pomyślenia, dziś nagle zostało powiedziane otwarcie i głośno.

Mercier westchnął i zgasił monitor.

- No, to wystartowaliśmy - rzekł cicho. Oates pokiwał głową.

- Chwała Bogu, że traktat dotarł w porę. Mogło to się skończyć ciężką katastrofą polityczną.

Odruchowo spojrzeli obaj z wdzięcznością na człowieka, który niewątpliwie na tę wdzięczność zasłużył. Ale Dirk Pitt spał już głębokim snem.

## ROZDZIAŁ 85

Rolls-royce premiera zatrzymał się przed ogromnym odrzutowcem z emblematami prezydenckimi na kadłubie. Z dalszych samochodów wysiedli agenci ochrony i sprawnie ustawili się wzdłuż przejścia. Ale drzwi rolls-royce'a pozostawały zamknięte.

W samochodzie Sarveux pochylał się i z oparcia przedniego siedzenia wyciągnął składany orzechowy stolik. Następnie otworzył barek, z którego wyjął kryształową karafkę swojej ulubionej whisky Seagram Crown Royal.

- Za zdrowie dwóch starych przyjaciół, którzy wspólnie pokonali trudną drogę.

- To prawda - rzekł prezydent i ciężko westchnął. - Gdyby ktoś odkrył, jak przez wiele lat w tajemnicy przygotowaliśmy ten projekt, z pewnością rozstrzelaliby nas za zdradę stanu.

Sarveux lekko się uśmiechnął.

- Rozstrzelali?.. Nie, pewnie skończyłoby się na dymisji. Prezydent sączył whisky w milczeniu.

- Zastanawiające, jak przypadkowa rozmowa młodego ministra z młodym senatorem przy kominku chaty myśliwskiej - ileż to już lat temu? - zdołała wpłynąć na bieg historii.

- Widocznie było to najważniejsze miejsce i najważniejsza pora na spotkanie dwóch ludzi mających podobne marzenia - odparł Sarveux.

- Unia Stanów Zjednoczonych i Kanady jest już czymś nieuniknionym. Jeśli nawet nie w ciągu najbliższych dwu lat, to w ciągu następnych dwustu. My tylko trochę wyprzedziliśmy naturalny rozkład jazdy.

- Myślę, że nie będziemy tego żałować.

- Bo i nie ma czego żałować. Przeciwnie: zjednoczony kontynent, z populacją i powierzchnią równą Związkowi Sowieckiemu - to może mieć zbawienny skutek dla naszych krajów.

- Stany Zjednoczone Kanady... - delektował się Sarveux. - Nieźle to brzmi.

- Jak widzisz najbliższą przyszłość? - spytał prezydent.

- Prowincje morskie: Nowa Fundlandia, Nowa Szkocja, Nowy Brunswik są odcięte od reszty Kanady przez niepodległy Quebec. Już wkrótce dojdą do wniosku, że w ich najlepszym interesie jest przejście na status stanu USA. Za nimi pójść Manitoba i Saskatchewan. Dla nich to łatwa decyzja, bo zawsze miały bliskie związki z waszymi terenami północno-zachodnimi. Potem, jak sądzę, przystąpi do negocjacji Kolumbia

Brytyjska. A wtedy, pozbawione dostępu do oceanów, pozostałe prowincje szybko zmiękną.

- A Quebec?

- Francuzi na razie będą się zachłystywać niepodległością, a gdy odczują trudności gospodarcze - nieuniknione przecież w tej sytuacji - to też dojdą do wniosku, że status amerykańskiego stanu jest najlepszym możliwym wyjściem.

- Jak na to wszystko zareaguje Londyn?

- Tak samo, jak w przypadku Indii, Afryki Południowej i innych kolonii.

Pożegnają się po prostu, choć niechętnie.

- A jakie ty sam masz plany?

- Będę kandydował na prezydenta Quebecu - odparł Sarveux.

- Nie zazdrozczę ci. To będzie trudna i ciężka walka.

- Tak, ale jeśli zwyciężę, to wszyscy zwyciężymy. Quebec będzie o krok bliżej uczestnictwa w Unii. I, co najważniejsze, będę mógł wam zagwarantować dopływ energii elektrycznej z James Bay, a jednocześnie zapewnić rozwój odkrytych przez was pól naftowych w zatoce Ungava.

Prezydent odstawił na stolik pustą szklankę i spojrzał na Sarveux.

- Przepraszam cię za Panielle. Decyzja, żeby ci powiedzieć o jej romansie z Henrim Yillonem, nie przyszła mi łatwo. Nie wiedziałem, jak to przyjmiesz, a nawet czy mi w ogóle uwierzysz.

- Uwierzyłem ci - rzekł Sarveux ponuro - ponieważ wiedziałem to już wcześniej.

- Gdyby było jakieś inne wyjście...

- Nie, nie było.

Temat wyczerpał się. Prezydent otworzył drzwi samochodu. Sarveux chwycił go za ramię.

- Musimy wyjaśnić sobie jeszcze jedno - rzekł.

- Tak?

- Ten Traktat Północnoamerykański. Jeśli zawiodą inne środki - czy będziesz chciał wyegzekwować warunki traktatu?

- Tak - rzekł stanowczo prezydent, z twardym błyskiem w oczach. - Nie ma już odwrotu. Jeśli nie będzie innego wyjścia, nie zawaham się wprowadzić Traktatu w życie.

## ROZDZIAŁ 86

Na lotnisku imienia Kennedy'ego Heidi pokuśtykała do stanowiska TWA. Dzień był deszczowy: typowo nowojorska ulewa, spowalniająca ruch samochodów do szybkości gąsienicy.

Heidi miała na sobie marynarski mundur, na który włożyła granatowy płaszcz przeciwdeszczowy. Spod regulaminowej białej czapki wyglądały zmoczone deszczem włosy. Postawiła wielką torbę podróżną i balansując na zdrowej nodze zajęła wolne krzesło.

Po tych kilku szaleńczych tygodniach myśl o powrocie do codziennej rutyny napawała ją wstrętem. Pitta nie widziała, odkąd odleciał do Ottawy. Żołnierze eskortujący Shawa nie pozwolili jej się nawet do niego zbliżyć, ambulans odwiózł go nieprzytomnego do wojskowego szpitala. W ogólnym zamieszaniu zapomniano o niej. Jedynie admirał Sandecker pamiętał o tym, że trzeba ją odwieźć do nowojorskiego hotelu i zarezerwować jej na następny dzień miejsce w samolocie do San Diego.

Obserwowała przez szybę zalane deszczem pasy startowe. W kałużach odbijały się różnokolorowe światła lotniska. Gdyby była sama, z pewnością rozplakałaby się. Na myśl o przygodzie z Shawem odczuwała jednocześnie żal i tęsknotę. Wkroczył w jej życie wbrew jej woli. Nie miała wyrzutów sumienia, co najwyżej denerwowało ją to, że straciła kontrolę nad sobą.

Ślepa i głucha na kłębiący się wokół tłum, starała się zapomnieć o swych uczuciach i niechlubnych wyczynach ostatnich tygodni.

- Wiele widziałem melancholijnych panienek - odezwał się z tyłu znajomy głos - ale pani dałbym pierwszą nagrodę.

- Czy to aż tak widać - spytała, zdziwiona spokojnym brzmieniem swego głosu.

- Jak czarną chmurę na jasnym niebie - odparł Pitt, ze swym zwykłym, szatańskim uśmiechem. On także miał na sobie coś w rodzaju stroju marynarskiego: taka była przynajmniej granatowa, sportowa marynarka. Spoglądał na nią znad ogromnego bukietu kwiatów.

- Myślisz, że pozwolę ci zwać bez pożegnania?

- Dziwne, że ktoś jeszcze o mnie pamięta. - Rzeczywiście czuła się samotna, wyprana, zmęczona, chora i nikomu niepotrzebna. - Nie zwracaj uwagi na moje kwękanie. Chyba po prostu za bardzo rozczulam się nad sobą. Taki dzień...

- Może to ci pomoże. - Wręczył jej kwiaty. Bukiet był tak wielki, że z trudem mogła zza niego coś dojrzeć.

- Są wspaniałe - powiedziała. - Chyba się znowu rozplączę.

- Daj spokój - Pitt roześmiał się. - Zawsze, gdy widzę piękną dziewczynę, mam ochotę wykupić dla niej całą kwaciarnię. Ale jak mnie zniechęcisz, to już nigdy więcej tego nie zrobię.

Pocałowała Pitta w policzek i otarła łzy.

- Dziękuję, Dirk. Zawsze byłeś moim najlepszym przyjacielem.

- Przyjacielem? - Zmarszczył brwi. - Czy tylko tyle dla ciebie znaczę?

- A czy możemy być dla siebie nawzajem czymś więcej niż przyjaciółmi?

- No... prawdę mówiąc... chyba nie. - Jego twarz znowu stała się łagodna. Wziął ją za rękę. - Dziwne, że dwoje ludzi, którzy tyle mają ze sobą wspólnego, nie może się w sobie zakochać.

- W moim przypadku to po prostu kwestia... kogoś innego.

- Ach, ta zmienność kobiet - rzekł. - Zakochuje się taka w facecie, który traktuje ją jak pomiotło, a boi się małżeństwa z uczciwym obywatelem.

Unikała jego wzroku, patrzyła za okno, w deszcz.

- Nie umiemy ukrywać naszych uczuć.

- Czy ten Shaw przynajmniej cię kocha?

- Wątpię.

- A ty go kochasz?

- Kiedy z nim jestem, tracę całą swoją życiową praktyczność. Tak, Kocham go, właśnie za to. Pragnęliśmy siebie nawzajem, on miał swoje powody, ja swoje. Gdyby mnie naprawdę chciał, poleciłabym za nim natychmiast. Ale to się nigdy nie zdarzy.

- Znowu robisz się śmiertelnie poważna - rzekł Pitt. - Nie wiem, czy powinno się wpuszczać na pokład samolotu skomlące samice, to może być niebezpieczne... Nie mam wyboru, muszę cię rozweselić jedną z moich sławnych sztuczek magicznych.

Heidi zaśmiała się przez łzy.

- Od kiedy to praktykujesz magię? Pitt zrobił żartobliwie poważną minę.

- Jak to? Nigdy nie słyszałaś o iluzjoniście Dirku Wspaniałym.

- Nigdy.

- No to zaraz zobaczysz, niedowiarku. Zamknij oczy.

- Żartujesz sobie ze mnie.

- Zaniknij oczy, mówię, i licz do dziesięciu. Heidi zaczęła liczyć. Kiedy otworzyła oczy, Pitta już nie było. Na jego miejscu siedział Shaw.

Długo powstrzymywane łzy tym razem popłynęły po twarzy strumieniem.

Uściskała Shawa.

- Myślałam, że trzymają cię pod kluczem - wyjąkała między jednym a drugim chlipnięciem.

Shaw uniósł złożony na kolanach płaszcz deszczowy. Zobaczyła kajdanki na jego rękach.

- Pitt pomógł mi się na chwilę wyrwać, ale niezupełnie. Delikatnie dotknęła bandaża wystającego spod jego czapki.

- Dobrze się czujesz?

- Podwójne widzenie już mi minęło - odrzekł z uśmiechem. Hostessa przy stanowisku kontrolnym zapowiedziała samolot Heidi.

- Co będzie z tobą dalej? - spytała Heidi, głosem pełnym obaw.

- Myślę, że jakiś czas spędzę w jednym z tych waszych sławnych więzień federalnych.

- Czy będziesz mnie uważał za sentymentalną gęś, jeśli powiem, że cię kocham?

- Czy będziesz mnie miała za kłamcę, jeśli powiem ci to samo?

- Nie - powiedziała cicho. I poczuła wielką ulgę, ponieważ wiedziała, że tym razem Shaw nie kłamie.

- Przysięgam ci, że pewnego dnia będziemy znowu razem - rzekł Shaw.

To już, niestety, nie mogło być prawdą. Poczowała w sercu głęboki ból.

- Muszę już iść” - szepnęła.

Wyczytał smutek w jej oczach i wszystko zrozumiał. Pomógł jej wstać i podał kule. Podszedł steward, wziął torbę podróżną i kwiaty.

- Do widzenia, Heidi. Pocałowała go lekko w usta.

- Do widzenia.

Zniknęła w mrocznym rękawie, prowadzącym do samolotu.

Pitt wrócił i usiadł obok Shawa.

- Cholernie dobra dziewczyna - rzekł - głupio byłoby ją stracić.

- Dobra dziewczyna - przytaknął Shaw w zamyśleniu.

- Jeśli się pan nie pośpieszy, odleci bez pana. Shaw spojrzał na Pitta zdumiony.

- O czym pan mówi?

Pitt wsunął kopertę do kieszeni marynarki Anglika.

- Karta pokładowa i bilet. Macie miejsca obok siebie.

- Przecież jestem aresztowany jako agent obcego państwa - Shaw nic z tego nie rozumiał.



- Prezydent ma wobec mnie dług. - Pitt wzruszył ramionami.

- Czy on wie, co pan robi?

- Jeszcze nie. Shaw pokręcił głową.

- Naraża się pan na duże kłopoty, uwalniając mnie.

- Bywałem już w kłopotach... - Wyciągnął rękę do Shawa. - A niech pan pamięta, że obiecał pan nauczyć mnie gry w triktraka.

Shaw uścisnął dłoń Pitta obiema rękami. Potem uniósł je nieco w górę, odsłaniając stalowe bransolety.

- To bardzo utrudnia życie.

- Otwarcie tego zamka powinno być dziecinną zabawą dla agenta wywiadu.

Shaw wykonał parę ruchów pod płaszczem, po czym odłożył kajdanki na bok. Miał już wolne ręce.

- Jestem trochę nie w formie. Zwykle robię to szybciej.

- James Bond byłby z pana dumny.

- Bond?

- Tak, słyszałem, że pracujecie razem. Shaw głęboko westchnął.

- To postać fikcyjna.

- Naprawdę?

Shaw wzruszył ramionami, potem spojrział na Pitta.

- Dlaczego właściwie pan mi pomaga? Przecież zrobiłem Heidi świństwo.

- Ona pana kocha - odpowiedział Pitt po prostu.

- Ale co pan będzie miał z tego?

- Nic, co zwiększyłyby moje konto w banku.

- A więc: po co?

- Lubię nietypowe rozwiązania.

Zanim Shaw zdążył zadać następne pytanie, Pitt wstał i zniknął w tłumie wypełniającym halę.

Deszcz przestał padać. Pitt otworzył dach swojej cobry i ruszył w stronę Manhattanu. Na tle czarnych, niskich chmur jarzące się światłami wieżowce wyglądały jak groźne widma. Lekki wiaterek rozwiewał włosy Pitta, jego płuca z przyjemnością wdychały słodki zapach wilgotnej trawy, rosnącej na poboczach autostrady.

Ujął mocniej kierownicę i nacisnął do deski pedał gazu. Kątem oka obserwował, jak strzałka szybkościomierza wolno zbliża się do czerwonej kreski.

## **SŁOWNIK**

**FQS** - Stowarzyszenie Wolnego Quebecu, albo AQL - Association du Quebec Libre.

**NUMA** - National Underwater and Marine Agency - Narodowa Agencja Badań Morskich i Podwodnych.